

Sophie Kinsella

Zakupy moja miłość

Przełożyła Monika Wiśniewska

Dla Gemmy i Abigail, dla uczczenia faktu, że jesteśmy siostrami

Podziękowania

Dziękuję za przeogromne wsparcie Lindzie Evans, Patrickowi Plonkingtonowi-Smythe'owi, Larry'emu Finlayowi, Laurze Sherlock i wszystkim wspaniałym ludziom z Transworld; cudownej Aramincie Whitley i Nicki Kennedy, Celi Halley, Lucindzie Cook i Samowi Edenborough. Specjalne podziękowanie niech zechcą przyjąć ode mnie Joy Terekiev i Chiara Scaglioni za niesłychanie ciepłe przyjęcie w Mediolanie.

Jak zawsze dziękuję członkom zespołu: Henry'emu za wszystko, Freddy'emu i Hugonowi za propozycje, abym zamiast tego pisała o piratach (może następnym razem).

Ogromne podziękowanie należy się moim rodzicom za to, że zgarniali mnie z ulic do domu, tak bym mogła dokończyć pisanie tej książki...

SŁOWNIK
MIĘDZYKRAJOWYCH DIALEKTÓW
PLEMIENNYCH

ANEKS

(Następujące wyrażenia nie zostały ujęte w słowniku)

PLEMIĘ NAMI-NAMI Z NOWEJ GWINEI str. 67

fraa („frar”): starszy członek plemienia; patriarcha

mopi („mopi”): niewielka chochła do nakładania ryżu bądź innego pożywienia

kuppowac („kupować”): wymieniać towary na pieniądze lub biżuterię. Pojęcie nieznanne w plemieniu do czasu przybycia na wyspę w 2002 r. Brytyjki Rebeki Brandon (z domu Bloomwood)

KRÓLEWSKI INSTYTUT ARCHEOLOGII
W KAIRZE
El Cherifeen Street 31, Kair

15.01.2003

Sz. P.
Rebeka Brandon
c/o Hotel Nile Hilton
Tahrir Square
Kair

Szanowna Pani!

Niezmiernie cieszy mnie fakt, iż jest Pani zadowolona z pobytu w Egipcie i że odczuwa Pani głęboką więź z mieszkańcami naszego kraju. To rzeczywiście bardzo możliwe, iż w Pani żyłach płynie egipska krew.

Z zadowoleniem przyjmuję także Pani zainteresowanie organizowaną w naszym muzeum wystawą biżuterii. Odpowiadając jednak na Pani pytanie, muszę z przykrością stwierdzić, że ten „mały słodki pierścionek” nie jest na sprzedaż. W przeszłości należał do królowej Sobeknefru z Dwunastej Dynastii i, zapewniam Panią, bardzo by nam go brakowało.

Życzę udanych wakacji w naszym kraju.

Z poważaniem –
Chaled Samir
(dyrektor)

PRZESYŁKI MORSKIE BREITLING
TOWER HOUSE
CANARY WHARF
LONDON E14 5HG

wiadomość nadana faksem

do: Rebeka Brandon
c/o Hotel Cztery Pory **Roku**
Sydney
Australia

od: Denise O'Connor
Koordynator Pionu **Obsługi Klienta**

06. 02. 2003

Szanowna Pani!

Z przykrością Panią informujemy, że „rzeźbiona w piaskowcu syrena” z Bondi Beach uległa podczas transportu rozkruszeniu.

Jeśli wolno nam przypomnieć, nie udzieliliśmy gwarancji na bezpieczny transport i byliśmy przeciwni wysyłaniu tego przedmiotu drogą morską.

Z poważaniem –
Denise O'Connor
koordynator Pionu
Obsługi Klienta

ALASKIJSKIE PRZYGODY SA
SKR. POCZT. 80034
CHUGIAK
ALASKA

wiadomość nadana faksem

do: Rebeka Brandon
c/o Hotel Biały Niedźwiedź
Chugiak

od: Dave Crockerdale
Alaskijskie Przygody

16.02.2003

Szanowna Pani!

Na wstępie pragnę podziękować Pani za list.

Gorąco namawiamy Panią do zrezygnowania z pomysłu wysłania do Wielkiej Brytanii sześciu psów husky wraz z saniami.

Owszem, psy husky to wspaniałe zwierzęta i przyznaję, że zainteresował mnie Pani pomysł, iż mogłyby one częściowo rozwiązać problem zanieczyszczenia w miastach. Nie sądzę jednak, by władze wydały zezwolenie na dopuszczenie do ruchu w Londynie psich zaprzęgów, nawet gdyby Pani rzeczywiście doczepiła do sań kółka i stosowną tablicę rejestracyjną.

Mam nadzieję, że Pani podróż poślubna jest udana.

Z najlepszymi życzeniami

Dave Crockeford
kierownik ds. transportu

W porządku. Dam sobie radę. To naprawdę nic trudnego.

Muszę tylko przejąć kontrolę na tą bardziej uduchowioną częścią mnie, a wtedy doznam oświecenia i zacznę promieniować białym światłem.

Łatwizna.

Dyskretnie przesuwam się na macie do jogi, by siedzieć twarzą do słońca, i opuszczam ramiączka topu. Nie widzę powodu, dla którego nie mogłabym osiągnąć stanu absolutnej nirwany i jednocześnie równomiernie się opalić.

Znajduję się na Sri Lance w kurorcie Błękitne Wzgórza i Duchowe Oświecenie, a widok z miejsca, w którym siedzę, jest naprawdę niezwykły. Przede mną, na stokach pagórków, rozciągają się plantacje herbaty, które zlewają się w jedną całość z błękitnym niebem. W oddali dostrzegam odzianych w jaskrawe stroje ludzi zbierających herbatę, a jeśli lekko odwrócę głowę, hen, hen daleko widzę kroczącego majestatycznie słonia.

A kiedy jeszcze bardziej odwrócę głowę, widzę Luke'a. Mojego męża. Ubrany jest w krótko obcięte lniane spodnie i sfatygowaną koszulkę, ma zamknięte oczy i siedzi po turecku na niebieskiej macie.

Wiem. To po prostu niewiarygodne. Przez dziesięć miesięcy naszej podróży poślubnej zupełnie się zmienił. Zniknął dawny, zapracowany Luke. Znikły garnitury. Teraz jest opalony i szczupły, ma długie, rozjaśnione słońcem włosy, a kilka pasm dał sobie spleść w cienkie warkoczyki na Bondi Beach. Nadgarstek oplata mu bransoletka przyjaźni, którą kupił w Masai Mara, a w uchu ma małe srebrne kółko.

Luke Brandon z kolczykiem! Luke Brandon siedzi po turecku!

Jakby wyczuwając moje spojrzenie, otwiera oczy i uśmiecha się do mnie, a ja w odpowiedzi posyłam mu równie promienny uśmiech. Jesteśmy dziesięć miesięcy po ślubie i ani razu się nie pokłóciliśmy.

No, może tylko czasami, ale naprawdę rzadko.

– *Siddhasana* – mówi nasz nauczyciel jogi Chandra, a ja posłusznie kładę prawą stopę na lewym udzie. – Oczyszćcie wasze umysły ze wszystkich nieistotnych myśli.

Jasna sprawa. Oczyszczyć umysł. Skoncentrować się.

Nie chcę się chwalić, ale oczyszczanie umysłu nie sprawia mi żadnego problemu. Nie rozumiem, jak niektórym może się wydawać to trudne!

Chyba jestem wprost stworzona do jogi. Przebywamy w tym kurorcie dopiero od pięciu dni, a już potrafię siedzieć w pozycji kwiatu lotosu – i w ogóle! Zastanawiam się nawet, czy po powrocie do domu nie zostać nauczycielką jogi.

Mogłabym nawet wejść w spółkę z Trudie Styler* [Zona Stinga]. O Boże, tak! Wypromowałybyśmy całą linię strojów do jogi: wszystkie byłyby w łagodnych odcieniach szarości i bieli, z niewielkim logo...

– Skupcie się na oddychaniu – mówi właśnie Chandra. No tak. Oddychanie.

Wdech... wydech. Wdech... wydech. Wdech...

Jejku, moje paznokcie wyglądają po prostu cudnie. Dałam je sobie pomalować w spa – różowe motylki na białym tle. A antenki to malutkie, połyskujące diamenciki. Są takie słodkie. Tyle że jeden zdążył mi już odpaść. Będę musiała nakleić nowy...

– Becky.

Głos Chandry sprawia, że podskakuję. Stoi przede mną i przeszywa mnie tym swoim świdrującym spojrzeniem. Jest jednocześnie łagodne i wszechwiedzące, jakby mój mentor potrafił przeniknąć do cudzych myśli.

– Bardzo dobrze ci idzie – stwierdza. – Masz piękną duszę. Niemal podskakuję z radości. Ja, Rebeka Brandon, z domu Bloomwood, mam piękną duszę! Wiedziałam!

– Twoja dusza jest ponad tym światem – dodaje łagodnym głosem, a ja wpatruję się w niego jak zahipnotyzowana.

– Dobra doczesne nic dla mnie nie znaczą – mówię bez tchu. – Liczy się tylko joga.

– Odnalazłaś własną ścieżkę – uśmiecha się Chandra.

Z miejsca, w którym siedzi Luke, dobiega jakieś dziwne parsknięcie. Odwracam się i widzę, że przygląda się nam z rozbawieniem.

Wiedziałam, że on nie podchodzi do tego poważnie.

– Bardzo przepraszam, ale to prywatna rozmowa pomiędzy mną a moim guru – rzucam z rozdrażnieniem.

W gruncie rzeczy nie powinno mnie jednak coś takiego dziwić. Upredzono nas o tym pierwszego dnia kursu jogi. Podobno kiedy jeden z partnerów osiąga wyższe duchowe oświecenie, drugi może zareagować sceptycyzmem, a nawet zazdrością.

– Wkrótce będziesz chodzić po rozżarzonych węglach.

Chandra wskazuje z uśmiechem na rozrzucony stosik tłących się, pokrytych popiołem węgli, a reszta grupy reaguje nerwowym śmiechem.

Dziś wieczorem on i kilkoro najlepszych uczniów zamierzają zademonstrować pozostałym chodzenie po węglach. Coś takiego jest celem nas wszystkich. Podobno kiedy osiągnie się stan wielkiej szczęśliwości, wtedy nie czuje się żaru węgli. W ogóle nie czuje się bólu!

Mam cichą nadzieję, że zadziała to także wtedy, gdy będę nosić szpilki na piętnastocentymetrowych obcasach.

Chandra poprawia ułożenie moich ramion i odchodzi, a ja zamykam oczy i pozwalam, by promienie słońca ogrzewały mi twarz. Siedząc na tym zbocz, czuję się taka czysta i spokojna. Nie tylko Luke zmienił się w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy. Ja też. Dojrzałam. Moje priorytety się zmieniły. W gruncie rzeczy stałam się zupełnie inną osobą. Spójrzcie tylko, jak ćwiczę jogę w kurorcie poświęconym duchowemu oświeceniu. Moi dawni znajomi pewnie w ogóle by mnie nie poznali!

Zgodnie z instrukcjami wszyscy przyjmujemy pozycję *Ycijrasana*. Z miejsca, gdzie siedzę, widzę, jak do Chandry podchodzi starszy mężczyzna z przewieszonymi przez ramię dwiema torbami z tkaniny przypominającej dywanik. W trakcie krótkiej rozmowy Chandra potrząsa kilkakrotnie głową, a następnie staruszek oddala się powoli w górę gęsto porośniętego krzakami zbocza. Kiedy jest już wystarczająco daleko, Chandra odwraca się do

grupy, przewracając oczami.

– To handlarz. Pytał, czy ktoś z was jest zainteresowany kamieniami szlachetnymi. Naszyjnikami, tanimi bransoletkami. Powiedziałem mu, że wasze umysły są skupione na ważniejszych sprawach.

Kilka siedzących obok mnie osób potrząsa z niedowierzaniem głowami. Kobieta z długimi rudymi włosami wygląda na wręcz oburzoną.

– Nie widział, że jesteśmy w samym środku medytacji? – pyta.

– On nie rozumie waszego duchowego oddania. – Chandra przygląda się nam z powagą. – Tak samo będzie w przypadku innych ludzi. Nie rozumieją, że medytacja stanowi pokarm dla waszej duszy. Niepotrzebna jest wam... bransoletka z szafirów!

Kilka osób kiwa z uznaniem głową.

– Wisiorek z akwamarynem na platynowym łańcuszku – kontynuuje kpiąco Chandra. – Jak coś takiego można porównać z promieniowaniem wewnętrznego oświecenia?

Akwamaryn?

O kurczę. Ciekawe, ile...

To znaczy wcale mnie to nie interesuje. W żadnym wypadku. Chodzi jedynie o to, że kiedyś oglądałam akwamaryny na wystawie u jubilera. Tylko i wyłącznie z czystej ciekawości.

Moje spojrzenie wędruje ku oddalającej się sylwetce staruszka.

– Powtarzał w kółko: trzykaratowe, pięciokaratowe. Wszystko za pół ceny. – Chandra potrząsa głową. – Ja mu na to, że moi uczniowie nic są czymś takim zainteresowani.

Za pół ceny? Pięciokaratowe akwamaryny za pół ceny?

Spokojnie. Chandra ma rację. To oczywiste, że nie w głowie mi głupie akwamaryny. Obchodzi mnie jedynie duchowe oświecenie.

A poza tym staruszka już prawie nie widać. Stanowi niewielką plamkę na szczycie wzgórza. Za chwilę zniknie zupełnie.

– A teraz pozycja *Halasana*. Becky, zademonstrujesz ją nam?

– Naturalnie.

Uśmiecham się do Chandry i szykuję się do przyjęcia na macie odpowiedniej pozycji.

Ale coś nie gra. Nie przepelnia mnie zadowolenie. Nie odczuwam spokoju. Wzbiera we mnie naprawdę dziwne uczucie, które usuwa na bok wszystko inne. Staje się coraz silniejsze...

I nagle nie jestem w stanie dłużej go tłumić. Zanim zdaję sobie sprawę z tego, co robię, biegną boso tak szybko, jak tylko mogę, w górę zbocza, w kierunku oddalającej się postaci. Mam uczucie, jakby rozrywało mi płuca, szczypią mnie stopy, a słońce pada prosto na niczym nieosłoniętą głowę. Zatrzymuję się dopiero na szczycie wzgórza. Rozglądam się, ciężko przy tym dysząc.

Nie mogę w to uwierzyć. Nie ma go. Gdzie też się poglądam się na wszystkie strony, ale nigdzie nie widzę tego staruszka.

Wreszcie odwracam się z przygnębieniem i zaczynam schodzić na dół do reszty grupy. Kiedy zbliżam się do nich, widzę, że wszyscy coś wołają i machają do mnie. O Boże!

Narobiłam sobie kłopotów?

– Udało ci się! – krzyczy ruda. – Udało ci się!

– Co się udało?

– Biegłaś po rozżarzonych węglach! Udało ci się, Becky! Że co?

Patrzę na stopy... i oczom nie wierzę. Umazane są szarym popiołem! Oszołomiona, spoglądam na węgle. Między nimi wyraźnie rysują się ślady stóp.

O mój Boże! O mój Boże! Biegłam po węglach! Biegłam po rozgrzanych, żarzących się węglach! Udało mi się!

– Ale... ale nawet tego nie zauważyłam! – mówię zaszokowana. – W ogóle nie piekło mnie w stopy!

– Jak to zrobiłaś? – pyta niecierpliwie rudowłosa. – Co wtedy wypełniało twoje myśli?

– Mogę odpowiedzieć. – Chandra podchodzi bliżej z uśmiechem na ustach. – Becky osiągnęła najwyższy stopień karmicznej ekstazy. Koncentrowała się na jednym celu, jednym jedynym obrazie, i dzięki temu jej ciało osiągnęło niezemski stan.

Wszyscy wybałuszają na mnie oczy, jakbym nagle” zmieniła się w dalajlamę.

– To nic takiego, naprawdę – mówię ze skromnym uśmiechem. – Po prostu... no wiecie. Duchowe oświecenie.

– Czy możesz opisać to, co miałaś przed oczami? – dopytuje się podekscytowana ruda.

– Czy to było białe? – pyta ktoś inny.

– Niezupełnie białe... – odpowiadam.

– A może takie lśniące i niebieskozielone? – rozbrzmiewa z tyłu głos Luke’a.

Wbijam w niego przenikliwie wzrok. Patrzy na mnie, a na jego twarzy maluje się powaga.

– Nie pamiętam – odpowiadam z godnością. – Kolor nie był ważny.

– Czy miałaś wrażenie, jakby... – Wygląda to tak, że Luke intensywnie się zastanawia nad doborem odpowiednich słów. – Jakby coś przyciągało cię do siebie łańcuchami?

– Bardzo dobre porównanie – wtrąca z zadowoleniem Chandra.

– Nie – odpowiadam krótko. – Prawdę mówiąc, myślę, że aby to zrozumieć, musiałbyś mieć większą świadomość kwestii duchowych.

– Jasne. – Luke z powagą kiwa głową.

– Musisz być bardzo dumny. – Chandra uśmiecha się do niego promiennie. – Czy to nie najbardziej niesamowita rzecz, jaką kiedykolwiek uczyniła twoja żona?

Przez chwilę panuje cisza. Luke przenosi spojrzenie ze mnie na żarzące się węgle, następnie na milczącą grupę i wreszcie na rozpromienioną twarz Chandry.

– Proszę mi wierzyć – mówi – to jeszcze nic.

Po zajęciach wszyscy kierują się na taras, gdzie na tacy czekają zimne napoje. Ja jednak zostaję medytować na macie, by pokazać, jak bardzo jestem oddana wyższym celom. Zamykam oczy i częściowo koncentruję się na białym świetle mojego wewnętrznego ja, a częściowo wyobrażam sobie, jak biegnę po rozżarzonych węglach na oczach Trudie i Stinga, którzy z podziwem biją mi brawo. Moją twarz nagle przesłania cień.

– Witaj, uduchowiona istoto – odzywa się Luke, a ja otwieram oczy.

Stoi przede mną i w wyciągniętej dłoni trzyma szklankę soku.

– Jesteś po prostu zazdrosny, ponieważ nie masz pięknej duszy – odparowuję i niby to mimochodem odgarniam włosy, by odsłonić czerwoną kropkę na czole.

– Szaleńczo – przyznaje. – Napij się.

Siada obok i podaje mi szklankę. Pociągam łyk przepysznego, lodowato zimnego soku z passiflory i oboje patrzymy przed siebie na wzgórze i unoszącą się w oddali mgłę.

– Wiesz, naprawdę mogłabym zamieszkać na Sri Lance – oświadczam z westchnieniem.

– To prawdziwy raj na ziemi. Pogoda... krajobrazy... wszyscy ludzie są tacy mili...

– To samo mówiłaś w Indiach – stwierdza Luke. – I w Australii – dodaje, gdy otwieram usta. – I w Amsterdamie.

Boże, Amsterdam. Zupełnie zapomniałam, że tam byliśmy. To było po Paryżu. A może przed?

No tak. To tam zjadłam mnóstwo tych dziwnych ciasteczek i omal nie wpadłam do kanału.

Pociągam następny łyk soku i wracam myślami do minionych dziesięciu miesięcy. Byliśmy w tak wielu krajach, że trochę trudno wszystko sobie od razu przypomnieć. Mam wrażenie, jakby w mojej głowie przewijał się zamazany film, w którym co jakiś czas coś staje się wyraźne. Nurkowanie z błękitnymi rybami na Wielkiej Rafie Koralowej... piramidy w Egipcie... safari ze słoniami w Tanzanii... kupowanie jedwabiu w Hongkongu... suk ze złotem w Maroku... fantastyczny outlet Ralphi Laurena w Utah...

Jejku! Naprawdę dużo przeżyliśmy. Wydaję pełne szczęścia westchnienie i pociągam następny łyk soku.

– Zapomniałem ci powiedzieć – Luke pokazuje mi kilka kopert. – Przyszła poczta z Anglii.

Prostuję się, podekscytowana.

– „Vogue”! – wykrzykuję, gdy dostrzegam błyszczącą okładkę specjalnego wydania dla prenumeratorów. – O, spójrz! Na okładce jest torebka Angel!

Czekam na reakcję – ale twarz Luke’a pozostaje bez wyrazu. Jestem nieco sfrustrowana. Jak on może? W zeszłym miesiącu przeczytałam mu na głos cały artykuł o torebkach Angel, pokazałam mu zdjęcia i w ogóle.

Wiem, że to nasza podróż poślubna. Ale czasami żałuję, że Luke nie jest dziewczyną.

– No, wiesz przecież! – mówię. – Torebki Angel! Najbardziej niesamowite, najmodniejsze torebki od czasów... od czasów...

Och, nie będą sobie zawracać głowy wyjaśnieniami. Zamiast tego przyglądam się pożądliwie zdjęciu torebki. Jest wykonana z miękkiej jasnobrązowej skóry cielącej, a na jej przodzie widnieje piękny, ręcznie malowany anioł, pod którym małe diamenciki układają się w imię: „Gabriel”. Jest sześć różnych aniołów, i wszystkie sławy dosłownie biją się o nie. W Harrodzie torebki wyprzedawane są na pniu. „Święty fenomen” – głosi podpis pod zdjęciem.

Jestem tak podekscytowana, że ledwie słyszą głos Luke’a, który podaje mi następną kopertę.

– Guza – mówi chyba.

- Słucham? – Podnoszę oszołomiona głowę.
- Mówiłem, że jest do ciebie jeszcze jeden list – powtarza cierpliwie. – Od Zuzy.
- Od Zuzy?

Upuszczam „Vogue’a” i wyszarpuję mu z dłoni kopertę. Zuza to moja najlepsza przyjaciółka. Bardzo się za nią stęskniłam.

Kremowa koperta jest gruba, a na jej odwrotnej stronie widnieje herb z łacińskim mottem. Wciąż zapominam, jak bardzo wielkopańska jest Zuza. Kiedy przysłała nam kartkę bożonarodzeniową, przedstawiała ona szkocki zamek jej męża Tarquina, a w środku widniał napis: „Od państwa Cleath-Stuart”. (Tyle że ledwo to można było odczytać, gdyż ich roczny synek Ernie upstrzył napis czerwonymi i niebieskimi odciskami paluszków).

Rozrywam kopertę. Ze środka wypada sztywna karta.

– To zaproszenie! – wykrzykuję. – Na chrzest bliźniąt. Przyglądam się eleganckim, pełnym zawijasów literom i lekko ściska mi się serce. Wilfrid i Clementine Cleath-Stuart. Zuza urodziła dwójkę kolejnych dzieci, a ja ich jeszcze nawet nie widziałam. Mają już prawie cztery miesiące. Ciekawe, jak wyglądają. Ciekawe, jak radzi sobie Zuza. Tak wiele się wydarzyło podczas naszej nieobecności.

Odwracam kartę i widzę, że Zuza nagryzmoła kilka zdań.

Wiem, że nie będziecie mogli przybyć, ale pomyślałam sobie, że mimo to chcielibyście otrzymać zaproszenie... Mam nadzieję, że nadal świetnie się bawicie! Ceduję mocno, Zuza. PS. Ernie jest zachwycony chińskim kostiumem, dziękujemy bardzo!!!

– To za dwa tygodnie – mówię, pokazując zaproszenie. – Naprawdę szkoda. Nie damy rady tam pojechać.

– Nie – przyznaje. – Nie damy.

Przez chwilę panuje cisza. Luke patrzy mi w oczy.

– To znaczy... Jeszcze nie jesteś gotowa do powrotu, prawda? – pyta mimochodem.

– Nie! – odpowiadam natychmiast. – Oczywiście, że nie!

Nasza podróż trwa dopiero dziesięć miesięcy, a zaplanowaliśmy sobie, że nie będzie nas co najmniej rok. Poza tym oboje połknęliśmy bakcyła podróży. Staliśmy się wędrującymi nomadami, którzy nie obrastają mchem. Może już nigdy nie uda nam się wrócić do normalnego życia, tak jak żeglarzom, którzy nie potrafią żyć na lądzie.

Wkładam zaproszenie z powrotem do koperty i pociągam łyk soku. Ciekawe, co słyhać u mamy i taty. Z nimi także ostatnio rzadko się kontaktuję. Ciekawe, jak tacie poszło w turnieju golfowym.

A mały Ernie z pewnością już chodzi. Jestem jego „matką chrzestną, a jeszcze tego nie widziałam.

Nieważne. Zamiast tego zdobywam wspaniałe doświadczenia.

– Musimy się zastanowić nad dalszym etapem podróży – mówi Luke, odchylając się i opierając na łokciach. – Kiedy już skończymy kurs jogi. Wcześniej rozmawialiśmy o Malezji.

– Tak – mówię po chwili milczenia.

To pewnie przez ten upał, ale na myśl o Malezji jakoś nie jestem w stanie wykrzesać z siebie zbyt wiele entuzjazmu.

– A może wrócimy do Indonezji? Tym razem do części północnej?

– Mrara – odpowiadam niezobowiązująco. – O, patrz, małpa.

Nie mogę uwierzyć, że z taką obojętnością reaguję na widok małp. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam pawiany w Kenii, byłam tak podekscytowana, że wypstrykałam jakieś sześć klisz. A teraz tylko: „O, patrz, małpa”.

– A może do Nepalu... albo z powrotem do Tajlandii...

– Albo moglibyśmy wrócić. Cisza.

Bardzo dziwne. Wcale nie miałam zamiaru tego mówić. To przecież jasne, że jeszcze nie wracamy. Nie minął nawet rok!

Luke prostuje się i patrzy na mnie.

– Wrócić?

– Nie! – odpowiadam ze śmiechem. – Tylko żartowałam! – Waham się. – Chociaż...

Przez chwilę panuje cisza.

– Może... nie musimy podróżować przez cały rok – odzywam się ostrożnie. – Jeśli nie chcemy.

Luke przeczesuje dłonią włosy, a małe paciorki przy warkoczykach postukują o siebie.

– Jesteśmy gotowi do powrotu?

– Nie wiem. – Ogarnia mnie lekki niepokój. – Jak myślisz? Ledwie jestem w stanie uwierzyć, że w ogóle poruszamy temat powrotu do domu. No bo przecież spójrzcie tylko na nas! Moje włosy są przesuszone i rozjaśnione słońcem, mam na stopach malunki z henny, a porządnych butów nie nosiłam już od miesiący.

Widzę oczami wyobraźni, jak idę londyńską ulicą w płaszczu i pantoflach. Błyszczących szpilek od LK Bennetta. I z dopasowaną kolorystycznie torebką.

Nagle ogarnia mnie tak silna fala tęsknoty, że niemal chce mi się płakać.

– Chyba mam dość odległych zakątków świata. – Spoglądam na Luke'a. – Jestem gotowa na powrót do prawdziwego życia.

– Ja też. – Ujmuję moją dłoń i splata swoje palce z moimi. – Tak naprawdę to jestem gotowy już od jakiegoś czasu.

– Nic mi o tym nie mówiłeś! – Patrzę na niego ze zdumieniem.

– Nie chciałem ci psuć zabawy. Ale jak najbardziej jestem gotowy.

– I dalej byś podróżował... tylko dla mnie? – pytam wzruszona.

– No cóż, nie można tego nazwać jakimś szczególnym wyrzeczeniem. – Przygląda mi się cierpko. – Raczej nie koczujemy, prawda?

Moje policzki robią się lekko różowe. Kiedy rozpoczynaliśmy naszą podróż, oświadczyłam, że chcę, abyśmy byli prawdziwymi podróżnikami, tak jak w filmie *Niebiańska plaża*, i spali tylko w małych szałasach.

To było, zanim spędziłam noc w małym szałasie.

– Kiedy więc mówimy „powrót”... – Luke robi pauzę – ... mamy na myśli Londyn?

Patrzy na mnie pytająco.

O Boże! Oto nadszedł czas na podjęcie decyzji.

Przez dziesięć miesięcy rozmawialiśmy o tym, gdzie powinniśmy osiąść po powrocie z podróży poślubnej. Wcześniej Luke i ja mieszkaliśmy w Nowym Jorku i bardzo mi się tam podobało. Ale trochę też wtedy tęskniłam za domem. A teraz firma Luke'a planuje ekspansję w Europie i dlatego jest taki podekscytowany. Wolałby więc wrócić do Londynu – przynajmniej na jakiś czas.

Mnie to odpowiada... tyle że nie będę miała pracy. Przed ślubem pracowałam jako osobista asystentka klientek w Barneys, w Nowym Jorku. Uwielbiałam tę pracę.

Ale mniejsza o to. Poszukam sobie czegoś nowego. Może nawet lepszego!

– Londyn – odpowiadam zdecydowanie i podnoszę wzrok. – Więc... uda nam się zdążyć na chrzest maluchów?

– Jeśli tylko chcesz.

Luke uśmiecha się, a mnie ogarnia fala radosnego podniecenia. Jedziemy na chrzciny! Znowu zobaczę Zuzę! I mamę, i tatę! Po niemal roku! Tak się ucieszą na nasz widok. Będziemy mieli tyle do opowiedzenia!

Wyobrażam sobie, jak bryluję na proszonych kolacjach, a wokół mnie gromadzą się znajomi i przyjaciele, słuchając z przejęciem opowieści o dalekich krajach i egzotycznych przygodach. Będę niczym Marco Polo lub ktoś w tym rodzaju! Następnie otworzę kufer i zademonstruję rzadkie i cenne skarby... wszyscy westchną z podziwem...

– Lepiej ich zawiadommy – oświadcza Luke, wstając z ziemi.

– Nie, zaczekaj. – Chwytam go za spodnie. – Mam pomysł. Zróbmy im niespodziankę! Zaskoczmy wszystkich!

– Zaskoczmy? – Wyraźnie ma wątpliwości. – Becky, jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Wspaniały! Wszyscy uwielbiają niespodzianki!

– Ale...

– Wszyscy uwielbiają niespodzianki – powtarzam pewnym siebie głosem. – Zaufaj mi.

Wracamy do hotelu przez ogrody – na myśl o wyjeździe czuję jednak małe ukłucie żalu. Tutaj jest tak pięknie. Wszędzie stoją bungalowy z drewna tekowego, fruują niezwykle ptaki, a idąc w dół strumienia, dociera się do prawdziwego wodospadu! Przechodzimy obok warsztatu rzeźbiarskiego, gdzie można oglądać rękodzielników przy pracy. Zatrzymuję się na chwilę i wdycham cudowny zapach drewna.

– Pani Brandon! – Przy wejściu pojawia się właściciel warsztatu, Vijay.

Do diaska! Że też musiałam się na niego natknąć!

– Przepraszam, Vijay! – mówię natychmiast. – Trochę się spieszę. Zajrzę do ciebie później... Chodź, Luke!

– Żaden problem! – Mężczyzna uśmiecha się promiennie i wyciera ręce w fartuch. – Chciałem tylko powiedzieć, że stół jest już gotowy.

Cholera.

Luke powoli odwraca się do mnie.

– Stół? – pyta.

– Stół do jadalni – wyjaśnia radośnie Vijay. – I dziesięć krzeseł. Pokażę państwu!

Pstryka palcami i wywrzaskuje kilka poleceń. Ku memu przerażeniu ze środka wychodzi ośmiu mężczyzn, niosąc na ramionach wielki rzeźbiony stół z drewna tekowego.

Kurczę blade. Jest ciut większy, niż go zapamiętałam.

Na twarzy Luke'a maluje się osłupienie.

– Przynieście krzesła! – nakazuje Vijay. – Ustawcie je porządnie!

– Śliczny, prawda? – pytam radośnie.

– Zamówiłaś stół i dziesięć krzesel... nie mówiąc mi o tym? – pyta Luke, wybałuszając oczy na wynoszone z warsztatu krzesła.

No dobra. Nie mam w tym przypadku zbyt wielkiego wyboru.

– To... mój ślubny prezent dla ciebie! – oznajmiam, doznając nagłego olśnienia. – Niespodzianka! Wszystkiego najlepszego z okazji ślubu, kochanie! – Składam na jego policzku pocałunek i uśmiecham się z nadzieją.

– Becky, ty już mi dałaś ślubny prezent – odpowiada, krzyżując ramiona. – Zresztą ślub wzięliśmy już dość dawno temu.

– Ja... czekałam na właściwy moment! – Zniżam głos, tak by Vijay mnie nie słyszał. – Wiesz, to naprawdę nie jest aż takie drogie...

– Becky, nie chodzi o pieniądze, ale o przestrzeń! Ten stół to prawdziwe monstrum!

– Wcale nie jest taki duży. A poza tym – dodaję szybko, nie dopuszczając go do głosu – potrzebny jest nam porządny stół! Każde małżeństwo potrzebuje takiego stołu. – Rozkładam szeroko ramiona. – Czymże jest małżeństwo, jeśli nie siadaniem na koniec dnia przy stole i dzieleniem się problemami? Czymże jest małżeństwo, jeśli nie wspólnym siedzeniem przy porządnym drewnianym stole i... i posilaniem się pożywnym gulaszem?

– Pożywnym gulaszem? – powtarza Luke. – A kto będzie gotował ten pożywny gulasz, jeśli wolno spytać?

– Możemy go kupować w Waitrose – wyjaśniam. Podchodzą do stołu i patrzę z powagą na Luke'a.

– Dobrze się zastanów. Już nigdy nie będziemy na Sri Lance i nigdy nie złożymy zamówienia autentycznym tutejszym rękodzielnikom. To naprawdę wyjątkowa okazja. No, a poza tym ten stół jest podpisany!

Wskazuję na bok stołu. A tam, w otoczeniu kwiatków, widnieją przepięknie wyrzeźbione słowa: „Luke i Rebeka, Sri Lanka, 2003”.

Luke przejeżdża dłonią po blacie. Sprawdza, jak ciężkie jest krzesło. Widzę, że mięknie. Wtem podnosi głowę, marszcząc czoło.

– Becky, czy kupiłaś coś jeszcze, o czym mi nie powiedziałaś?

Mój żołądek fika nerwowego koziołka. Staram się opanować, udając, że uważnie się przyglądam jednemu z rzeźbionych kwiatów.

– Oczywiście, że nie! – odpowiadam wreszcie. – Chyba że... no wiesz, może jedynie jakaś mała pamiątka tu i tam.

– Na przykład co?

– Nie pamiętam! – wykrzykuję. – To przecież dziesięć miesięcy, na litość boską! – Ponownie odwracam się do stołu. – Daj spokój, Luke. Jestem pewna, że ci się podoba.

Możemy urządzać fantastyczne przyjęcia... no i to będzie nasza pamiątka rodzinna! Możemy ją przekazać dzieciom...

Nagle zakłopotana, urywam. Przez chwilę nie jestem w stanie spojrzeć Luke'owi w oczy.

Kilka miesięcy temu przeprowadziliśmy długą, poważną rozmowę i wspólnie zdecydowaliśmy, że chcielibyśmy się zacząć starać o dziecko. Ale jak na razie... nie wychodzi.

To jeszcze wcale nie koniec świata. Uda nam się. Oczywiście, że się uda.

– No dobrze – ustępuje Luke, a jego głos nieco łagodnieje. – Przekonałaś mnie. – Poklepuje stół, po czym zerka na zegarek. – Wyślą emaila do biura. Napiszę im o zmianie planu. – Posyła mi lekko kpiące spojrzenie. – Chyba nie myślałaś, że otworzą drzwi do sali konferencyjnej i zawołam: „Niespodzianka, wróciłem!”

– Oczywiście, że nie! – ripostuję i na chwilę zamiera mi serce.

Szczerze mówiąc, tak to sobie właśnie wyobrażałam. Tyle że ja też tam bym wtedy z nim była – z butelką szampana.

– Nie jestem taka głupia – dodaję z miażdżącą pogardą w głosie.

– Świetnie. – Uśmiecha się do mnie szeroko. – Zaraz wrócę, a ty może zamówisz sobie w tym czasie coś do picia, dobrze?

Kiedy siedzę przy stoliku na zacienionym tarasie, próbuję sobie przypomnieć wszystkie rzeczy, które kupiłam i wysłałam do domu bez informowania o tym Luke'a.

To znaczy wcale mnie nie obleciał strach ani nic z tych rzeczy. Przecież nie nakupowałam zbyt wiele. Na pewno?

O Boże! Zamykam oczy, usiłując sobie przypomnieć wszystkie zakupy.

Drewniane żyrafy w Malawi. Te, o których Luke powiedział, że są za duże. Przecież to absurd! Będą wyglądać odjazdowo! Wszyscy je będą podziwiać!

No i te wspaniałe płótna batikowe na Bali. Naprawdę chciałam mu o nich powiedzieć... ale jakoś nigdy nie było stosownej okazji.

1 dwadzieścia szlafroków z chińskiego jedwabiu.

W porządku, może się wydawać, że dwadzieścia to dużo. Ale to naprawdę była wyjątkowa okazja! Luke nie mógł po prostu zrozumieć, że jeśli teraz kupimy dwadzieścia, wystarczą nam do końca życia i okażą się prawdziwą inwestycją. Jak na kogoś, kto pracuje w finansowym sektorze PR, czasem naprawdę nic nie kuma.

Wymknęłam się więc z powrotem do sklepu i jednak je kupiłam, no i wysłałam do domu.

Prawda jest taka, że dzięki firmom wysyłkowym wszystko staje się proste. Nie trzeba niczego ze sobą taszczyć – pokazuje się tylko palcem i już. „Proszę wysłać to. I to. I to”. Daje się tylko kartę i prosić bardzo. Luke nie musi tego w ogóle widzieć...

Może powinnam prowadzić spis.

Nieważne, wszystko w porządku. Jestem tego pewna.

A poza tym przyda się nam kilka pamiątek, prawda? Jaki jest sens jeździć po świecie i wracać z pustymi rękami? No właśnie.

Widzę, jak przez taras przechodzi Chandra. Macham do niego przyjaźnie.

– Świetnie sobie dzisiaj radziłaś, Becky! – mówi, podchodząc do stolika. – Chciałbym ci

w związku z tym coś zaproponować. Za dwa tygodnie rozpoczynam kurs zaawansowanej medytacji. Uczestniczą w nim głównie mnisi i długoletni jogini... ale czuję, że jesteś wystarczająco zaangażowana, by do nas dołączyć. Interesowałoby cię coś takiego?

– Oczywiście! – Robię pełną żalu minę. – Ale nie mogę. Luke i ja wracamy do domu!

– Do domu? – pyta ze zdumieniem Chandra. – Ale... ale tak świetnie sobie radzisz. Chyba nie porzucisz teraz ścieżki jogi?

– O nie – odpowiadam uspokajająco. – Proszę się nie martwić. Kupię sobie kasetę.

Kiedy Chandra odchodzi, wygląda na lekko oszołomionego. Tak właściwie wcale mnie to nie dziwi. Pewnie nie miał pojęcia, że można kupić kasety z jogą. I dam sobie uciąć rękę, że nie słyszał o Geri Halliwell.

Pojawia się kelner. Zamawiam koktajl z mango i papai, co w menu nosi nazwę Nektaru Szczęścia. No cóż, pasuje jak ulał. Oto jestem na słonecznej wyspie podczas podróży poślubnej i wkrótce znowu zobaczę tych, których kocham. Wszystko układa się doskonale!

Podnoszę głowę i widzę, że do stolika zbliża się Luke, trzymając w dłoni paimtop. Czy to moja wyobraźnia, czy też rzeczywiście idzie szybszym niż zwykle krokiem i wygląda na wyjątkowo ożywionego?

– Załatwione – mówi. – Rozmawiałem z biurem.

– Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. – Przepelnia go z trudem powstrzymana energia. – Wszystko idzie doskonale. Prawdą mówiąc, chcę się umówić na kilka spotkań pod koniec tego tygodnia.

– To szybko! – mówię ze zdumieniem.

O rety! Wcześniej sądziłam, że co najmniej tydzień zabierze nam ogólne pozbieranie się do kupy.

– Ale wiem, ile dla ciebie znaczą te zajęcia jogi – dodaje. – Proponuję więc, abyś tu została i je kontynuowała, a dołączysz do mnie później... i wtedy razem wrócimy do Londynu.

– Gdzie więc masz te spotkania? – pytam zdezorientowana.

– We Włoszech.

Pojawia się kelner z moim Nektarem Szczęścia, a Luke zamawia dla siebie piwo.

– Ale ja nie chcę się z tobą rozstawać! – mówię, gdy tylko oddała się kelner. – To nasza podróż poślubna!

– Spędziliśmy razem dobre dziesięć miesięcy... – zauważa łagodnie Luke.

– Wiem. Ale mimo to... – Przełykam ze smutkiem łyk Nektaru Szczęścia. – A gdzie konkretnie we Włoszech?

– W żadnym ciekawym miejscu – odpowiada po chwili milczenia. – To jakieś... miasto na północy. Bardzo nudne. Lepiej tu zostać i cieszyć się słońcem.

– No cóż... – Rozglądam się i czuję się rozdarta. Tu rzeczywiście jest przepięknie. – Jak się nazywa to miasto?

Cisza.

– Mediolan – odpowiada wreszcie z niechęcią Luke.

– Mediolan? – Z podekscytowania niemal spadam z krzesła. – Jedziesz do Mediolanu?

Nigdy nie byłam w Mediolanie! Bardzo chciałabym tam pojechać!

– Coś ty! – Luke’owi udaje się zachować kamienną twarz. – Poważnie?

– Tak! Jak najbardziej! Chcę jechać!

Jak mógł pomyśleć, że nie chciałabym jechać do Mediolanu? Od zawsze o tym marzyłam!

– No dobrze. – Potrząsa z żalem głową. – Chyba oszalałem, ale zgadzam się.

Uszczęśliwiona, opieram się na krześle i pociągam wielki łyk Nektaru Szczęścia. Ta podróż poślubna coraz bardziej mi się podoba!

Nie mogę uwierzyć, że Luke chciał tam jechać beze mnie. Jak coś takiego mogło mu w ogóle przejść przez myśl? Urodziłam się po to, by pojechać do Mediolanu.

Nie. Nie do Mediolanu. Do *Milano*.

Właściwie to na dobrą sprawę nie widziałam jeszcze miasta – tyle, co przez okno w taksówce i hotelowym pokoju – ale dla takiej podróżniczki jak ja nie ma to w zasadzie znaczenia. Od razu można wyczuć atmosferę danego miejsca – tak jak to robią buszmeni. Gdy tylko rozejrzałam się po hotelowym foyer i dostrzegłam te wszystkie eleganckie kobiety w ciuchach od Prądy i D&G, które cmokają się na powitanie i jednocześnie piją espresso, palą papierosy i poprawiają lśniące włosy, wrodzony instynkt mi podpowiedział: oto miasto wprost stworzone dla mnie.

Piję zamówione do pokoju cappuccino i zerkam na moje odbicie w lustrze w szafie. Muszę przyznać, że wyglądam jak rodowita Włoszka! Potrzeba mi tylko spodni capri i ciemnego eyelinera. Przydałby się też jeszcze może skuter. Najlepiej vespa.

– *Ciao* – mówię swobodnie i odrzucam do tyłu włosy. – *Si. Ciao*.

Jak nic mogłabym uchodzić za Włoszkę. Tyle że może warto by się nauczyć kilku słów więcej.

– *Si* – kiwam głową do swego odbicia. – *Si. Milano*.

Może poćwiczę sobie, czytając gazetę. Otwieram bezpłatny egzemplarz „Corriere della Sera”, który przyniesiono nam razem ze śniadaniem, i zaczynam przeglądać artykuły. Wcale tak źle mi nie idzie! Pierwszy artykuł jest o prezydencie myjącym pianino. A przynajmniej... jestem przekonana, że to właśnie oznaczają słowa *presidente* i *lavoro pieno*.

– Wiesz, Luke, naprawdę mogłabym zamieszkać we Włoszech – oświadczam, kiedy wychodzi z łazienki. – To idealny kraj. Mają tu wszystko! Cappuccino... pyszne jedzonko... ludzie są tacy eleganccy... można kupić ciuchy od Gucciego znacznie taniej niż u nas...

– No i jeszcze sztuka – dodaje Luke z kamienną twarzą. Boże, on czasami bywa naprawdę irytujący.

– Oczywiście, sztuka także – odpowiadam, przewracając oczami. – To się rozumie samo przez się.

Przerzucam stronę „Corriere della Sera” i szybko omiatam spojrzeniem nagłówki. Nagle coś mi klika w głowie.

Odkładam gazetę i ponownie podnoszę wzrok na Luke’a.

Co mu się stało?

Patrzę na Luke’a Brandona, którego znałam kiedyś, gdy pracowałam w gazecie poświęconej finansom. Jest starannie ogolony i ma na sobie elegancki garnitur, jasnozieloną koszulę i ciemnozielony krawat. Całości dopełniają porządne buty i oczywiście skarpetki. Kolczyk znikł. Bransoletka znikła. Jedyłą pozostałością po naszych podróżach są włosy, które nadal ma splecione w malutkie warkoczki.

Ogarnia mnie naprawdę wielki niepokój. Podobał mi się taki, jaki był wcześniej –

swobodny i niefrasobliwy.

– Ale... ale jesteś elegancki! – mówię. – Gdzie masz bransoletkę?

– W walizce.

– Ale ta kobieta w Masai Mara powiedziała, że nigdy ich nie możemy zdejmować! – wołam z niedowierzaniem. – Odmówiła specjalne modlitwy Masajów!

– Becky... – wzdycha Luke. – Nie mogę iść na spotkanie z kawałkiem starego sznurka owiniętym wokół nadgarstka.

Kawałek starego sznurka? To święta bransoletka i on o tym doskonale wie.

– Masz nadal warkoczyki! – ripostuję. – Skoro możesz nosić warkoczyki, to możesz mieć i bransoletkę!

– Ale ja ich tak nie zostawię! – Śmieje się. – Umówiłem się z fryzjerem na obcięcie włosów za... – zerka na zegarek – dziesięć minut.

Obcięcie włosów?

To wszystko dzieje się zbyt szybko. Czuję wręcz fizyczny ból na myśl o obcinanych i opadających na podłogę rozjaśnionych słońcem włosach Luke'a.

– Proszę, nie rób tego – mówię, nie mogąc się powstrzymać. – Nie możesz.

– Co ci się stało? – Odwraca się i spogląda na mnie uważnie. – Becky, wszystko w porządku?

Nie. Nie w porządku. Ale nie wiem, dlaczego.

– Nie możesz obciąć włosów! – wołam z rozpaczą. – Wtedy to już naprawdę będzie koniec!

– Skarbie... to już koniec. – Podchodzi do mnie, ujmuję moją dłoń i patrzy mi w oczy. – Wiesz o tym, prawda? To koniec. Jedziemy do domu. Wracamy do prawdziwego życia.

– Wiem! – odpowiadam po chwili milczenia. – Ja tylko... naprawdę podobaś mi się z długimi włosami.

– Nie mogę tak iść na służbowe spotkanie. – Luke potrząsa głową, a koraliki stukają o siebie. – Wiesz to równie dobrze jak ja.

– Ale nie musisz ich przecież obcinać! – mówię, wpadając nagle na pewien pomysł. – Wiciu Włochów nosi długie włosy. Rozpleciemy jedynie warkoczyki...

– Becky...

– Zaraz to zrobię! Rozplotę ci je! Siadaj.

Popycham go na łóżko i ostrożnie usuwam kilka małych koralików, a potem zaczynam rozplatać włosy. Gdy się przysuwam bliżej, wyczuwam zapach drogiej wody toaletowej Armaniego, którą Luke zawsze się spryskuje do pracy. Nie używał jej od dnia naszego ślubu.

Przesuwam się na łóżku i ostrożnie zaczynam rozplatać warkoczyki z drugiej strony. Oboje milczymy; w pokoju słychać jedynie ciche stukanie koralików. Kiedy zdejmuję ostatni, w gardle czuję gulę. To jest doprawdy absurdalne.

Przecież podróż poślubna nie może trwać wiecznie, prawda? I nie mogę się wprost doczekać, kiedy znowu zobaczę mamę i tatę, i Zuzę i wrócę do prawdziwego życia...

A jednak żałuję. Ostatnie dziesięć miesięcy spędziłam z Lukiem. Rozstawaliśmy się najwyżej na kilka godzin. A teraz to wszystko się kończy.

Mniejsza o to. Wszystko będzie dobrze. Wpadnę w wir zajęć... nowa praca... i spotkania z przyjaciółmi...

– Gotowe!

Sięgam po serum, nakładam odrobinę na włosy i ostrożnie je rozczesuję. Są lekko faliste – ale to nic nie szkodzi. Wygląda po europejsku.

– Widzisz? – mówię triumfalnie. – Wyglądasz fantastycznie!

Luke przegląda się z powątpiewaniem w lustrze. Przez jedną okropną chwilę myślę, iż powie, że jednak pójdzie do fryzjera. Ale wtedy się uśmiecha.

– No dobrze. Egzekucja wstrzymana. Ale prędzej czy później i tak trzeba będzie je obciąć.

– Wiem – odpowiadam i nagle znowu robi mi się lekko na duszy. – Ale nie dzisiaj.

Przyglądam się, jak zbiera jakieś dokumenty i wkłada je do teczki.

– No więc... po co konkretnie przyjechałeś do Mediolanu? Luke mówił mi już o tym podczas lotu z Kolombo – ale w samolocie przez cały czas serwowali darmowego szampana i nic jestem pewna, czy wszystko dobrze zrozumiałam.

– Chcemy pozyskać nowego klienta. Arcodas Group.

– Jasne. Teraz już sobie przypominam.

Firma Luke'a nazywa się Brandon Communications. Jest to agencja PR, reprezentująca instytucje finansowe, takie jak banki, towarzystwa budowlane i domy inwestycyjne. To właśnie dzięki niej się poznaliśmy, kiedy pracowałam jako dziennikarka w magazynie „Korzystne Lokaty”.

– Chcemy wyjść poza sektor finansowy. – Luke zatrząskuje teczkę. – To potężna korporacja, zajmująca się wieloma różnymi dziedzinami. Mają własnych deweloperów... centra rozrywki... centra handlowe...

– Centra handlowe? – Podnoszę głowę. – Masz tam zniżkę?

– Jeśli dostaniemy ten kontrakt... może.

A niech mnie, to naprawdę super. Może firma Luke'a rozszerzy działalność na sektor mody! Może zamiast starych głupich banków zaczniesz reprezentować Dolce & Gabbana!

– Mają więc jakieś centra handlowe w Mediolanie? – pytam z nadzieją w głosie. – Mogłabym tam pójść i zrobić rozeznanie.

– Nie, w Mediolanie nie. Przyjechali tutaj na konferencję poświęconą sprzedaży detalicznej. – Luke odstawia teczkę i obrzuca mnie przeciągłym spojrzeniem.

– No co? – pytam.

– Becky... wiem, że to Mediolan. Ale proszę cię, nie daj się dzisiaj ponieść szaleństwu.

– Poneść szaleństwu? – Jestem lekko urażona. – Co masz na myśli?

– Wiem, że zamierzasz udać się na zakupy...

A skąd on to może wiedzieć? Ależ ma tupet! Czy w ogóle nie przyszło mu do głowy, że zamiast tego chcę pooglądać sobie sławne zabytki albo coś w tym rodzaju?

– Nie idę na zakupy! – odpowiadam wyniośle. – O centrach handlowych wspomniałam tylko dlatego, by okazać zainteresowanie twoją pracą.

– Rozumiem. – Posyła mi zagadkowe spojrzenie, które niesamowicie mnie irytuje. – Tak

naprawdę to przyjechałam do Mediolanu z pobudek kulturalnych. – Unoszę podbródek. – I dlatego, że jeszcze nigdy nie byłam w tym mieście.

– Aha. – Kiwa głową. – I na pewno nawet nie zamierzałaś zajrzeć do butików z markowymi ciuchami.

– Luke – mówię grzecznie. – Jestem zawodową osobistą asystentką klientek. Naprawdę sądzisz, że rajcuje mnie kilka butików z ciuchami od znanych projektantów?

– Szczerze mówiąc, tak.

Zalewa mnie fala oburzenia. Czy sobie wzajemnie nie przysięgaliśmy? Czy nie obiecał, że będzie mnie szanował i nigdy nie zwątpi w moje słowa?

– Sądzisz, że przyjechałam tu tylko po zakupy? Proszę bardzo, weź to sobie! – Sięgam po torebkę, wyjmuję portfel i rzucam nim w niego.

– Becky, nie bądź niemądra...

– Weź go! Chcę jedynie pospacerować po mieście!

– W takim razie dobrze. – Luke wzrusza ramionami i chowa portfel do kieszeni.

Do diaska! Nie sądziłam, że rzeczywiście to zrobi. Ale to i tak jest bez znaczenia. W torbie mam schowaną jeszcze jedną kartę kredytową, o której on nie wie.

– Świetnie – mówię, krzyżując ramiona. – Weź sobie moje pieniądze. Nic mnie to nie obchodzi!

– Jestem pewny, że sobie poradzisz. Zawsze możesz skorzystać z karty, którą masz schowaną w torebce.

Że co?

Skąd o niej wie? Siedzi mnie?

To jak nic może być podstawą do rozwodu.

– Proszę bardzo! – mówię ze złością, sięgając po torebkę. – Bierz wszystko! Zedrzyj ze mnie ostatnią koszulę! – Rzucam w niego kartą kredytową. – Myślisz, że mnie znasz, Luke, ale tak nie jest. Chcę tylko trochę nasiąknąć kulturą i może zakupić jakąś niewielką pamiątkę albo przedmiot miejscowej kultury materialnej.

– Przedmiot miejscowej kultury materialnej? – powtarza Luke. – Czy „przedmiotem miejscowej kultury materialnej” są dla ciebie „buty Versacego”?

– Nie! – odpowiadam po krótkiej chwili milczenia. Powiedziałam prawdę.

Częściową.

Myślałam raczej o Miu Miu. Podobno tutaj jest naprawdę tanio!

– Posłuchaj, Becky, po prostu nie przesadz, dobrze? Musimy się trzymać limitów bagażowych. – Patrzy znacząco na pootwierane walizki. – Co razem z plemienną maską z Ameryki Południowej i laską voodoo... och, i nie zapominajmy o szablach do tańca ceremonialnego...

Ile jeszcze razy będzie mi wypominał te szable? Tylko dlatego, że podarły mu głupią koszulę.

– Powtarzam ci po raz tysięczny, to są prezenty! Nie mogliśmy ich wysłać. Musimy mieć je przy sobie, kiedy przyjedziemy, w przeciwnym wypadku nie będziemy wyglądać jak prawdziwi podróżnicy!

– Zgoda. Chodzi mi jedynie o to, że nie mamy miejsca w walizkach na plemienne maski i sześć dodatkowych par butów.

Och, myśli, że jest taki zabawny.

– Luke, ja już taka nie jestem – oświadczam lodowato. – Dorosłam. Sądziłam, że to zauważyłeś.

– Skoro tak twierdzisz. – Podnosi kartę kredytową, uważnie jej się przygląda, po czym mi ją oddaje. – I tak masz na niej już tylko jakieś dwieście funtów.

Co takiego?

– A skąd ty to wiesz? – pytam z wściekłością. – To moja prywatna karta!

– W takim razie nie chowaj wyciągu z konta pod materacem. Znalazła go pokojówka na Sri Lance, kiedy słała łóżko, i niezwłocznie mi oddała. – Całuje mnie i bierze do ręki teczkę. – Miłego zwiedzania!

Kiedy zamykają się za nim drzwi, jestem zdegustowana. Jak mało mnie zna własny mąż. Nie wie, że zamierzałam kupić mu dzisiaj prezent. Kilka lat temu, kiedy się poznaliśmy, Luke miał pasek z doskonałej włoskiej skóry, który naprawdę uwielbiał. Ale pewnego dnia zostawił go w łazience, gdzie został zniszczony przez gorący wosk do nóg.

To nic była tylko i wyłącznie moja wina. Wyjaśniłam, że kiedy się cierpi katusze, to się nie myśli: „Co byłoby najlepsze do zdrapania z łydek parzącego wosku?” Chwyta się po prostu to, co leży najbliżej.

Ale mniejsza o to. No więc postanowiłam kupić mu dzisiaj nowy pasek. Taki mały prezent na zakończenie podróży poślubnej. Ale może jednak na niego nie zasługuje, skoro zamierza mnie śledzić i czytać wyciągi z mojej prywatnej karty kredytowej. Cóż za tupet! Czyja czytam jego prywatne listy?

Właściwie to tak. Niektóre są naprawdę ciekawe! Ale chodzi o to...

O mój Boże! Zamieram, kiedy w mojej głowie pojawia się straszna myśl. Czy to znaczy, że wiedział, ile pieniędzy wydałam w Hongkongu, kiedy on poszedł sobie obejrzeć budynek giełdy?

Cholera.

I nie wspomniał o tym ani słowem. No dobrze, może jednak zasługuje na prezent.

Przelykam łyk cappuccino. W każdym razie ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Luke myśli sobie, że jest taki sprytny, ale nie wie, że opracowałam w tajemnicy genialny plan.

Pół godziny później schodzę do recepcji, ubrana w obcisłe czarne spodnie (nie capri, ale prawie), prążkowany T-shirt, a na szyi mam zawiązaną po europejsku apaszkę. Udaję się prosto do okienka w kantorze wymiany walut i uśmiecham się promiennie do siedzącej za szybą kobiety.

– *Ciao!* – mówię pogodnie.

Urywam.

To trochę deprymujące. Wcześniej myślałam, że jeśli zacznę wystarczająco pewnie, pomagając sobie gestami, język włoski wypłynie z moich ust tak jakoś naturalnie.

– Chciałabym dokonać wymiany na euro – mówię, decydując się jednak na angielski.

– Proszę bardzo. – Uśmiecha się. – Jaka waluta?

– Waluty. – Sięgam do torby i triumfująco wyjmuję z niej zwitek pogniecionych banknotów. – Rupie, drachmy, malezyjskie ringgity... – Kładę banknoty na ladzie i sięgam po więcej. – Dolary kenijskie... – Zerkam na dziwny, różowy banknot, którego nie rozpoznaję. – Cokolwiek by to było...

To niesamowite, jak dużo pieniędzy nosiłam przy sobie, nawet o tym nie wiedząc! Na przykład w kosmetyczce miałam mnóstwo rupii, a pomiędzy stronami książek cały zwitek etiopskich birr. A poza tym wiele banknotów i monet leżało sobie grzecznie na dnie torby.

No, a najważniejsze, że to darmowe pieniądze! Pieniądze, które już mieliśmy.

Przyglądam się, podekscytowana, jak kasjerka układa je na kupki.

– Ma pani siedemnaście różnych walut – mówi wreszcie, wyglądając na lekko oszołomioną.

– Byliśmy w wielu krajach – wyjaśniam. – No więc ile jest to wszystko warte?

Gdy wystukuje po kolei liczby na niewielkim komputerze, czuję dreszczyk emocji. Może kursy niektórych walut nieoczekiwanie podskoczyły. Może dostanę za to mnóstwo kasy!

Wtedy ogarnia mnie poczucie winy. To są przecież także pieniądze Luke'a. Postanawiam, że jeśli dostanę za to więcej niż sto euro, oddam mu połowę. Tak będzie sprawiedliwie. A i tak zostanie mi pięćdziesiąt! Nieźle, zwłaszcza że te pieniądze są absolutnie za nic!

– Po potrąceniu prowizji... – Kobieta podnosi głowę. – Siedem czterdzieści pięć.

– Siedemset czterdzieści pięć euro?

Wpatruję się w nią z pełną zdumienia radością. Nie miałam pojęcia, że noszę przy sobie aż tyle pieniędzy! A jednak ludzie, którzy mówią: „Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka”, mają rację! I kto by pomyślał?

Będę mogła za to kupić Luke'owi prezent i buty Miu Miu, i jeszcze...

– Nie siedemset czterdzieści pięć. – Kasjerka pokazuje mi paragon. – Siedem euro i czterdzieści pięć centów.

– Słucham? – Z mojej twarzy znika radosny uśmiech. To nie może być prawda.

– Siedem euro i czterdzieści pięć centów – powtarza cierpliwie kobieta. – Woli pani w banknotach czy bilonie?

Siedem żalonych euro? Kiedy wychodzę z hotelu, jestem naprawdę wkurzona. Jak to możliwe, że taka ilość prawdziwych pieniędzy jest warta jedynie siedem euro? To się nie trzyma kupy. Jak powiedziałam kasjerce, za te rupie w Indiach można kupić naprawdę dużo. Pewnie samochód... albo nawet pałac. Ale na niej nie zrobiło to wrażenia. I jeszcze oświadczyła, że policzyła mi to wszystko po wyjątkowo korzystnym kursie.

Tak czy inaczej lepiej mieć chyba siedem euro niż nic. Może u Miu Miu będzie 99, 9-procentowa obniżka albo inne wyjątkowe okazje.

Wychodzę na ulicę i uważnie studiuję mapę, którą dał mi hotelowy *concierge*. To taki uczynny człowiek! Wyjaśniłam mu, że chciałabym poznać kulturalną część Mediolanu, więc zaczął mi opowiadać o jakimś obrazie i Leonardzie da Vinci. No więc uprzejmie wytłumaczyłam, że bardziej interesuje mnie współczesna kultura Włoch, a wtedy zaczął nawijać o jakimś artyście, który kręci krótkie filmy o śmierci.

Sprecyzowałam więc, że przez „współczesną kulturę Włoch” rozumiem ikony kultury,

takie jak Prada i Gucci – a w jego oczach pojawił się wreszcie błysk zrozumienia. Zaznaczył mi na mapie ulicę na obszarze zwanym Złotym Czworobokiem, podobno „pełną kultury, która na pewno przypadnie mi do gustu”.

Jest pogodnie i delikatnie wieje wietrzyk, promienie słońca odbijają się od szyb i samochodów, a wokół śmigają skutery Vespa. Rany, Mediolan jest super. Każda mijana przeze mnie osoba nosi markowe okulary przeciwsłoneczne i markową torebkę – nawet faceci!

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie kupić Luke’owi saszetki zamiast paska. Próbuję sobie wyobrazić, jak wchodzi do biura, a z nadgarstka zwisa mu szykowna, niewielka saszetka...

Hm. Może lepiej pozostanę przy pasku.

Nagle dostrzegam przed sobą dziewczynę, która ma na sobie kremowe spodnium, sandaalki z paseczków na wysokim obcasie i różowy kask od skutera z wykończeniami w lamparcie cętki.

Wpatruję się w nią, ogarnięta wszechwładnym pożądaniami. Jejku, ja też chcę taki kask. To znaczy wiem, że nie mam vespy – ale mogłabym przecież nosić sam kask, no nie? To by mnie wyróżniało z tłumu. Ludzie nazywaliby mnie Dziewczyną w Kasku Vespy. A poza tym chroniłby mnie przed bandytami, więc w gruncie rzeczy nosiłabym go ze względów bezpieczeństwa...

Może zapytam, gdzie go kupiła.

– *Excusemoi, mademoiselle!* – wołam, będąc pod wrażeniem nagłej płynności mojej mowy. – *J’adore votre chapeau!*

Dziewczyna obrzuca mnie obojętnym spojrzeniem, po czym znika za rogiem. Myślę, że zachowała się niezbyt ładnie. Ja się staram i mówię do niej w jej jęz...

Och. No tak.

Okej, przyznaję, że jest mi trochę głupio.

Nieważne. W końcu nie przyjechałam tutaj, by kupić kask, tylko prezent dla Luke’a. O to przecież chodzi w małżeństwie – najpierw myśleć o partnerze. Na pierwszym miejscu stawiać jego potrzeby.

No, a poza tym zawsze mogę przylecieć na jeden dzień do Mediolanu. Z Londynu to przecież rzut beretem, prawda? Mogłaby mi towarzyszyć Zuza – myślę z nagłym zachwytem. Kurczę, byłoby super. Oczami wyobraźni widzę, jak idziemy ramię w ramię ulicą, machamy torebkami i śmiejemy się beztrąsko. Dziewczęcy wypad do Mediolanu! To jest to!

Dochodzę do następnej przecznicy i zatrzymuję się, by zerknąć na mapę. Powinnam być już niedaleko. Ten człowiek mówił, że to dość blisko od hotelu...

I właśnie wtedy mijają mnie kobieta niosąca firmową reklamówkę Versacego, a ja zamierzam z podekscytowania. Wyraźnie zbliżam się do źródła! To tak jak wtedy, gdy oglądaliśmy wulkan w Peru, a przewodnik pokazywał nam znaki, świadczące, że zbliżamy się do krateru. Jeśli się będę uważnie rozglądać za kolejnymi reklamówkami Versacego...

Idę kawałek dalej – i oto następna! Ma ją kobieta w zasłaniających pół twarzy okularach przeciwsłonecznych, która pije cappuccino, a oprócz niej ma jakiś miliard reklamówek z logo

Armaniego. Pokazuje coś gestem przyjaciółce i sięga do jednej z toreb – wyjmuje z niej słoik dżemu z nalepką Armaniego.

Przypatruję się temu z autentycznym niedowierzaniem. Dżem Armaniego? To Armani robi coś takiego?

Może w Mediolanie wszystko jest markowe? Może Dolce & Gabbana produkują pastę do zębów! A Prada keczup!

Wiedziałam, że to miasto mi się spodoba.

Ruszam dalej. Idę coraz szybciej, podekscytowana do granic możliwości. Wyczuwam w powietrzu bliskość sklepów. ^ Dosłownie roi się od markowych reklamówek. Wokół unosi się zapach pieniędzy. Bez mała słyszę odgłos przesuwanych wieszaków na stojakach i zapinanych zamków błyskawicznych...

I oto jest!

Przede mną rozciąga się długi, elegancki bulwar, na którym kłębi się tłum najbardziej szykownych ludzi na ziemi, ubranych w markowe ciuchy. Opalone, wyglądające jak modelki dziewczyny w ciuchach od Pucciego i w szpilkach przechadzają się wolnym krokiem w towarzystwie mężczyzn w doskonale skrojonych lnianych garniturach. Dziewczyna w białych dżinsach Yersacego i z czerwoną szminką na ustach pcha wózek obity skórą z monogramami Louisa Vuittona. Blondynka w brązowej skórzanej spódnicy mini wykończony futerkiem z królika trąjkocze do dopasowanego kolorystycznie telefonu komórkowego i ciągnie za sobą małego chłopczyka, ubranego od stóp do głów u Gucciego.

I... sklepy. Sklep obok sklepu.

Ferragamo. Valentino. Dior. Versace. Prada.

Kiedy idę ulicą z głową bez mała obracającą się wokół własnej osi, jestem jak odurzona. To prawdziwy szok kulturowy. Kiedy ostatnio robiłam zakupy w sklepie oferującym coś więcej niż etniczne rękodzieła i drewniane koraliki? Mam wrażenie, jakbym do tej pory była na rygorystycznej diecie, a teraz zajadała się tiramisu z podwójną śmietaną.

Spójrzcie tylko na ten niesamowity płaszcz. Spójrzcie na te buty.

Od czego mam zacząć? Od czego mam...

Nie jestem w stanie się ruszyć. Stoję sparaliżowana na środku ulicy jak osiołek, który nie potrafi wybrać między owsem a sianem. Zostanę odnaleziona po wielu latach, wrosnięta w ziemię i ściskająca w dłoni kartę kredytową.

Nagle moje spojrzenie pada na skórzane paski i portfele, wyeksponowane na wystawie pobliskiego butiku.

Skóra. Pasek dla Luke'a. To właśnie przyszedłam tutaj kupić.

Zbliżam się chwiejnym krokiem do drzwi i – nadal oszołomiona – otwieram je. Natychmiast otula mnie intensywny zapach kosztownej skóry. Jest tak silny, że wreszcie mnie to otrzeźwia.

Wnętrze butiku jest niesamowite. Podłogę pokrywa jasna wykładzina, a szklane gabloty są delikatnie podświetlone. Widzę portfele, paski, torby, marynarki... Zatrzymuję się obok manekina ubranego w prześliczny płaszcz w kolorze czekolady, cały ze skóry i satyny. Dotykam go czule, po czym unoszę plakietkę z ceną – i prawie mdleję.

Ale ta cena jest oczywiście w lirach. Uśmiecham się z ulgą. Nic dziwnego, że wydaje się taka...

O nie. Teraz mają tu euro.

Cholera!

Przełykam ślinę i oddalam się pospiesznie od manekina.

No i teraz się okazuje, że tata miał rację, twierdząc, że wspólna waluta to wielki błąd. Kiedy miałam trzynaście lat, pojechałam z rodzicami na wakacje do Rzymu. Cały cymes z liram polegał wtedy na tym, że ceny wydawały się zaporowe, ale wcale takie nie były. Można było kupić coś za milion lirów, a w rzeczywistości kosztowało to jakieś trzy funciaki! To było fantastyczne!

A poza tym, jeśli przypadkowo kupiło się flakon naprawdę drogich perfum, nikt (to znaczy rodzice) nie mógł cię obwiniać, ponieważ, jak powiedziała mama, kto, u licha, jest w stanie przeliczać w głowie takie liczby?

Ministrowie w rządach zawsze psują wszystkim zabawę.

Kiedy zaczynam oglądać paski, z przymierzalni wychodzi krępy mężczyzna w średnim wieku, mający na sobie niesamowity czarny płaszcz ze skórzanym wykończeniem. Trzyma w ustach cygareto. Ma jakieś pięćdziesiąt lat i jest bardzo opalony. Ma siwe, krótko ostrzyżone włosy i niebieskie oczy. Całość psuje trochę nos, który jest taki jakiś kartoflowaty.

– Ej, Roberto – odzywa się chrypliwym głosem.

To Anglik! Ma jednak dziwny akcent. Taki europejski cockney.

Z przymierzalni wychodzi pospiesznie sprzedawca w czarnym garniturze i w czarnych kanciastych okularach na nosie, trzymając w dłoni centymetr krawiecki.

– Tak, *signore* Tempie?

– Ile jest w tym kaszmiru?

Krępy mężczyzna przesuwając dłoń po płaszczu i wydmuchuje chmurę dymu. Widzę, jak sprzedawca się wzdyga, gdy dym dociera do jego nosa, ale nie komentuje tego nawet słowem.

– *Signore*, to stuprocentowy kaszmir.

– Najlepszy kaszmir? – Mężczyzna unosi ostrzegawczo palec. – Nie chcę, byś mi tu teraz wciskał kit. Znasz moje motto. Tylko to, co najlepsze. ;

Facet w czarnych okularach lekko się krzywi z konsternacją.

– *Signore*, nigdy byśmy nie... eee... wciskali kitu. Mężczyzna przypatruje się przez kilka sekund swemu odbiciu – po czym kiwa głową.

– No dobrze. Wezmę trzy. Jeden do Londynu. – Wylicza na krótkich palcach. – Jeden do Szwajcarii. Jeden do Nowego Jorku. Zrozumiano? A teraz teczki.

Sprzedawca w okularach rzuca mi znaczące spojrzenie i uświadamiam sobie, że bez żenady podsłuchuję.

– Och, witam! – mówię szybko. – Chciałabym kupić to, zapakowane na prezent. – Podnoszę w górę wybrany wcześniej pasek.

– Silvia panią obsłuży. – Wskazuje lekceważącym gestem na kasę, po czym odwraca się z powrotem do swego klienta.

Podaję pasek Silvii i patrzę bezmyślnie, jak owija go w brązowy, błyszczący papier. Podziwiam jej zwinne palce i jednocześnie słucham krępego mężczyzny, który teraz zastanawia się nad wyborem teczki.

– Nie podoba mi się ta faktura – oświadcza. – Jest inna w dotyku. Coś tu nie gra.

– Niedawno zmieniliśmy dostawcę... – Facet w czarnych okularach wykręca palce. – Ale to naprawdę doskonałej jakości skóra, *signor*...

Urywa, gdy krępy mężczyzna wyjmuje z ust cygaro i obrzuca go wiele mówiącym spojrzeniem.

– Wciskasz mi kit, Roberto – mówi. – Płacę kupę kasy i w zamian oczekuję najlepszej jakości. Załatwisz mi więc teczkę ze skóry od poprzedniego dostawcy. Jasne?

Odwraca się, dostrzega mnie i mruga okiem.

– Najlepsze miejsce na świecie, jeśli chodzi o skórę. Ale niech pani nie wierzy w ich bzdety.

– Dobrze! – uśmiecham się promiennie. – A tak przy okazji, to bardzo mi się podoba ten płaszcz!

– To miłe z pani strony. – Kiwa przyjaźnie głową. – Jest pani aktorką? Modelką?

– Eee... nie. Ani jedną, ani drugą.

– Nieważne. – Macha cygarem.

– W jaki sposób chce pani zapłacić, *signorinal* – przerywa nam Silvia.

– Och! Proszę bardzo.

Kiedy podaję jej kartę Visa, robi mi się ciepło na duszy. Robienie prezentów daje znacznie więcej satysfakcji niż kupowanie czegoś sobie! A ponieważ tym zakupem wyczerpię mój limit na karcie, więc na dzisiaj koniec z wydawaniem pieniędzy.

I co teraz będę robić? Może łyknę nieco kultury. Mogłabym obejrzeć ten sławny obraz, o którym mówił *concierge*.

Z tyłu sklepu dochodzą nagle jakieś interesujące odgłosy. Odwracam się mimowolnie, by zobaczyć, co się dzieje. Lustrzane drzwi od zaplecza są otwarte i pojawia się w nich kobieta w czarnym kostiumie w otoczeniu rozemocjonowanych sprzedawczyń. Co ona, u diaska, trzyma? Dlaczego wszyscy są tak...

Wtedy nagle dostrzegam, co ona niesie. Wstrzymuję oddech. Zaczyna mi się kręcić w głowie.

To niemożliwe.

A jednak. Niesie torebkę Angel.

To torebka Angel. Można by rzec: we własnej osobie.

Sądziłam, że wszędzie je wyprzedano i że szansa na ich zdobycie jest równa zeru.

Kobieta stawia torebkę z namaszczeniem na wyłożonym zamszem kremowym postumencie i cofa się, by ją podziwiać. W całym sklepie panuje cisza jak makiem zasiał. Jest tak, jakby przybył członek rodziny królewskiej. Albo jakaś gwiazda filmowa.

Nie jestem w stanie oddychać. Stoję jak sparaliżowana.

Ta torebka jest oszałamiająca. Absolutnie oszałamiająca. Cielęca skóra wygląda na mięciutką niczym masło. Ręcznie namalowany anioł jest w delikatnych odcieniach akwamaryny. A pod nim diamenciki tworzą napis: „Dante”.

Przetykam ślinę, usiłując wziąć się w garść, ale moje nogi nie przestają się trząść, a dłonie mam całe spocone. To naprawdę lepsze niż widok białych tygrysów w Bengalu. No i spójrzmy prawdzie w oczy – torebki Angel z całą pewnością rzadziej występują w przyrodzie niż białe tygrysy.

I oto jedna z nich jest teraz tuż przed moim nosem.

Mogłabym ją sobie kupić – przemyka mi przez myśl. Mogłabym ją kupić!

– Proszę pani? *Signorina*? Słyszysz mnie pani?

W moje rozbiegane myśli wdziera się głos. To Silvia przy kasie usiłuje przyciągnąć moją uwagę.

– Och – mówię zdenerwowana. – Tak. – Biorę do ręki długopis i pospiesznie gryzmołę podpis. – Czy... czy to prawdziwa torebka Angel?

– Jak najbardziej – odpowiada pełnym zadowolenia, aczkolwiek znudzonym głosem, jak bramkarz, który osobiście zna zespół i jest przyzwyczajony do radzenia sobie z zadurzonymi fankami.

– Ile... – przetykam ślinę. – Ile kosztuje?

– Dwa tysiące euro.

– Rozumiem. – Kiwam głową. Dwa tysiące euro. Za torebkę.

Ale gdybym miała torebkę Angel, nie musiałabym kupować sobie żadnych nowych ciuchów. Nigdy. Czy potrzebna nowa spódnica, jeśli ma się najmodniejszą z modnych torebkę?

Nieważne, ile kosztuje. Muszę ją mieć.

– W takim razie poproszę ją – mówię pospiesznie.

W butiku zapada grobowa cisza – a po chwili wszystkie zdumione sprzedawczynie wybuchają gromkim śmiechem.

– Nie może pani kupić tej torebki – oświadcza pogardliwie Silvia. – Mamy listę oczekujących.

Och. Lista oczekujących. No jasne. Ale ze mnie idiotka.

– Chce się pani wpisać na tę listę? – Oddaje mi kartę.

No dobra, zachowajmy zdrowy rozsądek. Tak naprawdę nie mam zamiaru wpisywać się

na listę oczekujących w Mediolanie. Po pierwsze, jak bym ją odebrała? Musiałabym zlecić przesłanie jej pocztą kurierską albo specjalnie po nią przyjechać, albo...

– Tak – słyszę własny głos. – Poproszę.

Gdy wpisuję do formularza swoje dane, mocno wali mi serce. Będę na liście. Będę na liście oczekujących na torebkę Angel!

– Proszę bardzo. – Oddaję formularz.

– Dziękuję. – Silvia wrzuca go do szuflady. – Zadzwonimy, kiedy nadejdzie pani kolej.

– A... kiedy to może być? – pytam, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt błagalnie.

– Tego nie mogę pani powiedzieć. – Wzrusza ramionami.

– Ile osób jest przede mną na liście?

– Nie mogę powiedzieć.

– Rozumiem.

Odczuwam lekką frustrację. Przecież tu jest, niedaleko mnie... i nie mogę jej mieć.

Nieważne. Jestem na liście. Nic więcej nie mogę zrobić.

Biorę z lady reklamówkę, do której włożony jest pasek – Luke'a, i powoli odchodzę, zatrzymując się przy torebce Angel. Boże, jest naprawdę oszałamiająca. Najbardziej odlotowa, najpiękniejsza torebka na świecie! Gdy się jej przypatruję, zaczynam odczuwać lekką urazę. To przecież nie moja wina, że nie wpisałam się na tę listę wcześniej. Podróżowałam po całym świecie! Co miałam zrobić, odwołać podróż poślubną?

Mniejsza o to. Spokojnie. To nie ma znaczenia, ponieważ prawda jest taka, że będę miała tę torebkę. Będę. Po prostu, gdy tylko...

Doznaję nagłego olśnienia.

– Coś sobie właśnie pomyślałam – mówię, podchodząc jeszcze raz do kasy. – Nie wie pani, czy wszyscy na tej liście rzeczywiście chcą kupić torebkę Angel?

– Są przecież na liście – odpowiada Silvia takim tonem, jakby miała do czynienia z kompletną kretynką.

– Tak, ale te osoby mogły przecież zmienić zdanie – wyjaśniam, a słowa wypowiadam z prędkością karabinu maszynowego. – Albo zdążyły już ją sobie kupić! I wtedy byłaby kolej na mnie! Nie rozumie pani? Mogłabym kupić tę torebkę!

Jak ona może być tak niewzruszona? Nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji?

– Będziemy się po kolei kontaktować z klientami – oświadcza Silvia. – Zawiadomimy panią, gdy torebka będzie dostępna.

– Jeśli pani chce, mogę to zrobić za panią – mówię. Staram się, by zabrzmiało to uczynnie. – Gdyby dała mi pani numery tych osób.

Silvia przez chwilę przygląda mi się w milczeniu.

– Nie, dziękuję. Będziemy w kontakcie.

– Jasne – odpowiadam, tracąc rezon. – No cóż, dzięki. Nic więcej nie mogę zrobić. Muszę przestać o tym myśleć i cieszyć się pobytem w Mediolanie. Tak jest. Rzucam ostatnie pożądlive spojrzenie torebce Angel, po czym wychodzę ze sklepu na zalaną słońcem ulicę.

Ciekawe, czy dzwoni już do tych ludzi z listy.

Nie. Bez przesady. Nie będę się tym zadrećcać. Nie będę w ogóle o tym myśleć.

Zamierzam się skupić na... kulturze. Tak. Ten wielki obraz czy też cokolwiek innego...

Nagle zatrzymuję się w pół kroku. Dałam jej numer mieszkania Luke'a w Londynie. Ale czy nie wspominał coś jakiś czas temu o założeniu nowych linii?

A jeśli zostawiłam niewłaściwy numer?

Szybko zawracam i ponownie wpadam do sklepu.

– Witam! – mówię bez tchu. – Pomyślałam sobie, że dam pani jeszcze kilka dodatkowych namiarów na wypadek, gdyby się pani nie dodzwoniła pod ten numer. – Grzebię w torbie i wydaję z niej wizytówkę Luke'a. – To numer do biura mego męża.

– Dobrze – odpowiada z lekkim znużeniem Silvia.

– Chociaż... tak sobie teraz myślę, że podczas rozmowy z nim lepiej nie mówić, że chodzi o torebkę. – Zniżam lekko głos. – Powie pani: „Anioł przybył”.

– Anioł przybył – powtarza za mną Silvia i zapisuje to z taką miną, jakby nieustannie miała tak dziwne zlecenia.

Co zresztą może i jest prawdą.

– Poprosi pani do telefonu Luke'a Brandona – dodają gwoli wyjaśnienia, podając jej wizytówkę. – W Brandon Communications. To mój mąż.

Po drugiej stronie sklepu oglądający skórzane rękawiczki krępy mężczyzna podnosi głowę.

– Luke Brandon – powtarza Silvia. – Dobrze. – Odkłada wizytówkę i żegna mnie skinieniem głowy.

– Dzwoniła już pani do kogoś z listy? – Nie mogą się powstrzymać, by nie zadać tego pytania.

– Nie – odpowiada spokojnie. – Jeszcze nie.

– I zadzwoni pani do mnie, gdy tylko będzie coś wiadomo? Nawet bardzo późnym wieczorem? Nie przeszkadza mi...

– Pani Brandon – przerywa mi ze złością Silvia. – Jest pani na liście! Będzie pani musiała poczekać na swoją kolej! Nic więcej nie mogą zrobić!

– Jest pani tego pewna? – wtrąca się chrypliwy głos. Podnosimy wzrok i widzimy, że zbliża się ku nam krępy mężczyzna.

Przyglądam mu się ze zdumieniem. Co on robi?

– Słucham? – pyta wyniośle Silvia, a on mruga do mnie.

– Nie pozwól, by ci wciskali kit, dziewczyno. – Odwraca się do Silvii. – Gdyby pani chciała, mogłaby sprzedać tę torbę. – Wskazuje krótkim palcem na stojącą na podeście torebkę i wydmuchuje dym z cygara.

– *Signore...*

– Przysłuchiwałem się waszej rozmowie. Skoro nie zadzwoniła pani do nikogo z listy oczekujących, żadna z tych osób nie będzie wiedziała o tej torebce. – Robi znaczącą pauzę. – A tutaj stoi ta młoda dama i pragnie ją kupić.

– Nie o to chodzi, *signore*. – Silvia uśmiecha się do niego z wyraźnym przymusem. – Jest surowy regulamin...

– Macie prawo decydowania. Proszę nie zaprzeczać. Ej, Roberto! – woła nagle.

Po chwili obok nas pojawia się mężczyzna w czarnych okularach.

– *Signor Tempie?* – pyta bez zająknięcia, posyłając mi jednocześnie badawcze spojrzenie.

– Wszystko w porządku?

– Gdybym chciał tę torebkę dla mojej przyjaciółki, czy sprzedałbyś mi ją? – Mężczyzna wydmuchuje chmurę dymu i unosi brwi. Wygląda tak, jakby się dobrze bawił.

Roberto zerka na *Silvię*, która wskazuje mnie głową i przewraca oczami. Widzę, że zaczyna wszystko rozumieć, a jego mózg pracuje na najwyższych obrotach.

– *Signor Tempie.* – Odwraca się do niego z czarującym uśmiechem. – Jest pan bardzo cenionym klientem. To zupełnie inna sprawa...

– Sprzedałbyś?

– Tak – odpowiada po chwili milczenia.

– Wobec tego niech tak będzie. – Mężczyzna patrzy wyczekująco na Roberta.

Cisza. Nie jestem w stanie oddychać. Nie jestem w stanie się poruszyć.

– *Silvia* – odzywa się wreszcie Roberto. – Zapakuj *signorinie* torebkę.

O mój Boże! O mój BOŻE!

– Oczywiście – odpowiada i posyła mi krzywe spojrzenie. Kręci mi się w głowie. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Nie wiem, jak mam panu dziękować! – wyrzucam z siebie. – To najcudowniejsza rzecz, jaką ktoś dla mnie zrobił. Naprawdę!

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Mężczyzna przechyla głowę i wyciąga dłoń. – Nathan Tempie.

Mocno ściska mi rękę.

– Becky Bloomwood. To znaczy Brandon.

– Pani naprawdę pragnęła tej torebki. – Unosi brwi z lekkim podziwem. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

– Byłam bardzo zdesperowana! – przyznaję ze śmiechem. – Jestem panu bardzo wdzięczna!

Nathan Tempie macha ręką, jakby mówił: „drobiazg”, wyjmując zapalniczkę i zapala cygaro, które wcześniej zdążyło zgasnąć. Po chwili podnosi głowę.

– Brandon... tak jak Luke Brandon.

– Pan zna Luke’a? – Wpatruję się w niego z niedowierzaniem. – Cóż za zbieg okoliczności!

– Ze słyszenia. – Wydmuchuje duży kłęb dymu. – Pani mąż jest dość znany.

– *Signor Tempie.* – Roberto podchodzi z kilkoma dużymi torbami. – Resztę wyślemy zgodnie z pańskimi zleceniami.

– Świetnie, Roberto – odpowiada, poklepując go po plecach. – Do zobaczenia w przyszłym roku.

– Czy mogłabym zaprosić pana na drinka? – pytam pospiesznie. – Albo na lunch? Albo na... cokolwiek!

– Niestety, muszę jechać, a dziękuję za zaproszenie.

– Chcę panu jakoś podziękować za to, co pan zrobił. Jestem panu tak bardzo wdzięczna!

Nathan Tempie podnosi skromnie ręce.

– Kto wie. Może pewnego dnia to pani będzie mi mogła oddać przysługę.

– Cokolwiek pan sobie zażyczy! – odpowiadam żarliwie, a on się uśmiecha.

– Niech się pani ta torebka dobrze nosi. No dobra, Harvey. Nagle nie wiadomo skąd pojawia się szczupły blondyn w prążkowanym garniturze. Bierze torby od Nathana Tempie[^] i obaj wychodzą ze sklepu.

Opieram się o ladę, promieniejąc szczęściem. Mam torebkę Angel. Mam torebkę Angel!

– Dwa tysiące euro, proszę – słyszę za plecami opryskliwy głos.

Jasne. Kwestia pieniędzy nieco wyleciała mi z głowy.

Automatycznie sięgam po portfel – po czym nieruchomieję. No tak. Nie mam portfela. A limit na karcie kredytowej wykorzystałam na pasek Luke'a... i mam tylko siedem euro w gotówce.

Silvia dostrzega moje wahanie i jej oczy się zwężają.

– Jeśli ma pani problem z zapłaceniem... – zaczyna.

– Nie mam absolutnie żadnego problemu! – odpowiadam natychmiast. – Tylko... proszę chwileczkę zaczekać.

Silvia sceptycznie krzyżuje ramiona, a tymczasem ja ponownie sięgam do torebki i wyjmuję z niej puder w kamieniu Bobbi Brown „Sheer Finish”.

– Czy ma pani może młotek? – pytam. – Albo coś ciężkiego?

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym zupełnie postradala zmysły.

– Może być cokolwiek... – Dostrzegam na ladzie zszywacz, który wygląda na masywny. Biorę go do ręki i zaczynam z całej siły uderzać nim w puder.

– *Oddiol* – woła Silvia.

– Wszystko w porządku! – odpowiadam, lekko przy tym dysząc. – Ja muszę tylko... proszę!

Pudełko z pudrem pęka. Triumfującym gestem wyjmuję ze środka kartę Mastercard, która była przyklejona od środka. Moja Ostatnia Deska Ratunku. Luke naprawdę o niej nie wie. Chyba że ma w oczach rentgena.

Na pomysł ukrycia karty kredytowej w opakowaniu z pudrem natknęłam się w fantastycznym artykule o zarządzaniu finansami. Nie znaczy to wcale, bym miała jakiś problem z pieniędzmi, o nie, nie. Ale kiedyś rzeczywiście przytrafił mi się mały... kryzys.

No więc ten pomysł bardzo mi się spodobał. Chodzi o to, by trzymać kartę kredytową w miejscu naprawdę niedostępnym, na przykład zamrozić ją w lodzie albo wszyć pod podszewkę torebki, tak by mieć czas na porządne zastanowienie się przed dokonaniem każdego zakupu. Podobno zastosowanie tej prostej taktyki potrafi zmniejszyć niepotrzebne zakupy o 90 procent.

Muszę przyznać, że to naprawdę działa! Jediną wadą jest to, że wciąż muszę kupować nowe pudry, co się zaczyna stawać nieco kosztowne.

– Proszę bardzo!

Podaję kartę Silvii, która przygląda mi się, jakbym była niebezpiecznym szaleńcem. Ostrożnie przesuwają ją przez czytnik i chwilę później podpisuję się na paragonie. Oddaję go, a

ona odkłada rachunek do szuflady.

Na krótką chwilę zapada cisza. Zaraz eksploduję z niecierpliwości.

– No więc... mogę ją prosić? – pytam.

– Naturalnie – odpowiada niechętnie i podaje mi kremową reklamówkę.

Moje dłonie zaciskają się na rączkach ze sznurka i ogarnia mnie czysta, niczym niezmacona radość. Jest moja.

Gdy wracam wieczorem do hotelu, niemal unoszę się w powietrzu. To jeden z najlepszych dni w moim życiu. Przez całe popołudnie przechadzałam się po Via Montenapoleone z moją nową torebką Angel przewieszoną przez ramię... i wszyscy ją podziwiali. A nawet nie tylko podziwiali... dosłownie wybałuszali na nią oczy. Czułam się tak, jakbym była gwiazdą filmową!

Jakieś dwadzieścia osób podeszło do mnie i zapytało, gdzie ją dostałam, a kobieta w ciemnych okularach, która *musiała* być włoską gwiazdą filmową, przysłała do mnie swego kierowcę i zaoferowała za nią trzy tysiące euro. A, co najlepsze, wciąż słyszałam, jak ludzie mówią: *La ragazza eon la borsa di Angel!* Domyśliłam się, że to oznacza Dziewczyna z Torebką Angel! Tak właśnie o mnie mówili!

Przechodzę radośnie przez obrotowe drzwi. W foyer obok recepcji stoi Luke.

– Jesteś wreszcie! – mówi z wyraźną ulgą. – Zaczynałem się już martwić! Jest już nasza taksówka. – Prowadzi mnie do czekającego samochodu i zamyka drzwi. – Lotnisko Linate – mówi do kierowcy, który przy wtórze klaksonów natychmiast wślizguje się pomiędzy jadące sznurem samochody.

– I jak ci minął dzień? – pytam, usiłując się nie wzdrygnąć, gdy omal nie uderzyła w nas inna taksówka. – Jak się udało spotkanie?

– Naprawdę dobrze. Jeśli Arcodas Group zostanie naszym klientem, będzie to doskonała wiadomość. Obecnie bardzo pręźnie się rozwijają. Znosi się na to, że najbliższe tygodnie będą wyjątkowo emocjonujące.

– Więc... więc myślisz, że ich pozyskacie?

– Będziemy musieli ich nieźle zachęcić. Kiedy wrócimy, zaraz się do tego zabiorę. Ale rokowania są naprawdę dobre.

– Super! – uśmiecham się do niego promiennie. – A twoje włosy okazały się w porządku?

– Owszem. – Posyła mi cierpki uśmiech. – Prawdę mówiąc... wszyscy je podziwiali.

– No widzisz! – odpowiadam z zachwytem. – Wiedziałam, że tak będzie!

– A jak tobie minął dzień? – pyta, gdy skręcamy w inną ulicę z prędkością jakichś stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Było fantastycznie! Po prostu wspaniale. Uwielbiam Mediolan!

– Naprawdę? – Luke wygląda na zaintrygowanego. – Nawet bez tego? – Sięga do kieszeni i wyjmuje z niej mój portfel.

Boże, zupełnie o tym zapomniałam.

– Nawet bez portfela! – odpowiadam ze śmiechem. – Choć mimo wszystko zdołałam kupić ci mały prezent.

Podaję mu paczkę owiniętą brązowym papierem i przyglądam się podekscytowana, jak

Luke wyjmuje ze środka pasek.

– Becky, jest wspaniały! – mówi. – Naprawdę... – Urywa, obracając go w dłoniach.

– To w zamian za ten, który ci zniszczyłam – wyjaśniam. – Gorący wosk, pamiętasz?

– Pamiętam. – Widać, że jest autentycznie wzruszony. – I... to naprawdę jedyna rzecz, którą kupiłaś w Mediolanie? Prezent dla mnie?

– Eee...

Wzruszam niezobowiązująco ramionami i odchrząkam, grając na zwłokę.

No dobra. I co ja mam teraz zrobić?

Małżeństwo opiera się na uczciwości i zaufaniu. Jeśli nie powiem mu o torebce Angel, wtedy nadużyję tego zaufania.

Ale jeśli mu powiem... Będę musiała powiedzieć o mojej Ostatniej Desce Ratunku, a nie jestem pewna, czy to rzeczywiście dobry pomysł.

Nie chcę psuć ostatnich cennych chwil naszej podróży poślubnej jakąś głupią kłótnią.

Ale przecież jesteśmy małżeństwem – myślę gorączkowo. Jesteśmy mężem i żoną! Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic! Okej, powiem mu. Od razu.

– Luke...

– Zaczekaj – przerywa mi lekko zachrypniętym głosem. – Becky, chcę cię przeprosić.

– Słucham? – Wpatruję się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Powiedziałaś, że się zmieniłaś. Powiedziałaś, „że dorosłaś. I... rzeczywiście tak się stało. – Rozkłada ręce. – Jeśli chcesz znać prawdę, to spodziewałem się, że wrócisz do hotelu z jakimś naprawdę droгим i ekstrawaganckim zakupem.

O Boże!

– Eee... Luke...

– Jest mi za siebie wstyd – mówi, marszcząc brwi. – To twoja pierwsza wizyta w światowej stolicy mody, a kupiłaś jedynie prezent dla mnie. Becky, jestem naprawdę wzruszony. – Bierze głęboki oddech. – Chandra miał rację. Rzeczywiście masz piękną duszę.

Zapada cisza. Mam teraz szansę, by powiedzieć mu prawdę. Ale jak? No jak?

Jak mam mu powiedzieć, że wcale nie mam pięknej duszy, że jest tak samo popaprana, jak zawsze?

– Cóż... – Przelykam kilka razy ślinę. – Eee... no wiesz. To tylko pasek!

– Dla mnie to nie tylko pasek – odpowiada cicho. – To symbol naszego małżeństwa. – Przez chwilę ściska moją dłoń, po czym się uśmiecha. – Przepraszam... co chciałaś powiedzieć?

Nadal mogę postąpić uczciwie. Nadal mogę to zrobić.

– Eee... cóż... chciałam ci tylko powiedzieć... że sprzączka jest regulowana. – Obdarzam go wymuszonym uśmiechem i odwracam głowę, udając, że zafascynował mnie widok za oknem.

No dobra. A więc nie powiedziałam mu prawdy.

Na moją obronę przemawia to, że gdyby tylko uważnie słuchał, kiedy czytałam mu na głos artykuł z „Vogue’a”, sam by zobaczył. Przecież jej nie ukrywam. Oto zjawiam się z przewieszonym przez ramię jednym z najbardziej pożądanym na świecie symboli statusu, a

on w ogóle tego nie zauważa!

A poza tym to naprawdę, ale naprawdę ostatni raz go okłamałam. Od teraz nigdy więcej niewinnych kłamstewek, żadnych uników, żadnych koszalków-opałków. Nasze małżeństwo będzie idealnym połączeniem uczciwości i prawdy. Tak. Wszyscy będą podziwiać nasze harmonijne, pełne miłości życie i będą na nas mówić: Para, Która...

– Lotnisko Linate!

W moje myśli wdziera się głos kierowcy. Odwracam się, by spojrzeć na Luke'a. Nagle ogarnia mnie niepokój.

– No i jesteśmy – mówi, patrząc na mnie. – Nadal chcesz wracać do domu?

– Jak najbardziej! – odpowiadam stanowczo, ignorując te kilka motylków w brzuchu.

Wsiadam z taksówki i przeciągam się. Wokół kłębią się pasażerowie z wózkami. Prawie nad moją głową z głośnym rykiem startuje samolot.

Boże, a więc to się dzieje naprawdę. Za kilka godzin znajdziemy się w Londynie. Po prawie roku nieobecności.

– Coś sobie przypomniałem – mówi Luke. – Dziś po południu twoja mama zostawiła mi na pocztę głosowej wiadomość. Chciała wiedzieć, czy nadal jesteśmy na Sri Lance, czy też pojechaliśmy już do Malezji.

Unosi komicznie brwi, a ja chichoczę radośnie. Wszyscy przeżyją szok! Tak bardzo się ucieszą na nasz widok!

I nagle czuję już tylko podekscytowanie. Nareszcie! Jedziemy do domu!

O mój Boże! Zrobiliśmy to. Wróciliśmy! Jesteśmy znowu na angielskiej ziemi!

A konkretnie na angielskim asfalcie. Noc spędziliśmy w hotelu, a teraz wynajętym samochodem przemierzamy drogi hrabstwa Surrey, gotowi do zrobienia niespodzianki rodzicom. Za jakieś dwie minuty zajedziemy przed ich dom!

Ledwie jestem w stanie usiedzieć w miejscu z podekscytowania. Co chwila uderzam kolanem o plemienną maskę z Ameryki Południowej. Nie mogę się już doczekać osłupienia rodziców, kiedy nas zobaczą! Mama cała się rozjaśni, a tata będzie najpierw zdumiony, po czym na jego twarzy pojawi się uśmiech... i zaczniemy ku sobie biec w obłokach dymu...

Właściwie to może nie będzie żadnego dymu. Pomyliło mi się z książką *Pociągi jadą do taty*. Ale i tak będzie fantastycznie. Powrót najcudowniejszy z możliwych!

Prawdę mówiąc, to mamie i tacie na pewno było bez mnie ciężko. Jestem ich jedynym dzieckiem, a to był najdłuższy okres niewidzenia ze mną. Dziesięć pełnych miesięcy bez prawie żadnego kontaktu.

Jesteśmy już w Oxshott, moim rodzinnym miasteczku. Wyglądam przez okno, gdy jedziemy znajomymi ulicami, mijamy domy i ogrody, które są mi znane od dziecka. Przejeżdżamy przez niewielki rynek i wszystko wygląda dokładnie tak samo. Kiedy zatrzymujemy się na światłach, sprzedawca w kiosku z gazetami patrzy na nas i unosi pozdrawiającym gestem rękę, jakby to był dzień najnormalniejszy na świecie. Nie wygląda na zaskoczonego moim widokiem.

Nie rozumiesz? – mam ochotę zawołać do niego. Nie było mnie prawie rok! Zwiedziłam cały świat!

Skręcamy w Mayfield Avenue i po raz pierwszy czuję niewielkie symptomy zdenerwowania.

– Luke, a może powinniśmy zadzwonić?

– Teraz już na to za późno – odpowiada spokojnie i włącza lewy kierunkowskaz.

Jesteśmy już prawie na naszej ulicy. O Boże! Naprawdę zaczynam czuć tremę.

– A jeśli przyprawimy ich o atak serca? – pytam z nagłą paniką. – A jeśli przeżyją na nasz widok taki szok, że stanie im się coś złego?

– Jestem pewny, że nic im nie będzie! – śmieje się Luke. – Uspokój się!

No i jesteśmy już na Elton Road, gdzie mieszkają rodzice. Podjeżdżamy pod ich dom.

Luke zatrzymuje się na podjeździe i wyłącza silnik. Przez chwilę oboje siedzimy bez ruchu.

– Gotowa? – przerywa wreszcie ciszę.

– Chyba tak! – odpowiadam nienaturalnie wysokim głosem.

Czując dziwne skrępowanie, wysiadam z samochodu i zatraskuję drzwiczki. Jest pogodny, słoneczny dzień, a na ulicy słychać jedynie kilka świergoczących ptaków i odległy warkot kosiarki.

Podchodzę do drzwi wejściowych, waham się i odwracam w stronę Luke'a. Oto

wiekopomna chwila. Na nowo podekscytowana, podnoszę rękę i stanowczo naciskam dzwonek.

Nic się nie dzieje.

Waham się – po czym ponownie dzwonię. Ale odpowiada mi jedynie cisza.

Nie ma ich w domu.

Jak to możliwe?

Wpatruję się w drzwi i wzbiera we mnie oburzenie. Gdzie, u diabła, są moi rodzice? Czy nie zdają sobie sprawy, że ich ukochana jedynaczka wróciła właśnie z podróży dookoła świata?

– Może pójdziemy na kawę i wrócimy za jakiś czas? – proponuje Luke.

– Dobrze – odpowiadam, starając się ukryć rozczarowanie.

To popsulo cały mój plan. Byłam przygotowana na nasze pełne emocji powitanie! Ale nie na odejście sprzed drzwi z kwitkiem i pójście na jakąś beznadziejną kawę.

Niepocieszona, wracam i opieram się o furtkę z kutego żelaza. Bawię się popsutym zamkiem, który tata od dwudziestu lat obiecuje naprawić, i patrzę na róże, które rodzice zasadzili w zeszłym roku na nasz ślub. Boże, jesteśmy małżeństwem już prawie rok. Dziwna myśl.

Nagle słyszę w oddali jakieś głosy. Unoszę głowę i mrużę oczy. Zza rogu wyłoniły się właśnie dwie osoby. Przyglądam się uważniej – i nagle przenika mnie dreszcz.

To oni! Mama i tata! Idą w stronę domu. Mama ma na sobie wzorzystą sukienkę, a tata różową koszulę z krótkim rękawem. Oboje są opaleni i tryskają zdrowiem.

– Mamo! – wołam piskliwie, a mój głos odbija się od chodnika. – Tato! – Otwieram szeroko ramiona. – Wróciliśmy!

Rodzice podnoszą głowy i oboje zastygają w bezruchu. Wtedy dostrzegam, że jest z nimi ktoś trzeci. Jakaś kobieta. Albo dziewczyna. Nie widzę dobrze w tym jaskrawym słońcu.

– Mamo! – wołam ponownie. – Tato!

Trochę dziwi mnie, że nie ruszają się z miejsca. Najpewniej są w szoku, wywołanym moim widokiem. Może sądzą, że jestem duchem.

– Wróciłam! – wrzeszczę. – To ja, Becky! Niespodzianka! Panuje zaskakująca cisza.

Wtedy, ku memu bezbrzędnemu zdumieniu, rodzice zaczynają się cofać.

Co... co oni wyprawiają?

Wpatruję się w nich, oszołomiona.

To trochę tak jak w moich wcześniejszych wyobrażeniach – tyle że na odwrót. Mieli przecież biec w *moim* kierunku.

Ponownie znikają za rogiem. Ulica jest znowu cicha i wyludniona. Przez kilka chwil, osłupiała ze zdumienia, nie mogę wykrztusić słowa.

– Luke, czy to byli moi rodzice? – pytam wreszcie.

– Tak sądzę. – Sprawia wrażenie równie skonsternowanego jak ja.

– I czy oni naprawdę... uciekli ode mnie?

Nic nie poradzę na to, że w moim głosie słyhać ból. Moi rodzice uciekli ode mnie jak od zarazy.

– Nie – odpowiada pospiesznie Luke. – Oczywiście, że nie. Pewnie po prostu cię nie zauważyli. Patrz! – Pokazuje palcem. – Znowu idą.

Zza rogu ponownie wyłaniają się mama i tata, tym razem bez żadnej dziewczyny. Robią kilka kroków, po czym tata dramatycznym gestem chwyta mamę za ramię i wskazuje na mnie.

– To Becky! – woła. – Spójrz!

– Becky! – wykrzykuje mama nienaturalnie wysokim głosem. – To niemożliwe!

Mówi to takim samym tonem, jak w ubiegłym roku w sztuce Agathy Christie w amatorskim teatrze, gdzie grała kobietę, która znalazła zwłoki.

– Becky! Luke! – woła tata.

Teraz rzeczywiście biegną w naszym kierunku, a mnie zalewa fala wzruszenia.

– Mamo! – krzyczę. – Tato! Wróciliśmy!

Biegnę do nich z szeroko otwartymi ramionami. Łądują w objęciach taty, a potem także i mamy. Po chwili wszyscy łączymy się w jednym wielkim uścisku.

– Wróciłaś! – wykrzykuje tata. – Witaj w domu, kochanie! Tak się cieszą!

– Wszystko w porządku? – Mama przygląda mi się z niepokojem. – Nic wam nie jest?

– Wszystko w jak najlepszym porządku! Po prostu postanowiliśmy wrócić do domu! Chcieliśmy już was wszystkich zobaczyć! – Mocno ściskam mamę. – Wiedzieliśmy, że za nami tęsknicie!

We trójkę idziemy do domu, gdzie tata ściska Luke'owi dłoń, a mama mocno go przytula.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówi, patrząc to na niego, to na mnie. – Po prostu nie mogę uwierzyć. Luke, twoje włosy! Są takie długie!

– Wiem. – Uśmiecha się do mnie szeroko. – Przed powrotem do pracy będę musiał je obciąć.

Jestem w zbyt radosnym nastroju, by się z nim teraz kłócić. Tak właśnie to sobie wyobrażałam. Że wszyscy będą szczęśliwi.

– Chodźmy do środka, napijemy się kawy! – mówi mama, wydając z torebki klucze.

– Nie chcemy kawy! – protestuje natychmiast tata. – Chcemy szampana! Taka okazja!

– Oni może wcale nie chcą szampana! – odbija piłeczkę mama. – Mogą być zmęczeni po podróży! Jesteś zmęczona, skarbie? Chciałabyś się położyć?

– Wszystko w porządku! – Impulsywnie ściskam mamę. – Naprawdę cudownie znowu was widzieć.

– Cudownie widzieć ciebie, kochanie!

Przytula mnie mocno, a ja wdycham znajomy zapach perfum Tweed, których używa od zawsze.

– Ulżyło mi! – śmieję się. – Bo wyglądało to prawie tak, jakbyście... – Urywam, czując się trochę niezręcznie.

– Jak, kochanie?

– Cóż, to trochę wyglądało, jakbyście... uciekali ode mnie! – Wybucham nerwowym śmiechem, by pokazać, co myślę o takim absurdalnym pomysle.

Przez chwilę panuje cisza – i widzę, jak spojrzenia rodziców się krzyżują.

– Tata upuścił okulary! – oświadcza pogodnie mama. – Prawda, mój drogi?
– Zgadza się! – odpowiada tata. – Spadły mi na ziemię.
– Musieliśmy się po nie cofnąć – dodaje mama. Oboje przyglądają mi się uważnie.
Co się dzieje? Czy coś ukrywają?

– Czy to Becky? – Ciszę przerywa przenikliwy głos, a ja odwracam się i dostrzegam Janice, naszą najbliższą sąsiadkę, która przygląda się nam zza płotu. Ma na sobie różową suknię w kwiaty, powieki pomalowane na różowo, a włosy w bardzo dziwnym odcieniu kasztanu. – Becky! – Przykłada dłonie do piersi i gwałtownie wciąga powietrze. – To naprawdę ty!

– Witaj, Janice! – mówię z promiennym uśmiechem. – Wróciliśmy!
– Świetnie wyglądacie! – woła. – Prawda, że świetnie wyglądają? Tacy brązowi!
– To jedna z zalet podróży – odpowiadam nonszalancko.

– I Luke! Wyglądasz jota w jotę jak Krokodyl Dundee! Janice przygląda się nam z wyraźnym podziwem. Muszę przyznać, że jestem z tego powodu zadowolona.

– Wejźmy do środka – mówi mama. – Tam nam wszystko opowiecie.

Oto chwila, którą tak wiele razy sobie wyobrażałam. Opowiadanie o naszych zamorskich wояżach w gronie przyjaciół i rodziny. Rozkładanie pogniecionych map... opisywanie wschodów słońca w górach... przyglądanie się żądnym wrażeń twarzom... słuchanie okrzyków podziwu...

Tyle że teraz niezupełnie dzieje się tak, jak sobie wcześniej wyobrażałam.

– No więc gdzie byliście? – pyta Janice, ledwie zdążyliśmy usiąść przy stole w kuchni.

– Wszędzie! – odpowiadam z dumą. – Wymieńcie tylko jakiś kraj na świecie!

– Och! Byliście na Teneryfie?

– Eee... nie.

– A na Majorce?

– Eee... nie – odpowiadam lekko zirytowana. – Byliśmy w Afryce, Ameryce Południowej, w Indiach... – Rozkładałam ramiona. – Wszędzie!

– Święci pańscy! – mówi Janice z szeroko otwartymi oczami. – Czy w Afryce było gorąco?

– Dostyc. – Uśmiecham się.

– Nie znoszę upałów. – Potrząsa głową. – Od zawsze. Nawet na Florydzie. – Nagle się rozpromienia. – A pojechaliście do Disneylandu?

– Eee... nie.

– No tak. – Na jej twarzy maluje się współczucie. – Mniejsza o to. Może następnym razem!

Następnym razem? To znaczy następnym razem, kiedy przez dziesięć miesięcy będziemy podróżować po świecie?

– W każdym razie uważam, że mieliście naprawdę cudowne wakacje – dodaje pokrępiąco.

To nie były wakacje, mam ochotę zawołać. Podróżowaliśmy i jednocześnie zdobywaliśmy nowe doświadczenia! No, wiecie co. Założę się, że kiedy Krzysztof Kolumb

wrócił z Ameryki, ludzie nie zarzucili go na brzegu pytaniami typu: „Och, Krzysztofie, a byłeś w Disneylandzie?”

Rzucam spojrzenie rodzicom – ale oni wcale nas nie słuchają. Stoją przy zlewie, a mama szepcze coś tacie do ucha.

To mi się nie podoba. Z całą pewnością coś jest nie tak. Zerkam na Luke’a i widzę, że on także ich obserwuje.

– Przywieźliśmy prezenty! – wykrzykuję głośno, sięgając po reklamówkę. – Mamo! Tato! Spójrzcie!

Nie bez problemu wyciągam maskę z Ameryki Południowej i prezentuję ją mamie. Ma kształt łba psa, wielkie zęby i duże okrągłe oczy. Muszę przyznać, że robi wrażenie.

– Przywiozłam ją aż z Paragwaju! – dodaję z dumą. Czuję się jak prawdziwa globtroterka! Oto przywożę do Oxshott rzadkie okazy rękodzielnictwa tubylczej kultury Ameryki Południowej. Ilu ludzi w Wielkiej Brytanii widziało taką maskę? Może muzeum poprosi o wypożyczenie jej na wystawę!

– O rety! – mówi mama, obracając ją nieco nerwowo w dłoniach. – Co to takiego?

– To tradycyjna maska rytualna, wykonana przez Indian Chiriguano, prawda? – pyta pogodnie Janice.

– Byłaś w Paragwaju? – pytam zdumiona.

– O nie, skarbie. – Pociąga łyk kawy. – Widziałam je u Johna Lewisa.

Przez chwilę nie mogę wydobyć z siebie głosu.

– Widziałas je... u Johna Lewisa? – pytam wreszcie.

– W Kingston. W dziale z upominkami. – Uśmiecha się promiennie. – W dzisiejszych czasach u Johna Lewisa można kupić dosłownie wszystko!

– Za odpowiednią cenę, rzecz jasna – uzupełnia mama. Nie wierzę własnym uszom. Wlokłam ze sobą tę maskę przez pół cholernego świata. To miał być rzadki i egzotyczny skarb. I przez cały ten czas można ją było kupić u pieprzonego Johna Lewisa.

Mama dostrzega moją minę.

– Ale twoja jest wyjątkowa i autentyczna, skarbie! – mówi pospiesznie. – Postawimy ją na gzymsie kominka zaraz obok pucharu golfowego taty.

– Dobrze – odpowiadam posępnie.

Zerkam na tatę: nadal patrzy przez okno, w ogóle nas nie słuchając. Może lepiej będzie, gdy później dam mu prezent.

– No więc co się tutaj działo podczas naszej nieobecności? – pytam, biorąc od mamy filiżankę kawy. – Co słyszać u Martina i Toma?

– Obaj mają się dobrze, dziękuję! – odpowiada Janice. – Tom tymczasowo z nami mieszka.

– Ach. – Kiwam ze zrozumieniem głową.

Tom jest synem Janice i Martina. Jego małżeństwo okazało się totalną katastrofą. Żona Lucy zostawiła go w zasadzie tylko dlatego, że nie chciał się zgodzić na tatuaż, który współgrałby z jej tatuażem.

– Sprzedali dom – mówi Janice z wyraźnym żalem. – Nawiasem mówiąc, bardzo

korzystnie.

– Jakoś sobie radzi?

Mama i Janice wymieniają spojrzenia.

– Wymyśla sobie coraz to nowe hobby – odpowiada wreszcie Janice. – Stara się czymś zająć. Teraz zaczął się pasjonować stolarką. Już tyle rzeczy dla nas zrobił! – Nie wygląda na zbyt tym uszczęśliwioną. – Trzy ławki ogrodowe... dwa karmniki dla ptaków... a teraz pracuje nad dwupoziomową altaną!

– To świetnie! – odpowiadam uprzejmie.

Nagle rozlega się alarm przy piekarniku i ze zdumieniem unoszę głowę. Czyżby podczas naszego wyjazdu mama nauczyła się piec?

– Gotujesz coś? – Przyglądam się piekarnikowi i wydaje mi się, że jest pusty.

– Nie! – śmieje się pogodnie mama. – To ma mi przypomnieć o sprawdzeniu e-Bay.

– e-Bay? – Wpatruję się w nią ze zdumieniem. – Jak mam to rozumieć?

Skąd mama miałaby wiedzieć o e-Bay? W ogóle nie zna się na komputerach. Dwa lata temu zasugerowałam, by w prezencie gwiazdkowym dała Luke'owi nową podkładkę pod myszkę, a ona udała się w tym celu do sklepu zoologicznego.

– No wiesz, kochanie! Zakupy przez Internet. Biorę udział w licytacji woka Kena Homa, pary lichtarzy... – Wyjmuje z kieszeni mały notes i otwiera go. – Tak, i jeszcze pneumatycznego sekatora do żywopłotu dla taty. Tylko raz używanego!

– e-Bay to cudowny wynalazek! – wtrąca Janice. – I jednocześnie świetna zabawa. Korzystałaś z niego, Becky?

– Eee... nie.

– Na pewno by ci się spodobało – zapewnia gorliwie mama. – Chociaż nie mogłam się wczoraj wieczorem połączyć, by sprawdzić zastawę Portmeirion. – Cmoka z niezadowoleniem. – Nie wiem, co się stało.

– Pewnie padły serwery – odpowiada ze znanstwem Janice. – Ja już cały tydzień mam problemy z modemem. Herbatnika, Becky?

To wszystko nie może pomieścić mi się w głowie. Mama? Na eBay? Za chwilę mi powie, że doszła do szóstego poziomu w Tomb Raiderze.

– Ale wy nawet nie macie komputera – mówię. – Nie cierpisz przecież nowoczesnych technologii.

– Już nie, skarbie! Janice i ja zapisałyśmy się na kurs. Postanowiłyśmy korzystać z globalnego zasięgu! – Patrzy na mnie z powagą. – Dam ci pewną radę, Becky. Jeśli też chcesz mieć globalny zasięg, zainstaluj sobie przyzwoity firewall.

Ten świat jak nic staje na głowie. Przecież rodzice nie powinni wiedzieć o komputerach więcej od swoich dzieci. Kiwam beztrudnie głową i pociągam łyk kawy, starając się ukryć fakt, że nie mam pojęcia, co to takiego ten firewall.

– Jane, jest za dziesięć dwunasta – mówi ostrożnie Janice. – Idziesz na...

– Raczej nie. Ale ty idź.

– O co chodzi? Czy coś się stało? – Patrzę na nie pytająco.

– Oczywiście, że nie! – odpowiada mama, odstawiając filiżankę z kawą. – Chodzi o to, że

wybieraliśmy się dzisiaj z Janice i Martinem na koktajl-party do Marshallów. Ale nic się nie przejmuj. Poślemy im przeprosiny.

– Nie wygłupiaj się! – mówię natychmiast. – Musicie iść. Nie chcemy psuć wam planów.

Przez chwilę panuje cisza.

– Jesteś pewna? – pyta mama.

Przyznaję, że nieco mnie to zabolalo. Nie tak miała zareagować. Spodziewałam się, że powie: „Jak moja cudowna córka mogłaby popsuć mi plany?”

– Jak najbardziej! – mówię z udawaną pogodą. – Idźcie na to przyjęcie, a po waszym powrocie spokojnie sobie porozmawiamy.

– No dobrze – zgadza się mama. – Skoro tak uważasz.

– Lecę się przygotować – mówi Janice. – Cudownie, że już wróciłaś, Becky!

Kiedy znika za kuchennymi drzwiami, rzucam spojrzenie zamyślonemu tacie, który nieprzerwanie patrzy w okno.

– Wszystko w porządku, tato? Nie odezwałeś się praktycznie ani słowem.

– Przepraszam. – Odwraca się z wymuszonym uśmiechem. – Jestem po prostu trochę zdenerwowany. Myślę o... o meczu golfowym, który czeka mnie w przyszłym tygodniu. Bardzo ważnym meczu. – Robi ruch, jakby uderzał piłkę kijem.

– Jasne – mówię, starając się, by mój głos brzmiał pogodnie.

Ale prawdę mówiąc, ogarnia mnie coraz większy niepokój. On wcale nie myśli o golfie. Dlaczego odpowiada mi tak wymijająco?

Co się tutaj dzieje?

Nagle przypominam sobie o kobiecie na ulicy. Tej, którą widziałam, zanim mama i tata zaczęli się cofać.

– Aha... kto to był wtedy z wami? – pytam beztrąsko. – Ta kobieta, z którą szliście?

Efekt jest taki, jakbym strzeliła z pistoletu lub zrobiła coś podobnego. Mama i tata wyglądają na sparaliżowanych. Widzę, jak szybko wymieniają się spojrzeniami, po czym ponownie odwracają wzrok. Oboje wyglądają na spanikowanych.

– Kobieta? – pyta wreszcie mama. – Ja nie... – Patrzy na tatę. – Widziałeś jakąś kobietę, Grahamie?

– Może Becky chodzi... o tę, która tamtędy przechodziła – odpowiada dziwnie wysokim głosem.

– No jasne! – wykrzykuje teatralnie mama. – Przechodziła wtedy obok nas jakaś kobieta. Zupełnie obca. To pewnie o nią ci chodzi, kochanie.

– No tak. Oczywiście.

Próbuję się uśmiechnąć, ale tak naprawdę robi mi się niedobrze. Czy mama i tata mnie okłamują?

– Cóż... pędźcie już na to przyjęcie! – mówię. – Bawcie się dobrze!

Kiedy zatraskują się za nimi drzwi, czuję się tak, jakbym zaraz miała wybuchnąć płaczem. Nie mogłam się wprost doczekać dzisiejszego dnia, ale teraz niemal żałuję, że w ogóle wróciliśmy. Nikt nie wygląda na szczególnie podekscytowanego naszym widokiem. Mój rzadki, egzotyczny skarb nie jest ani egzotyczny, ani rzadki. No i co się dzieje z

rodzicami? Dlaczego tak dziwnie się zachowują?

– Chcesz jeszcze kawy? – pyta Luke.

– Nie, dzięki. – Z nieszczęśliwą miną przesuвам stopą po kuchennej podłodze.

– Wszystko w porządku, Becky? Przez chwilę milczę.

– Nie – przyznaję cicho. – Trochę inaczej wyobrażałam sobie nasz powrót do domu.

– Chodź tutaj. – Otwiera ramiona, a ja posłusznie się w nie wtulam. – Czego się spodziewałaś? Że wszystko rzuca i urządzają imprezę?

– Nie! Oczywiście, że nie! – Milknę. Podnoszę głowę i napotykam spojrzenie Luke'a. – No cóż... może. Coś w tym stylu. Prawie rok nas nie było, a jest tak... jakbyśmy wyskoczyli sobie na zakupy!

– Robiąc komuś niespodziankę, zawsze się trochę ryzykuje – mówi rozsądnie. – Spodziewali się, że wrócimy dopiero za jakieś dwa miesiące. Nic dziwnego, że są nieco rozstrojeni.

– Wiem. Ale nie tylko o to mi chodzi. – Biorę głęboki oddech. – Luke, czy nie sądzisz, że mama i tata... coś ukrywają?

– Tak.

– Tak?

Zatkało mnie. Spodziewałam się, że powie jak zazwyczaj: „Becky, coś ci się tylko zdaje”.

– Z całą pewnością coś się dzieje. – Luke robi znaczącą pauzę. – I chyba wiem, co.

– Co? – Wpatruję się w niego ze zniecierpliwieniem.

– Ta kobieta, która wtedy z nimi szła. Ta, o której nic chcieli puścić pary z ust. Tak sobie myślę, że to agentka nieruchomości. Sądzę, że twoi rodzice zastanawiają się nad przeprowadzką.

– Przeprowadzką? – powtarzam ze zdumieniem. – A dlaczego mieliby to zrobić? To jest uroczy dom! Idealny!

– Jest dla nich trochę za duży, od kiedy ty już tutaj nie mieszkasz.

– Ale dlaczego, u licha, nie chcieliby mi o tym powiedzieć? – Mój głos ze zdenerwowania robi się wysoki. – Jestem ich córką! Ich jedynym dzieckiem! Powinni mi o tym powiedzieć!

– Może uznali, że cię to zdenerwuje – sugeruje Luke.

– Wcale bym się nie zdenerwowała! – wykrzykuję z oburzeniem.

Nagle uświadamiam sobie, że jednak tak właśnie się stało.

– No dobrze. Może i tak. Ale mimo to nie mogę uwierzyć, że trzymają coś takiego w tajemnicy!

Wysuwam się z ramion Luke'a i podchodzę do okna. Nie mogę znieść myśli, że mama i tata sprzedają ten dom. Z nagłą nostalgią omiatam spojrzeniem ogród. Nie mogą porzucić tego ogrodu. Po prostu nie mogą. Nie po tym całym wysiłku, jaki tata włożył w wyhodowanie begonii.

Nagle moją uwagę przykuwa syn Janice, Tom Webster. Ma na sobie dzinsy i T-shirt z napisem: „Opuszcza mnie żona i zostawiła jedynie ten nędzny T-shirt”. Z wysiłkiem ciągnie za sobą największą deskę, jaką widziałam.

O rety. Wygląda na rzeczywiście nawiedzonego.

– Możliwe, że wcale nie o to chodzi – mówi Luke, stając za mną. – Mogę się przecież mylić.

– Nie mylisz się. – Odwracam się z nieszczęśliwą miną. – Na pewno chodzi właśnie o to, no bo o co innego?

– Nie myśl o tym. Wyluzuj trochę. Jutro są chrzciny. Spotkasz się z Zużą!

– Tak. – Od razu poprawia mi się nastrój. – To prawda. Luke ma rację. Może dzisiaj nie wszystko poszło zgodnie z planem – ale jutro będzie fantastycznie. Znow zobaczę Zużę, moją najlepszą, najukochańszą przyjaciółkę na całutkim świecie. Nie mogę się wprost doczekać.

R

Uroczystość chrztu bliźniąt odbywa się w domu rodziców Zuzy w Hampshire. Mieszkają tam tymczasowo, gdyż wschodnie skrzydło szkockiego zamku Tarquina jest w trakcie przebudowy. Skorzystaliby z jego domu w Pembrokehire, ale w tej chwili mieszka w nim jakieś dalekie kuzynostwo. A jego dom w Sussex został wypożyczony do kręcenia w nim filmu na podstawie powieści Jane Austen.

Taka właśnie jest rodzina Zuzy. Nikt nie posiada tylko jednego domu.

Kiedy jedziemy z chrzestem po znajomym zwirowym podjeździe, aż podskakuję z podekscytowania.

– Pospiesz się! – mówię, gdy Luke wjeżdża na parking.

Nie zdążył jeszcze wyłączyć silnika, a ja już wyskakuję z auta i sprintem pokonuję drogę do domu. Nie mogę się wprost doczekać spotkania z Zużą!

Ciężkie drzwi wejściowe są uchylone. Pcham je ostrożnie. Wielki, wyłożony kamiennymi płytami hol udekorowany jest przepięknymi kompozycjami z lilii. Idzie nim właśnie dwóch kelnerów z tacami, na których stoją kieliszki z szampanem.

A na zabytkowym fotelu obok kominka leży sobie siodło. Tutaj nic się więc nie zmieniło.

Kelnerzy znikają w głębi korytarza, a ja zostaję sama. Kiedy idę ostrożnie hołem, nagle zaczynam odczuwać lekką tremę. A jeśli Zuza ucieknie na mój widok, tak jak rodzice? A jeśli ona też zrobiła się dziwna?

I wtedy dostrzegam ją przez uchylone drzwi. Stoi w salonie. Jasne włosy ma upięte w elegancki kok i jest ubrana w przepiękną suknię tubę. W ramionach trzyma niemowlę ubrane w długą szatkę do chrztu. O rety. To musi być jedno z bliźniąt.

Obok niej stoi Tarquin, trzymając drugie dziecko, także w szatce do chrztu. I choć ubrany jest w najbardziej niemodny garnitur na świecie, wygląda całkiem dobrze! Nie tak... łasicowato, jak kiedyś. Tak sobie myślę, że może Tarquin z wiekiem będzie się stawał coraz przystojniejszy. A kiedy przekroczy pięćdziesiątkę, okaże się prawdziwym bogiem seksu!

Jasnowłose dziecko łapie go za nogawkę, a on delikatnie odrywa od materiału jego małe paluszki.

– Ernie – mówi cierpliwie.

Ernie? Jestem w szoku. To mój chrześniak Ernest? Kiedy widziałam go po raz ostatni, był maleństwem w beciku.

– Wilfie wygląda jak dziewczynka! – mówi Zuza do Tarquina i marszczy brwi w tak dobrze mi znany sposób. – A Clementine jak chłopczyk!

– Kochanie, oboje wyglądają jak niemowlęta w szatach do chrztu – odpowiada Tarquin.

– A jeśli oboje są homo? – Patrzy z niepokojem na męża. – A jeśli wymieszały im się hormony, kiedy były u mnie w brzuchu?

– Z naszymi dziećmi jest wszystko w porządku!

Kiedy tak stoję przy drzwiach, czuję absurdalne zakłopotanie. Nie chcę im przeszkadzać. Wyglądają jak rodzina. Bo przecież są rodziną.

– Która godzina? – Zuza próbuje zerknąć na zegarek, ale Ernie przywiera teraz do jej ramienia, usiłując podskoczyć. – Ernie, skarbie, muszę pomalować usta! Zostaw ramię mamusi w spokoju... Możesz go na sekundę zabrać, Tarkie?

– Zaraz, tylko położą gdzieś Clemmie... – Rozgląda się po salonie, jakby się spodziewał, że nagle w magiczny sposób pojawi się w nim łóżeczko.

– Jeśli chcesz, to mogę ją potrzymać – odzywam się, a w moim głosie pobrzmiewa nutka zdenerwowania.

Cisza. Zuza obraca się na pięcie.

– Bex? – Gdy mnie dostrzega, jej oczy robią się wielkie jak spodki. – Bex?

– Wróciliśmy! – śmieję się nieco trwożliwie. – Niespodzianka!

– O mój Boże! O mój Boże!

Zuza wpycha dziecko Tarquinowi, który mężnie wykonuje coś w rodzaju zonglerki. Biegnie ku mnie i mocno mnie przytula.

– Bex! Pani Brandon!

– Pani CleathStuart!

Do oczu napływają mi łzy. Wiedziałam, że moja przyjaciółka się nie zmieniła. Wiedziałam.

– Nie mogę uwierzyć, że wróciłaś! – Zuza cała promienieje. – Opowiadaj natychmiast o waszej podróży poślubnej! Opowiadaj o wszystkim, co... – Nagle urywa, wpatrując się w moją torebkę. – O mój Boże! – Bierze głęboki oddech. – Czy to prawdziwa torebka Angel?

Ha! Widzicie? Niektórym wystarczy jedno spojrzenie.

– No pewnie. – Poprawiam ją nonszalancko. – Mała pamiątka z Mediolanu. Jednak nie wspominałabym o niej przy Luke’u – dodają, ścisząc głos. – Właściwie to o niej nie wie.

– Bex! – woła Zuza, częściowo z dezaprobatą, a częściowo ze śmiechem. – To twój mąż!

– No właśnie. – Napotykam jej spojrzenie i obie zaczynamy chichotać.

Boże, jak za dawnych dobrych czasów.

– No więc jak tam życie małżeńskie?

– Doskonale. – Wzdycham radośnie. – Po prostu cudownie. No, ale co ja ci będę mówić. Jest tak, jak powinno być podczas podróży poślubnej!

– Podczas naszej byłam w ciąży. – Zuza wydaje się nieco skonsternowana. Wyciąga rękę i dotyka z podziwem torebki. – Nie wiedziałam, że wybieracie się do Mediolanu! Gdzie jeszcze byliście?

– Wszędzie! Zjeździliśmy cały świat!

– Widzieliście pradawne sanktuarium Mahakali? – rozlega się od drzwi tubalny głos.

Odwracam się i widzę wchodzącą do pokoju matkę Zuzy, Caroline. Ma na sobie najdziwniejszą suknię, jaką zdarzyło mi się oglądać, uszytą z materiału, który wygląda jak zielone płótno w groszki.

– Tak! Widzieliśmy!

To właśnie Caroline zaszczepiła we mnie pomysł podróżowania, kiedy mi powiedziała, że jej najlepszym przyjacielem jest boliwijski wieśniak.

– Starożytne miasto Inków Ollantaytambo?

– Mieszkaliśmy tam!

W oczach matki Zuzy pojawia się błysk, jakbym właśnie zdała egzamin, a ja puchnę z dumy. Jestem prawdziwą podróżniczką! Pominę milczeniem fakt, że zatrzymaliśmy się tam w pięciogwiazdkowym hotelu.

– Przed chwilą spotkałam pastora – oświadcza Caroline. – Opowiadał jakieś bzdury o ciepłej wodzie do chrztu. Powiedziałam, że w żadnym wypadku! Trochę zimnej wody dobrze zrobi tym oseskom.

– Mamuś! – jęczy Zuza. – Specjalnie poprosiłam o ciepłą wodę! One są jeszcze takie maleńkie!

– Nonsens! – grzmi Caroline. – Ty w ich wieku pływałaś w jeziorze! A kiedy miałaś sześć miesięcy, podróżowałaś na moich plecach po górach Tsodila w Botswanie. Nawet nie chcę słyszeć o ciepłej wodzie!

Zuza posyła mi rozpaczliwe spojrzenie, a ja uśmiecham się do niej współczująco.

– Lepiej już pójdę – mówi. – Bex, zobaczymy się później. Zostaniecie tu kilka dni, prawda?

– No jasne! – odpowiadam radośnie.

– No i koniecznie musisz poznać Lulu! – dodaje w połowie drogi do drzwi.

– Kim jest Lulu? – wołam za nią, ale ona już mnie nie słyszy.

Wkrótce i tak się tego dowiem. Przypuszczam, że to jej nowy koń.

Dołączam do Luke'a na dworze. Pomiędzy domem a kościołem zostało utworzone zadaszone przejście – dokładnie tak, jak podczas ślubu Zuzy. Kiedy zaczynamy iść, ogarnia mnie nostalgia. To właśnie tutaj po raz pierwszy poruszyliśmy w zawołany sposób kwestię naszego ślubu. A potem Luke mi się oświadczył.

No i proszę bardzo. Niedługo minie rok, jak jesteście małżeństwem!

Słyszę za nami czyjeś kroki. Odwracam się i widzę idącego szybko Tarquina, który niesie jedno z dzieci.

– Cześć, Tarkie! – mówię, gdy zrównuje się z nami. – No więc... które to z bliźniąt?

– Clementine – odpowiada Tarquin, wyraźnie promieniejąc. – Nasza maleńka Clemmie.

Przyglądam jej się uważnie i usiłuję ukryć zaskoczenie. A niech mnie. Zuza ma rację. Clemmie rzeczywiście wygląda jak chłopiec.

– Jest śliczna! – mówię pospiesznie. – Naprawdę cudowna!

Próbuję wymyślić, co by tu jeszcze powiedzieć dla podkreślenia jej cech kobiecych, kiedy nagle słyszę w powietrzu jakiś odległy dźwięk. Taki, jaki wydaje helikopter. Staje się coraz głośniejszy. Podnoszę głowę i ku swemu zdumieniu rzeczywiście widzę nadlatujący wielki czarny helikopter. Właściwie to... ląduje na łące za domem.

– Macie znajomych z helikopterem? – pytam zdziwiona.

– Ece... to mój – odpowiada z lekkim zażenowaniem Tarquin. – Pożyczyłem go przyjacielowi, by zrobił sobie rundkę.

Tarquin ma helikopter?

Z drugiej strony facet, który ma milion domów i na dodatek helikopter, mógłby sobie pozwolić na nowy garnitur.

Wchodzimy do kościoła, który jest już pełen gości. Luke i ja wślizgujemy się do jednej z tylnych ławek. Przypatruję się krewnym Zuzy. Oto jej teść, ubrany we frak od smokingu w kolorze bakłażana, a zaraz obok Fenella, siostra Tarquina. Jest ubrana na niebiesko i piszczy właśnie z podekscytowaniem do jakiejś jasnowłosej dziewczyny, której nie znam.

– Kto to jest, Agnes? – rozlega się za mną świdrujący głos.

Odwracam się i dostrzegam siwowłosą starszą panią, która ma przypiętą gigantyczną broszkę z rubinem. Przez miniaturową lornetkę przygląda się tej nieznannej mi blondynce.

– To Fenella, moja droga! – odpowiada siedząca obok kobieta w zieleni.

– Nie chodzi mi o Fenellę. Kim jest ta dziewczyna, która z nią rozmawia?

– Masz na myśli Lulu? To Lulu Hetherington.

Muszę przyznać, że jestem zdziwiona. Lulu to jednak nie koń.

Przyglądam się jej, tym razem uważnie. Tak po prawdzie to ona rzeczywiście wygląda jak koń. Tak jak Zuza jest bardzo szczupła i smukła. Ma na sobie różowy kostium z tweedu. Właśnie śmieje się z czegoś, co mówi Fenella – a w uśmiechu odsłania wszystkie zęby i dziąsła.

– To jedna z matek chrzestnych – dodaje Agnes. – Wspaniała dziewczyna. Najlepsza przyjaciółka Zuzanny.

Co takiego?

Podnoszę ze zdumieniem głowę. To absurd. To ja jestem najlepszą przyjaciółką Zuzy. Wszyscy o tym wiedzą.

– Lulu przeprowadziła się na wieś sześć miesięcy temu i od tamtej pory dziewczęta są nierozłączne! – kontynuuje Agnes. – Codziennie jeżdżą razem konno. Jest taka podobna do naszej kochanej Zuzanny. Spójrz tylko na nie!

Przed ołtarzem pojawia się, Zuza, trzymając w ramionach Wilfrida. Rzeczywiście istnieje pewne podobieństwo między nią a Lulu. Obie są wysokie i jasnowłose. Obie mają włosy zebrane w kok. Zuza mówi właśnie coś do Lulu, a na jej twarzy maluje się ożywienie. Następnie obie wybuchają śmiechem.

– I oczywiście mają ze sobą tyle wspólnego! – kontynuuje Agnes. – Konie i dzieci... są dla siebie naprawdę cudownym oparciem.

– Każdej dziewczynie potrzebna jest przyjaciółka – odpowiada ze znanstwem druga staruszka.

Milknie, gdy zaczynają grać organy. Wierni wstają, a ja razem z nimi. Nie jestem jednak w stanie śpiewać ze wszystkimi. W głowie mam totalny mętlik.

Ci ludzie wszystko pojmują na opak. Ta dziewczyna nie jest najlepszą przyjaciółką Zuzy. To ja nią jestem.

Kiedy uroczystość dobiega końca, wszyscy wracamy do domu. W holu przygrywa kwartet smyczkowy, a wokół krążą kelnerzy z drinkami. Luke'a natychmiast zagaduje jakiś przyjaciel Tarquina, który zna go na gruncie zawodowym, a ja przez chwilę stoję sama, rozmyślając o tym, co usłyszałam w kościele.

– Bex! – Słyszę za sobą głos Zuzy. Odwracam się do niej z ulgą.

– Zuza! – Uśmiecham się do niej promiennie. – Było pięknie!

Już na sam widok jej przyjaznej twarzy wszystkie moje troski znikają jak ręką odjął. To oczywiste, że nadal jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości!

Muszę pamiętać, że długo nie było mnie w kraju. Nic dziwnego, że Zuza musiała się zapoznać z miejscowymi ludźmi. Ale już wróciłam!

– Zuza, wybierzmy się jutro na zakupy! – proponuję pod wpływem impulsu. – Możemy pojechać do Londynu... Pomogę ci przy dzieciach...

– Bex, nie mogę. – Marszczy brwi. – Umówiłam się z Lulu na przejażdżkę konną.

Przez chwilę milczę. Nie mogłaby tego odwołać?

– No tak. – Próbuję się uśmiechnąć. – Cóż... nie ma sprawy. Przełożymy to na inny raz!

Dziecko w ramionach Zuzy zaczyna donośnie krzyczeć.

– Muszę je nakarmić. Ale potem koniecznie przedstawię cię Lulu. Od razu się polubicie!

– Jestem tego pewna! – odpowiadam, starając się, by w moim głosie słychać było entuzjazm. – Do zobaczenia później!

Patrzę, jak Zuza znika w bibliotece.

– Szampana, *madami* – pyta przechodzący obok mnie kelner.

– Chętnie. Dzięki.

Biorę z tacy kieliszek. Po chwili, wpadając na pewien pomysł, sięgam po jeszcze jeden. Podchodzę do drzwi biblioteki i już dotykam klamki, kiedy ze środka wychodzi Lulu i zamyka za sobą drzwi.

– Witam! – odzywa się z akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer. – Zuza właśnie tam karmi.

– Wiem. – Uśmiecham się. – Jestem Becky, jej „przyjaciółka”. Mam dla niej szampana.

Lulu także się do mnie uśmiecha – ale nie zdejmuje dłoni z klamki.

– Sądzę, że pragnie mieć nieco prywatności – mówi uprzejmie.

Przez chwilę jestem zbyt zdumiona, by się odezwać.

Prywatności? Przede mną?

To ja byłam z Zuzą, kiedy urodziła Erniego! – mam ochotę ripostować. Widziałam więcej, niż ty kiedykolwiek zobaczysz!

Ale nie. Nie zamierzam bawić się z nią w jakieś wyliczanki, kiedy dopiero co się poznałyśmy. Muszę wykrzesać z siebie nieco uprzejmości.

– To pewnie ty jesteś Lulu – mówię tak ciepło, jak tylko potrafię, i wyciągam dłoń. – Jestem Becky.

– Wiele o tobie słyszałam.

Dlaczego jest wyraźnie rozbawiona? Co ta Zuza jej o mnie naopowiadała?

– A ty jesteś matką chrzestną Clementine! – mówię jowialnie. – To... wspaniale!

Naprawdę staram się nawiązać z Lulu nic porozumienia, ale jest w niej coś, co sprawia, że się wzdrygam w środku. Usta ma nieco za wąskie, a oczy zbyt zimne.

– Cosmo! – warczy nagle. Podążam za jej spojrzeniem i dostrzegam małego chłopca, który drepcze niezdarnie w stronę kwartetu smyczkowego. – Odejdź stamtąd, kochanie!

– Cosmo! Piękne imię – mówię z udawaną serdecznością. – To na cześć magazynu?

– Magazynu? – Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym była totalną kretynką. – Pochodzi od starożytnego greckiego słowa Kosmos, oznaczającego „idealny porządek”.

Odczuwam zakłopotanie, do którego po chwili dołącza uraza. Skąd niby miałam to wiedzieć?

Tak czy inaczej to ona jest głupia. Ile osób słyszało o magazynie „Cosmo”? Około miliona. A ile słyszało o jakimś starym greckim słowie? Pewnie ze trzy. No właśnie.

– Masz dzieci? – pyta z uprzejmym zainteresowaniem.

– Eee... nie.

– Masz konie?

– Eee... nie.

Cisza. Lulu najwyraźniej skończyły się pytania. Chyba kolej na mnie.

– Więc... ile masz dzieci?

– Czwooro – odpowiada. – Cosmo, Ludo, Ivo i Clarissa. Dwa, trzy, pięć i osiem.

– O kurczę. To pewnie strasznie absorbujące.

– Och, kiedy ma się dzieci, żyje się w zupełnie innym świecie – odpowiada z samozadowoleniem. – Wszystko się zmienia. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Chyba wiem – mówię ze śmiechem. – Pomagałam Zuzie, kiedy Ernie był malutki. Wiem więc, jak to jest...

– Nie. – Posyła mi protekcyjny uśmiech. – Dopóki sama nie zostaniesz matką, nie masz o tym pojęcia. Najmniejszego.

– Może i masz rację – odpowiadam, czując się stłamszona. Jak Zuza może się przyjaźnić z taką kobietą? No jak? Nagle drzwi biblioteki się otwierają i pojawia się w nich Zuza. Jedną ręką trzyma dziecko, w drugiej ma telefon komórkowy, a na jej twarzy maluje się niepokój.

– Cześć, Zuza! – odzywam się szybko. – Właśnie niosłam ci kieliszek szampana! – Podaję jej, ale ona zdaje się go nie dostrzegać.

– Lulu, Wilfie ma wysypkę! – mówi z zatroskaniem. – Czy twoje miały kiedyś coś takiego?

– Przyjrzyjmy się jej – odpowiada Lulu, biorąc dziecko z ramion Zuzy. Przygląda mu się przez chwilę. – Według mnie to potówki.

– Naprawdę?

– Mnie to wygląda na ślady po pokrzywie – wtrącam. – Przebywał ostatnio w pobliżu pokrzyw?

Żadna nie wykazuje zainteresowania moją diagnozą.

– Na potówki jest dobry sudocrem – oświadcza ze znanstwem Lulu. – Jak chcesz, to ci kupię. I tak muszę później podskoczyć do apteki.

– Dzięki, Lulu. Jesteś wspaniała!

Zuza z wdzięcznością bierze od niej Wilfiego i dokładnie w tej samej chwili dzwoni jej komórka.

– Witam! No, nareszcie! Gdzie pan jest? – Po chwili na jej twarzy pojawia się przerażenie. – Pan chyba sobie żartuje!

– Co się stało? – pytamy jednocześnie ja i Lulu.

– To Pan Wesolek! – jęczy Zuza, odwracając się do Lulu. – Złapał gumę! Stoi teraz obok Mokradel Tiddlington.

– Kto to jest Pan Wesolek? – pytam oszołomiona.

– Kuglarz! – odpowiada z desperacją w głosie Zuza. – Czeka na niego pokój pełen dzieciaków! – Wskazuje na podwójne drzwi, za którymi widać stadko dzieci w eleganckich sukieneczkach i koszulach, biegających i rzucających w siebie poduszkami.

– Już po niego jadę – oświadcza Lulu, odstawiając kieliszek. – Wiemy przynajmniej, gdzie jest. Będę za dziesięć minut. Powiedz mu, żeby stał przy samochodzie i wypatrywał rangę rovera.

– Jesteś naprawdę cudowna – odpowiada z ulgą Zuza. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Czuję ukłucie zazdrości. To ja chcę być tą, która pomaga Zuzie. To ja chcę być naprawdę cudowna.

– Mogę po niego pojechać! – oznajmiam. – Już lecę!

– Nie wiesz, gdzie to jest – odpowiada grzecznie Lulu. – Lepiej będzie, gdy ja to zrobię.

– No, a co z dziećmi? – Zuza spogląda nerwowo na pokój, w którym krzyki dzieciaków stają się coraz głośniejsze.

– Będą musiały poczekać.

– Ale...

– Ja je zabawię! – mówię, nie zastanawiając się nawet nad własnymi słowami.

– Ty? – Odwracają się jak na komendę i patrzą na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Tak, ja – odpowiadam pewnym siebie głosem.

Ha. Już ja wam pokażę, kto jest lepszą przyjaciółką Zuzy.

– Bex... jesteś tego pewna? – pyta Zuza z nieskrywanym niepokojem.

– Jak najbardziej!

– Ale...

– Zuza... – Kładę dłoń na jej ramieniu. – Proszę. Chyba potrafię przez dziesięć minut zabawić kilkoro dzieci.

O mój Boże!

Tu panuje autentyczny chaos.

Nie słyszę własnych myśli. Nie słyszą niczego oprócz wrzasków dwudziestu podekscytowanych dzieciaków, biegających po pokoju i naporzających się.

– Eee... przepraszam... – zaczynam.

Wrzaski stają się jeszcze głośniejsze. Jestem pewna, że ktoś w tym pokoju jest właśnie mordowany, tyle że nie widzę kto, ponieważ wszystko wydaje się tworzyć jedną zamazaną plamę.

– Siadajcie! – ryczę, usiłując przekrzyknąć hałas. – Wszyscy siadają!

Nie zatrzymują się nawet na ułamek sekundy. Staję na krześle i zwijam dłonie w trąbkę.

– Kto usiądzie... – wrzeszczę – dostanie CUKIERKA! Nagle wrzaski cichną i słychać tylko łomot – dwadzieścioro dzieci siada na podłodze.

– Witam wszystkich! – mówię radośnie. – Jestem... jestem Śmieszna Becky! – Potrząsam

głową. – Wszyscy mówią: „Witaj, Śmieszna Becky!”

Cisza.

– A gdzie cukierek? – odzywa się mała dziewczynka.

Grzebię w torebce, ale znajduję w niej tylko ziołowe tabletki na sen o smaku pomarańczowym, które kupiłam, by poradzić sobie ze zmianą czasu.

A może mogłabym...

Nie. Nie. – Później! – mówię. – Musicie grzecznie siedzieć... a potem dostaniecie cukierka.

– Ona jest do niczego – oświadcza chłopiec w koszuli Ralpho Lauro.

– Wcale nie! – wołam z oburzeniem. – Patrzcie tylko! Szybko zakrywam dłońmi twarz, po czym je opuszczam.

– Łuu!

– Nie jesteśmy małymi dziećmi – mówi pogardliwie chłopiec. – Nie znasz prawdziwych sztuczek?

– A może zaśpiewam jakąś ładną piosenkę? – pytam uspokajającym tonem. – Pieski małe dwa... la la la... rzeczku...

– Zrób sztuczkę! – piszczy mała dziewczynka.

– Chcemy sztuczkę! – dołącza się chłopiec.

– Zrób! Sztuczkę! Zrób! Sztuczkę!

O Boże! One skandują. A chłopcy walą pięściami w podłogę. Lada chwila wstaną i znowu zaczną się napażać. Sztuczka. Sztuczka. Myślę gorączkowo. Czy znam w ogóle jakieś sztuczki?

– No dobrze! – oświadczam desperacko. – Zrobię sztuczkę! Patrzcie tylko!

Teatralnym gestem rozkładam ramiona, po czym posuwistymi ruchami sięgam za plecy, przeciągając tę czynność tak długo, jak to tylko możliwe.

Następnie rozpinam przez koszulę stanik, usiłując sobie jednocześnie przypomnieć, jakiego jest koloru.

Ach tak. To ten różowy z kokardkami. Doskonale.

Wszystkie dzieciaki wpatrują się we mnie z rozdziawionymi buzi.

– Co ty robisz? – pyta mała dziewczynka, wybałuszając oczy.

– Poczekajcie, to zobaczycie!

Starając się podtrzymać atmosferę tajemniczości, dyskretnie opuszczam jedno ramię, a po chwili drugie. Wszystkie dzieci obserwują mnie z zapartym tchem.

Teraz, kiedy wróciła mi już pewność siebie, odnoszę wrażenie, że całkiem dobrze sobie radzę. Prawdę mówiąc, wydaję się stworzona do czegoś takiego!

– Patrzcie teraz uważnie – oświadczam uroczystym głosem magika – gdyż zaraz sprawię, że coś się... POJAWI!

Kilkoro dzieci wciąga gwałtownie powietrze. Naprawdę przydałby się teraz warkot werbli.

– Raz... dwa... trzy... – Płynnym ruchem wyciągam z rękawa różowy stanik i podnoszę go wysoko. – Ta da!

W pokoju rozbrzmiewają ekstatyczne wrzaski.

– Zrobiła magiczną sztuczkę! – woła rudowłosa chłopczyk.

– Jeszcze raz! – piszczy mała dziewczynka. – Zrób to jeszcze raz!

– Chcecie jeszcze raz zobaczyć, jak to robię? – pytam, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Taaaak! – wołają chórem.

– Nie sądzę! – od strony drzwi dobiega dystyngowany głos.

Odwracam się – a tam stoi Lulu. Jest wyraźnie zbulwersowana. O nie. Kurczę blade. Stanik nadal zwisa z mojej ręki.

– Dzieciaki chciały, żebyś zrobiła sztuczkę – wyjaśniam, wzruszając ramionami z udawaną nonszalancją.

– Chyba nie o takie właśnie „sztuczki” im chodziło! – odpowiada, unosząc brwi. Odwraca się do dzieci z promiennym, mamusiowatym uśmiechem. – Kto chce zobaczyć Pana Wesołka?

– Chcemy Śmieszna Becky! – wrzeszczy chłopiec. – Ona zdjęła stanik!

Cholera!

– Śmieszna Becky musi... eee... już jechać! – mówię wesoło. – Ale do zobaczenia następnym razem, dzieci!

Unikając spojrzenia Lulu, zgniatam stanik w małą kulkę, wpycham go do torebki i wychodzę z pokoju. Podchodzę do stołu z jedzeniem, gdzie Luke właśnie częstuje się łososiem.

– Wszystko w porządku? – pyta ze zdziwieniem w głosie. – Jesteś cała czerwona na twarzy.

– Nic... nic mi nie jest. – Biorę kieliszek i pociągam spory łyk szampana. – Wszystko w porządku.

Ale to nieprawda.

Wciąż czekam, aż Lulu sobie pójdzie i wreszcie będę mogła spokojnie pogadać z Zuzą – ale ona robi mi chyba na złość. Wciąż płacze się w pobliżu, pomaga robić herbatę dla dzieci i sprząta. Za każdym razem, gdy próbuję w czymś pomóc, ona już tam jest przede mną z mokrą szmatką, kubkiem albo matczyną radą. Ona i Zuza prowadzą nieprzerwany dialog „na temat dzieci. Niemożliwe, by udało mi się wtrącić choć słowo.

Wychodzi dopiero około dziesiątej, a ja wreszcie zostaję w kuchni sama z Zuzą. Siedzi właśnie obok kuchenki, karmi jedno z bliźniąt i co trzy minuty potężnie ziewa.

– Mieliście więc cudowną podróż poślubną? – pyta tęsknie.

– Było fantastycznie. Dosłownie idealnie. Pojechaliśmy do Australii, w to wspaniałe miejsce, gdzie można nurkować i...

Urywam, gdyż Zuza ponownie ziewa. Może opowiem jej o tym jutro.

– No, a co u ciebie? Jak tam życie z trójką dzieci?

– Och, no wiesz. – Posyła mi pełen zmęczenia uśmiech. – W porządku. To jest wyczerpujące. Wszystko się zmienia.

– I... spędzasz mnóstwo czasu z Lulu – mówię od niechcienia.

– Jest świetna, no nie? – pyta, a jej twarz się rozjaśnia.

– Eee... świetna. Wydaje się jednak nieco apodyktyczna... – dodaję ostrożnie.

– Apodyktyczna? – Podnosi ze zdumieniem głowę. – Bex, jak możesz tak mówić? Jest tutaj moim prawdziwym wybawcą! Tak bardzo mi pomogła!

– Jasne – wycofuję się pospiesznie. – Nie miałam na myśli...

– Wie dokładnie, przez co teraz przechodzę – wzdycha Zuza. – Ma przecież czwórkę własnych dzieci! Ona naprawdę mnie rozumie.

– Jasne.

A ja nie rozumiem. To właśnie chciała powiedzieć.

Kiedy przyglądam się memu kieliszкови z winem, nagle robi mi się ciężko na sercu. Żadne z moich spotkań nie jest takie, jak się spodziewałam.

Wstaję i podchodzę do piecyka, obok którego na korkowej tablicy wisi mnóstwo rodzinnych zdjęć. Jest tam też zdjęcie moje i Zuzy, wystrojonych na imprezę w boa z piór. I to, na którym jesteśmy w szpitalu razem z małym Erniem.

Nagle z ukłuciem serca dostrzegam zupełnie nowe zdjęcie, przedstawiające Zużę i Lulu na koniach w takich samych marynarkach do konnej jazdy i siatkach na włosy. Uśmiechają się promiennie do aparatu i wyglądają jak jednojajowe bliźniaczki.

Kiedy przyglądam się zdjęciu, wzbiera we mnie determinacja. Nie mam zamiaru stracić najlepszej przyjaciółki na rzecz jakiejś apodyktycznej królowej hippiki o końskiej twarzy. Cokolwiek potrafi Lulu, potrafią i ja.

– Może pojedę jutro z tobą i Lulu na przejażdżkę – mówię swobodnym tonem. – O ile macie wolnego konia.

Włożę nawet siatkę na włosy, jeśli tak właśnie trzeba.

– Pojedziesz? – Zuza przygląda mi się z osłupieniem. – Ale... Bex. Ty przecież nie umiesz jeździć konno.

– Umieję – odpowiadam nonszalancko. – Jeśli chcesz wiedzieć, to Luke i ja jeździliśmy sobie trochę podczas naszej podróży.

To poniekąd jest prawdą. Zamierzaliśmy przejechać się w Dubaju na wielbłądach, tyle że ostatecznie wybraliśmy nurkowanie.

Ale teraz to nie ma znaczenia. Poradzą sobie. Jazda konna nie może być przecież aż taka trudna. Siada się po prostu na koniu i jedzie. Proste.

Nazajutrz o dziesiątej rano jestem gotowa. Nie chcę się przechwalać, ale kiedy przeglądam się w lustrze, muszę przyznać, że wyglądam doskonale! Z samego rana Luke zawiózł mnie do sklepu ze sprzętem jeździeckim w sąsiedniej wsi, w którym się nieźle obkupiłam. Mam teraz na sobie śnieżnobiałe bryczesy, dopasowany frak, lśniące oficerki i piękny nowy toczek z aksamitu.

Z dumą sięgam po *piece de resistance* – wielką czerwoną kokardą z błyszczącymi wstążkami. W sklepie było ich mnóstwo, więc kupiłam po jednej w każdym kolorze! Ostrożnie przypinam ją do kołnierza jak bukiet, obciążam frak i podziwiam efekt końcowy.

Rany, wyglądam superancko. Już za sam wygląd spokojnie mogłabym wygrać każde zawody jeździeckie.

Może zacznę jeździć codziennie w Hyde Parku – myślę, nagle podekscytowana. Może się okaże, że jestem w tym naprawdę dobra. Wtedy będę przyjeżdżać tutaj co weekend i jeździć razem z Zuzą. Będziemy mogły brać udział w zawodach hippicznych i w ogóle stanowić jeden zespół! A ona zupełnie zapomni o tej głupiej Lulu.

– Wyczka! – woła Luke, wchodząc do sypialni. – Wyglądasz niezwykle sztywnie.

– Super, no nie? – uśmiecham się do niego promiennie.

– Bardzo seksownie. – Unosi brwi. – Świetne buty. Kiedy wrócisz?

– Niedługo. Zamierzamy jedynie potruchtać po lesie. Usłyszałam słowo „potruchtać” w sklepie jeździeckim.

– Becky... – Luke przygląda mi się uważnie. – Czy chociaż raz w życiu siedziałaś na końskim grzbiecie?

– Tak! – odpowiadam po krótkiej chwili milczenia. – Pewnie, że tak!

Raz. Kiedy miałam dziesięć lat. I spadłam. Ale najpewniej niewystarczająco się skoncentrowałam lub coś w tym stylu.

– Tylko bądź ostrożna, dobrze? Nie jestem jeszcze gotowy na to, by zostać wdowcem.

No wiecie co? Czym on się tak przejmuje?

– Lecę już! – mówię, zerkając na nowy Jeździecki” zegarek z wbudowanym kompasem. – Na razie!

Wszystkie konie trzymane są w stajni w sporej odległości od domu. Kiedy się zbliżam, od strony dziedzińca słyszę rzenie i tupot kopyt.

– Cześć! – mówi Lulu, wyłaniając się zza rogu w starych bryczesach i polarze. – Wszystko już... – Urywa, kiedy mnie dostrzega. – O mój Boże. – Parska śmiechem. – Zuzo, chodź tutaj i popatrz na Becky!

– Co się stało? – Wybiega zza rogu i staje jak wryta. – O rany, Bex. Wyglądasz bardzo... elegancko!

Ona ma na sobie brudne stare bryczesy, ubłocone oficerki i podniszczony toczek.

– Chciałam jakoś wyglądać! – odpowiadam, starając się, by zabrzmiało to lekko i obojętnie.

- A to co? – Lulu przygląda się z niedowierzaniem mojej kokardzie.
- Bukieciak. Sprzedawali je w sklepie jeździeckim – dodają znacząco.
- Dla koni – odzywa się łagodnie Zuza. – Bex, one są dla koni.
- Och.

Przez chwilę czuję się trochę nieswojo. No, ale... dlaczego ludzie nie mogą ich także nosić? Boże, ci koniarze są tacy ograniczeni.

– Proszę bardzo! – To Albert, który zajmuje się końmi u rodziców Zuzy. Prowadzi za lejce ogromnego brązowego wierzchowca. – Posadźmy panią dzisiaj na Gingera. Jest łagodny, no nie, chłopcze?

Zamieram z przerażenia. On się spodziewa, że wsiądę na tego potwora?

Albert podaje mi uzdę, a ja biorę ją od niego machinalnie, starając się nie wpadać w panikę. Koń robi krok w przód, a ja z przerażeniem uskakuję w tył. A co będzie, jeśli przydepcze tym swoim kopytem moją stopę?

– Nie zamierzasz na niego wsiąść? – pyta Lulu, sadowiąc się w siodle konia, który, jeśli to w ogóle możliwe, jest jeszcze większy od mojego.

– Oczywiście! – odpowiadam, nonszalancko się śmiejąc. Jak? No, jak ja mam na niego wsiąść?

– Pomóc ci? – pyta Tarquin, który kilka metrów dalej rozmawia z Albertem.

Staje za mną i zanim jestem w stanie pomyśleć, co się dzieje, podsadza mnie prosto na siodło. O mój Boże!

Jestem tak wysoko. Kiedy patrzę w dół, kręci mi się w głowie. Nagle Ginger robi kilka kroków w bok, a ja powstrzymuję okrzyk przerażenia.

– Jedziemy? – woła Zuza, która siedzi już na swoim starym czarnym Pepperze i ze stukotem kopyt przejeżdża przez bramę na łąkę.

Lulu jakoś tak dziwnie klika językiem, zawraca konia i rusza za nią.

No tak. Moja kolej. Jechać.

No, jedź, koniu. Rusz się.

Nie mam pojęcia, co teraz zrobić. Mam go kopnąć? Tytułem eksperymentu pociągam za uzdę, ale nic się nie dzieje.

– Wio – mruczę pod nosem. – Wio, Ginger!

Nagle chyba dostrzegł, że jego koledzy zniknęli, i zaczyna iść. I jest... Okej. Jest w porządku. Tylko trochę bardziej... trzęsie, niż to sobie wyobrażałam. Patrzę na oddalającą się Lulu, której najwyraźniej jest całkiem wygodnie. Uzdę trzyma nawet w jednej dłoni, ale myślę, że się po prostu popisuje.

– Zamknij bramę! – woła do mnie.

Zamknąć bramę? Jak mam zamknąć tę bramę? – myślę spanikowana.

– Ja to zrobię! – woła Tarquin. – Bawcie się dobrze!

– Jasne! – odkrzykuję radośnie.

No dobrze. Jeśli tylko będziemy jechać powoli, dam sobie radę. W gruncie rzeczy to może być nawet fajnie. Słońce świeci, powiewa delikatny wietrzyk, konie są ładne i mają lśniąca sierść, a cała nasza grupa wygląda naprawdę malowniczo.

Wcale się nie chcę przechwalać, ale sądzę, że ja wyglądam najlepiej. Mój strój jest bez cienia wątpliwości najładniejszy. Co jakiś czas mijamy ludzi, idących ścieżką przez łąkę, a wtedy kiwam nonszalancko głową, mówiąc tym samym: „Czyż nie wyglądam świetnie na tym koniu?”, a oni zdają się być naprawdę pod wrażeniem! Pewnie myślą, że jestem zawodowcem.

Może odnalazłam w sobie wrodzony talent. Może Luke i ja powinniśmy kupić kilka koni i parę akrów ziemi. Moglibyśmy się tym zająć na poważnie. Organizowalibyśmy zawody jeździeckie i skoki przez przeszkody, tak jak Zuza...

Cholera. Co się dzieje? Ni z tego, ni z owego Ginger zaczyna podskakiwać w górę i w dół.

Czy to kłus?

Patrzę na Zużę i Lulu. Obie unoszą się i opadają na siodła w rytm kroków koni.

Jak one to robią?

Usiłuję je naśladować – ale kończy się to bolesnym obijaniem tyłka o siodło. Ała! Te siodła są koszmarnie twarde. Dlaczego niczym się ich nie wyściela? Gdybym to ja projektowała siodła, byłyby naprawdę miękkie i wygodne, miałyby puszyste poduchy i może nawet uchwyty do napojów, i...

– Pocwałujemy? – woła przez ramię Zuza.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, a ona już spina konia i oddala się niczym prawdziwa amazonka, a w ślad za nią podąża Lulu.

– My wcale nie musimy cwałować, Ginger – mówię pospiesznie do konia. – Możemy sobie po prostu...

O mój Booooooże! Ruszył z kopyta za pozostałą dwójką.

Cholera! Cholera jasna! Zaraz zlecę i skręcę kark. Wiem, że tak się stanie. Moje ciało jest całe zeszywniałe. Trzymam się siodła tak mocno, że aż mnie bolą dłonie.

– Wszystko w porządku, Bex? – woła Zuza.

– Tak! – odkrzykuję zduszonym głosem.

Pragnę, by to wszystko się skończyło. Wiatr smaga mnie po twarzy. Z przerażenia robi mi się niedobrze.

Zginę – to pewne jak w banku. Moje życie jest skończone. Pocieszam się jedynie tym, że nekrologi w gazetach będą brzmiały naprawdę odlatowo:

Zapalona amazonka, Rebeka Brandon (z domu Bloomwood), zginęła podczas przejażdżki konnej z przyjaciółkami.

O Boże! To zwierzę chyba powoli zwalnia. Nareszcie. Jedziemy kłusem... tak jakby truchtamy... i wreszcie się zatrzymujemy.

Jakoś udaje mi się rozewrzeć dłonie.

– Cudnie, prawda? – pyta Zuza, odwracając się na Pepperze. Jej jasne włosy wysypują się spod toczka, a policzki ma całe zaróżowione. – Pogałopujemy?

Galop?

Chyba żartuje. Jeśli Ginger zrobi choćby jeden krok więcej, jak nic zwymiotuję.

– Umiesz już skakać, Bex? – pyta Zuza. – Tam dalej trzeba będzie przeskoczyć w kilku

miejscach, ale powinnaś sobie z tym poradzić – mówi zachęcająco. – Jesteś naprawdę dobra!

Przez chwilę nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Ja tylko muszę... eee... poprawić strzeżenie – wykrztuszam wreszcie. – Ale wy jedźcie.

Czekam, aż obie znikną mi z oczu, po czym ześlizguję się na ziemię. Trzęsą mi się nogi i czuję mdłości. Już nigdy więcej nie opuszczę stabilnego podłoża. Nigdy. Jak, u diabła, ludzie mogą robić coś takiego dla przyjemności?

Z ciężko walącym sercem osuwam się na trawę. Zdejmuję nowy toczek – który, prawdę mówiąc, od samego początku uciskał mi uszy – i rzucam go smętnie.

Zuza i Lulu są już teraz pewnie wiele kilometrów stąd. Galopują i rozmawiają o pieluchach.

Siedzę tak sobie kilka minut. Próbuję odzyskać równowagę i przyglądam się, jak Ginger skubie trawę. W końcu podnoszę tyłek z ziemi i rozglądam się po pustym polu. No tak. I co ja mam teraz zrobić?

– Chodź – mówię do Gingera. – Wracamy do domu. – Staję obok niego i ostrożnie pociągam za uzdę, a wierzchowiec, ku memu zdumieniu, posłusznie idzie za mną.

To już znacznie bardziej mi się podoba. Tak właśnie powinno się to robić.

Kiedy tak razem idziemy, zaczynam się nieco odprężyć. Właściwie to koń jest całkiem niezłym dodatkiem. Kto powiedział, że trzeba na niego wsiadać? Mogłabym codziennie chodzić do Hyde Parku. Kupię sobie naprawdę ładnego konia i będę go oprowadzać jak psa. A gdyby jakiś przechodzień zapytał mnie: „Dlaczego pani nie jedzie na tym koniu?”, posłałabym mu znaczący uśmiech i odparła: „Dzisiaj odpoczywamy”.

Idziemy tak sobie powoli przez jakiś czas, aż wreszcie dochodzimy do pustej drogi. Stoję chwilę, patrząc na lewo i prawo. Z jednej strony droga znika za zboczem wzgórza. Jednak z drugiej widzę coś, co wygląda na słodką, małą wioskę. Wszystkie domy drewniane, mnóstwo trawy i...

Ooch. Czy to są... sklepy?

Już wiem, że to nie będzie stracony dzień.

Pół godziny później mój nastrój znacznie się poprawia.

Kupiłam apetycznie wyglądający ser z orzechami włoskimi i marmoladę z agrestu, i jeszcze pęczek ogromnych rzodkiewek, które Luke'owi na pewno będą bardzo smakować. A najlepsze ze wszystkiego jest to, że znalazłam także mały sklepik z kapeluszami. Właśnie w tej wsi! Podobno kapelusznik mieszka na miejscu, a jest z niego jak nic następny Philip Treacy. Co prawda niezbyt często noszę kapelusze... ale z całą pewnością wkrótce otrzymam zaproszenie na ślub albo do Ascot, albo jeszcze gdzie indziej. A ceny były dosłownie śmieszne. No więc kupiłam jeden biały, ozdobiony strusimi piórami, a drugi z czarnego aksamitu wyszywanego paciorkami. Są może trochę nieporęczne w tych wielkich pudłach, ale naprawdę warto było je kupić.

Ginger rży, kiedy podchodzę do słupa latarni, do którego go przywiązałam, i stuka kopytem o ziemię.

– Nie martw się! – mówię. – Nie porzuciłam cię.

Kupiłam mu całą reklamówkę drożdżówek z rodzynkami i szampon do grzywy,

zapewniający „ekstrapołysk”. Sięgam do reklamówki i podaję mu drożdżówkę, usiłując się nie wzdrygać, kiedy ślini mi dłoń.

Jedynym problemem w tej chwili jest to... gdzie umieszczę te zakupy? Nie bardzo da się tachać te wszystkie torby i jednocześnie prowadzić Gingera. Przyglądam mu się z namysłem. A może powinnam spróbować wspiać się na niego, cały czas trzymając w rękach torby? Co w dawnych czasach ludzie robili w takich przypadkach?

Wtem na jednym z pasków przy siodle Gingera dostrzegam coś w rodzaju dużej sprzączki. Bez problemu mogłabym na tym zawiesić torbę. Biorę jedną reklamówkę, przymocowuję ją – no i pasuje idealnie! Kiedy się uważniej przyjrzeć, cała uprzęż ma te użyteczne sprzączki. Genialne! Jestem przekonana, że takie właśnie jest ich przeznaczenie!

Radośnie wieszam torby na każdym dostępnym haczyku, pasku i sprzączce. Super. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak dużo zakupów jest w stanie nieść koń. Na końcu przywiązuję dwa pudła z kapeluszami. Są naprawdę śliczne – całe w różowe i białe paski.

No dobrze. Jesteśmy gotowi.

Odwiązuję Gingera i ruszamy. Po drodze staram się uchronić pudła z kapeluszami przed nadmiernym poobijaniem. Kilka mijanych osób gapi się na nas z otwartymi buziami, ale nie przejmuję się tym. Pewnie nie są przyzwyczajeni do nowych twarzy w tej okolicy.

Właśnie zbliżamy się do pierwszego zakrętu, kiedy rozlega się tętent kopyt. W następnej chwili wyłaniają się zza niego Zuza i Lulu.

– To ona! – woła Lulu, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Bex! – krzyczy Zuza. – Martwiłyśmy się! Nic ci się nie stało?

– Wszystko w porządku! – odkrzykuję. – Świetnie się bawiliśmy!

Kiedy się zbliżają, widzę, jak Zuza i Lulu wymieniają spojrzenia pełne zdumienia.

– Bex... coś ty zrobiła Gingerowi? – pyta Zuza, z niedowierzaniem lustrując wszystkie torby i pudelka.

– Nic – odpowiadam. – Nic mu nie jest. Zabrałam go jedynie na zakupy. Kupiłam dwa naprawdę fantastyczne kapelusze!

Czekam, by zawołała: „No to pokazuj nam je!”, ale ona wyglądała tak, jakby ją zatkało.

– Zabrała konia... na zakupy – mówi powoli Lulu. Przygląda mi się przez chwilę, po czym przechyla się i szepcze coś do ucha Zuzy.

Nagle Zuza wyduje z siebie bezradne parsknięcie i natychmiast zasłania dłonią usta.

Twarz mi płonie.

Śmieje się ze mnie.

Nigdy nie sądziłam, że moja najlepsza przyjaciółka będzie się ze mnie śmiała.

– Nie jestem po prostu taka dobra wjeździe konnej – mówię, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie. – Pomyślałam, że pozwolę wam pogalopować. Ale mniejsza o to. Lepiej wracajmy już do domu.

Zuza i Lulu zawracają konie i bardzo powoli pokonujemy drogę do domu, nie odzywając się praktycznie ani słowem.

Gdy docieramy na miejsce, Lulu udaje się do siebie, a Zuza musi pędzić, by nakarmić bliźnięta. Zostaję przed stajnią z Albertem, który jest naprawdę słodki i pomaga mi

poodwiązywać z uprząży Gingera wszystkie torby i pudełka.

Obladowana zakupami, ruszam w kierunku domu, kiedy pojawia się Luke w kurtce i kaloszach.

– No i jak było?

– W porządku – odpowiadam ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Czekam, by mnie zapytał, co się stało, ale on sprawia wrażenie lekko podenerwowanego.

– Becky, przed chwilą dzwoniłem do biura do Gary’ego – mówi. – Musimy jak najszybciej zacząć pracować nad tą prezentacją dla Arcodas Group. Naprawdę bardzo mi przykro, ale będę już musiał wracać do miasta. Ale wiesz co, może zostaniesz tutaj na kilka dni? – Uśmiecha się. – Wiem, jak bardzo chciałaś się spotkać z Zuzą.

Nagle zalewa mnie fala ciepłych uczuć. On ma rację. Naprawdę bardzo się chciałam zobaczyć z Zuzą i nie przeszkodzi mi w tym żadna głupia Lulu. Mam zamiar porozmawiać sobie od serca z moją przyjaciółką. I to teraz.

Wchodzę pospiesznie do domu. Zuza jest w kuchni i karmi obydwójce bliźnięt naraz, a Ernie walczy o miejsce na jej kolanach.

– Zuza, słuchaj – mówię z przejęciem. – Zbliżają się twoje urodziny. Chcę ci zafundować coś naprawdę wyjątkowego. Jedźmy do Mediolanu! Tylko my dwie!

– Do Mediolanu? – Podnosi głowę i widzę, że na jej twarzy maluje się napięcie. – Ernie, uspokój się, kochanie. Bex, nie mogę jechać do Mediolanu! A co z dziećmi?

– Mogłyby pojechać razem z nami!

– Nie, nie mogłyby! – odpowiada Zuza niemal ostro. – Bex, ty po prostu nie rozumiesz!

Ranią mnie jej słowa. Dlaczego wszyscy mi powtarzają, że nie rozumiem? Skąd mogą wiedzieć?

– W takim razie dobrze. – Staram się zachować radosny ton. – Urządźmy sobie lunch urodzinowy tutaj! Przywiozę jedzenie, a ty nie będziesz musiała ruszyć nawet palcem...

– Nie mogę – przerywa mi Zuza, nie patrząc na mnie. – Prawdę mówiąc... mam już plany na urodziny. Lulu i ja jedziemy na cały dzień do spa. Specjalny dzień dla matek z dziećmi. To jej prezent dla mnie.

Przyglądam się jej, nie mogąc ukryć szoku. Przecież zawsze wspólnie spędzałyśmy nasze urodziny.

– No tak. – Przełykam kilkakrotnie ślinę. – Cóż... bawcie się dobrze.

W kuchni panuje cisza. Nie wiem, co powiedzieć. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, bym nie wiedziała, o czym rozmawiać z Zuzą.

– Bex... ciebie tutaj nie było – odzywa się nagle. Słyszę w jej głosie ból. – Nie było cię. Co miałam zrobić? Nie mieć żadnych przyjaciół?

– Jasne, że nie! – odpowiadam pogodnie. – Nie bądź niemądra!

– Nie dałabym sobie rady bez Lulu. Jest dla mnie prawdziwym wsparciem.

– Oczywiście, że tak. – Nagle do oczu napływają mi łzy i odwracam się, mrugając powiekami, by je powstrzymać. Cóż... dobrze się razem bawcie. Jestem pewna, że tak będzie. Przepraszam, że wróciłam i wam przeszkadzam.

– Bex, nie bądź taka. Wiesz co... porozmawiam z Lulu o tym spa. Jestem pewna, że

znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby.

Czuję ukłucie upokorzenia. Ona się nade mną lituje. Nie mogę tego znieść.

– Nie! – Z ogromnym wysiłkiem udaje mi się rozeźmiać. – To naprawdę nic wielkiego. Pewnie i tak nie miałabym czasu. Właściwie... przyszłam, by ci powiedzieć, że Luke i ja musimy już wracać do Londynu.

– Teraz? – Na jej twarzy maluje się zdumienie. – Myślałam, że spędzicie tutaj chociaż kilka dni.

– Mamy do załatwienia mnóstwo spraw! – Wysuwam podbródek. – U mnie także wszystko się zmieniło, wiesz? Jestem teraz mężatką! Muszę urządzić mieszkanie... dbać o Luke'a... organizować prośzone kolacje...

– No tak. – Zuza się waha. – Tak czy inaczej cudownie było się z tobą spotkać.

– Z tobą też! Było super! Musimy... to powtórzyć. W naszych głosach słyszeć fałsz.

Zapada cisza. Ścisza mnie w gardle. Zaraz się rozpłaczę. A właśnie że nie.

– No to... pójdę się spakować – odzywam się spokojnie. – Dzięki za wspaniałą gościnę.

Opuszczam kuchnię, biorę zakupy i odchodzę. Promienny uśmiech nie schodzi mi z twarzy aż do schodów.

ZAWODY HIPPICZNE NETHER PLEATON

Stajnie Manor

Pleaton

Hampshire

30.04.2003

Sz. P.

Rebeka Brandon

Maida Vale Mansions 37

Maida Vale

London NW6 OYF

Szanowna Pani!

Dziękuję za Pani list dotyczący Zawodów Hippicznych Nether Pleaton, które odbywają się w przyszłym miesiącu. Potwierdzam wykreślenie Pani nazwiska z następujących kategorii:

Jeździectwo Ogólne Skoki Ujeżdżanie – Seniorzy Byłabym wdzięczna, gdyby dała mi Pani znać, czy nadal jest Pani zainteresowana wzięciem udziału w konkursie „Najlepiej Utrzymany Kucyk”.

Z wyrazami szacunku –

Marjorie Davies

(organizator)

Tak czy inaczej to nie ma znaczenia. Nie potrzebują Zuzy.

Ludzie się pobierają, zmienia się ich życie, zmieniają przyjaciele. I tyle. To najzupełniej normalne. Ona ma swoje życie... a ja swoje. I świetnie. Od chrzcina minął tydzień – a ja przez ten czas praktycznie w ogóle o niej nie myślałam.

Pociągam łyk soku pomarańczowego, sięgam po „Financial Timesa”, którego Luke zostawił na stole, i zaczynam z werwą przerzucać strony.

Teraz, kiedy jestem mężatką, spodziewam się, że także nawiążę wiele nowych znajomości i przyjaźni. Wcale nie jestem zależna od Zuzy ani nic z tych rzeczy. Zapiszę się na jakiś kurs wieczorowy albo na przykład do klubu książki. A *moimi* nowymi przyjaciółmi będą naprawdę mili ludzie, którzy nie jeżdżą konno i nie nadają dzieciom głupich imion...

Tak energicznie przerzucam kartki, że zdążyłam już dotrzeć do końca „Financial Timesa”. Patrzę na gazetę z lekkim zdumieniem. O kurczę. Szybka jestem. Może zupełnie bezwiednie nauczyłam się ekspresowo czytać.

Przełykam łyk kawy i smaruję tost kremem czekoladowym. Siedzę w kuchni w mieszkaniu Luke’a w Maida Vale i jem późne śniadanie.

To znaczy... w naszym mieszkaniu w Maida Vale. Ciągle zapominam, że teraz w połowie należy do mnie! Luke wprowadził się tu na długo przed naszym ślubem, ale kiedy przeprowadziliśmy się do Nowego Jorku, całe mieszkanie zostało odnowione i wynajęte. Jest to najbardziej trendowe miejsce na świecie. Wszystko w stylu minimalistycznym, niesamowita kuchnia z powierzchniami ze stali nierdzewnej, jasnobezowe dywany i sporadyczne przykłady sztuki współczesnej.

Naprawdę je lubię. I to bardzo.

Jeśli jednak miałabym być tak zupełnie, ale to zupełnie szczerą, jak na mój gust jest ciutkę zbyt puste. Jeśli chodzi o urządzenie wnętrza, upodobania Luke’a dość znacznie odbiegają od moich – Jego dewiza brzmi: „jak najmniej rzeczy”, podczas gdy moja: „jak najwięcej rzeczy”.

Ale to nie ma znaczenia, ponieważ w magazynie o urządzeniu wnętrza czytałam artykuł o parach, i napisano tam, że stopień się dwóch różnych stylów nie powinno stanowić większego problemu. Podobno trzeba jedynie połączyć nasze indywidualne pomysły, wydzielić trochę powierzchni tworzącej nastrój i doprowadzić do tego, by nasze mieszkanie miało oryginalny wystrój.

Dzisiaj jest idealny dzień na to, by coś takiego zacząć. A to dlatego, że w każdej chwili mogą nam dostarczyć wszystkie zakupy z podróży poślubnej, które aż do teraz czekały na nas w przechowalni! Luke specjalnie nie poszedł do pracy, żeby mi pomóc.

Jestem tym naprawdę podekscytowana. Zobaczę znowu wszystkie nasze pamiątki! Poustawiam je w mieszkaniu, tak by przypominały o naszej podróży. To miejsce nabierze zupełnie innego charakteru, kiedy tu i ówdzie postawi się jakiś osobisty drobiazg.

– Przyszedł do ciebie list – mówi Luke, wchodząc do kuchni. Unosi brwi. – To chyba coś

ważnego.

Biorę od niego kopertę i żołądek podchodzi mi do gardła ze zdenerwowania.

Odkąd wróciliśmy do Londynu, obeszłam już wszystkie wielkie domy handlowe w poszukiwaniu pracy na stanowisku osobistej asystentki klientek. W Barneys wystawiono mi naprawdę doskonale referencje i potencjalni pracodawcy są dla mnie bardzo mili – ale jak na razie wszędzie słyszę, że w tej akurat chwili nie ma wolnych etatów.

Jeśli mam być szczerą, jest to dla mnie swego rodzaju cios. Wcześniej sądziłam, że nie będę się mogła opędnąć od propozycji. Wyobrażałam sobie nawet, że kierownicy działów z Harroda, Harveya Nicksa i Selfridges zapraszają mnie na lunch i obdarowują ciuchami, bylebym się tylko zgodziła na pracę właśnie u nich.

Z mocno bijącym sercem wyjmuję list z koperty. Jest z nowego sklepu, który się nazywa The Look i jeszcze nawet nie został otworzony. Kilka dni temu byłam tam na spotkaniu i sądziłam, że dobrze mi poszło, ale...

– O mój Boże! – Podnoszę głowę z niedowierzaniem. – Dostałam tę pracę!

– To fantastycznie! – Na twarzy Luke'a pojawia się uśmiech. – Moje gratulacje! – Obejmuje mnie i całuje.

– Tyle że... będą mnie potrzebować dopiero za trzy miesiące – mówię, czytając dalszą część listu. – Wtedy właśnie otwierają ten sklep. – Odkładam list i patrzę na Luke'a. – Całe trzy miesiące. Dość długo nie będę miała pracy.

Ani własnych pieniędzy – dodaję w myślach.

– Jestem pewny, że znajdziesz sobie jakieś zajęcie – odpowiada radośnie. – Jak niejedno, to inne. Zobaczysz, na pewno będziesz miała przez cały czas coś do roboty.

Nagle w korytarzu rozbrzmiewa dzwonek. Patrzymy na siebie.

– To pewnie ludzie z przechowalni! – mówię i natychmiast poprawia mi się humor. – Chodźmy na dół!

Apartament Luke'a znajduje się na ostatnim piętrze i do drzwi wejściowych ma własną windę, co jest takie odjazdowe! Kiedy się tu wprowadziliśmy, bez przerwy jeździłam do góry i na dół – dopóki sąsiedzi nie zaczęli się skarżyć.

– No więc gdzie im każemy to wszystko wnieść? – pyta Luke, naciskając jednocześnie przycisk parteru.

– Tak sobie pomyślałam, że możemy położyć to w rogu jadalni – proponuję. – Za drzwiami. A potem ja się tym zajmę, kiedy będziesz w pracy.

– Dobry pomysł. – Kiwa głową.

Przez chwilę milczę. Nagle przypominam sobie o dwudziestu szlafrokach z chińskiego jedwabiu. Może jakoś uda mi się je przeszmuglować, gdy Luke nie będzie akurat patrzył.

– A gdyby pojawiła się jakaś nadwyżka – dodaję od niechcienia – zawsze możemy to umieścić w drugiej sypialni.

– Nadwyżka? – Marszczy brwi. – Becky, ile rzeczy się spodziewasz?

– Niezbyt wiele! – odpowiadam pospiesznie. – Właściwie to prawie niczego! Chodziło mi jedynie o to, że mogli je przecież zapakować w naprawdę duże pudła, o nic więcej.

Luke przygląda mi się trochę podejrzliwie, a ja odwracam się, udając, że poprawiam

pasek od zegarka. Zaczynam odczuwać delikatne wyrzuty sumienia.

Trochę żałuję, że nic mu nie powiedziałam o tych drewnianych żyrafach. Czy powinnam szybko się przyznać?

Nie. To nie ma znaczenia. Wszystko będzie dobrze. Mieszkanie Luke'a jest wielkie. Naprawdę ogromne! Nawet nie zauważy tych kilku dodatkowych rzeczy.

Otwieramy podwójne drzwi i wychodzimy na zewnątrz. Na ulicy obok niewielkiego vana czeka mężczyzna w dżinsach.

– Pan Brandon? – pyta, gdy podchodzimy do niego. Ogarnia mnie uczucie ulgi. Wiedziałam, że wcale tak dużo nie kupiliśmy. Wiedziałam. Spójrzcie tylko na tego vana. Jest mały!

– Tak. To ja. – Luke wyciąga dłoń i uśmiecha się uprzejmie.

– Ma pan może pomysł, gdzie moglibyśmy zaparkować ciężarówkę? – Mężczyzna drapie się po głowie. – Na razie stoimy na podwójnej żółtej zaraz za rogiem.

– Ciężarówkę? – powtarza za nim Luke. – Jakie ciężarówkę?

Uśmiech jakoś tak mu dziwnie przywarł do twarzy.

– Mamy do rozładowania dwie ciężarówki. Czy możemy się zatrzymać na tych miejscach parkingowych? – Mężczyzna wskazuje na parking przed budynkiem.

– Oczywiście! – odpowiadam szybko, gdyż Luke chyba zaniemówił. – Proszę bardzo!

Mężczyzna znika i zapada cisza.

– No tak! – odzywam się radośnie. – Fajnie!

– Dwie ciężarówki? – pyta Luke z niedowierzaniem.

– Pewnie załadowali nasze zakupy razem z rzeczami kogoś innego! – odpowiadam pośpiesznie, trochę zdenerwowana. – Przecież nie kupiliśmy aż tyle, by musiały to przywieźć dwie ciężarówki.

To prawda.

No bo przecież byłby to absurd! Niemożliwe, by przez dziesięć miesięcy...

Jestem pewna, że to niemożliwe...

O Boże!

Rozlega się dudnienie i zza rogu wyłania się duża biała ciężarówka, a tuż za nią następna. Wjeżdżają tyłem na parking i po chwili słychać, jak otwierane są tylne drzwi. Luke i ja udajemy się tam pośpiesznie i zerkamy do zagraconego wnętrza.

O kurczę. To naprawdę niesamowity widok. Cała ciężarówka wyładowana jest różnymi przedmiotami i meblami. Niektóre owinięte są w folię, niektóre w papier, a inne leżą luzem. Kiedy się tak temu wszystkiemu przyglądam, zaczyna ogarniać mnie wzruszenie. To tak, jakbym oglądała amatorski film wideo z naszej całej podróży poślubnej. Kilimy ze Stambułu. Tytkwy z Peru. I zupełnie zapomniałam o tym nosidełku!

Kilku mężczyzn w ogrodniczkach zaczyna wynosić wszystko na zewnątrz. Ustępujemy z drogi, by mogli przejść, ale ja nadal zaglądam do środka, zatopiona we wspomnieniach. Nagle dostrzegam niewielką brązową statuetkę i odwracam się z uśmiechem.

– Budda! Pamiętasz, kiedy to kupiliśmy? Luke?

Ale on mnie w ogóle nie słucha. Podążam za jego spojrzeniem – i żołądek kurczy mi się

ze strachu. Mój mąż przygląda się z niedowierzaniem mężczyźnie wynoszącemu z drugiej ciężarówki coś wielkiego, owiniętego papierem. Na zewnątrz wystaje drewniana noga żyrafy.

Cholera!

A oto pojawia się kolejny mężczyzna z drugą żyrafą.

– Becky... co tu robią te żyrafy? – pyta spokojnie Luke. – Sądziłem, że wspólnie ustaliliśmy, iż ich nie kupimy.

– Wiem – odpowiadam pospiesznie. – Wiem. Ale później moglibyśmy tego żałować. Dlatego podjęłam decyzję za nas. Naprawdę, Luke, będą wyglądać super! Staną się centralnym punktem całego mieszkania!

– A to skąd się tu wzięło? – Mierzy spojrzeniem ogromne porcelanowe urny, które kupiłam w Hongkongu.

– No tak – mówię szybko. – Zamierzałam ci o nich powiedzieć. To kopie prawdziwych urn z epoki Ming, wiesz? Tamten człowiek powiedział...

– Ale co one, do jasnej cholery, robią tutaj?!

– Ja... je kupiłam. Będą się doskonale prezentować w korytarzu, stanowić jego punkt centralny! Wszyscy je będą podziwiać!

– A ten dywan? – Wskazuje na wielką, wielobarwną zrolowaną kiełbasę.

– Właściwie to nazywa się *dhurrie*... – Urywam, widząc jego minę. – Kupiłam go w Indiach – dodaję słabo.

– Bez uzgodnienia ze mną.

– Eee...

Nie jestem pewna, czy podoba mi się wyraz twarzy mego męża.

– Och, spójrz! – wykrzykuję, próbując odwrócić jego uwagę. – To ten stojak na przyprawę, który kupiłeś na targu w Kenii.

On jednak wcale mnie nie słucha. Wybałusza oczy na potężne, nieporęczne ustrojstwo, które jest właśnie wyładowywane z pierwszej ciężarówki. Wygląda jak połączenie ksylofonu i całego zestawu zwisających miedzianych rondli.

– Co to, u diabła, jest? Jakiś instrument muzyczny? Podczas wyładowywania gongi zaczynają głośno dzwonić, a para przechodniów trąca się łokciami i chichocze.

Nawet mnie ogarniają wątpliwości co do trafności tego akurat zakupu.

– Eee... tak. – Odchrząkam. – To indonezyjski gamelan.

Przez krótką chwilę panuje cisza.

– Indonezyjski gamelan? – powtarza Luke nieco zduszonym głosem.

– To element kultury! – próbuję się bronić. – Pomyślałam sobie, że moglibyśmy się nauczyć na nim grać! I będzie naprawdę doskonałym punktem centralnym...

– Ile konkretnie punktów centralnych przewidujesz w naszym mieszkaniu? – Wygląda tak, jakby zaraz miał wyjść z siebie. – Becky, czy te wszystkie rzeczy są nasze?

– Stół obiadowy! – woła facet w ogrodniczkach. – Proszę uważać!

Dzięki Bogu. No dobra, szybko. Uratujmy tę sytuację.

– Posłuchaj, kochanie – mówię pospiesznie. – To nasz stół ze Sri Lanki. Pamiętasz? Stół z naszymi imionami! Symbol małżeńskiej miłości. – Posyłam mu pełen uczucia uśmiech, ale

on potrząsa głową.

– Becky...

– Nie psuj tej chwili! – Przytulam się do niego. – To nasz wyjątkowy stół małżeński! Nasze dziedzictwo dla przyszłych pokoleń! Musimy się przyglądać, jak go wyładowują!

– Okej – mówi wreszcie. – Jak sobie chcesz. Mężczyźni ostrożnie znoszą stół po podjeździe i muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Biorąc pod uwagę jego ciężar, idzie im to całkiem nieźle.

– Czy to nie ekscytujące? – Chwytam Luke’a za ramię. – Tylko pomyśl! Oto byliśmy na Sri Lance...

Urywam, nieco skonsternowana.

To nie jest wcale drewniany stół. Ten jest z przezroczystego szkła i ma łukowate stalowe nogi. A następny facet niesie parę obitych czerwonym filcem krzesel.

Przyglądam się temu z przerażeniem. Robi mi się naprawdę zimno.

Cholera! Cholera!

Stół, który kupiłam na Kopenhaskich Targach Designu. Zupełnie, ale to zupełnie o nim zapomniałam.

Jak mogłam nie pamiętać, że kupiłam wielki stół? No jak?

– Chwileczkę! – woła Luke i unosi rękę. – Panowie, to nie ten stół. Nasz jest drewniany. Duży rzeźbiony stół ze Sri Lanki.

– Jest jeszcze drugi – odpowiada jeden z mężczyzn. – W tamtej ciężarówce.

– Ale my tego nie kupiliśmy! – oświadcza Luke.

Posyła mi pytające spojrzenie, a ja szybko robię minę w stylu: „Jestem tak samo zdumiona, jak i ty”.

Jednocześnie gorączkowo się zastanawiam, jak z tego wybrnąć. Zaprzeczę, bym kiedykolwiek widziała ten stół, odeślemy go i wszystko będzie dobrze...

– „Przysłany przez panią Reбекę Brandon” – mężczyzna odczytuje głośno nalepkę. – Stół i dziesięć krzesel. Z Danii. Oto podpis.

Cholera!

Luke bardzo powoli odwraca się do mnie.

– Becky, czy kupiłaś w Danii ten stół i dziesięć krzesel? – pyta niemal uprzejmie.

– Eee... – Nerwowo oblizuję wargi. – Eee... to możliwe.

– Rozumiem. – Zamyka na chwilę oczy, jakby się zastanawiał nad rozwiązaniem wyjątkowo trudnego zadania matematycznego. – A potem kupiłaś drugi stół i kolejnych dziesięć krzesel, tym razem na Sri Lance, tak?

– Zapomniałam o tym pierwszym! – jęczę z desperacją w głosie. – Zupełnie zapomniałam! To była bardzo długa podróż i trochę zdążyło mi ulecieć z pamięci...

Kątem oka dostrzegam, że jeden z mężczyzn podnosi właśnie związanych razem dwadzieścia szlafroków z chińskiego jedwabiu. Cholera.

Tak szybko, jak się tylko da, muszę odciągnąć Luke’a od ciężarówek.

– Zajmiemy się tym wszystkim – mówię szybko. – Obiecuję. A teraz może wróciłbyś na górę i napił się czegoś? Odpręż się! A ja zostanę tutaj i wszystkiego przypilnuję.

Godzinę później jest już po wszystkim. Mężczyźni zamykają ciężarówki, a ja wręczam im sowity napiwek. Kiedy odjeżdżają z rykiem silników, z budynku wychodzi Luke.

– Hej! – wołam. – Nie było tak źle, no nie?

– Chcesz przyjść na chwilę na górę? – pyta dziwnym głosem.

Lekko truchleję. Czy jest na mnie zły? Może znalazł te jedwabne szlafroki.

Kiedy jedziemy na górę windą, uśmiecham się kilkakrotnie do Luke'a, ale on nie reaguje.

– No więc... czy wstawiłeś to wszystko do jadalni? – pytam, gdy podchodzimy do drzwi.

– Czy też do...

Milknę, gdy otwierają się drzwi.

O, w mordę jeża!

Mieszkanie jest nie do poznania.

Beżowy dywan znikł zupełnie pod stosem paczek, kufrów i różnych mebli. W korytarzu piętrzą się pudełka z tego outletu w Utah oraz batikowe obrazy z Bali i dwie chińskie urny. Przeciskam się obok nich do jadalni i przełykam ślinę. Wszędzie leżą dostarczone rzeczy. Zrolowane kilimy i *dhurrie* są zrzucone w jednym kącie. W drugim indonezyjski gamelan walczy o miejsce z łupkowym stolikiem kawowym i indiańskim totemem.

Wyczuwam, że teraz ja powinnam coś powiedzieć.

– O rany! – próbuję się roześmiać. – Całkiem spofo... dywanów, no nie?

– Siedemnaście – odpowiada Luke, nadal tym samym dziwnym głosem. – Policzyłem. – Przechodzi nad bambusowym stolikiem kawowym, który kupiłam w Tajlandii, i odczytuje napis na nalepce przy dużej drewnianej skrzyni. – A tutaj mamy czterdzieści kubków. – Podnosi głowę. – Czterdzieści kubków?

– Wiem, że to się może wydawać dużo – mówię pospiesznie. – Ale każdy z nich kosztował tylko pół funta! To była prawdziwa okazja! Już nigdy więcej nie będziemy musieli kupować żadnych kubków!

Luke przygląda mi się przez chwilę.

– Becky, ja już nic nigdy nie chcę więcej kupować.

– Posłuchaj... – Chcę do niego podejść, ale grzmocę kolanem w drewniany posąg Ganeśy, indyjskiego boga mądrości i sukcesu. – Nie... nie jest wcale tak źle! Wiem, że może się wydawać, iż jest tego dużo. Ale to... to złudzenie optyczne. Kiedy już wszystko rozpakuję i porozstawiam po całym mieszkaniu, będzie wyglądać naprawdę świetnie!

– Mamy pięć stolików kawowych – mówi Luke, ignorując mnie. – Czy byłaś tego świadoma?

– No cóż. – Odchrząkam. – Niezupełnie. Może więc będziemy musieli... nieco to zracjonalizować.

– Zracjonalizować? – Rozgląda się po pokoju z niedowierzaniem. – Zracjonalizować tę kupę gratów? To przecież jedna wielka rupieciarnia!

– Może w tej chwili tak to trochę wygląda, ale ja to wszystko ze sobą zestawie! Zaprowadzę porządek! To będzie wyznacznik naszego stylu i postrzegania świata...

– Becky – przerywa mi Luke. – Chcesz wiedzieć, jak ja w tej chwili postrzegam świat?

Przyglądam się nerwowo, jak odsuwa na bok dwie paczki z Gwatemali i osuwa się na

sofę.

– W tej chwili interesuje mnie... w jaki sposób za to wszystko zapłaciłaś? – pyta, marszcząc czoło. – Przejrzałem szybko nasze rachunki i nie ma tam śladu chińskich urn. Ani żyraf. Ani stołów z Kopenhagi... – Patrzy na mnie zimno. – Co jest grane, Becky?

Jestem przyparta do muru. Nawet gdybym chciała stąd uciec, najpewniej nadziałabym się na kły boga Ganeśy.

– Cóż... – Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy. – Ja mam... kartę kredytową.

– Tę, którą chowasz w torebce? – pyta Luke z kamienną twarzą. – Ją też sprawdziłem.

O Boże!

Nie uda mi się z tego wywinąć.

– Właściwie to... nie tę. – Przetykam z trudem ślinę. – Inną.

– Inną? – Wpatruje się we mnie z niedowierzaniem. – Masz drugą sekretną kartę kredytową?

– Tylko do sytuacji awaryjnych! Każdemu się mogą przytrafić...

– Na przykład co, awaryjne stoły? Awaryjne indonezyjskie gamelany?

Cisza. Nie przychodzi mi do głowy żadna odpowiedź. Płoną mi policzki, a dłonie trzymam za plecami i nerwowo wykręcam palce.

– Tak więc w tajemnicy przede mną spłacałaś tę kartę, tak? – Spogląda na moją pełną udręki twarz i rzędzie mu mina. – Ty jej nie spłacałaś?

– Chodzi o to... – Jeszcze bardziej wykręcam palce. – Miałam przyznany całkiem spory limit.

– Na miłość boską, Becky!

– Nic się nie stało! Spłacę wszystko co do grosza! Nie musisz się o nic martwić. Zajmę się tym.

– A w jaki sposób to spłacisz?

Na chwilę zapada cisza. Patrzę na niego pełna urazy.

– Kiedy zacznę pracować – odpowiadam, a głos nieco mi drży. – Będę miała własne pieniądze, wiesz, Luke? Nie jestem darmożjadem.

Przygląda mi się przez chwilę, po czym wzdycha.

– Wiem – mówi nieco łagodniej. – Przepraszam. – Wyciąga ramiona. – Chodź tutaj.

Po chwili udaje mi się jakoś precyzyjnie do sofy. Znajduję kawałek wolnego miejsca, by usiąść, a Luke obejmuje mnie ramieniem. Przez chwilę wspólnie przyglądamy się stercie gratów. Wyglądamy jak dwoje rozbitków na bezludnej wyspie.

– Becky, nie możemy tak dalej postępować – odzywa się wreszcie. – Czy wiesz, ile kosztowała nas podróż poślubna?

– Eee... nie.

Nagle uderza mnie myśl, że nie mam najmniejszego pojęcia, ile cokolwiek kosztowało. Owszem, to ja kupiłam bilety lotnicze dookoła świata. Ale poza tym to on za wszystko płacił.

Czy ta podróż zrujnowała nas finansowo?

Rzucam spojrzenie Luke'owi – i po raz pierwszy dostrzegam, jak bardzo jest zestresowany.

O Boże! Zalewa mnie fala strachu. Intuicja mi podpowiada, że straciliśmy wszystkie pieniądze, a on próbował to przede mną ukryć.

Nagle czują się jak żona we *Wspaniałym życiu* – w tej scenie, kiedy James Stewart wraca do domu i warczy na dzieci. Nawet jeśli jesteśmy na krawędzi ruiny finansowej, rola żony wymaga ode mnie odwagi i pogody ducha.

– Luke, czy jesteśmy *bardzo* biedni? – pytam tak spokojnie, jak tylko potrafią.

Odwraca głowę i patrzy na mnie.

– Nie, Becky – odpowiada cierpliwie. – Nie jesteśmy bardzo biedni. Ale do tego dojdzie, jeśli nadal będziesz kupować góry śmieci.

Góry śmieci? Właśnie zamierzam, pełna oburzenia, ripostować, kiedy dostrzegam jego minę. Zamiast tego zamykam usta i pokornie kiwam głową.

– Sądzę więc... – Luke robi pauzę. – Sądzą, że musimy wprowadzić budżet.

Budżet.

Może być. Dam sobie z nim radę. Bez problemu. Prawdę mówiąc, już się nie mogą doczekać. Będę miała spokojniejszą głowę, wiedząc, ile dokładnie pieniędzy mogę wydać.

A poza tym wszyscy wiedzą, że głównym celem wprowadzenia budżetu jest to, aby pracował na twoją korzyść. Właśnie.

– No więc... jaki jest mój dzisiejszy budżet? – pytam, stając w drzwiach gabinetu.

Minęła jakaś godzina i Luke szuka właśnie czegoś w biurku. Wygląda na lekko zestresowanego.

– Słucham? – pyta, nie podnosząc nawet głowy.

– Chciałam tylko wiedzieć, jaki mam na dzisiaj budżet? Dwadzieścia funtów?

– Chyba tak – odpowiada z roztargnieniem.

– Czy... mogę w takim razie o nie prosić?

– O co?

– Czy mogę prosić o te dwadzieścia funtów?

Luke przez chwilę wpatruje się we mnie, jakbym zupełnie oszalała, po czym wyjmuję z kieszeni portfel, a z niego banknot dwudziesto funtowy. Podaje mi go.

– W porządku?

– Jak najbardziej. Dzięki.

Przyglądam się uważnie banknotowi. Dwadzieścia funtów. Oto prawdziwe wyzwanie. Czuję się jak gospodyni domowa za czasów wojny, która właśnie otrzymała kartki na żywność.

Bardzo dziwnie się czuję, nie mając przez najbliższe trzy miesiące własnego dochodu ani pracy. Jak przetrwam dwanaście długich tygodni? Czy powinnam poszukać innej pracy, żeby się czymś zająć? Tak sobie myślę, że to może doskonała okazja, by spróbować czegoś zupełnie innego!

Oczami wyobraźni widzę siebie jako projektantkę ogrodów. Kupiłabym sobie parę naprawdę odjazdowych kaloszy i specjalizowałabym się w krzewach.

Albo... tak! Mogłabym założyć firmę oferującą wyjątkowe usługi, których nie zapewnia na rynku nikt inny, i zarobić grube miliony! Wszyscy mówiliby: „Becky jest genialna! Dlaczego nam coś takiego nie przyszło do głowy?” A tymi wyjątkowymi usługami byłyby...

Składałyby się one z...

No dobrze, później do tego wrócę.

Wtem, gdy przyglądam się, jak Luke wkłada jakieś dokumenty do teczki z napisem „Brandon Communications”, doznaję nagłego olśnienia. No jasne. Mogę mu pomóc w pracy!

Na tym przecież polega małżeństwo. Powinno być związkiem partnerskim. Wszyscy wiedzą, że w najlepszych związkach mąż i żona wzajemnie się we wszystkim wspierają.

A poza tym wczoraj wieczorem oglądałam w telewizji film, w którym para się rozstała, ponieważ żona zupełnie się nie interesowała pracą męża – w przeciwieństwie do jego

sekretarki. Tak więc mąż zostawił żonę, a potem ona go zamordowała i uciekła, a na końcu się zastrzeliła. Widzicie więc, jak coś takiego może się skończyć.

Mam prawdziwe natchnienie. Oto mój nowy projekt. Projekt: Wspierająca Żona. Mogę się całkowicie poświęcić prowadzeniu jego firmy, tak jak Hillary Clinton, i wszyscy będą wiedzieli, że tak naprawdę to mi przyszły do głowy te wspaniałe pomysły. Już widzę, jak stoję w pastelowym kostiumie przy boku Luke'a, uśmiechając się promiennie, gdy tymczasem z góry spadają na nas serpentyny.

– Luke, posłuchaj – mówię. – Chcę ci pomóc.

– Pomóc? – Podnosi głowę i marszczy z roztagnieniem czoło.

– Chcę pomóc w twojej firmie. Naszej firmie – dodaję trochę nieśmiało.

No bo to przecież w pewnym sensie także i moja firma. Nazywa się Brandon Communications, no nie? A ja nazywam się teraz Rebeka Brandon.

– Becky, nie jestem pewny...

– Naprawdę chcę cię wspierać, a przez najbliższe trzy miesiące jestem wolna! Mogłabym do was przychodzić i być konsultantką. Nie musiałbyś mi nawet zbyt dużo płacić.

Wygląda, jakby go lekko zatkało.

– A czego konkretnie dotyczyłyby twoje konsultacje?

– Jeszcze nie wiem – odpowiadam szczerze. – Ale mogłabym podsuwać nowe pomysły. Zaprezentować inny sposób myślenia.

Luke wzdycha.

– Skarbie, naprawdę jesteśmy teraz zajęci tą prezentacją dla Arcodas. Nie mam czasu, by cię zabierać ze sobą. Może, kiedy już będzie po wszystkim...

– Ale wcale nie będziesz przez to tracić czasu! – odpowiadam ze zdumieniem. – Ja ci go wręcz oszczędzę! Będę pomagać! Kiedyś już zaproponowałaś mi pracę, pamiętasz?

– Pamiętam. Ale prawdziwa praca w pełnym wymiarze godzin trochę się różni od wskoczenia do firmy na trzy miesiące. Gdybyś chciała zmienić ścieżkę kariery, wtedy porozmawialibyśmy poważnie.

Wraca do wertowania dokumentów, a ja patrzę na niego z rozdrażnieniem. Popelnia duży błąd. Wszyscy wiedzą, że należy czerpać pomysły także z innych dziedzin. Moje doświadczenie, które zdobyłam jako osobista asystentka klientek, z całą pewnością okazałoby się dla niego bezcenne. Nic mówię już o doświadczeniu płynącym z pracy dziennikarki zajmującej się problematyką finansową. Prawdopodobnie wystarczyłby mi tydzień na zrewolucjonizowanie całej firmy. Zarobiłabym dla niego miliony!

Luke próbuje odłożyć na bok segregator i uderza goleniem o drewnianą skrzynkę wypełnioną sari.

– Jezu Chryste – mówi z irytacją. – Becky, jeśli naprawdę chcesz mi pomóc...

– Tak? – pytam ochoczo.

– Możesz posprzątać to mieszkanie.

Świetnie. Po prostu świetnie.

Oto jestem gotowa, by się poświęcić firmie Luke'a. Oto jestem gotowa, by być najbardziej pomocną żoną na świecie. A Luke uważa, że powinnam posprzątać.

Stawiam drewniane pudełko na stoliku kawowym, podważam nożem wieko i ze środka niczym płatki śniegu wysypują się kaskady styropianowych kuleczek. Zanurzam dłoń w kuleczkach i wydaję paczkę w plastikowym opakowaniu z pęcherzykami powietrza. Przez chwilę przyglądam się jej pustym wzrokiem – i wtedy nagle sobie przypominam. To ręcznie malowane jajka z Japonii. Każde przedstawia inną scenę z legendy o Królu Smoków. Kupiłam ich chyba pięć.

Rozglądam się po zagraconym pokoju. Gdzie ja położę te delikatne, ręcznie malowane jajka? Nigdzie nie ma ani milimetra wolnego miejsca. Nawet na gzymsie kominka pełno jest poustawianych bibelotów.

Ogarnia mnie bezradna frustracja. Nigdzie już nie ma miejsca na nic. Zdażyłam zapełnić wszystkie komody, moją szafę i przestrzeń pod łóżkiem.

I po co w ogóle kupiłam te głupie malowane jajka? Gdzie miałam wtedy głowę? Przez chwilę zastanawiam się, czy nie upuścić, niby przez przypadek, pudełka na podłogę. Ale jakoś nie mogę się zmusić do czegoś takiego. Będą musiały poczekać na stercie rzeczy, z którymi planuję rozprawić się później.

Z powrotem wkładam jajko do drewnianego pudełka, przechodzę nad stosem dywaników i stawiam je za drzwiami, na sześciu belach tajskiego jedwabiu. Następnie totalnie wyczerpana kłapię na podłogę. Boże, to jest naprawdę męczące. No, a poza tym teraz muszę jeszcze sprzątnąć te cholerne kulki styropianu.

Ocieram czoło i zerkam na zegarek. Męcę się z tym już od godziny, a jeśli mam być szczerą, to ten pokój wcale nie wygląda lepiej niż poprzednio. Właściwie to... wygląda nawet gorzej. Kiedy patrzę na ten cały bałagan, ogarnia mnie przygnębienie.

Filizanka kawy dobrze mi zrobi. Tak.

Idę do kuchni, od razu czując się trochę lepiej, i włączam czajnik. Może zjem sobie także ciasteczko. Otwieram kredens z nierdzewnej stali, wydaję puszkę, wybieram ciastko i odstawiam puszkę na miejsce. Każdy mój ruch odbija się echem w panującej w domu ciszy.

Trochę tu za cicho, no nie? Musimy koniecznie kupić radio.

Przesuwam palcami po granitowym blacie i głośno wzdycham.

Może zadzwonię do mamy i sobie z nią pogadam. Tyle że wciąż tak dziwnie się zachowuje. Któregoś dnia zadzwoniłam do domu i mama zaczęła coś ściemniać, że musi lecieć, bo jest u nich właśnie kominiarz. Akurat, odkąd żyję, w naszym domu nie pojawił się żaden kominiarz. Pewnie właśnie wtedy potencjalni kupcy oglądali nasz dom albo coś w tym rodzaju.

Mogłabym zadzwonić do Zuzy...

Nie. Wraca uczucie urazy. Nie do Zuzy.

Albo do Danny'ego! Tak, to jest myśl. Kiedy mieszkaliśmy w Nowym Jorku, Danny był moim najlepszym przyjacielem. Próbował się wtedy przebić jako projektant – i ni z tego, ni z owego nagle zaczęło mu się dobrze wieść. Widziałam nawet jego nazwisko w „Vogue’u”! Ale nie rozmawiałam z nim od powrotu do kraju.

Nie jest to może najlepsza pora, by dzwonić do Nowego Jorku – ale zaryzykuję. Danny naprawdę nie ma ustalonej godziny udawania się na spoczynek. Wystukuję jego numer i

czekam niecierpliwie na sygnał.

– Witam!

– Cześć! – mówię. – Danny, tu...

– Witam we wspaniale rozwijającym się imperium Danny’ego Kovitza!

No tak. To sekretarka.

– Jeśli chcesz posłuchać porad Danny’ego w zakresie mody... wciśnij jeden. Jeśli chcesz otrzymać katalog... wciśnij dwa. Jeśli życzysz sobie przesłać Danny’emu upominek lub zaprosić go na przyjęcie... wciśnij trzy...

Czekam, aż lista się skończy i rozlegnie się kolejny sygnał.

– Cześć! – mówię. – Danny, tu Becky! Wróciłam! Więc... zadzwoń kiedyś do mnie! – Podaję mój numer, po czym odkładam słuchawkę.

Woda w czajniku zaczyna wrzeć, a ja dziarsko wsypuję do dzbanka zmieloną kawę, zastanawiając się, do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić. Ale... nikt nie przychodzi mi do głowy. Prawda jest taka, że nie było mnie w Londynie przez dwa lata i w zasadzie straciłam kontakt z większością dawnych znajomych.

Jestem samotna – te słowa bez ostrzeżenia pojawiają się w mojej głowie.

Nieprawda. Wszystko w porządku.

Żałuję, że w ogóle wróciliśmy do domu.

Nie bądź niemądra. Jest naprawdę super! Jestem kobietą zamężną, mam własne mieszkanie i... mnóstwo spraw na głowie.

Nagle rozlega się dzwonek i ze zdumieniem podnoszę głowę. Nikogo się nie spodziewam.

To pewnie jakaś przesyłka. Albo może Luke postanowił wrócić wcześniej do domu! Idę na korytarz i podnoszę słuchawkę domofonu.

– Słucham?

– Becky, skarbie? – trzeszczy znajomy głos. – Tu mama. Wpatruję się w słuchawkę szeroko otwartymi oczami.

Mama? Na dole?

– Przyjechałam z tatą, by się z tobą spotkać – kontynuuje. – Czy możemy wpaść na górę?

– Oczywiście! – wykrzykuję i wciskam guzik otwierający drzwi. Co, u licha, robią tutaj rodzice?

Szybko wracam do kuchni, nalewam kawę i wysypuję kilka ciastek na talerz, po czym pospiesznie idę do windy.

– Cześć! – mówię, gdy otwierają się drzwi. – Zapraszam! Zrobiłam dla was kawę!

Kiedy ściskam rodziców na powitanie, widzę, że wymieniają trwożliwe spojrzenia. Co się dzieje?

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzamy, skarbie – mówi mama, wchodząc za mną do środka.

– Nie! Oczywiście, że nie! – odpowiadam. – To znaczy, jasne, że mam pewne zobowiązania... sprawy do pozalutowania...

– No tak – kiwa głową mama. – Nie zabierzemy ci dużo czasu. My tylko... – Urywa. –

Może usiądziemy gdzieś sobie?

– Och. Eee... – Zerkam przez uchylone drzwi do salonu. Wokół sofy piętrzą się pootwierane pudła, leżą pozwijane dywany i mnóstwo styropianowych kuleczek. – Jeszcze nie doprowadziliśmy salonu do porządku. Chodźmy do kuchni.

No dobra. Ten, kto zaprojektował nasze trendowe stołki barowe w kuchni, z całą pewnością nigdy nie gościł na kawie swych rodziców. Jakies pięć minut zabiera mamie i tacie wdrapanie się na nie, gdy tymczasem ja stoję, skamieniała ze strachu, że z nich spadną.

– Patykowate nogi, no nie? – cmoka tata, kiedy ponawia próbę po raz piąty.

W tym samym czasie mama wsuwa się pomalutku na siedzenie, kurczowo trzymając się granitowego blatu baru, jakby walczyła o życie.

Wreszcie jakoś obojgu udaje się w miarę bezpiecznie usadowić na stalowych stołkach. Wyglądają na niezwykle skrzepowanych, jakby występowali w telewizyjnym talkshow.

– Wszystko w porządku? – pytam z niepokojem. – Mogę wam przecież przynieść inne krzesła...

– Bzdura! – odpowiada natychmiast tata. – Te są bardzo wygodne!

Kłamię jak z nut. Widzę, jak zaciska dłonie na krawędziach śliskiego siedzenia i rzuca spojrzenia na pokrytą płytkami podłogę, jakby balansował na parapecie na czterdziestym czwartym piętrze.

– Siedzenia są nieco twarde, prawda, kochanie? – pyta mama. – Powinnaś kupić u Johna Lewisa nakładane poduszki.

– Może i tak.

Podaję rodzicom filiżanki, wyciągam spod baru stołek dla siebie i nonszalancko na niego wskakuję.

Cholera. To zabolalo.

Rzeczywiście niełatwo się na nich usadowić. Głupie lśniące siedzenia. I jakoś tak trudno zachować na nich równowagę.

No dobra. Już siedzę. Jestem spokojna i opanowana.

– No więc... co u was słychać? – pytam, sięgając po filiżankę.

Przez chwilę panuje cisza.

– Becky, przyjechaliśmy tutaj nie bez powodu – odzywa się tata. – Muszą ci coś powiedzieć.

Wygląda tak poważnie, że natychmiast ogarnia mnie panika. Może to wcale nie chodzi o dom. Może o coś znacznie gorszego.

– To ma związek ze mną – kontynuuje.

– Jesteś chory – mówią, nie mogąc się powstrzymać. – O Boże! O Boże! Wiedziałam, że coś jest nie tak...

– Nie jestem chory. To nie o to chodzi, tylko o... coś innego. – Milknie na chwilę, po czym podnosi głowę. – Becky, wiele lat temu...

– Powiedz to delikatnie, Grahamie! – wchodzi mu w słowo mama.

– Przecież mówią delikatnie! – ripostuje tata, odwracając się. Jego stołek niebezpiecznie się chwieje. – Tak właśnie robią!

– Wcale nie! – oświadcza mama. – Za bardzo się spieszysz!

Teraz to już jestem kompletnie skołowana.

– Co masz mi delikatnie powiedzieć? – pytam, patrząc to na tatę, to na mamę. – Co się dzieje?

– Becky, zanim poznałem twoją mamę... – tata unika mojego spojrzenia – w moim życiu była inna... pani.

– Jasne – mówią ze ściśniętym gardłem.

Rodzice się rozwodzą i dlatego właśnie sprzedają dom. Będę dzieckiem z rozbitej rodziny.

– Straciliśmy kontakt – kontynuuje tata. – Ale ostatnio... coś się wydarzyło.

– Mącisz jej w głowie, Grahamie! – wykrzykuje mama.

– Wcale nie mączę! Becky, mączę czy nie?

– Cóż... może trochę – przyznaję. Mama nachyla się i ujmuje moją dłoń.

– Becky, skarbie, ostatecznie rzecz sprowadza się do tego, że... masz siostrę.

Siostrę?

Wpatruję się w mamę w osłupieniu. O czym ona mówi?

– Przyrodnią siostrę, gwoli ścisłości – uzupełnia tata, kiwając z powagą głową. – Dwa lata starszą od ciebie.

Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach. To wszystko nie ma najmniejszego sensu. Jak mogłam mieć siostrę, nic o niej nie wiedząc?

– Tata ma córkę, kochanie – mówi łagodnie mama. – Córkę, o której aż do niedawna nic nie wiedział. Skontaktowała się z nami, kiedy byliście w podróży poślubnej. Od tamtej pory spotkaliśmy się kilka razy, prawda, Grahamie? – Zerka na tatę, który kiwa głową. – Jest... bardzo miła!

W kuchni zapada cisza. Kilkakrotnie przełykam ślinę. To wszystko nie mieści mi się w głowie.

Nagle już wszystko rozumiem. Podnoszę głowę.

– To ta dziewczyna! Wtedy, kiedy wróciliśmy. – Wali mi serce. – Ta, która szła razem z wami. Czy to była... ?

Mama zerka na tatę, a on kiwa głową.

– To była ona. Twoja przyrodnia siostra. Przyjechała do nas z wizytą.

– Kiedy cię zobaczyliśmy, skarbie... nie wiedzieliśmy, co zrobić! – mówi mama, śmiejąc się z wyraźnym zakłopotaniem. – Nie chcieliśmy, byś doznała największego szoku w życiu!

– Postanowiliśmy, że powiemy ci o tym, kiedy już się nie – co zadomowisz – dodaje tata.

– Kiedy już pozalatywiasz najważniejsze sprawy.

Jestem totalnie ogłuszona. To była ona. Widziałam przyrodnią siostrę.

– Jak... jak ona ma na imię? – wykrztuszam z siebie.

– Ma na imię Jessica – odpowiada tata po chwili milczenia. – Jessica Bertram.

Jessica. Moja siostra Jessica.

Cześć. Czy poznałaś już moją siostrę Jessicę?

Przenoszę spojrzenie z zatroskanej twarzy taty na pogodną, pełną nadziei twarz mamy – i

nagle czuję się bardzo dziwnie. Tak, jakby wewnątrz mnie rozrastała się bańka mydlana, jakby cała masa silnych uczuć próbowała wydostać się z mego ciała.

Nie jestem jedynaczką.

Mam siostrę.

Mam SIOSTRĘ!

Przez ostatni tydzień miałam problemy z zaśnięciem i na niczym nie mogłam się skupić. Prawdę mówiąc, cały ten okres stanowi dla mnie niewyraźną plamę. Nie mogę o niczym myśleć, z wyjątkiem tego, że ja, Rebeka Brandon, z domu Bloomwood, mam siostrę. Miałam siostrę przez całe życie!

I dzisiaj wreszcie ją poznam!

Już na samą myśl o tym jestem jednocześnie rozradowana i zdenerwowana. W czym okazemy się do siebie podobne? Co będzie nas różnić? Jaki będzie miała głos? A jakie ciuchy?

– Dobrze wyglądam? – pytam Luke’a po raz chyba tysięczny i z niepokojem przeglądam się w lustrze.

Stoję w mojej dawnej sypialni w domu rodziców i wprowadzam ostatnie poprawki do stroju w stylu „spotkanie-z-nigdy-nie-widzianą-siostrą”.

Przez kilka dni nie mogłam się zdecydować, ale w końcu po długim namyśle wybrałam ubiór, który jest swobodny, a mimo to wyjątkowy. Mam na sobie świetnie skrojone džinsy Seven, kozaczki na obcasie, T-shirt, który wieki temu zrobił dla mnie Danny, i fantastyczną blad różową marynarkę od Marca Jacobsa.

– Wyglądasz świetnie – mówi cierpliwie Luke, obrzucając mnie spojrzeniem z nad telefonu komórkowego.

– To jest takie... balansowanie pomiędzy wyglądem formalnym a nieformalnym – wyjaśniam. – Marynarka mówi: „To wyjątkowa okazja”. Dżinsy z kolei: „Jesteśmy siostrami, możemy się czuć ze sobą swobodnie!” A T-shirt mówi...

Tak naprawdę nie jestem pewna, co mówi T-shirt. Może: „Jestem przyjaciółką Danny’ego Kovitza”.

– Becky, naprawdę nie sądzę, by twój ubiór miał znaczenie.

– Słucham? – Odwracam się na pięcie z niedowierzaniem. – Oczywiście, że ma! To jedna z najważniejszych chwil w moim życiu! Zawsze będę pamiętać, w co byłam ubrana w dniu, w którym po raz pierwszy zobaczyłam moją siostrę. To znaczy... pamiętasz, co miałeś na sobie, kiedy mnie poznałeś, prawda?

Cisza. Na twarzy Luke’a maluje się konsternacja. Nie pamięta? Jak on może?

– Ja za to doskonale pamiętam – oświadczam z irytacją. – Miałeś na sobie szary garnitur, białą koszulę i ciemnozielony krawat od Hermesa. A ja ubrana byłam w krótką czarną spódnicę, zamszowe kozaczki i ten okropny biały top, w którym moje ramiona wydają się grube.

– Skoro tak twierdzisz. – Luke unosi brwi.

– Wszyscy wiedzą, że pierwsze wrażenie jest najważniejsze. – Obciążam T-shirt. – Chcę po prostu właściwie wyglądać. Jak siostra.

– A jak wyglądają siostry? – pyta z rozbawieniem.

– Wyglądają... fajnie! – Przez chwilę się zastanawiam. – I przyjacielsko. I z całą

pewnością powiedzą, jeśli ci wystaje ramiączko od stanika.

– W takim razie w każdym calu wyglądasz jak siostra. – Luke mnie całuje. – Becky, wyluzuj! Wszystko będzie dobrze!

– Jasne. Już się uspokajam.

Wiem, że się trochę denerwuję! Ale co na to poradzę?! Nie może mi się po prostu pomieścić w głowie, że po tych wszystkich latach, kiedy byłam przekonana, iż jestem jedynaczką, nagle się okazuje, że mam siostrę.

To wcale nie znaczy, że samej było mi źle – i w ogóle. Mama, tata i ja zawsze świetnie spędzaliśmy ze sobą czas. No, ale rozumiecie. Czasami słuchałam, jak inni opowiadają o braciach oraz siostrach, i mimowolnie się zastanawiałam, jak by to było mieć rodzeństwo. Nigdy jednak nie sądziłam, że kiedyś rzeczywiście się tego dowiem!

Najdziwniejsze jest to, że przez cały ubiegły tydzień nagle zaczęłam dostrzegać siostry. One są dosłownie wszędzie! Na przykład raz po południu leciał w telewizji film *Małe kobiety* – a bezpośrednio po nim program o siostrach Beverley! A za każdym razem, kiedy widziałam na ulicy idące razem dwie kobiety, zamiast jedynie zwracać uwagę na ich ubiór, myślałam sobie: „Czy są siostrami?”

Mam wrażenie, jakby cały świat składał się z sióstr.

I wreszcie ja także jestem jego częścią.

Zaczynają mnie piec oczy, więc szybko mrugam. To absurdalne, ale odkąd dowiedziałam się o Jessice, stałam się nadmiernie uczuciowa. Wczoraj wieczorem czytałam naprawdę cudowną książkę zatytułowaną *Zaginione siostry – miłość, o której nie wiedziały* i po policzkach spływały mi całe strumienie łez! Te historie były po prostu niewiarygodne. Jedna opowiadała o trzech rosyjskich siostrach, które w czasie wojny przebywały w jednym obozie koncentracyjnym, ale nic o tym nie wiedziały.

Inna przedstawiała kobietę, której powiedziano, że jej siostra zginęła, ale ona nigdy w to nie uwierzyła, a potem zachorowała na raka i nie było nikogo, kto zaopiekowałby się trójką jej dzieci, ale one odnalazły jej siostrę całą i zdrową, w samą porę, by mogły się ze sobą pożegnać...

O Boże! Zaraz jak nic się rozplaczę.

Biorę głęboki oddech i podchodzę do stołu, na którym leży przygotowany prezent dla Jessiki. Jest to duży koszyk wypełniony produktami do kąpieli Origins, czekoladkami, no i jest w nim jeszcze mały album ze zdjęciami, przedstawiającymi mnie, kiedy byłam mała.

Kupiłam jej także u Tiffany’ego srebrny łańcuszek, taki, jak mam ja, ale Luke orzekł, że dawanie jej w prezencie biżuterii podczas pierwszego spotkania może być trochę nie na miejscu. Naprawdę tego nie rozumiem! Osobiście bardzo bym się ucieszyła, gdyby ktoś dał mi łańcuszek od Tiffany’ego! Nie poczułabym się „przytłoczona”, czy też jak to ujął.

Ale naprawdę upierał się w tej kwestii, więc powiedziałam, że zatrzymam go na później.

Przyglądam się koszykowi z lekkim niezadowoleniem. Może powinnam...

– Prezent jest jak należy – odzywa się Luke w chwili, gdy otwieram usta. – Nie musisz niczego dodawać.

Skąd wiedział, co chciałam powiedzieć?

– No dobrze – odpowiadam niechętnie. Spoglądam na zegarek i aż podskakuję. – Już niedługo! Wkrótce się tutaj zjawi!

Jessica ma zadzwonić, kiedy jej pociąg zajedzie na stację w Oxshott, a wtedy tata wyjedzie po nią samochodem. To czysty zbieg okoliczności, że akurat ten tydzień spędzi w Londynie. Mieszka w Cumbrii, wiele kilometrów stąd, ale podobno i tak miała przyjechać na konferencję naukową. Zjawi się więc dzień wcześniej – specjalnie po to, by mnie poznać!

– Zejdziemy na dół? – pytam, ponownie zerkając na zegarek. – Możliwe przecież, że przyjedzie szybciej!

– Zaczekaj. – Luke chowa telefon. – Becky, zanim zaczniesz się to całe zamieszanie... chciałem zamienić z tobą kilka słów na temat zakupów z podróży poślubnej.

– No tak.

Przyznaję, że jestem trochę rozżalona. Dlaczego właśnie teraz musi poruszać ten temat? To przecież wyjątkowy dzień! Powinien istnieć oficjalny zakaz wszelkich kłótni, tak jak w czasie wojny, kiedy w Boże Narodzenie grano w piłkę nożną.

To wcale nie znaczy, że jesteśmy na stopie wojennej – co to, to nie – ale wczoraj rzeczywiście trochę się poprzytkaliśmy, kiedy Luke znalazł pod łóżkiem dwadzieścia szlafroków z chińskiego jedwabiu. I ciągle mnie pyta, kiedy mam zamiar posprzątać mieszkanie. Odpowiadam mu, że pracuję nad tym.

To prawda. Pracuję. Poniekąd.

Ale to jest tak bardzo wyczerpujące. I w ogóle nie ma już wolnego miejsca, żeby coś postawić. A poza tym miałam do przetrawienia wieści o nieznannej siostrze! Nic dziwnego, że jestem nieco rozkojarzona.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że rozmawiałem z handlarzami mebli – mówi Luke. – Przyjadą w poniedziałek, by zabrać ten duński stół.

– Ach tak – odpowiadam z lekkim zakłopotaniem. – Dzięki. Zwrócą nam całą sumę?

– Prawie.

– To dobrze! Ostatecznie więc wcale tak źle na tym nie wyjdziemy!

– To prawda – przyznaje Luke. – Chyba że dodasz do siebie koszty składowania, koszty dostawy, koszt ponownego zapakowania...

– Jasne – szybko mu przerywam. – Oczywiście. – Tak czy inaczej... wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Uśmiecham się pojednawczo, ale on wcale na mnie nie patrzy. Otwiera teczkę i wyjmuje z niej plik papierów – o Boże.

Rachunki za karty kredytowe. Za moją Ostatnią Deskę Ratunku, jeśli chodzi o ścisłość. Poprosił mnie o nie pewnego dnia, a ja nie miałam wyboru i wyjęłam wszystkie z ich kryjóWKi.

Miałam jednak taką cichą nadzieję, że ich nie przeczyta.

– No tak! – mówię, a głos mam dziwnie wysoki. – Więc... przejrzałeś je!

– Wszystkie spłaciłem – odpowiada krótko. – Pocięłaś kartę?

– Tak.

Luke odwraca się i patrzy na mnie twardo.

– Naprawdę?

– Tak! – powtarzam z irytacją. – A kawałki wyrzuciłam do kosza!

– W porządku. I nie przyjdzie już nic więcej? Nic, za co płaciłaś ostatnio?

Czuję lekkie ściskanie w żołądku.

– Eee... nie – mówię. – To wszystko.

Nie mogę mu powiedzieć o torebce Angel. Po prostu nie mogę. Nadal jest przeświadczony, że w Mediolanie kupiłam tylko i wyłącznie prezent dla niego. To jedyne, co mnie w tych okolicznościach ratuje.

A poza tym sama mogę uregulować ten rachunek, żaden problem. Przecież za trzy miesiące będę miała pracę i własne pieniądze! Wszystko będzie prostsze!

Odczuwam ulgę, gdy zaczyna dzwonić moja komórka. Sięgam do torebki i wyjmuję ją – a na ekraniku wyświetla się numer Zuzy.

Zuza.

Od razu cała jestem w nerwach. Wpatruję się w jej imię i zaczyna we mnie wzbierać znajome uczucie żalu.

Nie rozmawiałam z nią od czasu naszej niespodziewanej wizyty. Ona nie dzwoniła... i ja też nie. Skoro jest taka zajęta i szczęśliwa, i ma fantastyczne nowe życie, w takim razie droga wolna. Nawet nie wie, że mam siostrę.

Na razie.

Wciskam zielony przycisk i biorę głęboki oddech.

– Cześć, Zuza! – odzywam się pogodnie. – Co słychać? Jak tam rodzinka?

– Wszystko w porządku – odpowiada. – U nas wszystkich. No, wiesz... ta sama stara...

– A co u Lulu? – wchodzę jej w słowo. – Pewnie spędzacie ze sobą mnóstwo czasu?

– U niej... też wszystko w porządku. – Sprawia wrażenie nieco zakłopotanej. – Posłuchaj, Bex... a jeśli chodzi o to... chciałam...

– Prawdę mówiąc, sama mam dość elektryzujące wieści – ponownie przerywam jej w pół słowa. – Wiesz co? Okazuje się, że mam siostrę, o której nic nie wiedziałam!

Pełna zdumienia cisza.

– Że co? – pyta wreszcie Zuza.

– Jak bum-cyk-cyk! Mam przyrodnią siostrę, o której w ogóle nie wiedziałam. Dziś po raz pierwszy się spotykamy. Ma na imię Jessica.

– Nie... nie mogę w to uwierzyć. – Wydaje się ogłuszona. – Ty masz siostrę?

– Fantastycznie, no nie? Zawsze o tym marzyłam!

– Ile... ile ona ma lat?

– Jest ode mnie tylko dwa lata starsza. Taka różnica wieku to żadna różnica! Pewnie się bardzo zaprzyjaźnimy – dodają od niechcienia. – W gruncie rzeczy... będziemy sobie znacznie bliższe niż przyjaciółki. Przecież płynie w nas ta sama krew i w ogóle. To więc na całe życie.

– Tak – mówi Zuza po chwili milczenia. – Pewnie tak.

– Muszę kończyć! Będzie tu lada chwila. Już się nie mogę doczekać!

– No to... powodzenia. Bawcie się dobrze.

– Na pewno tak będzie! – odpowiadam radośnie. – Och, i koniecznie pozdrów ode mnie

Lulu! I bawcie się dobrze podczas twoich urodzin.

– Pozdrowię – mówi Zuza z wyraźnym przygnębieniem. – Cześć, Bex. I... moje gratulacje.

Kiedy wyłączam telefon, mam gorące policzki. Zuza i ja jeszcze nigdy się tak wobec siebie nie zachowywałyśmy.

Ale to nie moja wina.

To ona, nie ja, znalazła sobie nową najlepszą przyjaciółkę.

Wrzucam telefon z powrotem do torebki i podnoszę głowę. Luke przygląda mi się, unosząc brwi.

– Co słyhać u Zuzy?

– Wszystko w porządku – odpowiadam nieco wyzywająco. – Lepiej zejdźmy już na dół.

Kiedy schodzę po schodach, zaczyna mnie swędzić skóra. Jestem niemal tak podekscytowana, jak podczas naszego ślubu. To jeden z najważniejszych dni w moim życiu!

– Wszystko gotowe? – pyta mama, kiedy wchodzimy do kuchni.

Jest ubrana w elegancką niebieską suknię, a jej twarz zdobi Makijaż na Specjalne Okazje, czyli mnóstwo emulsji rozświetlającej pod brwiami, by „otworzyć oczy”. Widziałam to w podręczniku do makijażu, który Janice podarowała jej na Gwiazdkę.

– Czy dobrze słyszałam, że sprzedajecie jakieś meble? – dodaje, odwracając się, by włączyć czajnik.

– Zwracamy stół – odpowiada bez zająknięcia Luke. – Przez pomyłkę zamówiliśmy dwa. Ale już wszystko załatwione.

– Chciałam wam powiedzieć, że powinniście go sprzedać na e-Bay! – oświadcza mama. – Na pewno dostalibyście dobrą cenę!

e-Bay.

To jest myśl.

– Więc... na e-Bay można sprzedać wszystko, prawda? – pytam od niechcienia.

– O tak! – odpowiada mama. – Wszyściutko.

A więc również i ręcznie malowane jajka, przedstawiające legendę o Królu Smoków. Nareszcie widzę światelko w tunelu.

– Napijmy się kawy – mówi mama, sięgając po kubki. – Skoro i tak czekamy.

Wszyscy zerkamy odruchowo na zegar. Pociąg Jessiki powinien zjechać na stację za pięć minut. Za pięć minut!

– Hej, hej!

Rozlega się pukanie do tylnych drzwi. Odwracamy się; przez szybę zagląda Janice.

O święci pańscy! Skąd ona wytrzasnęła ten połyskujący niebieski cień do powiek?

Błagam, niech tylko nie da takiego samego mamie – modlę się w duchu.

– Wchodź, Janice! – mówi mama, otwierając drzwi. – I Tom! Cóż za miła niespodzianka!

O rety, Tom wygląda na nieokrzesanego. Jego włosy są potargane i brudne, dłonie ma pokryte pęcherzami i podrapane, a czoło przecina mu głęboka zmarszczka.

– Przyszliśmy tylko *tyziyt* wam powodzenia – oświadcza Janice. – Co nie znaczy, by było wam potrzebne! – Stawia na blacie opakowanie słodziku, po czym odwraca się i patrzy na

mnie. – No więc, Becky. Siostra!

– Moje gratulacje – wtrąca Tom. – Czy też co tam się mówi w takich okolicznościach.

– Wiem! – odpowiadam. – To niesamowite, prawda? Janice potrząsa głową i patrzy na mamę z lekkim wyrzutem.

– Nie mogę uwierzyć, że trzymaliście to przede mną w tajemnicy, Jane!

– Chcieliśmy, by to Becky pierwsza się dowiedziała – odpowiada mama, klepiąc mnie po ramieniu. – Orzechowe ciasteczko, Janice?

– Z przyjemnością! – Częstuje się ciastkiem i siada. Przez chwilę gryzie je z namysłem, po czym podnosi głowę. – Czegoś tu jednak nie rozumiem... Dlaczego ta dziewczyna się z wami skontaktowała? Po tylu latach?

Ha! Czekałam, by ktoś zadał to pytanie.

– Jest po temu bardzo ważny powód – odpowiadam poważnym i pełnym dramatyzmu tonem. – Stało się tak dlatego, że mamy chorobę dziedziczną.

Janice wydaje cichy okrzyk.

– Chorobę! Jane! Nigdy mi o tym nie mówiłaś!

– To nie jest choroba – mówi z lekką irytacją mama. – Becky, dobrze wiesz, że to nie choroba! To „czynnik”.

– „Czynnik”? – powtarza Janice. Wygląda na jeszcze bardziej przerażoną. – Jakiego rodzaju czynnik? – Widzę, jak mierzy wzrokiem ciastko, jakby się bała, że może się przez nie czymś zarazić.

– To nie stanowi zagrożenia dla życia! – śmieje się mama. – Jedynie trochę szybciej krzepnie krew. Coś w tym rodzaju.

– Nie mów! – krzywi się Janice. – Nie zniosę rozmawiania o krwi!

– Lekarze powiedzieli Jess, że powinna powiadomić pozostałych członków rodziny o konieczności przebadania się, i to właśnie było powodem. Od zawsze wiedziała, że gdzieś tam żyje jej ojciec, ale nie знаła jego nazwiska...

– Zapytała więc matkę, kim jest jej nieznaną ojciec... – wchodzi jej w słowo przejęta Janice, jakby właśnie oglądała w telewizji miniserial Ruth Rendell.

– Jej matka nie żyje – wyjaśnia mama.

– Nie żyje! – wciąga powietrze Janice.

– Ale jej ciotka miała w starym pamiętniku zapisane nazwisko ojca Jessiki – tłumaczy mama. – Więc je odnalazła... i dała Jessice.

– I jakie to było nazwisko? – pyta bez tchu Janice. Przez chwilę panuje cisza.

– Mamo, to przecież Graham! – mówi Tom, przewracając oczami. – Graham Bloomwood. To oczywiste.

– No tak – mówi i wygląda na niemal zawiedzioną. – Naturalnie. No więc... zadzwoniła do was?

– Napisała list – wyjaśnia mama. – Kiedy w końcu zdobyła nasz adres. Nie mogliśmy w to uwierzyć! Przez wiele dni byliśmy w autentycznym szoku. No wiesz, dlatego właśnie nie przyszliśmy do kościoła na ten wieczorek z hawajskimi quizami – dodaje gwoli wyjaśnienia. – Graham wcale nie miał wtedy migreny.

– Wiedziałam! – oznajmia triumfująco Janice. – Powiedziałam wtedy do Martina: „Coś się wydarzyło u Bióomwoodów”. Ale nie miałam pojęcia, że chodzi o nieznanego członka rodziny!

– Ba – odpowiada mama. – A niby skąd mogłaś wiedzieć?

Przez chwilę Janice milczy, przetrawiając te wszystkie informacje. A potem nagle sztywnieje i kładzie dłoń na ramieniu mamy.

– Jane, bądźcie ostrożni. Czy wystąpiła z roszczeniami wobec majątku Grahama? Zdążył już zmienić testament na jej korzyść?

Janice jak nic ogląda w telewizji zbyt wiele kryminałów.

– Nie! – mówi mama ze śmiechem. – Skąd! Nic z tych rzeczy. Tak się akurat składa, że rodzina Jess jest... – zniża konspiracyjnie głos – dość zamożna.

– Ach! – wykrzykuje Janice. Mama jeszcze bardziej ścisza głos.

– Dobrze im się wiedzie na rynku mrożonek.

– Rozumiem. W takim razie nie jest zupełnie sama na tym świecie.

– O nie – odpowiada mama, tym razem normalnym głosem. – Ma ojczyrna i dwóch braci. A może trzech?

– Ale żadnej siostry – wtrącam się. – Obie miałyśmy lukę w naszym życiu. Taką... niezaspokojoną tęsknotę.

Wszyscy jak na komendę odwracają się i patrzą na mnie.

– Odczuwałaś niezaspokojoną tęsknotę, Becky? – pyta Janice.

– O tak. Zdecydowanie. – Z zadumą przetykam kawę. – Gdy patrzę wstecz, sędzę, że zawsze tkwiło we mnie przekonanie, iż mam siostrę.

– Naprawdę, skarbie? – pyta ze zdumieniem mama. – Nic nam o tym nie wspominałaś.

– Nigdy nikomu nie mówiłam. – Posyłam Janice dzielny uśmiech. – Ale w głębi duszy znałam prawdę.

– O Matko Najświętsza! – Janice jest zarumieniona z przejęcia. – Skąd ty to wiedziałaś?

– Czulaam to tutaj – odpowiadam, przykładając dłonie do serca. – To było tak, jakby... brakowało części mnie.

Robię zamaszysty gest ręką – i popełniam błąd, rzucając spojrzenie Luke'owi.

– A której konkretnie części ci brakowało? – pyta z wyraźnym zainteresowaniem. – Mam nadzieję, że nie jakiegoś niezbędnego organu.

Boże, on jest zupełnie pozbawiony serca. Wczoraj wieczorem czytał sobie fragmenty z książki *Nieznane siostry*, co chwila podnosił znad niej głowę i oświadczał: „Ty chyba sobie żartujesz”.

– Jeśli już chcesz wiedzieć, to części odpowiedzialnej za pokrewieństwo dusz – ripostuję.

– Dzięki. – Unosi brwi.

– Nie tego rodzaju pokrewieństwo dusz! Siostrzane!

– A co z Zużą? – pyta mama, patrząc na mnie ze zdziwieniem. – Przecież jest dla ciebie jak siostra. To taka kochana dziewczyna.

– Przyjaciele przychodzą i odchodzą – odpowiadam, odwracając wzrok. – Ona nie jest dla mnie rodziną. Nie rozumie mnie tak, jak rodzona siostra.

– To musiał być taki szok! – Janice patrzy na mamę ze współczuciem. – Zwłaszcza dla ciebie, Jane.

– To prawda – przyznaje mama, siadając przy stole. – Nie będę udawać, że było inaczej. Choć oczywiście ten romans miał miejsce na długo przedtem, nim Graham poznał mnie.

– Oczywiście! – mówi pospiesznie Janice. – Oczywiście, że tak! Mnie ani przez myśl nie przeszło, że... że on... wy...

Urywa, wyraźnie zdenerwowana.

– Ale w pewnym sensie... – Mama robi pauzę, mieszając kawę ze smutnym uśmiechem. – W pewnym sensie można się było czegoś takiego spodziewać. W młodości z Grahama był niezły donżuan. Nic dziwnego, że kobiety się dosłownie do niego lepiły.

– No... tak – mówi z powątpiewaniem Janice. Wszyscy wyglądamy przez okno i widzimy, jak tata idzie przez trawnik w kierunku drzwi. Siwiejące włosy ma potargane, twarz zaczerwienioną i mimo że tysiąc razy mu mówiłam, by tego nie robił, włożył do sandałów skarpetki.

– Kobiety nigdy nie potrafiły mu się oprzeć – oświadcza mama. – Taka jest prawda. – Rozpogadza się nieco. – Ale chodzimy na terapię, która ma nam pomóc przetrwać ten kryzys.

– Terapię? – powtarzam ze zdumieniem. – Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej! – oznajmia tata, wchodząc przez tylne drzwi. – Byliśmy już na trzech spotkaniach.

– Ta nasza terapeutka to bardzo miła dziewczyna – dodaje mama. – Choć nieco bezczelna. Zresztą jak wszyscy młodzi.

A niech mnie! A to nowina. Nie miałam pojęcia, że rodzice chodzą na terapię. Po namyśle skłonna jestem jednak przyznać, że coś takiego ma sens. Jak ja bym się czuła, gdyby Luke nagle mi oświadczył, że ma córkę, o której nic nie wiedział?

– Terapia! – mówi Janice. – W głowie mi się nie mieści!

– Musimy być realistami – mówi mama. – Nie można oczekiwać, że tego rodzaju rewelacje nie będą miały żadnych reperkusji.

– Tego typu nowina może doprowadzić do rozpadu rodziny – uzupełnia tata, wkładając do ust orzechowe ciasteczko. – Może zachwiać fundamentami małżeństwa.

– Święci pańscy! – Janice przykładą dłoń do ust, spoglądając szeroko otwartymi oczami to na mamę, to na tatę. – Jakiego... jakiego rodzaju reperkusji się spodziewacie?

– Z całą pewnością pojawi się gniew – odpowiada ze znajomością rzeczy mama. – Wzajemne oskarżenia. Kawy, Grahamie?

– Tak, dzięki, kochanie. – Uśmiecha się do niej promiennie.

– Taka terapia jest gównie warta – odzywa się nagle Tom. – Ja i Lucy też jej próbowaliśmy.

Jak na komendę odwracamy się w jego kierunku. Trzyma obiema dłońmi kubek z kawą i znad jego krawędzi rzuca nam gniewne spojrzenia.

– Terapeutka była kobietą – dodaje, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Sądzę, że tak się często zdarza, skarbie – odzywa się ostrożnie mama.

– Wzięła stronę Lucy. Powiedziała, że rozumie jej frustracje. – Dłonie Toma mocniej się zaciskają na kubku. – No, a co z moimi frustracjami? Lucy była przecież moją żoną, a w ogóle się nie interesowała moimi projektami. Ani oranżerią, ani przyległą do sypialni łazienką...

Coś mi mówi, że ta wyliczanka może trochę potrwać.

– Bardzo mi się podoba twoja altana, Tom! – wtrącam pospiesznie. – Jest bardzo... duża!

To prawda.

Ściśle rzecz biorąc, jest monstrualna. Bez mała padłam, kiedy dziś rano zobaczyłam ją przez okno. Ma trzy poziomy, dwuspadowy dach i taras.

– Martwimy się tylko troszkę przepisami budowlanymi, prawda? – mówi Janice, nerwowo zerkając na Toma. – Mogą nam to zaklasyfikować jako budynek mieszkalny.

– To naprawdę nie lada sztuka! – mówię pokrzepiająco. – Zbudować coś takiego!

– Lubię robić różne rzeczy z drewna – odpowiada szorstko Tom. – Drewno nigdy cię nie zawiedzie. – Dopija kawę. – Właściwie to już muszę lecieć. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

– Dzięki, Tom! – odpowiadam. – Do zobaczenia!

Kiedy zamykają się za nim drzwi, przez chwilę panuje krępująca cisza.

– To słodki chłopak – odzywa się wreszcie mama. – Jestem pewna, że znajdzie swoje miejsce w życiu.

– Teraz planuje zbudować łódź – mówi Janice, a na jej twarzy wyraźnie maluje się napięcie. – Łódź, na trawniku!

– Należę ci jeszcze kawy – proponuje uspokajającym tonem mama. – Może dolać do niej odrobinę sherry?

Przez chwilę Janice wygląda na rozdartą.

– Lepiej nie – odpowiada wreszcie. – Nie przed południem. Sięga do torebki i wyjmuje z niej niewielką tabletkę, którą wrzuca do ust. Następnie zapina torebkę i uśmiecha się promiennie.

– No więc tak! Jak wygląda Jessica? Macie zdjęcia?

– Zrobiliśmy kilka, ale nie wyszły! – odpowiada z żalem mama. – Ale ona jest... jest ładna, prawda, Grahamie?

– Bardzo ładna! – oświadcza tata. – Wysoka... szczupła...

– Ciemne włosy – uzupełnia mama. – Dość skryta dziewczyna, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Nadstawiam uszu, gdy ją opisują. Co prawda po powrocie z podróży poślubnej widziałam ją na ulicy, ale słońce świeciło tak intensywnie, a ja byłam tak zdumiona dziwnym zachowaniem rodziców, że nie przyjrzałam jej się dokładnie. Tak więc przez cały ubiegły tydzień zastanawiałam się, jak ona wygląda.

Skoro mama i tata twierdzą, że jest wysoka i szczupła, to pewnie musi być nieco podobna do Courteney Cox. Smukła i elegancka, może w białym spodniu z jedwabiu.

Wciąż sobie wyobrażam nasze pierwsze spotkanie. Obejmiemy się i z całych sił przytulimy do siebie. Następnie ona uśmiechnie się do mnie, ocierając łzy, ja uśmiechnę się

do niej... i natychmiast poczuje łączącą nas więź. Jakbyśmy się już znały i rozumiały lepiej niż z kimkolwiek innym na świecie.

A może się okaże, że mamy siostrzane zdolności jasnowidzenia. Albo będziemy jak te bliźniaczki, o których czytałam w *Zaginionych siostrach*, które zostały rozdzielone przy narodzinach, ale wykonywały ten sam zawód, a ich mężowie mieli tak samo na imię.

Spodobał mi się ten pomysł. Może się okaże, że Jessica jest także osobistą asystentką klientek i ma męża o imieniu Luke! Przyjedzie tutaj w identycznej marynarce od Marca Jacobsa i będziemy się mogły pojawić w telewizji śniadaniowej, i wszyscy będą mówić...

Och, tyle że ona nie jest osobistą asystentką klientek – przypominam sobie nagle. Robi właśnie doktorat. Chyba z geografii.

Nie. Z geologii.

Ale przecież... czy ja nie zastanawiałam się kiedyś nad zrobieniem doktoratu? To nie może być tylko i wyłącznie zbieg okoliczności.

– A gdzie ona mieszka? – pyta właśnie Janice.

– Na północy – odpowiada mama. – Na wsi, która się nazywa Scully, w Cumbrii.

– Na północy! – mówi Janice z taką trwogą, jakby mama powiedziała, że na biegunie północnym. – To musiała przejechać sporo kilometrów! O której tu będzie?

Mama spogląda na zegar i marszczy brwi.

– Właściwie to do tej pory powinna już przyjechać. Grahamie, skarbie, o której godzinie przyjeżdża pociąg Jess?

– Jakoś tak teraz... – Tata marszczy czoło. – Może powinienem zadzwonić na stację i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Ja to mogę zrobić – odzywa się Luke, podnosząc głowę znad gazety.

– Powiedziała, że zadzwoni... – mówi mama, gdy tymczasem tata już idzie do telefonu na korytarzu.

Nagle słychać dzwonek u drzwi.

Nieruchomiejemy i wpatrujemy się w siebie nawzajem. Chwilę później z korytarza słychać głos taty:

– To chyba ona! O mój Boże!

Serce wali mi jak tłok silnika.

Ona jest tutaj! Moja odnaleziona siostra! Moja nowa najlepsza przyjaciółka!

– Uciekam – mówi Janice. – Nie będę wam przeszkadzać w tak ważnym rodzinnym momencie. – Ścisną mi dłoń, po czym znika w tylnych drzwiach.

– Niech tylko poprawię fryzurę. – Mama pospiesznie udaje się na korytarz do lustra.

– Szybko! – popędzam ją. – Gdzie prezent?

Nie mogę dłużej czekać. Muszę ją poznać! Natychmiast!

– Proszę bardzo – mówi Luke, podając mi owinięty w celofan koszyk. – I Becky... – Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Co? – pytam ze zniecierpliwieniem. – O co ci chodzi?

– Wiem, iż jesteś podekscytowana, że poznasz Jessicę. Ja zresztą także. Ale pamiętaj, jesteście sobie zupełnie obce. I może trochę... wyluzuj.

– Nie jesteśmy sobie obce! – odpowiadam ze zdumieniem. – To moja siostra! Płynie w nas ta sama krew!

No, wiecie co. Czy Luke tego nie wie?

Pędzę na korytarz, ściskając w objęciach koszyk. Przez matową szybę w drzwiach dostrzegam niewyraźną, zamazaną sylwetkę. To ona!

– A tak przy okazji – mówi mama, kiedy zbliżamy się do drzwi. – Chce, żeby mówić do niej Jess.

– Gotowi? – pyta tata z błyskiem w oku.

To jest właśnie ta chwila! Nareszcie! Szybko obciążam marynarkę, przyglądam włosy i przywołuję na twarz najserdeczniejszy i najcieplejszy uśmiech.

Tata teatralnym gestem otwiera drzwi.

I oto na progu stoi moja siostra.

Moja pierwsza myśl jest taka, że z wyglądu niezupełnie przypomina Courteney Cox. I że nie ma na sobie białego spodnium z jedwabiu.

Ciemne włosy ma krótko obcięte. Ubrana jest w zwyczajną brązową koszulę i dżinsy. To pewnie taki... funkcjonalny szyk.

Jest ładna! Ładnawa. Powiedziałabym jednak, że jej makijaż jest może trochę zbyt naturalny.

– Cześć – odzywa się beznamiętnie i rzeczowo.

– Cześć! – odpowiadam drżącym głosem. – Jestem Becky! Twoja nieznana siostra!

Już już chcę do niej podbiec i zarzucić jej ramiona na szyję, kiedy uświadamiam sobie, że przecież mam zajęte ręce. Zamiast tego wciskam jej koszyk.

– To ode mnie!

– To prezent, skarbie! – dodaje uprzejmie mama.

– Dziękuję – mówi Jess, zerkając na koszyk. – Super.

Przez chwilę panuje cisza. Czekam, by Jess rozerwała z niecierpliwością celofan albo zapytała: „Czy mogę to od razu otworzyć?”, albo nawet wykrzyknęła: „Och, Origins! Moje ulubione!”. Ale... ona tego nie robi.

Pewnie stara się po prostu zachowywać uprzejmie. Widzi mnie przecież po raz pierwszy w życiu. Może sądzi, że jestem formalistką i sztywniaczką, więc ona też tak się musi zachowywać. Moim zadaniem jest więc sprawić, by poczuła się swobodnie.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że tu jesteś – oświadczam wzniosłym tonem. – Siostra, o której nic nie wiedziałam. – Kładę dłoń na jej ramieniu i patrzę prosto w oczy, które są orzechowego koloru i mają maleńkie plamki.

O mój Boże! Zaczyna się między nami tworzyć silna więź. To przypomina jedną ze scen z *Zaginionych siostr* – Wiedziałaś, prawda? – pytam, uśmiechając się i starając ukryć narastające wzruszenie. – Przez cały czas w jakiś niewytłumaczalny sposób wiedziałaś, że masz siostrę, prawda?

– Nie – odpowiada Jess z obojętnym wyrazem twarzy. – Nie miałam pojęcia.

– Och, jasne – mówię i przyznaję, że odczuwam lekką konsternację.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Miała oświadczyć: „Zawsze cię czułam w moim sercu!” i wybuchnąć płaczem.

Nie bardzo wiem, co w takiej sytuacji powiedzieć.

– No, ale mniejsza o to! – odzywa się pogodnie mama. – Wchodź, Jess! Pewnie po tak długiej podróży z przyjemnością napijesz się kawy!

Kiedy Jess wchodzi do środka, przyglądam się ze zdumieniem brązowemu plecakowi, który ma ze sobą. Nie jest wcale duży. A przecież konferencja ma potrwać cały tydzień!

– Czy to twój cały bagaż? – pytam.

– Mam tu wszystko, czego potrzebują. – Wzrusza ramionami. – Zawsze biorę mało rzeczy.

„Mało rzeczy”. Ha! Wiedziałam!

– Wysłałaś resztę pocztą kurierską? – pytam ściszym głosem i posyłam jej porozumiewawcze spojrzenie, które mówi: „doskonale cię rozumiem”.

– Nie. – Zerka na mamę. – To wszystko, co ze sobą przywiozłam.

– W porządku. – Uśmiecham się konspiracyjnie. – Niczego nie powiem.

Wiedziałam, że będziemy bratnimi duszami. Wiedziałam i już.

– Czy to Jess? – Od strony schodów rozlega się głos taty. – Witaj, moja kochana dziewczynko!

Kiedy przytula ją do siebie, czuję się trochę dziwnie. Tak, jakby znaczenie tego wszystkiego dotarło do mnie dopiero teraz. Tata ma jeszcze jedną córkę. Nie tylko mnie. Nasza rodzina jest teraz większa.

Ale przecież... o to właśnie chodzi, prawda? Że rodziny się powiększają. Dochodzą nowi członkowie.

– To jest Luke, mój mąż – mówię szybko.

– Miło cię poznać – odzywa się grzecznie Luke, robiąc krok w przód.

Gdy ściska jej dłoń, rozpiera mnie duma. Patrzą na mamę, a ona uśmiecha się do mnie pokrzepiająco.

– Wejdźmy dalej! – mówi.

Prowadzi nas do salonu, gdzie na stole stoją kwiaty i talerzyki z ciasteczkami. Siadamy i przez dłuższą chwilę panuje cisza.

To jest nierzeczywiste.

Siedzę naprzeciwko przyrodniej siostry. Gdy mama nalewa kawę, przyglądam się Jess. Porównuję jej twarz z moją, próbując dostrzec między nami podobieństwa. Jest ich mnóstwo! A już na pewno... kilka.

No, więc zgoda, nie wyglądamy jak bliźniaczki – ale jeśli się uważnie przyjrzeć, z całą pewnością można dostrzec podobieństwo. Na przykład ona ma w zasadzie takie same oczy jak ja – z wyjątkiem może tego, że mają inny kolor i trochę różnią się kształtem. Poza tym jej nos byłby dokładnie taki jak mój, gdyby tylko nie miał tego zadartego czubka. A włosy miałyby identyczne, gdyby tylko trochę je zapuściła i pomalowała, a może jeszcze poddała zabiegowi intensywnej regeneracji.

Nagle dociera do mnie, że ona najpewniej z taką samą chciwą ciekawością przygląda się mnie.

– Nie mogłam spać! – odzywam się i posyłam jej lekko zawstydzony uśmiech. – Jestem taka podekscytowana, że mogłam cię wreszcie poznać!

Jess kiwa głową, ale nic nie mówi. Kurczę, ona jest rzeczywiście skryta. Będę ją musiała trochę rozruszać.

– Jestem taka, jaką mnie sobie wyobrażałaś? – Śmieję się niepewnie i odgarniam do tyłu włosy.

Przez chwilę uważnie mi się przygląda, przesuwając wzrokiem po mojej twarzy.

– W gruncie rzeczy to w ogóle się nie zastanawiałam nad tym, jak będziesz wyglądać – oświadcza wreszcie.

– Jasne.

– Nie mam w zwyczaju zbyt wiele sobie wyobrażać – dodaje. – Przyjmuję rzeczy takimi, jakie są.

– Poczęstuj się ciastkiem, Jess – odzywa się uprzejmie mama. – Te są z pekanami i syropem klonowym.

– Dzięki – odpowiada Jess i bierze jedno. – Uwielbiam pekany.

– Ja też! – wtrącam ze zdumieniem. – Ja też je uwielbiam!

Boże, no i oto mamy dowód. Geny i tak się odezwą. Wychowywałyśmy się wiele kilometrów od siebie w różnych rodzinach... ale i tak lubimy te same rzeczy!

– Dlaczego nie zadzwoniłaś ze stacji? – pyta tata, biorąc z rąk mamy filiżankę kawy. – Przyjechałbym po ciebie. Nie musiałaś brać taksówki!

– Wcale jej nie wzięłam – odpowiada Jess. – Przyszłam pieszo.

– Pieszko? – pyta ze zdumieniem tata. – Ze stacji Oxshott?

– Z Kingston. Przyjechałam autobusem. – Przetyka kawę. – Tak było dużo taniej. Zaoszczędziłam dwadzieścia pięć funtów.

– Przyszłaś tutaj aż z Kingston? – Mama wygląda na przerażoną.

– To wcale nie jest daleko – odpowiada.

– Jess jest zapalonym piechurem, Becky – wyjaśnia mama. Uśmiecha się do niej. – To twoje hobby, prawda, skarbie?

Tego już za wiele. Powinno się nakręcić o nas program dokumentalny lub coś w tym rodzaju!

– Ja też! – wykrzykuję. – To także i moje hobby. To zadziwiające, prawda?

Zapada cisza. Rozglądam się po twarzach moich bliskich, na których maluje się bezbrzeżne zdumienie. No, wiecie co. O co im, u licha, chodzi?

– Chodzenie to twoje hobby, kochanie? – pyta niepewnie mama.

– Pewnie, że tak! Bez przerwy chodzę po Londynie! To prawda, no nie, Luke?

Posyła mi zagadkowe spojrzenie.

– Pewne ulice Londynu zostały naznaczone śladami twoich stóp, to prawda – przyznaje.

– Ćwiczysz więc marsze wytrzymałościowe? – pyta Jess z zainteresowaniem.

– Cóż... – Przez chwilę się zastanawiam. – Raczej... łączę je z innymi czynnościami. Dla urozmaicenia.

– Jak na przykład trening krzyżowy?

– Coś w tym rodzaju. – Kiwam głową i odgryzam kawałek ciasteczka.

I znowu zapada cisza. Mam wrażenie, jakby każdy czekał, aż odezwie się ktoś inny. Boże, dlaczego wszyscy jesteśmy tacy skrupowani? Powinniśmy zachowywać się naturalnie. Jesteśmy przecież jedną rodziną!

– Lubisz filmy? – pytam więc.

– Niektóre – odpowiada Jess, marszcząc z namysłem brwi. – Lubię takie, które coś mówią. Które zawierają jakąś formę przekazu.

– Ja też – przytakuję z zapalem. – Każdy film jak najbardziej powinien zawierać przekaz.

To prawda. Weźmy na przykład *Grease*. Jest w nim mnóstwo przekazów. Na przykład:

„Nie martw się, jeśli nie jesteś lubiana w szkole, ponieważ zawsze możesz zrobić sobie trwałą”.

– Dolać komuś kawy? – pyta mama. – W kuchni jest jeszcze jeden dzbanek.

– Ja pójdę – odpowiadam, podnosząc się z sofy. – Luke, czy mógłbyś pójść ze mną i... pomóc mi? Na wypadek, gdybym... nie mogła go znaleźć.

Wiem, że to nie zabrzmiało zbyt przekonująco, ale kicham na to. Wprost umieram z pragnienia porozmawiania z Lukiem.

Gdy tylko wchodzimy do kuchni, zamykam drzwi i patrzę na niego z przejęciem.

– No i? Co sądzisz o mojej siostrze?

– Wydaje się bardzo miła.

– Świetna, no nie? I tyle jest między nami podobieństw! Nie sądzisz?

– Słucham? – Patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Jess i ja! Jesteśmy tak bardzo podobne!

– Podobne? – Luke sprawia wrażenie osłupiałego.

– Tak! – odpowiadam z lekkim zniecierpliwieniem. – W ogóle nie słuchałeś? Ona lubi pekany, ja lubię pekany... ona lubi chodzić, ja lubię chodzić... obie lubimy filmy... Między nami panuje niesamowite porozumienie!

– Skoro tak twierdzisz. – Luke unosi brwi, a ja czuję w środku lekkie ukłucie.

– Nie lubisz jej czy co?

– Oczywiście, że lubię! Ale jak na razie zamieniłem z nią najwyżej dwa słowa. Ty zresztą też niewiele więcej.

– Wiem – przyznaję. – Ale to dlatego, że tam jest tak sztywniacko. Nie możemy sobie porządnie pogadać. Pomyślałam więc, że zaproponuję jej, byśmy gdzieś wyszły, tylko we dwie. I pozwolimy, by wytworzyła się między nami więź.

– Na przykład gdzie?

– Nie wiem. Na spacer. Albo... może na małe zakupy!

– Aha – kiwa głową. – Małe zakupy. Dobry pomysł. Zakładam, że zmieścisz się w swoim dziennym budżecie, czyli dwudziestu funtach.

Że co?

Nie mogę uwierzyć, że w takiej chwili porusza temat budżetu. No bo ile razy idzie się po raz pierwszy na zakupy z nieznaną siostrą?

– To naprawdę jednorazowy, wyjątkowy przypadek – tłumaczę mu. – Jasna sprawa, że potrzebny mi dodatkowy budżet.

– Myślałem, że wspólnie ustaliliśmy, iż nie ma wyjątkowych przypadków – oświadcza Luke. – Żadnych „wyjątkowych okazji”. Nie pamiętasz?

Zaczyna mnie ogarniać wściekłość.

– Świetnie! – oznajmiam, krzyżując ramiona. – Nie będę w takim razie mogła stworzyć więzi z siostrą.

W kuchni zapada cisza. Wzdycham głośno i rzucam ukradkowe spojrzenie na Luke’a. Wygląda na kompletnie nieporuszonego.

– Becky! – słyszę głos mamy. – Gdzie ta kawa? Wszyscy czekamy! – Wchodzi do kuchni

i patrzy na nas podejrzliwie. – Co się stało? Chyba się nie kłócicie?

Odwracam się do niej.

– Chcę zabrać Jess na zakupy, ale Luke mówi, że muszę się trzymać budżetu!

– Luke! – wykrzykuje z wyrzutem mama. – Uważam, że to cudowny pomysł, Becky! Powinnyście, dziewczęta, spędzić razem trochę czasu. Może skoczycie do Kingston! Mogłybyście zjeść tam lunch.

– No właśnie! – Posyłam Luke’owi spojrzenie pełne urazy. – Ale mam tylko dwadzieścia funtów.

– Jak już mówiłem, mamy ściśle określony budżet – odpowiada Luke nieprzejednanym tonem. – Jestem pewny, że zgodzisz się ze mną, Jane, iż osiągnięcie porozumienia w kwestiach finansowych jest podstawową zasadą szczęśliwego małżeństwa.

– Tak, tak, oczywiście... – odpowiada mama, wyglądając na strapioną. Nagle jej twarz się rozpogadza. – Greenlowowie!

Kto?

– Twoi kuzyni z Australii! W prezencie ślubnym przysłali wam czek! Ciągłe wylatywało mi to z pamięci. Jest w dolarach australijskich, ale i tak to całkiem ładna sumka... – Przeszukuje szufladę i wyjmuje czek. – Proszę bardzo! Pięćset dolarów australijskich!

– O kurczę! – Biorę od niej czek i uważnie mu się przyglądam. – Fantastycznie!

– Możesz więc teraz jechać i zafundować sobie i Jess coś ładnego! – Mama z uśmiechem ściska mi ramię.

– Widzisz? – Rzucam Luke’owi triumfujące spojrzenie, a on przewraca oczami.

– No dobrze. Wygrałaś. Tym razem. Podekscytowana, udaję się pospiesznie do salonu.

– Hej, Jess! – oznajmiam od progu. – Masz ochotę gdzieś się wybrać? Na przykład po zakupy?

– Och. – Jest wyraźnie zaskoczona. – Cóż...

– Jedźcie sobie, kochane! – mówi mama, wchodząc za mną. – Zaszalejcie trochę!

– Możemy zjeść razem lunch... lepiej się poznać... co o tym myślisz?

– No dobrze – odpowiada wreszcie.

– Wspaniale!

Odzyskuję wigor. Moja pierwsza wyprawa na zakupy z siostrą! To takie elektryzujące!

– Pójdę się przygotować.

– Zaczekaj – mówi Jess. – Ja tobie także coś przywiozłam. To nic wielkiego, ale...

Podchodzi do plecaka, otwiera go i wyjmuje z niego paczkę owiniętą w papier z nadrukiem: „Szczęśliwego 1999 roku!”

To naprawdę odlotowe!

– Uwielbiam kiczowaty papier do pakowania! Gdzie go znalazłaś?

– Dawali go za darmo w banku – odpowiada Jess.

– Och. – Jestem zdziwiona. – Eee... wspaniale! Rozrywam papier i w środku znajduję plastikowe pudełko, podzielone na trzy części.

– O rety! – wykrzykuję natychmiast. – To jest fantastyczne! Bardzo ci dziękuję! Właśnie czegoś takiego pragnęłam! – Obejmuję Jess i całuję ją w policzek.

– A co to takiego, kochanie? – pyta mama, patrząc z ciekawością na pudełko.

Jeśli mam być szczerą, to nie jestem pewna.

– To pojemnik na jedzenie – wyjaśnia Jess. – Można w nim trzymać resztki i nie pomieszają się ze sobą. Ryż... potrawkę... cokolwiek. Nie wyobrażam sobie życia bez czegoś takiego.

– Naprawdę mi się przyda! Super! – Przyglądam się z namysłem trzem przegródkom. – Myślę, że będę w tym trzymać wszystkie moje balsamy do ust.

– Balsamy do ust? – pyta Jess z nieukrywanym zdumieniem.

– Ciągłe je gubię! A ty nie?

Nakładam pokrywkę i przez chwilę podziwiam pojemnik. Następnie podnoszę papier i zwijam go w kulkę. Jess krzywi się, jakby ktoś nadepnął jej na stopę.

– Mogłaś go złożyć – mówi, a ja patrzę na nią z konsternacją.

Po co, u licha, miałabym składać zużyty papier do pakowania?

Ale może to jedno z jej przyzwyczajęń, do których będę musiała przywyknąć. Wszyscy mamy swoje małe dziwactwa.

– Jasne! Oczywiście. Ależ ze mnie głuptas! Rozkładam zwinięty w kulkę papier, wyglądam go i starannie składam w nieduży prostokąt.

– Proszę bardzo. – Uśmiecham się promiennie do Jess i wrzucam go do kosza. – Chodźmy!

Do Kingston jedzie się samochodem tylko piętnaście minut. Jest to centrum handlowe położone najbliżej domu rodziców. Znajduję parkometr i po mniej więcej dwudziestu próbach udaje mi się zaparkować auto w jako tako linii prostej.

Boże, to całe parkowanie jest koszmarnie stresujące. Wszyscy w koło tylko trąbią i trąbią. A już prawdziwym problemem jest wjechanie tyłem na oczach tylu gapiów. Powinni przyjąć to ze zrozumieniem, a nie szturchać swoich towarzyszy i pokazywać mnie palcem.

No, ale dość już o parkowaniu. Ważne, że tutaj jesteśmy! Dzień jest naprawdę fantastyczny: słoneczny, ale nie za ciepły, a po błękitnym niebie mkną niewielkie chmurki. Kiedy wysiadam, omiatam spojrzeniem zalaną słońcem ulicę i nie jestem w stanie ukryć podekscytowania. Pierwsza wyprawa na zakupy z siostrą! Dokąd udamy się najpierw?

Kiedy wrzucam monety do parkometru, przez głowę przemykają mi różne możliwe warianty. Przede wszystkim musimy sobie zrobić darmowy makijaż – i zajrzeć do tego nowego butików z bielizną, o którym wspominała mama...

– Jak długo tu będziemy? – pyta Jess, kiedy wrzucam do otworu szóstą monetę jedno funtową.

– Eee... – Mrużę oczy, wpatrując się w tabelkę na parkometrze. – To powinno wystarczyć do szóstej... a potem parkowanie jest darmowe!

– Do szóstej? – Wygląda na lekko zdumioną.

– Nie przejmuj się! – mówię uspokajająco. – Sklepów nie zamykają o szóstej. Są otwarte przynajmniej do ósmej.

Koniecznymy musimy też pójść do galerii handlowej i poprzymierzać mnóstwo kreacji wieczorowych. Jedno z najprzyjemniejszych popołudni w życiu spędziłam razem z Zużą na przymierzaniu eleganckich sukni w Harrodzie. Przebierałyśmy się w coraz bardziej ekstrawaganckie kiecki z niebotyczną liczbą zer na metce, obracałyśmy się przed lustrami, a wszystkie zadzierające nosa sprzedawczynie były naprawdę wkurzone i wciąż pytały, czy już się na coś zdecydowałyśmy.

W końcu Zuza oświadczyła, że chyba tak... ale chciałyby jeszcze zobaczyć, czy pasuje do tego diamentowa tiara od Cartiera – tak by się tylko upewnić – i czy mogliby przysłać jedną z działów z biżuterią.

Chyba właśnie wtedy poproszono nas o opuszczenie sklepu.

Na to wspomnienie chce mi się śmiać, lecz nagle czuję bolesne ukłucie w piersi. Boże, Zuza i ja kiedyś tak świetnie się razem bawiłyśmy. Moja przyjaciółka jak nikt inny na świecie potrafi wypowiadać słowa: „No dalej, kup to!” Nawet kiedy byłam kompletnie splukana, mówiła: „Kup to! Ja zapłacę! Później mi oddasz”. A potem ona też coś sobie kupowała i razem udawałyśmy się do kafejki na cappuccino.

Ale mniejsza o to. Nie ma co wpadać w nostalgiczny nastrój.

– No i co?! – Odwracam się do Jess. – Na co masz najpierw ochotę? Jest tutaj masa sklepów. Dwa domy towarowe...

– Nie znoszę domów towarowych – oświadcza stanowczo. – Na ich widok robi mi się niedobrze.

– Jasne. – Milknę na chwilę.

Żaden problem. Wiele osób nie znosi domów towarowych.

– Jest też mnóstwo butików – mówię z zachęcającym uśmiechem. – Wiesz co, właśnie przyszło mi do głowy idealne miejsce!

Idziemy, a ja w międzyczasie podziwiam swoje odbicie w oknach wystawowych. Ta torebka Angel warta była każdego pensa. Wyglądam jak gwiazda filmowa!

W gruncie rzeczy jestem lekko zdziwiona, że Jess nie wspomniała o niej ani słowem. Gdyby moja nieznana siostra miała torebkę Angel, natychmiast bym o nią zapytała. Ale może ona stara się grać obojętną i zblazowaną. Potrafię coś takiego zrozumieć.

– No więc... gdzie zazwyczaj robisz zakupy? – pytam swobodnie.

– Tam, gdzie najtaniej.

– To tak jak ja! – odpowiadam z zapalem. – Najfajniejszy top Ralpa Laurena kupiłam w outlecie w Utah. Dziewięćdziesiąt procent zniżki!

– Często kupuję od razu w większych ilościach – mówi Jess, lekko marszcząc brwi. – Można wtedy naprawdę sporo zaoszczędzić.

O mój Boże! Nadajemy na tych samych falach. Wiedziałam, że tak właśnie będzie!

– Całkowicie się z tobą zgadzam! – wykrzykuję z zachwytem. – To właśnie ciągle próbuję wytłumaczyć Luke'owi! Ale on nie potrafi tego zrozumieć.

– Masz więc kartę do jakiejś hurtowni? – Jess spogląda na mnie z wyraźnym zainteresowaniem. – Albo do dyskontu spożywczego?

Patrzę na nią w osłupieniu.

– Eee... nie. Ale podczas naszej podróży poślubnej kupiłam naprawdę sporo rzeczy w ilościach hurtowych! Czterdzieści kubków i dwadzieścia jedwabnych szlafroków!

– Jedwabnych szlafroków? – powtarza Jess, wyraźnie zaskoczona.

– To była naprawdę świetna inwestycja! Mówiłam Luke'owi, że z finansowego punktu widzenia taki zakup ma sens, ale on mnie nie słuchał... O! Jesteśmy! To ten sklep.

Stoimy właśnie przed drzwiami butiku Georginy. To duży, jasno oświetlony lokal, gdzie można kupić ubrania, biżuterię i naprawdę odjazdowe torebki. Przychodzę tu, odkąd skończyłam dwanaście lat. To jeden z moich ulubionych butików.

– Będiesz naprawdę zachwycona – mówię radośnie do Jess i pcham drzwi.

Sandra, jedna ze sprzedawczyń, która układa właśnie w gablocie wyszywane paciorkami portmonetki, na odgłos otwieranych drzwi podnosi głowę. Jej twarz natychmiast się rozjaśnia.

– Becky! Tak dawno cię nie widziałam! Gdzie się podziewałaś?

– Byłam w podróży poślubnej!

– No jasne. I jak ci się podoba życie małżeńskie? – Uśmiecha się szeroko. – Przeżyliście już pierwszą wielką kłótnię?

– Bardzo śmieszne – odpowiadam z równie szerokim uśmiechem.

Mam właśnie zamiar przedstawić jej Jess, kiedy Sandra wydaje z siebie nagły pisk.

– O mój Boże! Czy to torebka Angel? Prawdziwa?

– Tak. – Uśmiecham się błogo. – Podoba ci się?

– Nie wierzę. Ona ma torebkę Angel! – woła do pozostałych sprzedawczyń, a ja słyszę kilka westchnień. – Gdzie ci się udało ją dostać? Mogę dotknąć?

– W Mediolanie.

– Tylko Becky Bloomwood. – Potrząsa głową. – Tylko Becky Bloomwood mogłaby wejść tutaj z przewieszoną przez ramię torebką Angel. He cię to cudo kosztowało?

– Eee... niemało!

– O rany! – Dotyka jej ostrożnie. – Jest po prostu niesamowita.

– Co w niej takiego wyjątkowego? – pyta ze zdumieniem Jess. – To przecież tylko torebka.

Przez chwilę panuje cisza, po czym wszystkie wybuchamy śmiechem. A niech mnie, Jess jest bardzo dowcipna!

– Sandro, chciałabym ci kogoś przedstawić – mówię. – To moja siostra!

– Twoja siostra? – Patrzy z osłupieniem na Jess. – Nie wiedziałam, że masz siostrę.

– Ja też nie! Jesteśmy siostrami, które dopiero się odnalazły, prawda? – Obejmuję ją ramieniem.

– Przyrodnimi siostrami – poprawia mnie nieco sztywno Jess.

– Georgino! – woła Sandra w stronę zaplecza. – Georgino, musisz tu przyjść! Nie uwierzysz! Jest tu Becky Bloomwood... i jej siostra! Są dwie!

Przez chwilę nic się nie dzieje, po czym odsuwa się zasłona i pojawia się Georgina, właścicielka butik. Jest po pięćdziesiątce, ma siwe włosy z niebieskawym odcieniem i naprawdę niesamowite turkusowe oczy. Jest ubrana w aksamitną tunikę, a w ręku trzyma wieczne pióro. Kiedy dostrzega mnie i Jess, w jej oczach pojawiają się błyski.

– Dwie siostry Bloomwood – mówi miękko. – Cóż, to naprawdę cudownie.

Widzę, jak wymienia spojrzenia ze sprzedawczyniami.

– Zarezerwujemy dla was dwie przymierzalnie – wtrąca natychmiast Sandra.

– Jeśli nie będzie dwóch wolnych, możemy wejść przecież do jednej, prawda, Jess? – pytam.

– Słucham? – Na jej twarzy maluje się zdziwienie.

– Jesteśmy siostrami! – Ściskam jej ramię z uczuciem. – Nie powinnyśmy się siebie wstydzić!

– W porządku – mówi Sandra, dostrzegając wyraz twarzy Jess. – Jest kilka wolnych przymierzalni. Spokojnie sobie pooglądajcie... bawcie się dobrze!

– Mówiłam ci, że to sympatyczne miejsce! – oświadczam radośnie. – No to... zacznijmy może od tego!

Podchodzę do stojaka ze ślicznymi kolorowymi topami i zaczynam przesuwając wieszaki.

– Ten jest świetny, no nie? – Wyciągam różowy T-shirt z małym motylkiem. – A tobie naprawdę by pasował tamten ze stokrotką!

– Chcecie je przymierzyć? – pyta Sandra. – Mogę je zanieść do przymierzalni.

– Tak, chętnie! – Podaję je i uśmiecham się promiennie do Jess.

Ale ona nie uśmiecha się do mnie. Stoi tam, gdzie stała. Z rękami w kieszeniach.

Pewnie jest trochę onieśmielona. Ostatecznie po raz pierwszy robi ze mną zakupy. Czasami jednak od razu nawiązuje się nic porozumienia, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy poszłam na zakupy z Zuzą – i obie jednocześnie wyciągnęłyśmy ręce po taką samą kosmetyczkę Lulu Guinness.

Ale niekiedy bywa trochę niezręcznie. Nie wie się jeszcze, jakie są upodobania drugiej osoby... więc pokazuje się co chwila coś nowego i pyta: „Podoba ci się to? A to?”

Myślę, że może Jess potrzebuje nieco zachęty.

– Te spódnice są fantastyczne! – mówię, podchodząc do następnego stojaka ze strojami wieczorowymi. – Świetnie byś wyglądała w tej czarnej z tiulowym wykończeniem!

Zdejmuję ją razem z wieszakiem i przykładam do Jess. Sięga po metkę z ceną, rzuca na nią okiem i momentalnie blednie.

– Co za ceny – mruczy pod nosem.

– Dość rozsądne, no nie?

– I spódnice też? – pyta Sandra, pojawiając się za naszymi plecami.

– Tak, proszę! A ja przymierzę taką samą, tylko szarą... ooch, i różową! – dodaję, dostrzegając na końcu stojaka jeszcze jeden kolor.

Dwadzieścia minut później jesteśmy już po rundce wokół sklepu, a w przymierzalniach czekają na nas dwie sterty ciuchów. Jess niewiele się odzywała. Właściwie to przez cały czas milczała. Ale za to ja wybierałam rzeczy, które mogą na nią pasować, i dokładałam je do sterty.

– No dobra! – mówię, odczuwając radosne podniecenie. – Chodźmy teraz to wszystko poprzymierzać! Założę się, że będziesz świetnie wyglądać w tamtej spódnicy! Powinnaś zestawić ją z tym topem bez jednego ramiączka i może...

– Nie zamierzam niczego przymierzać – przerywa mi Jess.

Wsuwa ręce do kieszeni i opiera się o ścianę. Speszona, patrzę na nią.

– Słucham?

– Nie zamierzam niczego przymierzać. – Kiwa głową w kierunku przymierzalni. – Ale ty się nie krępuj. Zaczekam na ciebie.

W butiku panuje przez chwilę pełna zdumienia cisza.

– Ale... dlaczego nie chcesz niczego przymierzyć? – pytam.

– Nie potrzebuję nowych ubrań.

Wpatruję się w nią z konsternacją. Kątem oka dostrzegam, że oszołomione sprzedawczynie wymieniają między sobą spojrzenia.

– Ależ musisz czegoś potrzebować! – mówię. – T-shirt... spodnie...

– Nie. Niczego.

– Nie chcesz nawet przymierzyć żadnego z tych oszłamiających topów? – Podnoszę jeden, mając nadzieję, że się jednak skusi. – Tylko po to, żeby zobaczyć, jak będziesz w nim wyglądać?

– Nie planuję ich kupić. – Wzrusza ramionami. – Więc nie ma sensu.

– Ja funduję! – mówię, nagle wszystko rozumiejąc. – Przecież wiesz, że dzisiaj za wszystko płacę ja, no nie?

– Nie chcę marnować twoich pieniędzy. Ty jednak idź – dodaje. – Proszę bardzo.

Właściwie to nie wiem, co teraz zrobić. Wcześniej nawet przez myśl mi nie przeszło, że Jess nie będzie chciała niczego przymierzyć.

– Tam leżą twoje rzeczy, Becky – wtrąca Sandra.

– Idź – kiwa głową Jess.

– No... dobrze – mówię wreszcie. – To nie potrwa długo. Udaję się za zasłonę i przymierzam większość ubrań. Ale moje podekscytowanie zdążyło już wyparować. To miało być inaczej. Marzyło mi się wspólne przymierzanie ciuchów. Chciałam, żebyśmy się przy tym dobrze bawiły. Wyobrażałam sobie, jak tanecznym krokiem wychodzimy z przymierzalni, obracamy się przed lustrami, rozrzucamy ubrania...

Mnie się to naprawdę nie mieści w głowie. Jak ona może niczego nie przymierzyć?

Na pewno zupełnie nie odpowiada jej mój gust, uświadamiam sobie nagle z rozpaczą. A nie wspomniała o tym ani słowem, ponieważ usiłuje być uprzejma.

– Coś ci pasuje? – pyta Georgina, kiedy wreszcie wychodzę.

– Ma się rozumieć! – odpowiadam, starając się, by zabrzmiało to radośnie. – Wezmę dwa topy i tę różową spódnicę. Jest naprawdę świetna!

Zerkam na Jess, ale ona patrzy prosto przed siebie. Nagle mruga, jakby dopiero mnie dostrzegła.

– Gotowa? – pyta.

– Eee... tak. Pójdę tylko zapłacić.

Idziemy razem do lady, gdzie Sandra skanuje kody kreskowe moich zakupów. W międzyczasie Georgina z zaciekawieniem lustruje Jess.

– Skoro nie masz nastroju na ubrania – odzywa się nagle – co powiesz na biżuterię? – Wyciąga spod kasy tacę. – Mamy naprawdę śliczne bransoletki. Tylko po dziesięć funtów. Ta pewnie ci się spodoba.

Podnosi piękną bransoletkę, wykonaną ze srebrnych, połączonych ze sobą kóleczek. Wstrzymuję oddech.

– Ładna – ocenia Jess, kiwając głową, a mnie ogarnia cudowne uczucie ulgi.

– Dla siostry Becky... – mówi Georgina i widzę, jak mruży oczy, licząc w myślach – ... trzy funty.

– O kurczę! – Uśmiecham się do niej promiennie. – Fantastycznie! Bardzo ci dziękuję, Georgino!

– Nie, dzięki – mówi Jess. – Niepotrzebna mi bransoletka. Że co?

Kręci mi się w głowie. Czy ona nie zrozumiała?

– Ale... ona kosztuje tylko trzy funty – wyjaśniam. – To wyjątkowa okazja!

– Nie potrzebuję jej. – Wzrusza ramionami.

– Ale...

Brak mi słów. Jak można nie kupić bransoletki za trzy funty? No jak?

Słowo daję, to wbrew prawom fizyki czy coś w tym stylu.

– Proszę bardzo, Becky! – mówi Sandra, podając mi zakupy.

Dwie torby – blad różowe, błyszczące i śliczne – ale kiedy moje dłonie zaciskają się

wokół rączek ze sznurka, nie czuję zwykłej radości. Prawdę mówiąc, w ogóle niewiele czuję. Jestem zbyt skołowana.

– No to... w takim razie cześć! – mówię. – I dzięki! Niedługo znowu do was zajrzę!

– Pa, Becky, kochanie! – odpowiada Georgina. – I Jess – dodaje, trochę mniej ciepło. – Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

– Becky! – mówi Sandra. – Pozwól, że przed wyjściem dam ci jeszcze naszą ulotkę o wyprzedaży.

Podchodzi do mnie, wręcza mi błyszczącą ulotkę i nachyla się bliżej.

– Wcale nie robię sobie teraz żartów ani nic takiego – szepcze mi do ucha. – Ale... czy jesteś pewna, że to twoja siostra?

Kiedy wychodzimy na ulicę, jestem lekko oszołomiona. Nie wszystko poszło zgodnie z planem.

– No tak! – odzywam się niepewnie. – Fajnie było!

Rzucam spojrzenie Jess, ale na jej twarzy maluje się spokój i opanowanie. Nie potrafię powiedzieć, co sobie teraz myśli. Chciałabym, żeby choć raz się uśmiechnęła. Albo odrzekła: „Tak, było super!”

– Szkoda, że nie znalazłaś w butikiu Georginy niczego dla siebie. Czy... podobały ci się ciuchy?

Jess wzrusza ramionami, ale nic nie mówi, a mnie ogarnia czarna rozpacz. Wiedziałam. Uważa, że mam okropny gust. Całe to udawanie, że „nie potrzebuje żadnych ubrań”, było jedynie zwykłą grzecznością.

No bo przecież komu nie przyda się nowy T-shirt? No właśnie.

W takim razie będziemy musiały po prostu poszukać innych sklepów, które spodobają się Jess. Kiedy idziemy załaną słońcem ulicą, intensywnie się zastanawiam. Nie spódnice... nie bransoletki... Dżinsy! Każdy lubi dżinsy. Doskonały pomysł.

– Przydałyby mi się nowe dżinsy – mówię od niechcienia.

– A po co? – marszczy brwi Jess. – Co jest nie tak z tymi, które masz teraz na sobie?

– No... nic. Ale potrzebuję jeszcze jednej pary! – odpowiadam ze śmiechem. – Chcę, by były trochę dłuższe od tych, ale nie biodrówki, może ciemnogrnatowe...

Patrzę z napięciem na Jess. Liczę, że powie mi teraz, jakie lubi dżinsy. Ale ona milczy.

– No, a... a ty chciałabyś kupić dżinsy? – pytam, mając wrażenie, jakbym pchała pod górę ogromny kamień.

– Nie – odpowiada Jess. – Ale ty sobie kup, proszę bardzo. Czuję ukłucie rozczarowania.

– Może innym razem. – Uśmiecham się z przymusem. Doszliśmy właśnie do rogu – i rewelacja! W sklepie LK Bennetta mają właśnie wyprzedaż!

– Popatrz tylko! – wykrzykuję podekscytowana, pospiesznie podchodząc do wystawy, na której wyeksponowano mnóstwo kolorowych sandałów. – Prześliczne! Jakie buty ci się podobają?

Jess omiata spojrzeniem wystawę.

– Szczerze mówiąc, niezbyt mnie to interesuje – oświadcza. – Nikt nigdy nie zwraca uwagi na buty.

Przez chwilę mam wrażenie, jakby z szoku ugięły się przede mną kolana.

Nikt nigdy nie zwraca uwagi na buty?

Ale... no tak. Ona żartuje! Muszę się w końcu przyzwyczaić do jej ironicznego poczucia humoru.

– Oooh ty! – mówię i daję jej przyjacielskiego szturchańca. – Cóż... jeśli nie masz nic przeciwko temu, wejdę i przymierzę kilka par.

Tak sobie jednak myślę, że jeśli będę przymierzać wystarczająco długo, Jess nie wytrzyma i się do mnie przyłączy.

Tyle że tak się nie dzieje. W następnym sklepie też nie. Nie zdradza również zainteresowania perfumami ani kosmetykami w Space NK. Jestem obławiana reklamówkami, gdy tymczasem Jess nie kupiła ani jednej rzeczy. Jak nic kiepsko się bawi. Myśli sobie pewnie, że beznadziejna ze mnie siostra.

– A co powiesz na... sprzęt kuchenny? – proponuję z nutką desperacji w głosie.

Mogłybyśmy kupić modne fartuszki albo jakieś chromowane gadzety do kuchni... Ale Jess potrząsa głową.

– Takie rzeczy zawsze kupuję w sklepie dyskontowym. Jest tam znacznie taniej niż w domach towarowych.

– No, a może walizki! – wykrzykuję w nagłym olśnieniu. – Walizki to coś, o czym naprawdę łatwo się zapomina!

– Niepotrzebny mi żaden bagaż – odpowiada Jess. – Mam plecak.

– No tak.

Naprawdę wyczerpują mi się już pomysły. Co jeszcze można kupić? Może lampy? Albo... dywany? Nagle w oczach Jess pojawia się błysk.

– Zaczekaj chwilę – mówi z ożywieniem w głosie, na które tak bardzo czekałam. – Pozwolisz, że tu na chwilę wstąpię?

Zatrzymuję się w pół kroku. Znajdujemy się przed niewielkim, niczym się niewyróżniającym sklepem papierniczym, w którym jeszcze nigdy nie byłam.

– Jasne, wchodź! – W moim głosie słychać ogromną ulgę. – Śmiało! Fantastycznie!

Artykuły papiernicze! To właśnie lubi. No jasne! Czemu, do diaska, wcześniej nie przyszło mi to do głowy? Jest studentką... bardzo dużo pisze... to pewnie coś, czego najbardziej jej potrzeba!

Sklep jest tak wąski, że nie jestem pewna, czy zmieszczę się w nim ze wszystkimi moimi zakupami, więc czekam na chodniku, dosłownie kipiąc z niecierpliwości. Co kupuje Jess? Prześliczne notatniki? A może ręcznie zdobione kartki z życzeniami? Czy jakieś stylowe wieczne pióro?

Naprawdę należy jej się uznanie. Ja do tej pory nigdy nie zwróciłam uwagi na ten sklep.

– No i co kupiłaś? – pytam, podekscytowana, gdy tylko wychodzi z dwiema wypchanymi reklamówkami. – Pokaż! Pokaż!

Jess wygląda na zaskoczoną.

– Niczego nie kupiłam – odpowiada.

– Ale... ale te torby! Co w nich masz?

– Nie widziałeś ogłoszenia? – Wskazuje na ręcznie napisaną kartkę w szybie wystawowej. – Dawali za darmo zużyte koperty z bąbelkami powietrza.

Otwiera torby i moim oczom ukazuje się mnóstwo podniszczonych kopert z bąbelkami. Przyglądam im się, a całe moje dotychczasowe podekscytowanie się ulatnia.

– Zaoszczędziłam co najmniej dziesięć funtów – dodaje z satysfakcją. – Takie koperty zawsze się przydają.

Brak mi słów.

Jak mam okazać entuzjazm na widok starych kopert?

– Bomba! – udaje mi się wreszcie wykrztusić. – Są naprawdę super! Uwielbiam... eee... bąbelki powietrza. No więc... obu nam się dzisiaj poszczęściło! Chodźmy w takim razie na cappuccino!

Tuż za rogiem mieści się kafejka. Kiedy zbliżamy się do niej, zaczyna mi się poprawiać nastrój. Może i zakupy specjalnie nie wypaliły, ale to nie ma znaczenia. Ważne, że my, dwie siostry, idziemy razem na cappuccino i ploteczki! Usiądziemy przy marmurowym stoliku, będziemy pić kawę i opowiemy sobie wszystko...

– Przywiozłam termos – słyszę za sobą głos Jess. Odwracam się speszona i widzę, jak wyjmuje z plecaka białe plastikowe naczynie.

– Co takiego? – pytam słabo.

– Po co mamy koszmarnie przepłacać za kawę. – Pokazuje kciukiem na kafejkę. – Marża w takich lokalach jest oburzająca.

– Ale...

– Możemy sobie usiąść na tej ławce. Zaraz ją wytrę. Przyglądam się jej z rosnącym zdumieniem. Nie mogę dopuścić do tego, by pić pierwszą kawę z siostrą na jakiejś paskudnej starej ławce, i to w dodatku z termosu.

– Ale ja chcę iść do tej miłej kafejki! – Słowa te wydostają się z moich ust, zanim jestem je w stanie powstrzymać. – I usiąść przy marmurowym stoliku, i napić się porządnego cappuccino!

Cisza.

– Proszę – dodaję płaczliwym tonem.

– Niech już ci będzie. – Zakręca termos. – Ale powinnaś wyrobić w sobie nawyk przygotowywania własnej kawy. Rocznie mogłabyś zaoszczędzić w ten sposób setki funtów. Musisz tylko kupić termos. A mieloną kawę możesz wykorzystać co najmniej dwa razy. Smak jest taki sam.

– Będę... będę o tym pamiętać – mówię, słuchając jej jednym uchem. – Chodźmy!

W kafejce jest ciepło i unosi się aromatyczny zapach kawy. Na marmurowych blatach tańczą światełka, a wokół słychać muzykę i szmer rozmów.

– Widzisz? – Uśmiecham się promiennie do Jess. – Przyjemnie tu, prawda? Poproszę o stolik dla mnie i mojej siostry – zwracam się radośnie do stojącego w drzwiach kelnera.

Uwielbiam to mówić! *Moja siostra*.

Siadamy. Stawiam na podłodze wszystkie torby z zakupami i powoli zaczynam się odprężać. Tak jest o wiele lepiej. Możemy sobie teraz spokojnie porozmawiać i stworzyć

prawdziwą więź. Właściwie to od razu powinniśmy zrobić coś takiego.

Do naszego stolika podchodzi kelnerka, która wygląda na jakieś dwanaście lat i ma przypiętą plaketkę z napisem: „To mój pierwszy dzień!”

– Poproszę cappuccino. – Uśmiecham się do niej promiennie. – Ale nie jestem pewna, czego życzyłyby sobie moja siostra.

Moja siostra. Za każdym razem, gdy wypowiadam te słowa, ogarnia mnie przyjemne uczucie zadowolenia.

– Tak naprawdę to powinniśmy pić teraz szampana – dodaję, nie mogąc się powstrzymać. – Jesteśmy zaginionymi siostrami, które po latach się odnalazły!

– Wow! – mówi kelnerka. – Super!

– Poproszę tylko o zwykłą wodę z kranu – oświadcza Jess, zamykając menu.

– Nie masz ochoty na pyszną kawę z pianką? – pytam ze zdumieniem.

– Nie chcę dorabiać globalnej korporacji, nastawionej na jak największy zysk. – Obdarza kelnerkę surowym spojrzeniem. – Czy myśli pani, że doliczanie czterystu procent marży jest etyczne?

– Eee... – Kelnerka wygląda na zbitą z tropu. – Czy to ma być woda z lodem? – pyta wreszcie.

– Zamów także kawę – wtrącam pospiesznie. – Nie krępuj się. Prosimy o jeszcze jedno cappuccino.

Kiedy kelnerka szybko się oddala od naszego stolika, Jess z dezaprobatą kręci głową.

– Wiesz, jaki jest rzeczywisty koszt przyrządzenia cappuccino? Kilka pensów. A płacimy za to prawie dwa funty.

– Ale dostaje się na spodku gratisową czekoladkę – wyjaśniam.

Boże, ta Jess ma jakiś uraz na tle kawy czy co? No, ale nieważne. Zmieńmy temat.

– No więc tak! – Opieram się wygodnie. – Opowiedz mi wszystko o sobie.

– A co chciałabyś wiedzieć?

– Wszystko! – odpowiadam z entuzjazmem. – Na przykład... jakie masz hobby, poza chodzeniem?

Zastanawia się przez chwilę.

– Lubię alpinizm jaskiniowy – oświadcza wreszcie, gdy tymczasem kelnerka stawia na naszym stoliku dwie filiżanki cappuccino.

– Alpinizm jaskiniowy! – powtarzam. – Czy to polega na... wchodzeniu do jaskiń?

Jess dziwnie na mnie spogląda.

– Ogólnie rzecz biorąc, tak.

– A niech mnie! To naprawdę...

W panice szukam w głowic odpowiednich słów. Co mogę powiedzieć o jaskiniach? Tylko tyle, że są ciemne, zimne i oślizgłe?

– To naprawdę interesujące! – mówię wreszcie. – Bardzo chciałabym wejść do jakiejś jaskini!

– No i naturalnie kamienie. Właściwie to tym głównie się interesuję.

– Ja też! Zwłaszcza tymi wielkimi, błyszczącymi kamieniami od Tiffany’ego! – śmieję

się, by pokazać, że żartuję, ale ona nie reaguje.

Nie jestem pewna, czy załapała mój żart.

– Mój doktorat dotyczy petrogenезы i geochemii złóż fluorytowo-hematytowych – mówi, wykazując znacznie więcej ożywienia niż do tej pory.

Nie sędzę, bym zrozumiała z tej wypowiedzi choć jedno słowo.

– To świetnie! No więc... jak to się stało, że postanowiłaś studiować geologię?

– Mój ojciec mnie tym zaraził – wyjaśnia Jess, a na jej twarzy pojawia się powściągliwy uśmiech. – To także i jego pasja.

– Tata? – pytam oszołomiona. – Nie miałam pojęcia, że interesuje się skałami!

– Nie twój tata. – Posyła mi jadowite spojrzenie. – Mój. Mój ojczym. Człowiek, który mnie wychował.

Jasne.

Oczywiście, że nie miała na myśli taty. To było naprawdę niemądre.

Zapada krępująca cisza, przerywana jedynie stukaniem filizanek. Nie bardzo wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć. To absurdalne. To przecież moja siostra! No dalej!

– Wybierasz się w tym roku gdzieś na wakacje? – pytam z wahaniem.

Rany, muszę być naprawdę zdesperowana. Zabrzmiało to, jakbym była fryzjerką.

– Jeszcze nie wiem – odpowiada. – To zależy.

Nagle w mojej głowie pojawia się naprawdę genialny pomysł.

– Mogłybyśmy razem wyjechać na wakacje! – mówię podekscytowana. – Byłoby fantastycznie, no nie? Mogłybyśmy wynająć sobie willę we Włoszech albo coś w tym rodzaju... naprawdę dobrze się poznać...

– Rebeko, posłuchaj – przerywa mi stanowczo Jess. – Ja nie szukam drugiej rodziny.

Cisza. Pieką mnie policzki.

– Ja... ja wiem – bąkam niepewnie. – Ja nie chciałam...

– Nie potrzebuję drugiej rodziny – kontynuuje. – Powiedziałam to latem Jane i Grahamowi. Nie po to was odnalazłam. Ze względu na ten problem zdrowotny uznałam, że mam obowiązek skontaktować się z wami. To wszystko.

– Co masz na myśli, mówiąc: „To wszystko”? – udaje mi się wykrztusić.

– Że miło było cię poznać. I że twoi rodzice są świetni. Ale ty masz swoje życie... – Zawiesza głos. – A ja mam moje.

Czy ona właśnie mówi, że nie chce mnie znać? Rodzonej siostry?

– Ale my się dopiero co odnalazłyśmy! – mówię z pośpiechem. – Po tych wszystkich latach! Nie uważasz, że to niesamowite? – Nachylam się i ujmuję jej dłoń. – Posłuchaj! Płynię w nas ta sama krew!

– No i co z tego? – Jess wygląda na nieporuszoną. – To jedynie fakt biologiczny.

– Ale... czy nie chciałaś zawsze mieć siostry? Czy nie zastanawiałaś się, jak by to było?

– Nieszczególnie. – Dostrzega wyraz mojej twarzy. – Nie zrozum mnie źle. Poznanie ciebie okazało się naprawdę interesującym przeżyciem.

Interesujące? To było *interesujące*?

Opuszczam wzrok na cappuccino i odgarniam łyżeczką piankę.

Ona nie chce mnie znać. Moja własna siostra nie ma ochoty lepiej mnie poznać. Co jest ze mną nie tak?

Nic się nie układa tak, jak sobie zaplanowałam. Myślałam, że dzisiejszy dzień okaże się jednym z najlepszych w moim życiu. Że zakupy z siostrą będą świetną zabawą. Sądziłam, że połączy nas naprawdę silna więź. I że będziemy pić razem kawę, spoglądając na fantastyczne zakupy, chichotać i żartować z siebie... planować następne spotkania...

– Wracamy więc do domu twoich rodziców? – pyta Jess, dopijając kawę.

– Co, już? – pytam, podnosząc ze zdumieniem głowę. – Ale mamy jeszcze mnóstwo czasu. A ty przecież niczego sobie nie kupiłaś!

Patrzy na mnie i wzdycha ze zniecierpliwieniem.

– Posłuchaj, Becky. Chciałam być uprzejma, więc przyjechałam tu z tobą. Ale prawda jest taka, że rzeczywiście nie znoszę zakupów.

Zamiera mi serce. Wiedziałam, że źle się bawi. Muszę uratować sytuację.

– Wiem, że nie znalazłyśmy jeszcze właściwego sklepu. – Nachyliłam się ku niej. – Ale jest ich tutaj dużo więcej. Możemy iść do innych...

– Nie – przerywa mi Jess. – Nie rozumiesz. Ja nie lubię zakupów. Kropka.

– Katalogi! – mówię, nagle olśniona. – Mogłybyśmy pojechać do domu i obłożyć się katalogami... byłoby super!

– Czy to do ciebie zupełnie nie dociera?! – wykrzykuje ze złością Jess. – Czytaj uważnie z moich ust. Nie! Znoszę! Zakupów!

Prowadzę samochód w stanie totalnego szoku. Mam wrażenie, jakby w moim mózgu nastąpiło poważne zwarcie. Za każdym razem, kiedy próbuję o tym myśleć, wszystko eksploduje maleńkimi, pełnymi niedowierzania iskrami.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, Luke stoi w ogrodzie przed domem i rozmawia z tatą. Kiedy widzi, jak zatrzymuję się na podjeździe, na jego twarzy maluje się zdumienie.

– Czemu tak wcześnie wróciłyście? – pyta, podchodząc szybkim krokiem do samochodu.

– Czy coś się stało?

– Wszystko w porządku! – odpowiadam. – Po prostu... zajęło nam to mniej czasu, niż się spodziewałam.

– Dzięki za podwiezienie – mówi Jess, wysiadając.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Kiedy idzie w stronę taty, Luke wsiada do auta na jej miejsce. Zamyka drzwi i obrzuca mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Becky, dobrze się czujesz?

– Tak... chyba tak.

Nie mogę pogodzić się z tym, co się stało. W mojej głowie wciąż pojawiają się wcześniejsze wyobrażenia. Jak razem się przechadzamy, wymachujemy torbami, śmiejemy radośnie... zamieniamy się ciuchami... ofiarowujemy sobie bransoletki przyjaźni... nadajemy swoim imionom zdrobnienia...

– No i? Jak było?

– Było... świetnie! – Zmuszam się do promiennego uśmiechu. – Naprawdę dobrze się

bawiłyśmy. Obie.

– Co kupiłaś?

– Kilka bluzek... fajną spódnicę... buty...

– Aha. – Luke kiwa głową. – A co kupiła Jess? Przez chwilę nie mogę wydobyć z siebie głosu.

– Nic – szepczę wreszcie.

– Och, Becky. – Wzdycha i obejmuje mnie ramieniem. – Nie udały się wam te zakupy, prawda?

– Nie – odpowiadam cichutko. – Nie bardzo.

– Rzeczywiście miałem wątpliwości. – Gładzi mnie po policzku. – Posłuchaj, Becky, wiem, że chciałaś znaleźć bratnią duszę. Wiem, że chciałaś, by Jess została twoją nową najlepszą przyjaciółką. Ale może musisz zaakceptować fakt, że po prostu... za bardzo się różnicie.

– Nie różnimy się tak bardzo – protestuję. – Jesteśmy siostrami.

– Skarbie, naprawdę możesz przyznać, że nie znalazłyście wspólnego języka. Nikt nie będzie miał o to do ciebie pretensji.

Pretensji?

To słowo dotyka mnie do żywego.

– Ależ my znalazłyśmy wspólny język! – oświadczam. – Naprawdę! Musimy jedynie poszukać nieco więcej... wspólnych płaszczyzn. No więc ona nie lubi zakupów. – Przełykam kilkakrotnie ślinę. – Ale to nie ma znaczenia! Ja przecież lubię nie tylko zakupy!

Luke potrząsa głową.

– Zaakceptuj to. Ty i ona to dwie różne osoby i nie ma co temu zaprzeczać.

– Ale w nas płynie ta sama krew! Nie możemy aż tak bardzo się różnić! To niemożliwe!

– Becky...

– Nie mam zamiaru tak łatwo się poddać! Mówimy o mojej odnalezionej po latach siostrze, Luke! To może być moja jedyna szansa na jej lepsze poznanie.

– Kochanie...

– Wiem, że możemy się zaprzyjaźnić – przerywam mu. – Wiem i już.

Z nagłą determinacją otwieram szarpnięciem drzwiczki i wysiadam.

– Hej, Jess! – wołam, idąc pospiesznie przez trawnik. – Czy po zakończeniu tej twojej konferencji miałabyś ochotę zatrzymać się u mnie na weekend? Obiecuję, że będziemy się dobrze bawić.

– To dobry pomysł, skarbie! – mówi tata, a jego twarz rozjaśnia uśmiech.

– Czy ja wiem – odpowiada Jess. – Naprawdę muszę wracać do domu...

– Proszę. Tylko jeden weekend. Nie musimy wcale iść na zakupy! – Słowa płyną strumieniem z mych ust. – Nie będzie tak, jak dzisiaj. Możemy robić to, co ty chcesz. Spokojnie i miło spędzić czas. Co o tym myślisz?

Cisza. Zaciskam dłoń. Jess rzuca spojrzenie na pełną nadziei twarz taty.

– No dobrze – mówi wreszcie. – Byłoby miło. Dzięki.

PGNI First Bank Visa
Camel Square 7
Liverpool LI 5NP

12.05.2003

Sz. P.
Rebeka Brandon
Maida Vale Mansions 37
London NW6 OYF

Szanowna Pani!

Dziękujemy za wypełnienie wniosku dotyczącego przyznania Złotej Karty Kredytowej. Z przyjemnością informujemy, iż Pani zgłoszenie zostało rozpatrzone pozytywnie.

Odpowiadając na Pani pytania, informujemy, że karta zostanie dostarczona na Pani adres domowy i będzie wyglądem przypominać kartę kredytową. Nie jest możliwe, aby zgodnie z Pani sugestią została „zapakowana jako ciasto”.

Niemożliwe jest także zakłócenie spokoju przed Pani domem w momencie jej dostarczania.

W przypadku dalszych pytań bardzo proszę o kontakt. Wyrazamy nadzieję, że korzyści czerpane z nowej karty spełnią Pani oczekiwania.

Z poważaniem –
Peter Johnson
dyrektor Działu
Klientów Indywidualnych

PGNI First Bank Visa
Camel Square 7
Liverpool LI 5NP

12.05.2003

Sz. P.
Jessica Bertram
HillRise 12
Scully Cumbria

Szanowna Pani!

Dziękujemy za Pani list.

Najmocniej przepraszam za zwrócenie się do Pani z propozycją przyznania Złotej Karty Kredytowej. Moim zamiarem nie było obrażenie Pani.

Moje stwierdzenie, iż została Pani starannie wyselekcjonowana do przyznania limitu w wysokości dwudziestu tysięcy funtów, nie miało wcale sugerować, że jest Pani „pogrążona w długach i nieodpowiedzialna”, ani szkalować Pani charakteru.

W ramach gestu dobrej woli załączam bon towarowy na kwotę 25 funtów i pozostaję do usług na wypadek, gdyby zmieniła Pani zdanie odnośnie do kart kredytowych.

Z poważaniem –
Peter Johnson
dyrektor Działu
Klientów Indywidualnych

Nie mam zamiaru się poddać. Jeszcze czego!

No więc może i pierwsze spotkanie z Jess nie przebiegło zgodnie z moimi oczekiwaniami. Może nie połączyła nas natychmiastowa przyjaźń. Ale ten weekend będzie lepszy – po prostu to wiem. Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że pierwsze spotkanie mogło wypaść trochę niezręcznie. Ale tym razem pokonamy tę pierwszą przeszkodę i będziemy znacznie bardziej odprężone i rozluźnione. Właśnie tak!

A poza tym jestem znacznie lepiej przygotowana niż poprzednio. W sobotę, kiedy Jess już pojechała, rodzice zauważyli, że jestem trochę markotna, więc mama zrobiła nam herbatę i naprawdę długo rozmawialiśmy. Doszliśmy do wspólnego wniosku, że nie można natychmiast zaprzyjaźnić się z kimś, o kim się praktycznie nic nie wie. Tak więc rodzice łamali sobie głowę, by przypomnieć sobie wszystko, ale to wszystko, co wiedzą o Jess, a ja zapisywałam. I uczyłam się tego przez cały tydzień na pamięć.

Na przykład: Zdawała na maturze dziesięć przedmiotów i ze wszystkich dostała piątki. Nigdy nie je awokado. Poza uprawianiem alpinizmu jaskiniowego i chodzeniem zajmuje się także eksploracją jaskiń – cokolwiek to znaczy. Lubi poezję. A jej ulubiona rasa psa to...

A niech to!

Chwytam ściągawkę i przebiegam ją wzrokiem.

No tak. Owczarek szkocki.

Jest sobotni ranek, a ja znajduję się właśnie w sypialni dla gości, dopieszczając wszystko przed przyjazdem Jess. W tygodniu kupiłam książkę *Wzorowa gospodyni*, w której jest napisane, że taki pokój powinien być „dobrze przemyślany i pełen drobiazgów, które sprawiają, że wasz gość poczuje się mile widziany”.

Tak więc na toaletce znajdują się kwiaty i książka z wierszami, a obok łóżka ułożyłam kilka starannie wyselekcjonowanych magazynów: „Wiadomości Wędrowca”, „Jaskiniowy Entuzjasta” i „Miesięcznik Grotolaza”. Ten ostatni można zamówić wyłącznie przez Internet. (Żeby otrzymać jeden egzemplarz, musiałam wykupić dwuletnią prenumeratę. Ale nic nie szkodzi. Mogę po prostu przekazać Jess pozostałe dwadzieścia trzy numery).

A na ścianie wisi *piece de resistance*, z którego jestem tak bardzo dumna. To olbrzymi plakat przedstawiający jaskinię! Ze stalak... no, z tymi różnymi zwisającymi sopłami.

Poprawiam poduszki i ogarnia mnie przyjemne uczucie wyczekiwania. Dzisiaj będzie zupełnie inaczej niż poprzednio. Po pierwsze, żadnych sklepów. Zaplanowałam dla nas miły, spokojny wieczór w domu. Możemy obejrzeć film i zajadać się popcornem, zrobić sobie nawzajem manicure i ogólnie się zrelaksować. A później przyjdę i usiądą sobie na jej łóżku (możemy mieć na sobie pasujące do siebie piżamy). Będziemy jeść czekoladki z miętowym nadzieniem i rozmawiać przez pół nocy.

– Ładnie tu – mówi Luke, wchodząc do pokoju. – Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

– Dzięki – odpowiadam i z lekką nieśmiałością wzruszam ramionami.

– Muszę przyznać, że całe mieszkanie wygląda niesamowicie!

Wychodzi na korytarz, a ja udaję się za nim. Też uważam, że jest całkiem ładnie. Choć tu i ówdzie stoją jeszcze jakieś pudełka, mieszkanie wygląda zdecydowanie porządniej!

– Jeszcze nie skończyłam – mówię, zaglądając do naszej sypialni, gdzie pod łóżkiem nadal znajduje się masa rzeczy.

– Widzę. Ale i tak doskonale sobie poradziłaś! – Luke rozgląda się z podziwem.

– Potrzebna była jedynie odrobina kreatywności i wizji. – Uśmiecham się skromnie. – I spojrzenia z boku na wszystko.

Idziemy do salonu, który w ostatnich dniach przeszedł totalną transformacją. Zniknęły wszystkie dywany, pudła i skrzynki. Są w nim jedynie dwie sofy, dwa stoliki do kawy i indonezyjski gamelan.

– Chylę przed tobą czoło, Becky – mówi Luke, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Wygląda świetnie.

– To nic wielkiego!

– Nie. – Marszczy brwi. – Uważam, że jestem ci winien przeprosiny. Powiedziałaś, że jakoś to wszystko zagospodarujesz, a ja ci nie wierzyłem. Ale poradziłaś sobie. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że tyle rupieci można tak dobrze rozmieścić. – Rozgląda się z niedowierzaniem po pokoju. – Tutaj było przecież tyle tego badziewia! Gdzie się to wszystko podziało? – Śmieje się, a ja po chwili przyłączam się do niego.

– Po prostu... znalazłam dla nich właściwe miejsce! – odpowiadam pogodnie.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem. – Przesuwa dłonią po gzymsie kominka, na którym stoi jedynie pięć ręcznie malowanych jajek. – Powinnaś zostać konsultantką od logistyki.

– Może to i niegłupi pomysł!

No dobra, lepiej chyba na razie uciąć ten temat. W każdej chwili Luke może się zacząć rozglądać uważniej i zada pytanie w rodzaju: „A gdzie są te chińskie urny?” albo „Gdzie się podziały drewniane żyrafy?”

– Czy komputer jest włączony? – pytam od niechcienia.

– Pewnie – odpowiada, po czym bierze do ręki jedno jajko i uważnie mu się przygląda.

– Świetnie! – Uśmiecham się do niego promiennie. – Sprawdź tylko pocztę... a może ty w tym czasie zrobisz nam kawę?

Czekam, aż Luke zniknie w kuchni, po czym pędzę do komputera i wstukuję adres www.E-Bay.co.uk.

Ta strona uratowała mi życie. Naprawdę.

Jak w ogóle dawałam sobie radę przed poznaniem e-Bay? To najwspanialszy, najbardziej genialny wynalazek od czasu... cóż, od czasu, gdy wymyślono sklepy.

W zeszłą sobotę, od razu po powrocie od rodziców, zalogowałam się i wystawiłam na aukcji chińskie urny, drewniane żyrafy i trzy dywany. W ciągu trzech dni wszystko znalazło nabywców! Tak po prostu! Następnego dnia wystawiłam więc pięć kolejnych dywanów i dwa kawowe stoliki. I od tamtej pory robię to bez przerwy.

Szybko klikam na „Moje aukcje”, co chwila oglądając się przez ramię na drzwi. Nie mogę siedzieć w Internecie zbyt długo, w przeciwnym razie wejdzie Luke i przyłapie mnie na gorącym uczynku, ale wprost umieram z ciekawości, by sprawdzić, czy ktoś licytuje już nasz

totem.

Chwilę później pojawia się strona... i tak! Ktoś zaoferował pięćdziesiąt funtów! Czuję nagły przyływ adrenaliny i z okrzykiem wyrzucam pięść w powietrze (cichym, tak by Luke mnie nie usłyszał). Sprzedawanie dodaje mi takiego poweru! Jak nie jestem uzależniona!

A najlepsze ze wszystkiego jest to, że piekę dwie pieczenie przy jednym ogniu. Rozwiązuję problem zagracenia mieszkania – i zarabiam kasę. I to nawet całkiem sporą! Nie chcę się chwalić, ale w zeszłym tygodniu nie było dnia, żeby coś nie wpłynęło na moje konto. Jestem jak makler giełdowy!

Na przykład za stolik kawowy z kamiennym blatem dostałam dwieście funtów – a z całą pewnością nie zapłaciliśmy za niego więcej niż sto. Uzyskałam sto funtów za te chińskie urny i sto pięćdziesiąt funtów za każdy z pięciu kilimów, który w Turcji kosztował najwyżej czterdzieści funtów. I, co najlepsze, zarobiłam dwa tysiączki na dziesięciu budzikach od Tiffany’ego, których kupna w ogóle sobie nie przypominam! Ten facet zapłacił nawet gotówką i osobiście przyjechał, by je odebrać! Tak świetnie mi idzie, że sprzedawaniem na eBay mogłabym się zajmować zawodowo!

Słyszę, jak Luke wyciąga w kuchni kubki z szafki, i zamykam stronę z „Moimi aukcjami”.

Następnie bardzo szybko loguję się na stronie „Licytuję”.

Oczywiście, że na początku strona e-Bay interesowała mnie bardziej jako sprzedawcę niż kupca. Ale pewnego dnia tak się złożyło, że przeglądałam strony i natrafiłam na niesamowity pomarańczowy płaszcz w stylu vintage z lat pięćdziesiątych, z dużymi czarnymi guzikami. Uczyniłam dla niego wyjątek i jako pierwsza złożyłam ofertę.

Licytuję także parę butów od Prądy, na które była tylko jedna oferta kupna za pięćdziesiąt funtów. Daję słowo, buty od Prądy za taką cenę!

No i ta fantastyczna suknia wieczorowa od Yves’a Saint Laurenta, którą w końcu wylicytował ktoś inny. Kurczę, to mnie naprawdę wkurzyło. Już więcej nie popełnię tego błędu.

Loguję się na stronie z płaszczem vintage – i własnym oczom nie wierzę. Wczoraj zalicytowałam za osiemdziesiąt funtów, co stanowi cenę minimalną – i zostałam przebita. Sto funtów. Ale tym razem nie dam się zrobić w bambuko. Nie ma mowy. Szybko wstukuję sto dwadzieścia i zamykam stronę. W tej samej chwili zjawia się Luke z tacą.

– Jakies emaile? – pyta.

– Kilka! – Uśmiecham się promiennie i biorę z tacy kubek. – Dzięki!

Nie powiedziałam mu o e-Bay, ponieważ nie ma potrzeby, by go zaznajamiać z każdym przyziemnym szczegółem dotyczącym stanu domowych finansów. Moim zadaniem jest chronienie mego męża przed tym wszystkim.

– Znalazłem to w kuchni. – Luke kiwa głową w kierunku stojącej na tacy puszki luksusowych herbatników w czekoladzie Fortnum and Mason.

– Taki mały smakołyk. – Uśmiecham się. – I nie martw się. To wszystko w ramach budżetu.

To prawda! Mój budżet jest teraz tak duży, że mogę sobie pozwolić na małe szaleństwa!

Luke przelyka kawę. Następnie jego spojrzenie zahacza o różową teczkę, która leży na jego biurku.

– Co to jest?

Zastanawiałam się, kiedy ją wreszcie zauważy. To druga sprawa, którą się zajmowałam w ubiegłym tygodniu. Projekt: Wspierająca Żona.

– To dla ciebie – odpowiadam radośnie. – Taki drobiazg, który może ci pomóc. Moje pomysły na rozwój firmy.

Dotarło to do mnie pewnego dnia w trakcie kąpieli. Jeśli Luke wygra ten wielki kontrakt, jego firma będzie wymagać rozbudowy. A tak się składa, że na ten akurat temat wiem wszystko.

A to dlatego, że kiedy pracowałam jako osobista asystentka klientek w Barneys, jedną z nich była Sheri, która miała własną firmę. Musiałam wysłuchać całej sagi o problemach związanych z próbami zbyt szybkiego rozwoju jej przedsiębiorstwa. Opowiedziała o wszystkich swoich błędach, na przykład o wynajęciu ogromnej powierzchni biurowej w drogiej dzielnicy TriBe-Ca, której nigdy nie wykorzystwała. Wtedy jej wywody uważałam za nudne jak flaki z olejem. Prawdę mówiąc, nie przepadałam za jej wizytami w Barneys. Ale teraz wiem, że to wszystko może się okazać dla Luke'a niezwykle przydatne.

Tak więc postanowiłam zapisać wszystko, o czym ona bez końca nawijała, na przykład o konsolidacji kluczowych rynków i przejmowaniu konkurentów. I wtedy właśnie w mojej głowie zaświtał znacznie lepszy pomysł. Luke powinien kupić jeszcze jedną firmę PR!

I nawet wiem, jaką. David Neville, który kiedyś pracował dla Farnham PR, przed trzema laty, kiedy ja byłam jeszcze dziennikarką, założył własną firmę. Jest naprawdę utalentowany i wszyscy mówią, że świetnie mu idzie. Ale ja wiem, że w rzeczywistości boryka się z trudnościami, ponieważ w 'zeszłym tygodniu spotkałam u fryzjera jego żonę Judy, która o wszystkim mi opowiedziała.

– Becky... – Luke marszczy czoło. – Nie mam na coś takiego czasu.

– Ale to ci się przyda! – mówię szybko. – Kiedy pracowałam w Barneys, dowiedziałam się wielu rzeczy o...

– W Barneys? Becky, jestem właścicielem firmy PR, a nie domu towarowego.

– Ale ja się o tym dowiedziałam...

– Becky – przerywa mi ze zniecierpliwieniem. – W tej chwili kwestią priorytetową jest dla mnie pozyskanie nowego klienta. Koniec, kropka. Nie mam czasu na twoje pomysły, jasne? – Wkłada teczkę do swojej torby, nawet jej nie otwierając. – Kiedyś rzucę na to okiem.

Siadam, czując się nieco zawiedziona. Rozlega się dzwonek i ze zdumieniem podnoszę głowę.

– Może to Jess zjawiała się wcześniej!?

– Nie, to Gary. Wpuszczę go.

Gary to zastępca i prawa ręka Luke'a. Zarządzał filią w Londynie, gdy my mieszkaliśmy w Nowym Jorku, a potem pojechaliliśmy w podróż poślubną. On i Luke świetnie się ze sobą dogadują. Był nawet drużbą na naszym ślubie.

Tak jakby.

Prawdę mówiąc, nasz ślub to dłuższa historia.

– Co robi tutaj Gary? – pytam ze zdziwieniem.

– Poprosiłem, by do nas wpadł – odpowiada Luke, podchodząc do domofonu. – Musimy trochę popracować nad tą prezentacją. A potem pójdziemy razem na lunch.

– Jasne – mówię, starając się ukryć rozczarowanie.

Naprawdę bardzo się cieszyłam na myśl o spędzeniu z Lukiem trochę czasu przed przyjazdem Jess. Ostatnio jest ciągle zajęty. Przez cały tydzień ani razu nie wrócił do domu przed ósmą, a wczoraj dotarł dopiero o jedenastej.

To znaczy wiem, że teraz mają naprawdę dużo pracy. Wiem, że ten kontrakt z Arcodas jest bardzo ważny. Niemniej jednak... Przez tyle miesięcy spędzaliśmy razem dwadzieścia cztery godziny na dobę... a teraz prawie go nie widuję.

– Może mogłabym wam pomóc przy tej prezentacji! – proponuję, doznając nagłego olśnienia. – Mogłabym dołączyć do drużyny!

– Nie sądzę – odpowiada Luke, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem.

– Naprawdę mogłabym wam w czymś pomóc. – Pochyłam się z przejęciem. – Luke, bardzo tego chcę!

– Wszystko mamy mniej więcej pod kontrolą – oświadcza zdecydowanie. – Ale dzięki za propozycję.

Nie jestem zadowolona z takiego obrotu sprawy. Dlaczego nie pozwoli mi się zaangażować? Mógłby okazać choć trochę wdzięczności.

– Chcesz iść z nami na lunch? – dodaje uprzejmie.

– Nie, raczej nie. – Wzruszam ramionami. – Bawcie się dobrze. Cześć, Gary – mówię, gdyż właśnie pojawił się w drzwiach.

– Cześć, Becky! – odpowiada wesoło.

– Wchodzi – mówi Luke i prowadzi go do gabinetu. Drzwi się zamykają, po czym prawie natychmiast ponownie otwierają i pojawia się w nich głowa Luke'a. – Becky, gdyby dzwonił telefon, mogłabyś odebrać? Nie chcę, żeby cokolwiek nam przeszkadzało.

– Naturalnie!

– Dzięki. – Uśmiecha się i dotyka mojej dłoni. – W ten sposób naprawdę nam pomożesz.

– Nie ma sprawy! – mówię pogodnie.

Drzwi ponownie się zamykają, a mnie kusi, by z całej siły w nie kopnąć.

Odbieranie telefonu nie jest tym, co miałam na myśli, proponując pomoc.

Wlokę się posępnie do salonu i z pełnym urazy trzaśnięciem zamykam za sobą drzwi. Jestem osobą inteligentną i kreatywną. Mogłabym im pomóc, jestem o tym święcie przekonana. Przecież nasz związek ma być partnerski.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję. Może to Jess. Może już tu jest! Pospiesznie podnoszę słuchawkę.

– Halo?

– Pani Brandon? – odzywa się szorstki męski głos.

– Tak!

– Z tej strony Nathan Tempie.

W głowie mam kompletną pustkę. Nathan? Nie znam żadnego Nathana.

– Może mnie sobie pani przypomina, kilka tygodni temu poznaliśmy się w Mediolanie.

O mój Boże! To ten mężczyzna ze sklepu! Powinnam od razu rozpoznać ten głos.

– Witam – mówię radośnie. – Oczywiście, że pana pamiętam! Co słyhać?

– Świetnie, dziękuję – odpowiada Nathan Tempie. – A co u pani? Jak się sprawuje nowa torebka?

– Uwielbiam ją! – wykrzykuję. – Zmieniła całe moje życie! Jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Zapada cisza. Nie bardzo wiem, co jeszcze powiedzieć.

– Może mogłabym zaprosić pana na lunch – odzywam się impulsywnie. – W ramach podziękowania. Dokąd tylko miałby pan ochotę!

– To nie jest konieczne. – Sprawia wrażenie rozbawionego. – A poza tym lekarz zalecił mi dietę.

– Rozumiem. Szkoda.

– Skoro już jednak pani o tym wspomina... Jak powiedziała pani w Mediolanie... przysługa za przysługę.

– Jak najbardziej! Jeśli jest coś, co mogę dla pana zrobić, cokolwiek...

– Myślałem sobie o pani mężu, Luke'u. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mi oddał małą przysługę.

– Z przyjemnością! – wykrzykuję. – Jestem tego pewna!

– Jest teraz w domu? Mógłbym z nim zamienić kilka słów? Intensywnie się zastanawiam.

Jeśli zawołam go teraz do telefonu, będę musiała mu przeszkodzić. I wytłumaczyć, kim jest Nathan Tempie... i jak go poznałam... i powiedzieć o torebce Angel...

– Obawiam się, że akurat wyszedł – mówię do słuchawki. – Ale może mogłabym mu coś przekazać?

– Sprawa wygląda następująco. Na Cyprze otwieram pięciogwiazdkowy hotel. To będzie kurort naprawdę najwyższej klasy i planuję promocję zakrojoną na szeroką skalę. Przyjęcie z udziałem gwiazd, relacje prasowe. Bardzo mi zależy, aby zajął się tym właśnie pani mąż.

Wpatruję się z niedowierzaniem w słuchawkę. Przyjęcie na Cyprze z udziałem gwiazd? Pięciogwiazdkowy hotel? O mój Boże, ale jazda!

– Jestem pewna, że uczyni to z największą przyjemnością! – oświadczam, odzyskując głos. – Brzmi fantastycznie!

– Pani mąż jest niezwykle utalentowany. Jego firma cieszy się doskonałą reputacją. A tego właśnie nam trzeba.

– No cóż – cała aż puchnę z dumy. – Jest dość dobry w tym, co robi.

– Wydaje mi się jednak, że specjalizuje się w instytucjach finansowych. Czy promocja hotelu nie stanowiłaby problemu?

Zaczyna mi się kręcić w głowie. Nie mogę pozwolić, by ta okazja wymknęła nam się z rąk. Muszę dobrze sprzedać Brandon Communications.

– W żadnym wypadku – odpowiadam bez zająknięcia. – Brandon Communications

specjalizuje się we wszystkich obszarach public relations, od finansów i wielkich korporacji do hoteli. Nasze motto to wszechstronność.

Tak. To zabrzmiało naprawdę profesjonalnie!

– Rozumiem, że pracuje pani w firmie męża?

– Zajmuję... stanowisko konsultantki – mówię, krzyżując palce. – Specjalizuję się w opracowywaniu strategii. I tak się akurat składa, że jedną z naszych obecnych strategii jest ekspansja na... eee... rynek usług pięciogwiazdkowych.

– W takim razie wygląda na to, że możemy sobie nawzajem pomóc – stwierdza Nathan Tempie z wyraźnym zadowoleniem. – Być może moglibyśmy się umówić w tygodniu na spotkanie? Jak już mówiłem, bardzo zależy nam na tym, by pani mąż dołączył do naszej ekipy.

– Panie Tempie – mówię moim najbardziej czarującym tonem. – Wyświadczył mi pan ogromną przysługę. Mam teraz okazję, by się panu odwdziaczyć. Mój mąż będzie zachwycony, mogąc panu pomóc. Jestem pewna, że stanie się to dla niego zadaniem priorytetowym! – Uśmiecham się promiennie do słuchawki. – Proszę mi podać swój numer, a ja przekażę Luke'owi, by później do pana zadzwonił.

– Już się nie mogę doczekać tej rozmowy. Cieszę się, że mogłem ponownie panią usłyszeć, pani Brandon.

– Proszę mi mówić po imieniu!

Kiedy odkładałam słuchawkę, uśmiecham się od ucha do ucha.

Jestem wspaniała.

Jestem cudownie, fantastycznie i genialnie wspaniała.

Oto Luke i Gary ślęczą nad tą ich prezentacją – a tymczasem ja bez żadnego wysiłku załatwiłam im świetnego klienta! I nie jest to jakiś nudny, stary bank. O nie! To pięciogwiazdkowy hotel na Cyprze! Cóż za prestiż!

W tej samej chwili otwierają się drzwi od gabinetu i pojawia się Luke, trzymając w ręku folder. Kiedy podnosi teczkę, rzuca mi przelotne spojrzenie.

– Wszystko w porządku, Becky? Idziemy na lunch. Kto dzwonił?

– Tylko koleżanka – odpowiadam lekko. – Wiesz co, Luke... a może jednak pójdę razem z wami na ten lunch.

– Świetnie!

Oj, nie docenił mnie. Kiedy usłyszy, jak w jego imieniu poradziłam sobie z potentatem finansowym, na pewno zaniemówi. I wtedy może się wreszcie przekona, jak bardzo mogę pomóc. I zacnie mnie trochę bardziej doceniać.

Zaczekajcie tylko, kiedy im powiem nowinę. Tylko zaczekajcie!

Przez całą drogę do restauracji ze złośliwą satysfakcją zachowuję sekret dla siebie. Daję słowo, Luke powinien mnie zatrudnić! Powinno zostać swego rodzaju ambasadorem firmy!

Jestem przecież niezwykle utalentowana, jeśli chodzi o nawiązywanie kontaktów. To mi przychodzi zupełnie naturalnie. Przypadkowe spotkanie w Mediolanie – i proszę, jaki jest jego efekt. Nowy klient dla firmy. I uczyniłam to zupełnie bez żadnego wysiłku!

To wszystko kwestia instynktu. Albo się go ma, albo nie.

– Wszystko w porządku, Becky? – pyta Luke, gdy wchodzimy do restauracji.

– Jasne! – Obdarzam go tajemniczym uśmiechem.

Będzie pod ogromnym wrażeniem, kiedy mu zdradzę wielką nowinę. Pewnie z miejsca zamówi butelkę szampana. Albo nawet wyprawi dla mnie małe przyjęcie. Tak właśnie robi, kiedy Brandon Communications wygrywa naprawdę duży kontrakt.

A ten zanoszący się na naprawdę niezwykły. To może być dla Luke'a niesamowita szansa! Mógłby stworzyć zupełnie nowy dział, poświęcony pięciogwiazdkowym hotelom i kurortom spa. Brandon Communications – Luksusowe Podróże. A ja mogłabym zostać dyrektorem tego działu.

Albo osobą, która osobiście testuje kurorty.

– No, a wracając do organizowanej przez nas kolacji – mówi Gary do Luke'a, gdy siadamy. – Załatwiłeś już kwestię upominków?

– Tak. Są w domu. A co z transportem? Zorganizowaliśmy dla nich samochody?

– Każe komuś się tym zająć. – Gary zapisuje coś sobie w notatniku, po czym spogląda na mnie. – Sorki, Becky. To musi być strasznie nudne. Ale ten kontrakt jest dla nas naprawdę ważny.

– W porządku – odpowiadam ze skromnym uśmiechem. – Luke dziś mi mówił, że pozyskiwanie nowych klientów jest dla was w tej chwili kwestią priorytetową.

– Zgadza się – kiwa głową Gary. Ha!

– Pewnie niełatwo zdobyć nowych klientów – dodaję niewinnie.

– Różnie z tym bywa – uśmiecha się Gary. Ha! Ha!

Kiedy kelner nalewa Luke'owi i Gary'emu wodę mineralną, dostrzegam siedzące przy sąsiednim stoliku trzy dziewczyny, które szturchają się nawzajem i pokazują na wiszącą na krześle moją torebkę. Próbując ukryć zachwyty, niedbałym ruchem poprawiam ją, tak by wyraźnie widać było namalowanego anioła i napis „Dante”.

To po prostu niesamowite. Dokądkolwiek bym się udała, ludzie z miejsca dostrzegają tę torebkę. Wszędzie! To mój najlepszy życiowy zakup! Najlepszy! No i zapewnił Luke'owi nowego klienta. To prawdziwy talizman!

– Zdrówko! – mówię, unosząc szklanke. – Za nowych klientów!

– Za nowych klientów – powtarzają zgodnie.

Gary pije kilka łyków wody, po czym odwraca się do Luke'a.

– No więc jeśli chodzi o tę naszą ostatnią propozycję, rozmawiałem o niej z Samem Churchem*... [Church (ang.) – kościół].

Nie jestem już w stanie dłużej czekać. Muszę im powiedzieć.

– A skoro już mowa o kościołach! – przerywam im radośnie.

Przez chwilę panuje pełna konsternacji cisza.

– Becky, my nie rozmawialiśmy o kościołach – mówi Luke.

– Ależ tak! Poniekąd.

Na twarzy Luke'a maluje się osłupienie. No dobra, mogłam podejść do tego w nieco bardziej wysublimowany sposób. Ale nieważne.

– No więc skoro mowa o kościołach... – nie daję za wygraną. – I... ogólnie budowlach

sakralnych... Pewnie słyszeliście o człowieku, który nazywa się Nathan Tempie* [Tempie (ang.) – świątynia.], prawda?

Przesuwam spojrzenie z Luke'a na Gary'ego, nie będąc w stanie ukryć podekscytowania. Obaj patrzą na mnie z ciekawością.

– Oczywiście, że słyszałem o Nathanie Temple'u. Ha! Wiedziałam.

– Ważny gracz, nie? Dość wpływowy. – Unoszę tą jemniczo brwi. – To pewnie ktoś, z kim chcielibyście nawiązać współpracę. Może nawet pozyskać go jako nowego klienta?

– Nieszczerólnie! – Luke wybucha głośnym śmiechem i sięga po szklankę z wodą.

Na chwilę tracę rezon. Co ma znaczyć to jego „nieszczcerólnie”?

– Oczywiście, że tak! – upieram się. – Byłby świetnym klientem!

– Nie, Becky. Nie byłby. – Odstawia szklankę. – Przepraszam, Gary, co przed chwilą mówiłeś?

Patrzę na niego zbity z tropu.

To wcale nie idzie zgodnie z planem. Zdążyłam już sobie wyobrazić całą naszą rozmowę. Luke miał powiedzieć: „Oczywiście, że bardzo chciałbym mieć Nathana Temple'a za klienta, ale jak tu do niego dotrzeć?” Następnie Gary miał westchnąć i rzec: „Nikt nie jest w stanie do niego dotrzeć”. A potem ja miałam się pochylić nad stolikiem z pewnym siebie uśmiechem...

– No więc rozmawiałem z Samem Churchem – wraca do tematu Gary, wyjmując z teczki jakieś dokumenty. – I dał mi te papiery. Rzuć na nie okiem.

– Chwileczkę! – przerywam, usiłując ponownie skierować rozmowę na właściwy tor. – Luke, dlaczego nie chciałbyś mieć Nathana Temple'a za klienta? Przecież jest bogaty... sławny...

– Raczej niesławny – wtrąca Gary z szerokim uśmiechem.

– Becky, czy ty wiesz, kim jest Nathan Tempie? – pyta Luke.

– No pewnie – odpowiadam. – To wpływowi biznesmeni i... eee... hotelarze...

Unosi brwi.

– Becky, on zarządza siecią najbardziej obskurnych moteli w tym kraju.

Uśmiech zamiera mi na twarzy. Przez kilka chwil nie jestem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

– Ze co? – Udaje mi się wreszcie odzyskać zdolność mowy.

– Już nie – mówi Gary. – Bądź sprawiedliwy.

– W takim razie zarządzał – oświadcza Luke. – W taki właśnie sposób zbił fortunę. Motele Value. Łóżka wodne dorzucane gratis. Nieważne, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. – Robi minę pełną pogardy.

– Słyszałeś plotki, że zastanawia się nad kupnem „Daily World”? – pyta Gary.

– Tak – odpowiada, krzywiąc się. – Daj spokój. Wiesz, że ten facet był w przeszłości karany za ciężkie uszkodzenie ciała? To kryminalista.

Kręci mi się w głowie. Nathan Tempie? Kryminalista? Ale... wydawał się taki miły. Był taki słodki! Załatwił mi torebkę Angel!

– Podobno zmienił się na lepsze. – Gary wzrusza ramionami. – Stał się innym człowiekiem. Tak przynajmniej twierdzi.

– Innym człowiekiem? – powtarza lekceważąco Luke. – Gary, on jest niewiele lepszy od zwykłego gangstera.

Mało brakuje, a kieliszek wysunąłby mi się z ręki na stół. Jestem winna przysługę gangsterowi?

– „Gangster” to nieco zbyt drastyczne określenie – mówi z rozbawieniem Gary. – Minęło już tyle lat.

– Tacy ludzie nigdy się nie zmieniają – oświadcza stanowczo Luke.

– Ostry jesteś! – stwierdza ze śmiechem Gary. Nagle dostrzega wyraz mojej twarzy. – Becky, wszystko w porządku?

– Tak! – odpowiadam wysokim głosem i przechylam kieliszek z winem. – Naturalnie!

Robi mi się na przemian zimno i gorąco. To wcale nie idzie zgodnie z planem.

To nie idzie nawet w przybliżeniu zgodnie z planem.

Mój pierwszy triumf w tworzeniu sieci. Pierwszy znaczący klient, którego ściągam do Brandon Communications. Tymczasem okazuje się, że to król moteli z kryminalną przeszłością.

Ale skąd niby miałam to wszystko wiedzieć? No skąd? Wydawał się taki czarujący. I był tak doskonale ubrany!

Przełykam kilkakrotnie ślinę.

No, i powiedziałam mu, że Luke będzie dla niego pracował.

Tak jakby.

To znaczy... przecież niczego mu nie obiecywałam, prawda?

O Boże!

Słyszę własny głos, szczebioczący radośnie: „Mój mąż będzie zachwycony, mogąc panu pomóc. Jestem pewna, że stanie się to dla niego zadaniem priorytetowym!”

Wpatruję się w menu, usiłując zachować spokój. No dobra, wiem, co muszę teraz zrobić. Powinnam powiedzieć Luke’owi. Tak. Przyznać się do wszystkiego i już. Mediolan... torebka Angel... dzisiejszy telefon... wszystko.

Tak właśnie muszę zrobić. Tak zachowałaby się osoba dorosła.

Zerkam na marsową minę Luke’a, który czyta właśnie jakieś dokumenty, i żołądek kurczy mi się ze strachu.

Nie mogę.

Po prostu nie mogę.

– To zabawne, że wspomniałaś o Nathanie Tempie’u, Becky – odzywa się Gary. – Jeszcze ci o tym nie mówiłem, Luke, ale niedawno skontaktował się z nami w sprawie jakiegoś nowego hotelu.

Patrzę na szeroką, życzliwą twarz Gary’ego i ogarnia mnie uczucie ulgi.

Dzięki Bogu. Dzięki Bogu.

Oczywiście, że wykorzystali także drogę oficjalną. Oczywiście! Niepotrzebnie się przejmowałam! Luke zajmie się tym, a ja będę kwita z Nathanem Temple’em i wszystko skończy się dobrze...

– Rozumiem, że odmówimy? – dodaje Gary. Odmówimy? Podnoszę gwałtownie głowę.

– Wyobrażasz sobie, jak by na czymś takim ucierpiała nasza reputacja? – odpowiada ze śmiechem Luke. – Odmów. Ale taktownie – dodaje, marszcząc czoło. – Jeśli rzeczywiście kupuje „Daily World”, lepiej go nie obrazić.

– Nie odmawiajcie! – wyrzucam z siebie, zanim jestem w stanie pomyśleć, co robię.

Obaj odwracają się ku mnie ze zdumieniem, a ja zmuszam się do beztróskiego śmiechu.

– To znaczy... może przed podjęciem ostatecznej decyzji powinniście się przyjrzeć obu stronom medalu?

– Becky, o ile mi wiadomo, istnieje tylko jedna strona tego akurat medalu – odpowiada rzeczowo Luke. – Nathan Tempie nie jest typem człowieka, który mógłby być kojarzony z moją firmą. – Otwiera menu. – Powinniśmy złożyć zamówienie.

– Nie sądzisz, że jesteś nieco zbyt krytyczny? – odzywam się z desperacją. – „Nie strzelaj pierwszym kamieniem” i tak dalej.

– Słucham? – Luke wygląda na oszołomionego.

– To Biblia!

Obrzuca mnie dziwnym spojrzeniem.

– To znaczy chodzi ci o „rzucanie”? – pyta.

– Eee...

Och. Może i ma rację. No, ale przecież „strzelać” czy „rzucić”... co za różnica?

– Chodzi o to, że... – zaczynam.

– Chodzi o to – wchodzi mi w słowo Luke – że nie chcę, by kojarzono Brandon Communications z kimś, kto ma kryminalną przeszłość. Reszta nas nie obchodzi.

– Ale to takie... ograniczone! W dzisiejszych czasach prawdopodobnie większość ludzi była w przeszłości karana! – gestykuluję z ożywieniem. – Kto z siedzących przy tym stole osób nie ma w pewnym sensie kryminalnej przeszłości?

Przez chwilę panuje cisza.

– Ja nie mam – odzywa się wreszcie Luke. – Gary nie ma. Ty nie masz.

Patrzę na niego lekko zbity z tropu. Chyba ma rację. Istotnie nie mam.

W gruncie rzeczy trochę mnie to dziwi. Zawsze myślałam o sobie jako o kimś żyjącym na krawędzi.

– Mimo to...

– Becky, a tak w ogóle to czemu poruszyłaś ten temat? – Luke marszczy brwi. – Skąd u ciebie ta obsesja na punkcie Nathana Tempie’a?

– Nie mam żadnej obsesji! – odpowiadam pospiesznie. – Ja tylko... interesuję się twoimi klientami. I potencjalnymi klientami.

– On nie jest ani moim klientem, ani potencjalnym klientem – odpowiada, wyraźnie pragnąc skończyć ten temat. – I nigdy nim nie będzie.

– Jasne. – Przetykam ślinę. – Cóż... postawiłeś sprawę jasno. W milczeniu przeglądamy menu. A przynajmniej oni. Ja tylko udaję, że to robię, gdy tymczasem przez głowę przebiega mi tysiąc myśli naraz.

No więc nie jestem w stanie przekonać Luke’a. W takim razie będę musiała sama sobie z tym poradzić. Tak właśnie robią wspierające żony. Dyskretnie i operatywnie rozwiązują

problemy. Założę się, że Hillary Clinton tysiące razy musiała robić coś takiego.

Wszystko będzie dobrze. Zadzwońę po prostu do Nathana Temple'a, podziękuję mu za jego uprzejmą propozycję i 'powiem, że Luke jest niestety bardzo, ale to bardzo zajęty...

Nie. Powiem, że próbował się dodzwonić, ale nikt nie odbierał...

– Becky? Wszystko w porządku?

Podnoszę głowę i widzę, że obaj na mnie patrzą. Jednocześnie uświadamiam sobie, że coraz mocniej uderzam w stół jednym z długopisów Gary'ego.

– Tak, tak! – odpowiadam i natychmiast go odkładam. Mam plan. Otóż... powiem, że Luke jest chory.

Tak. To genialny pomysł. Nikt nie będzie się mógł do tego przyczepić.

Tak więc gdy tylko docieramy do domu, a Luke ponownie zamyka się z Garym w gabinecie, pędzę do telefonu w sypialni. Zamykam kopniakiem drzwi i pospiesznie wystukuję numer, który podał mi Nathan Tempie. Ku mojej uldze natychmiast włącza się poczta głosowa.

Teraz, kiedy uważnie słucham, muszę przyznać, że ten głos rzeczywiście brzmi tak, jakby należał do króla moteli z kryminalną przeszłością. Czemu, do diaska, nie usłyszałam tego wcześniej? Musiałam być chyba głucha!

Włącza się sygnał, a ja podskakuję ze strachu.

– Witam! – mówię, starając się, by mój głos brzmiał lekko i spokojnie. – Wiadomość dla pana Temple'a. Z tej strony Becky Brandon. Eee... powiedziałałam mężowi o pańskim hotelu i uznał to za doskonały pomysł! Niestety, obawiam się, że w tej chwili niezbyt dobrze się czuje i chyba jednak nie będzie mógł się zająć promocją. Naprawdę wielka szkoda! W każdym razie mam nadzieję, że uda się panu znaleźć kogoś innego! Do widzenia!

Odkładam słuchawkę i opadam na łóżko. Serce wali mi jak młotem.

No i proszę. Załatwione.

– Becky? – Luke otwiera drzwi, a ja zrywam się przerażona z łóżka.

– Co? Co się stało?

– Nie denerwuj się – odpowiada ze śmiechem. – Nic się nie stało. Chciałem ci tylko powiedzieć, że właśnie przyjechała Jess.

– Jedzie już windą – mówi Luke, otwierając drzwi. – A tak przy okazji, z kim rozmawiałaś przez telefon?

– Z nikim – odpowiadam szybko. – Ja tylko... dzwoniłam na numer zegarynki.

Wszystko w porządku, powtarzam stanowczo w myślach. Problem rozwiązany.

Słyszę szum windy. Jess zaraz tu będzie!

Szybko biorę do ręki ściągawkę i po raz ostatni przebiegam ją wzrokiem. Owczarki szkockie... nie znosi awokado... nauczyciel matematyki nazywał się Lewis...

– Lepiej to odłóż, zanim się pojawi – mówi z rozbawieniem Luke.

– Och. No tak.

Wpycham kartkę do kieszeni i robię kilka głębokich wdechów. Przyznaję, że zaczynam się ciut denerwować.

– Posłuchaj, Becky – mówi Luke, przyglądając mi się uważnie. – Naprawdę mam nadzieję, że tym razem się dogadacie. Musisz jednak zachować zdrowy rozsądek. Ta wizyta nie jest dla ciebie sprawą życia i śmierci, prawda?

– No wiesz, Luke! – odpowiadam z wyrzutem. – Za kogo mnie uważasz?

Oczywiście, że jest. Ale to nic złego, ponieważ wiem, że się uda. Tym razem będzie inaczej. Po pierwsze, nie będziemy robić niczego, na co nie będzie miała ochoty Jess.

A po drugie, muszę pamiętać o radzie, której udzielił mi Luke. Powiedział, że to świetnie, iż zachowywałam się tak przyjacielsko w stosunku do Jess – ale że ona jest raczej zamknięta w sobie i może to całe przytulanie nie było w jej stylu. Zasugerował więc, bym zachowywała się w sposób bardziej opanowany – przynajmniej dopóki się lepiej nie poznamy. I sądzę, że miał rację.

Na korytarzu słyhać odgłos zbliżającej się windy. Wstrzymuję oddech. Dlaczego ona jedzie tak wolno?

Otwierają się drzwi, a za nimi stoi Jess w dzinsach i szarym Tshircie, z przewieszonym przez ramię plecakiem.

– Cześć! – wołam, podbiegając do niej. – Witamy! Będziemy robić to, na co masz ochotę! Cokolwiek! Powiedz tylko słowo! Ty tu rządzisz!

Jess się nie rusza. Wygląda, jakby wrosła w ziemię.

– Cześć, Jess – mówi Luke znacznie spokojniejszym głosem. – Witamy w Londynie.

– Chodź do środka! – Rozkładam ramiona. – Poczuj się jak u siebie w domu! Nie mamy tutaj awokado!

Jess przygląda mi się jakby nieco speszona – następnie rzuca spojrzenie na przyciski w windzie. Czyżby chciała czmychnąć na dół?

– Pozwól, że wezmę twój plecak – mówi Luke. – Jak się udała konferencja?

Zaprasza Jess gestem do mieszkania. Ta wreszcie rusza się z miejsca, rozglądając się wokół nieufnie.

– Dobrze, dzięki – odpowiada. – Cześć, Becky.

– Cześć! To cudownie, że jesteś! Pokażę ci twój pokój. Otwieram z dumą drzwi do pokoju gościnnego, czekając na jakiś jej komentarz dotyczący tego plakatu z jaskinią albo „Miesięcznika Grotolaza”. Ona jednak tylko dziękuje Luke’owi, który stawia na podłodze jej plecak.

– Popatrz! – Pokazuję palcem na ścianę. – To jaskinia!

– Eee... tak – odpowiada, wyglądając na lekko oszołomioną.

Na chwilę zapada cisza, a ja natychmiast staję się czujna. Nie mówcie tylko, że tym razem atmosfera będzie równie niezręczna.

– Napijmy się wszyscy! – wykrzykuję. – Otwórzmy butelkę szampana!

– Becky... jest dopiero czwarta – mówi Luke. – Może lepsza byłaby filiżanka herbaty?

– Chętnie bym się jej napiła odzywa się Jess.

– W takim razie herbata! Doskonały pomysł!

Idę pierwsza do kuchni, a za mną podąża Jess, rozglądając się po drodze po mieszkaniu.

– Ładnie mieszkanie – stwierdza.

– Becky odwaliła kawał dobrej roboty – przyznaje Luke. – Szkoda, że nie widziałas tego mieszkania tydzień temu. Dostarczono nam masę zakupów z podróży poślubnej... i gdziekolwiek się ruszyło, wszędzie się na coś wpadało. – Kręci z niedowierzaniem głową. – Nadal nie pojmuję, jak ci się udało tego dokonać, Becky.

– Och, no wiesz. – Uśmiecham się skromnie. – To tylko kwestia właściwej organizacji.

Włączam czajnik, kiedy do kuchni wchodzi Gary.

– To mój współpracownik, Gary – przedstawia go Luke. – A to przyrodnia siostra Becky, Jess. Pochodzi z Cumbrii.

– Ach! – mówi Gary, potrząsając dłonią Jess. – Znam Cumbrię! Piękny rejon. A gdzie konkretnie mieszkasz?

– We wsi Scully – odpowiada. – To naprawdę spokojna okolica. Bardzo się różni od Londynu.

– Byłem w Scully! – oświadcza Gary. – Kilka lat temu. Czy przypadkiem w pobliżu nie przebiega znana trasa spacerowa?

– Pewnie chodzi ci o Scully Pike.

– Zgadza się! Próbowaliśmy się tam wspinać, ale nagle załamała się pogoda. Niewiele brakowało, a pospadalibyśmy.

– Tam potrafi być niebezpiecznie – przyznaje Jess. – Trzeba wiedzieć, co się robi. Często przyjeżdżają idioci z południa i pakują się w różnego rodzaju tarapaty.

– To właśnie ja – mówi radośnie Gary. – Ale warto było dla tych wszystkich widoków. Te mury bezzaprawowe są naprawdę niesamowite. Niczym dzieła sztuki. Ciągną się kilometrami.

Przysłuchuję się tej rozmowie z fascynacją. Bardzo chciałabym bliżej poznać północną część Anglii. Bardzo bym chciała zobaczyć mury bezzaprawowe. Znam przecież tylko Londyn i hrabstwo Surrey, które i tak praktycznie kończy się zaraz za Londynem.

– Powinniśmy kupić sobie dom w Cumbrii! – oświadczam z entuzjazmem, podając filiżanki z herbatą. – We wsi Jess! Wtedy mogłybyśmy bez przerwy się spotykać – dodaję. –

Byłoby świetnie, no nie?

Przez dłuższą chwilę panuje cisza.

– Tak – odzywa się wreszcie Jess. – Świetnie.

– Nie sądzę, byśmy w najbliższej przyszłości kupowali gdziekolwiek dom – mówi Luke, patrząc na mnie i unosząc brwi. – Mamy ściśle określony budżet, pamiętasz?

– Tak, wiem – ripostuję, także unosząc brwi. – I trzymam się go, prawda?

– Owszem – odpowiada Luke. – To niesamowite, ale tak. – Patrzy na stojącą na blacie puszkę herbatników Fortnum. – Choć, mówiąc szczerze, nie mam pojęcia, jak ci się to udaje. – Otwiera lodówkę. – Popatrzcie tylko na to. Faszzerowane oliwki... wędzony homar... i wszystko w ramach budżetu.

Nie mogę powstrzymać ogarniającego mnie uczucia dumy. To całe jedzenie mogłam kupić dzięki sprzedaży budzików od Tiffany'ego! Byłam taka uradowana, że natychmiast udałam się do delikatesów i kupiłam pełen kosz przysmaków Luke'a.

– To kwestia właściwego zarządzania dostępnymi środkami – mówię nonszalancko i podaję mu talerzyk. – Poczęstuj się czekoladowym ciasteczkami.

– Hmm. – Luke posyła mi podejrzliwe spojrzenie, po czym odwraca się do Gary'ego. – Musimy wracać do pracy.

Wychodzą z kuchni, a ja zostaję sama z Jess. Dolewam jej herbaty i sadwiewam się na stołku barowym.

– No więc tak! – mówię. – Co byś miała ochotę robić?

– Wszystko mi jedno – odpowiada i wzrusza ramionami.

– To zależy tylko od ciebie! Naprawdę!

– Poważnie wszystko mi jedno. – Jess sączy herbatę. Zapada cisza i słychać jedynie kapiące do zlewu krople wody z kranu.

To mi wcale nie przeszkadza. To po prostu pełna relaksu, przyjacielska cisza, która często panuje między członkami rodziny. Prawdę mówiąc, świadczy ona, że czujemy się w swoim towarzystwie swobodnie. Nie jest to wcale niezręczne ani dziwne...

O Boże, odezwiży się! Błagam!

– Chciałabym trochę poćwiczyć – oświadcza nagle Jess. – Zazwyczaj robię to codziennie. Ale w tym tygodniu nie dałam rady.

– Jasne! – odpowiadam z zachwytem. – Fantastyczny pomysł! Poćwiczyć z tobą!

– Naprawdę? – Na jej twarzy maluje się zaskoczenie.

– No pewnie! – Dopijam herbatę i odstawiam filiżankę. – Pójdę się przygotować!

Co za genialny pomysł! Dzięki wspólnym ćwiczeniom uda nam się nawiązać prawdziwą więź. Możemy pójść do Klubu Odnowy Biologicznej Taylora, który mieści się tuż za rogiem. Mam tam wyrobioną złotą kartę członkowską. Zrobimy rozgrzewkę, a potem czmychniemy do baru z sokami. Wiem, że bar będzie otwarty, gdyż wielokrotnie tam byłam o tej porze.

Myszę, że siłownia na dole też chyba będzie otwarta.

A może ona mieści się na górze?

Nieważne. W każdym razie na pewno gdzieś jest.

Zamaszystym gestem otwieram drzwi do garderoby i wysuwam szufladę z ciuchami

sportowymi. Mogłabym włożyć dres Juicy, ale może mi w nim być za gorąco... albo ten fajny różowy top, tyle że w barze z sokami widziałam raz dziewczynę, która miała na sobie identyczny...

Ostatecznie decyduję się na czarne legginsy z lamówkami w stylu retro, biały Tshirt i supernowoczesne buty sportowe, które kupiłam w Stanach. Sporo kosztowały, ale dzięki podeszwie o dwojakiej gęstości włókien zapewniają stopie biochemiczną równowagę. A poza tym ich zaawansowanie techniczne oznacza, że mogą być używane zarówno na trasie maratonu, jak i na siłowni.

‘ Szybko się przebieram, związuję włosy w koński ogon i wkładam na rękę odjazdowy zegarek sportowy Adidasa. (To świadczy, jak bardzo się mylił Luke. Wiedziałam, że pewnego dnia przyda mi się sportowy zegarek). Udaję się pospiesznie do pokoju gościnnego i pukam do drzwi.

– Hej, to ja!

– Wejdz.

Głos Jess wydaje się stłumiony i jakiś dziwny. Ostrożnie otwieram drzwi. Przebrała się w szare szorty oraz T-shirt i – ku memu zdumieniu – leży na podłodze.

Gdy jej cały tułów unosi się z podłogi, uświadamiam sobie, że robi brzuszki. O rety! Jest w tym całkiem niezła.

A teraz robi te ze skrętem, które jakoś nigdy mi nie wychodzą.

– No... to idziemy? – pytam.

– Dokąd? – pyta Jess, nie przerywając robienia brzuszków.

– Na siłownię! Sądziłam, że chcesz... – Urywam, kiedy zaczyna podnosić z ziemi także i nogi.

Okej, teraz to już się popisuje.

– Nie muszę nigdzie iść. Mogę poćwiczyć tutaj.

Tutaj? Czy ona mówi poważnie? Ale tutaj nie ma żadnych luster. I MTV. I baru z sokami.

Moje spojrzenie zatrzymuje się na bliźnie w kształcie węża, którą widać na łydce Jess. Już mam spytać, skąd się wzięła, kiedy ona łapie moje spojrzenie i robi się czerwona. Może jest na tym punkcie przewrażliwiona. Lepiej nic na ten temat nie wspomnę.

– Nie potrzebujesz ciężarków?

– Mam je. – Sięga po plecak i wyjmuje z niego dwie butelki po wodzie wypełnione piaskiem.

To są jej ciężarki?

– Nie mam zamiaru chodzić do siłowni – oświadcza, zaczynając unosić butelki nad głowę. – Strata pieniędzy. Połowa ludzi, którzy się zapisują na siłownię, i tak tam nie chodzi. Kupują drogie stroje do ćwiczeń i nigdy ich nie wkładają. Czy to ma jakiś sens?

– Jak najbardziej! – odpowiadam szybko. – W pełni się z tobą zgadzam.

Jess przerywa i poprawia uchwyt na jednej butelce. Następnie jej spojrzenie pada na tył moich legginsów.

– Co to? – pyta.

– Eee... – Sięgam ręką do tyłu.

Jasny gwint. To zwisa metka z ceną.

– Nic takiego! – odpowiadam, pospiesznie wpychając ją do środka. – Pójdę przynieść... własne ciężarki.

Kiedy wracam z kuchni z dwiema butelkami wody Evian, czuję się lekko zawiedziona. Niezupełnie tak to sobie wyobrażałam. Widziałam oczami wyobraźni, jak bez wysiłku biegniemy na ustawionych obok siebie bieżniach, w tle słysząc rytmiczną muzykę, a punktowe oświetlenie sprawia, że nasze włosy wydają się niezwykle lśniące.

Mniejsza o to.

– No więc... będę robić to, co ty, dobrze? – pytam, kładąc się obok niej na dywanie.

– Popracuję teraz trochę nad bicepsami – mówi Jess. – To dość proste.

Zaczyna podnosić ramiona w górę i w dół, a ja robię to, co ona. Kurczę, ona ćwiczy naprawdę szybko, no nie?

– Włączyć jakąś muzykę? – pytam po chwili.

– Niepotrzebna mi muzyka.

– Mnie też nie – odpowiadam pospiesznie.

Zaczynają mnie boleć ramiona. To z całą pewnością nie jest dobry objaw. Zerkam na Jess – ale ona nieprzerwanie ćwiczy. Pochylam się, udając, że poprawiam sznurówkę. Wtedy przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Zaraz wracam – mówię i szybkim krokiem udaję się ponownie do kuchni.

Chwilę później jestem z powrotem, trzymając w dłoniach dwie smukłe, srebrne butelki.

– Poczęstuj się napojem energetyzującym – mówię, z dumą podając jej jedną butelkę. – Przywróci ci równowagę.

‘ – Przywróci mi co? – Jess odkłada ciężarki i marszczy brwi.

– Tak jest napisane na butelce, spójrz – wyjaśniam. – Stanowi wyjątkowe połączenie wzmacniających witamin i ziół.

Przebiega spojrzeniem nalepkę.

– To tylko cukier i woda. Patrz. Woda... syrop glukozowy... – Odstawiają. – Nie, dzięki.

– Ale to ma wyjątkowe właściwości! – mówię ze zdumieniem. – Przywraca równowagę i nawilża skórę od wewnątrz.

– A w jaki sposób?

– Nie... nie wiem.

– Ile coś takiego kosztuje? – Ponownie bierze do ręki butelkę i patrzy na cenę. – Dwa funty dziewięćdziesiąt pięć pensów? – Wydaje się autentycznie zgorziona. – Trzy funty za odrobinę cukru i wody? Za taką cenę mogłabyś kupić dwudziestokilogramowy worek ziemniaków!

– Ale... ja nie chcę kupować dwudziestokilogramowego worka ziemniaków – odpowiadam nieco zbity z tropu.

– W takim razie powinnaś – oświadcza Jess. – Ziemniaki są jednym z najbardziej odżywczych i opłacalnych produktów spożywczych. – Obrzuca mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty. – Ludzie ich nie doceniają. A czy wiedziałaś, że w skórce ziemniaka jest więcej witaminy C niż w pomarańczy?

– Nie – odpowiadam nerwowo. – Nie wiedziałam.

– Mogłabyś się żywić wyłącznie ziemniakami i mlekiem. – Zaczyna ponownie machać ciężarkami. – Te dwa produkty dostarczają praktycznie wszystkich składników odżywczych, których potrzebuje ludzki organizm.

– Jasne! – mówię. – To... naprawdę świetnie! Wiesz co, pójde wziąć prysznic.

Kiedy zamykam za sobą drzwi, jestem totalnie skołowana. O co chodziło z tymi całym ziemniakami? Nie jestem już nawet pewna, jak to się stało, że poruszyliśmy ten temat.

Idąc korytarzem, mijam gabinet. Widzę, jak Luke bierze coś z półki.

– Wyglądasz bardzo sportowo – orzeka, dostrzegając mnie. – Idziesz na siłownię?

– Ćwiczyłam razem z Jess – odpowiadam, odgarniając włosy z czoła.

– Świetnie. Więc jakoś się dogadujecie?

– No pewnie! – oświadczam i idę dalej.

Co... myślę, że jest prawdą.

Choć, jeśli mam być szczerą, w przypadku Jess trudno cokolwiek stwierdzić. Nie można powiedzieć, by przytłaczała swoją obecnością.

Ale mniejsza o to, na razie idzie nieźle. A teraz, kiedy już sobie poćwiczyłyśmy, należy nam się mała nagroda! Dobrze nam zrobi kilka drinków, nieco imprezowej atmosfery i muzyka. Wtedy naprawdę wyluzujemy.

Kiedy biorę prysznic, zaczynam odczuwać podekscytowanie. Nic się nie da porównać z porządnym babskim wieczorem. Zuza i ja często tak robiłyśmy, kiedy mieszkaliśmy razem. Pewnego razu, kiedy porzucił ją beznadziejny chłopak, przez cały wieczór wysyłałyśmy w jego imieniu formularze zamówienia na leki na impotencję. Kiedy indziej wspólnie przygotowałyśmy napój miętowy z dodatkiem alkoholu i obie prawie się potroiłyśmy. Jeszcze innym razem postanowiłyśmy pomalować sobie włosy na rudo – a potem musiałyśmy szukać na gwałt całodobowego salonu fryzjerskiego.

No i było jeszcze wiele wieczorów, kiedy nie działo się nic szczególnego... zwyczajnie oglądałyśmy filmy, jadłyśmy pizzę, rozmawiałyśmy i się śmiałyśmy – a ogólnie rzecz biorąc, dobrze się bawiłyśmy.

Nieruchomieję w trakcie wycierania włosów. Dziwnie się czuję, nie rozmawiając już z Zuzą. Odkąd się dowiedziała, że mam siostrę, ani razu do mnie nie zadzwoniła. A ja nie zadzwoniłam do niej.

Mniejsza o to. Unoszę podbródek. Tak już jest na tym świecie. Ludzie znajdują sobie nowych przyjaciół i nowe siostry. To tak zwana naturalna selekcja.

A Jess i ja będziemy się razem świetnie bawić. Lepiej niż kiedykolwiek z Zuzą.

Z dreszczykiem emocji wkładam dzinsy i Tshirt ze srebrnym napisem „Siostrzyczka”. Włączam żaróweczki przy lustrach toaletki i wydaję wszystkie przybory do makijażu, jakie tylko mam. Grzebię w pudle pod łóżkiem i wyciągam z niego trzy peruki, cztery treski, sztuczne rzęsy, brokat w spreju i tatuaże. Następnie otwieram szafkę, w której przechowuję wszystkie buty.

Uwielbiam tę szafkę.

Autentycznie ją uwielbiam. Jest po prostu wspaniała! Wszystkie buty stoją w równych

rzędach, a wewnątrz zamontowano nawet oświetlenie, by można je było porządnie widzieć. Przesuwam po nich miłośnie wzrokiem, po czym wyjmuję najbardziej zabawne szpilki z cekinami i rzucam je na łóżko.

Gotowa na metamorfozy!

Następnie zabieram się do salonu. Wyjmuję kasety ze wszystkimi moimi ulubionymi filmami i układam je na podłodze w wachlarz, dorzucam mnóstwo kolorowych magazynów i zapalam kilka świec. W kuchni wsypuję do misek chipsy, popcorn i słodycze, zapalam kilka dodatkowych świeczek i wyjmuję szampana. Rozglądam się po kuchni – granitowe powierzchnie lśnią, a stal nierdzewna jest delikatnie oświetlona płomykami świec. Wygląda to naprawdę ślicznie!

Patrzę na zegarek i widzę, że jest już prawie szósta. Do tej pory Jess z całą pewnością skończyła ćwiczyć. Udaję się do pokoju gościnnego i delikatnie pukam do drzwi.

– Jess? – pytam z wahaniem.

Brak odpowiedzi. Pewnie jest pod prysznicem. No cóż, nie ma się co spieszyć.

Ale kiedy wracam do kuchni, nagle słyszę jej głos. Dochodzi z gabinetu. To dziwne. Zbliżam się do drzwi i delikatnie otwieram – i oto siedzi przed komputerem w towarzystwie Luke’a oraz Gary’ego. Cała trójka wpatruje się w ekran monitora.

– W taki właśnie sposób można nakładać na siebie grafiki – mówi właśnie Jess, stukając w klawiaturę. – I zsynchronizować to ze ścieżką dźwiękową. Jak chcecie, mogę to dla was zrobić.

– Co się tutaj dzieje? – pytam zdumiona.

– Mamy problem z nową firmową płytą – wyjaśnia Luke. – Kolesie, którzy ją robili, nie mieli o niczym cholernego pojęcia. Trzeba to wszystko opracować na nowo.

– Twoja siostra to prawdziwy spec od tego oprogramowania! – oświadcza Gary.

– Znam je na wylot – mówi Jess, bardzo szybko klikając myszką. – Rok temu zaczął je stosować cały uniwersytet. A poza tym interesują mnie nowinki techniczne.

– To fantastycznie! – Przez chwilę stoję przy drzwiach, gdy tymczasem Jess wystukuje coś na klawiaturze. – No więc... masz ochotę się czegoś napić? Przygotowałam już wszystko na nasz babski wieczór.

– Przepraszam – mówi Luke, patrząc na mnie z nagłym zrozumieniem. – Przetrzymują cię, Jess. Teraz już damy sobie radę. Wielkie dzięki!

– Dzięki! – dołącza się Gary.

Obaj patrzą na nią z takim podziwem, że aż odczuwam lekką zazdrość.

– Chodź! – rzucam pogodnie. – Szampan już czeka.

– Jeszcze raz dzięki, Jess – mówi Luke. – Jesteś wspaniała!

– Nie ma sprawy. – Wstaje i wychodzi za mną z pokoju.

– Ci mężczyźni! – mówię, kiedy nie mogą nas już usłyszeć. – W głowie mają jedynie komputery.

– Lubię komputery – odpowiada Jess, wzruszając ramionami.

– Ja też – wycofuję się pospiesznie. – Jak najbardziej! Co jest częściowo prawdą.

Uwielbiam przecież eBay.

Kiedy idziemy do kuchni, jestem naprawdę podekscytowana. Oto nadchodzi chwila, na którą czekałam! Sięgam po pilota od wieży i chwilę później w kolumnach w kuchni rozbrzmiewa głośno piosenka zespołu Sister Sledge. Kupiłam ten album specjalnie na dzisiejszy wieczór!

– Jesteśmy rodziną! – śpiewam razem z zespołem, uśmiechając się promiennie do Jess. Z wiaderka z lodem wyjmuję butelkę szampana i otwieram go. – Napijmy się!

– Wolałabym coś bezalkoholowego – mówi, wkładając ręce do kieszeni. – Od szampana boli mnie głowa.

– Och. – Nieco zbija mnie tym z tropu. – Cóż... Oczywiście!

Nalewam jej szklankę wody mineralnej Aqua Libra i szybko odstawiam butelkę, zanim zdąży dojrzeć cenę i znowu zacznie nawijać o ziemniakach.

– Pomyślałam sobie, że dzisiaj mogłybyśmy się po prostu zrelaksować! – przekrzykuję muzykę. – Dobrze się bawić... rozmawiać...

– Brzmi nieźle – odpowiada Jess, kiwając głową.

– Przyszło mi więc do głowy, że mogłybyśmy się zabawić w metamorfozy!

– Metamorfozy? – Na jej twarzy maluje się brak zrozumienia.

– Chodź ze mną! – Ciągnę ją przez korytarz do sypialni. – Możemy sobie zrobić nawzajem makijaż... przymierzać różne ciuchy... Jeśli chcesz, to mogę wymodelować ci włosy...

– Nie wiem. – Stoi zgarbiona.

– Będzie fajnie! Chodź, usiądź przed lustrem. Przymierz którąś perukę! – Wkładam na głowę blond perukę Marilyn. – Super, no nie?

Jess wzdryga się.

– Nie znoszę luster – oświadcza. – I nigdy się nie maluję. Wpatruję się w nią z lekkim osłupieniem. Jak można nie znosić luster?

– A poza tym odpowiada mi mój obecny wygląd – dodaje, jakby się broniąc.

– No jasne, że tak! – mówię ze zdumieniem. – Wcale nie o to chodzi! Ma to po prostu być... no wiesz. Zabawa.

Cisza.

– Ale mniejsza o to! – Staram się ukryć przygnębienie. – To był tylko taki pomysł. Wcale nie musimy tego robić.

Zdejmuję perukę Marilyn i wyłączam światelka przy toalecie. Pokój natychmiast pogrąża się w półmroku, co pasuje do mojego obecnego nastroju. Naprawdę nie mogłam się doczekać metamorfozy Jess. Miałam świetny pomysł na makijaż jej oczu.

Ale nieważne. Wieczór się jeszcze nic skończył!

– No to może... obejrzymy film? – proponuję.

– Możemy – kiwa głową Jess.

A poza tym film to nawet lepszy pomysł. Wszyscy lubią filmy, a oprócz tego możemy sobie pogadać na nudniejszych fragmentach. Idziemy razem do salonu. Pokazuję jej rozłożone na podłodze kasety.

– Wybierz sobie, który tylko chcesz!

– Jasne. – Zaczyna przerzucać kasety.

– Wolisz *Cztery wesela...* – próbuję jej pomóc – czy *Bezsenna noc w Seattle*? A może *Kiedy Harry poznał Sally*? – Bez różnicy – mówi wreszcie Jess, podnosząc głowę. – Sama wybierz.

– Musisz mieć jakiś ulubiony!

– To nieszczęśliwie mój typ filmów – odpowiada, lekko się krzywiąc. – Wolę coś nieco bardziej poważnego.

– Och. – Znowu pudło. – No tak. Cóż... Jeśli chcesz, mogę iść do wypożyczalni i wybrać jakiś inny film! To potrwa dosłownie pięć minut. Powiedz, co byś chciała obejrzeć...

– W porządku, nie rób sobie kłopotu. – Wzrusza ramionami. – Obejrzyjmy po prostu jeden z tych.

– No, coś ty! – odpowiadam ze śmiechem. – To bez sensu, jeśli żaden z nich ci się nie podoba! Możemy się zająć... czymś innym! Żaden problem!

Uśmiecham się do Jess, ale w gruncie rzeczy jestem trochę zaniepokojona. Nie bardzo wiem, co jeszcze mogłabym zaproponować. W rezerwie miałam jeszcze taśmę karaoke *Dancing Queen* – ale coś mi mówi, że ten pomysł także nie przypadłby jej do gustu. A poza tym nie mamy na głowach peruk.

Dlaczego jest tak drętwo? Myślałam, że o tej porze będziemy się wspólnie zaśmiewać do łez. Myślałam, że będziemy się dobrze bawić.

O Boże! Nie możemy siedzieć tutaj w milczeniu przez cały wieczór. Muszę wyznać jej prawdę.

– Posłuchaj, Jess – zaczynam, nachylając się ku niej. – Chcę robić to, na co ty masz ochotę. Ale musisz udzielić mi jakichś wskazówek. Więc... bądź ze mną szczerą. Gdybym nie zaprosiła cię tutaj na weekend, co byś teraz robiła?

– No cóż... – Zastanawia się przez chwilę. – Miałam być dziś wieczorem na spotkaniu lokalnej grupy ekologicznej. Aktywnie w niej działałam. Prowadzimy akcje uświadamiające, organizujemy pikietę i marsze protestacyjne... tego rodzaju rzeczy.

– A więc zróbmy to! – mówię z ożywieniem. – Zorganizujmy pikietę! Będzie fajnie! Mogę przygotować kilka plakatów...

Jess jest wyraźnie zaskoczona.

– Pikietę przeciwko czemu?

– Bez różnicy! Czemukolwiek. Jesteś gościem, więc ty zdecyduj!

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Nie organizuje się pikiet ot tak. Najpierw musi zaistnieć jakiś problem związany z ochroną środowiska. One wcale nie mają być *fajne*.

– Jasne – odpowiadam pospiesznie. – Zapomnijmy o pikiecie. A gdybyś nie była teraz na zebraniu, co byś robiła? Cokolwiek to jest... my to zrobimy. Razem!

Jess marszczy z namysłem czoło, a ja patrzę na nią z nadzieją i nagłą ciekawością. Po raz pierwszy czuję, że naprawdę się czegoś dowiem o siostrze.

– Najpewniej sprawdzałabym rachunki i wyciągi z kont – odzywa się wreszcie. – Właściwie to przywiozłam je ze sobą na wypadek, gdybym miała wolną chwilę.

Rachunki. W piątek wieczorem. Rachunki.

– Jasne! – udaje mi się wreszcie wykrztusić. – Super! W takim razie... zrobmy to!

Okej. Jest dobrze. Jest nieźle.

Siedzimy razem w kuchni i zajmujemy się rachunkami. A przynajmniej Jess to czyni. Ja nie jestem pewna, co właściwie robię.

Na górze kartki napisałam „Rachunki” i dwukrotnie to podkreśliłam.

Co jakiś czas Jess podnosi głowę, a ja wtedy szybko coś piszę, żeby wyglądało tak, jakby bez reszty mnie to pochłaniało. Jak na razie na kartce mam napisane:

Dwadzieścia funtów... budżet... Dwieście milionów funtów... cześć, mam na imię Becky...

Jess marszczy czoło, przeglądając coś, co wygląda na wyciągi z konta, oraz kartkując je po kolei tam i z powrotem.

– Coś się nie zgadza? – pytam ze współczuciem.

– Szukam brakującej kwoty – odpowiada. – Może mam to w drugiej teczce. – Wstaje. – Zaraz wracam.

Kiedy opuszcza kuchnię, pociągam łyk szampana i zerkam w stronę jej wyciągów.

Oczywiście, że nie mam zamiaru ich czytać ani nic z tych rzeczy. To prywatne rachunki Jess i ja to szanuję. A poza tym to nie moja sprawa. Absolutnie.

Problem polega na tym, że zaczyna mnie swędzić noga. Jak bumcykcyk. Nachylam się, by ją podrapać... po czym od niechcienia pochylam się trochę dalej... i jeszcze trochę... aż dostrzegam końcową cyfrę na wyciągu znajdującym się na samym wierzchu.

30 002 funty.

Żołądek dziwnie mi podskakuje i pospiesznie się prostuję, o mały włos nie przewracając kieliszka z szampanem. Mój puls wyprawia szalone harce i jestem w szoku. Trzydzieści tysięcy funtów? *Trzydzieści tysięcy funtów?*

Nigdy w życiu nie miałam aż tak dużego debetu. Nigdy. Nigdy!

Teraz wszystko zaczyna mieć sens. Wszystko układa się w jedną logiczną całość. Nic dziwnego, że sama robi sobie ciężarki. Nic dziwnego, że wszędzie zabiera własny termos z kawą. Pewnie ma rygorystyczny program oszczędnościowy, tak jak kiedyś ja. Pewnie także czytała książkę Davida E. Bartona *Kontrolujmy nasze wydatki*.

Kurka wodna, i kto by to pomyślał?

Gdy wraca, patrzę na nią zupełnie innymi oczami. Bierze do ręki jeden z wyciągów i ciężko wzdycha – a mnie zalewa nagle fala uczuć do niej. Ileż to razy brałam do ręki wyciąg z konta i wzdychałam? Jesteśmy pokrewnymi duszami!

Uważnie studiuje liczby, nadal z wyrazem udręki na twarzy. Cóż, nic dziwnego, przy tak gigantycznym debecie!

– Hej – odzywam się z pełnym zrozumienia uśmiechem. – Nadal próbujesz wysledzić te pieniądze?

– Muszą gdzieś tutaj być. – Marszczy czoło i bierze do ręki następny wyciąg.

Kurczę, a może bank ma wkrótce zająć jej obciążoną nieruchomość albo coś w tym rodzaju. Powinnam podzielić się z nią kilkoma radami.

Nachylam się konfidencjonalnie.

– Banki są beznadziejne, no nie?

– Do niczego.

– Wiesz, czasami cały cymes polega na tym, by napisać sympatyczny list. Poinformować, że się złamało nogę lub coś w tym stylu. Albo że zdechł ci pies.

– Słucham? – Jess podnosi głowę. – Dlaczego miałabym pisać coś takiego?

Boże, ona zupełnie niczego nie kuma. Nic dziwnego, że znalazła się w takich tarapatach!

– No wiesz! Aby zaczęli ci trochę współczuć. Wtedy mogą odstąpić od naliczania odsetek od debetu. Albo nawet go powiększą!

– Ale ja nie mam debetu – odpowiada, wyglądając na skołowaną.

– Ale...

Milknę, gdy dociera do mnie sens jej słów. Ona nie ma debetu. To oznacza...

Robi mi się trochę słabo.

Ze trzydzieści tysięcy funtów to tak naprawdę... Jej pieniądze?

– Becky, nic ci nie jest? – Jess obrzuca mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Wszystko... w porządku! – odpowiadam zduszonym głosem i jednym haustem opróżniam kieliszek szampana, usiłując odzyskać równowagę. – No więc... nie masz debetu. To dobrze! To bardzo dobrze!

– Nigdy w życiu go nie miałam – oświadcza stanowczo. – Nie sędzę, by coś takiego było konieczne. Każdy jest w stanie dysponować dostępnymi mu środkami, o ile tylko tego chce. Ludziom, którzy wpadają w długi, brakuje po prostu samokontroli. Nie ma dla nich usprawiedliwienia. – Wygląda wyciągi, po czym nieruchomieje. – Ale ty pracowałaś kiedyś jako dziennikarka finansowa, prawda? Twoja mama pokazała mi kilka twoich artykułów. Musisz więc to wszystko mieć w małym palcu.

Jej orzechowe oczy patrzą na mnie wyczekująco, a mnie oblatuje absurdalny strach. Nie jestem pewna, czy chcę, by Jess poznała całą prawdę o moich finansach.

– Ja... oczywiście – bąkam. – Oczywiście, że tak. To tylko kwestia... planowania i rozważnego zarządzania dostępnymi środkami.

– Oczywiście! – mówi, patrząc na mnie z aprobatą. – Kiedy wpływają jakieś pieniądze, od razu odkładam połowę na rachunek oszczędnościowy.

Co takiego?

– Wspaniale! – wyduszam z siebie. – To jedyny sensowny wariant.

Jestem w autentycznym szoku. Kiedy byłam dziennikarką, często pisałam artykuły, w których radziłam innym, by oszczędzali. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, by ktokolwiek rzeczywiście coś takiego robił.

Jess przygląda mi się z zainteresowaniem.

– Więc... ty robisz tak samo, Becky?

Przez kilka sekund nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

– No cóż! – mówię wreszcie i odchrząkam. – Może niezupełnie połowę każdego miesiąca...

– To tak jak ja. – Na jej twarzy pojawia się uśmiech. – Czasami udaje mi się odłożyć tylko dwadzieścia procent.

– Dwadzieścia procent! – powtarzam słabo. – Cóż... mniejsza o to. Nie powinnaś mieć o

to do siebie pretensji.

– Ale mam – odpowiada, nachylając się ku mnie. – Kto jak kto, ale ty musisz to rozumieć.

Nigdy nie widziałam na jej twarzy takiej szczerości. O mój Boże! Tworzy się między nami więź.

– Dwadzieścia procent czego? – odzywa się Luke, wchodząc razem z Garym do kuchni. Obaj wydają się być w bardzo dobrym nastroju.

Stają się czujna.

– Niczego – mówię.

– Właśnie rozmawiamy o finansach – wyjaśnia Jess. – Przeglądałyśmy nasze rachunki.

– Wasze rachunki? – powtarza Luke, po czym wybucha śmiechem. – A jakież to rachunki przeglądałaś ty, Becky?

– No wiesz! – mówię pogodnie. – Związane ze stanem moich finansów i tym podobne.

– Ach. – Kiwa głową, wyjmując z lodówki butelkę wina. – Więc... wezwałaś już brygadę antyterrorystyczną? I Czerwony Krzyż?

– O co ci chodzi? – pyta z konsternacją Jess.

– Zazwyczaj wzywa się na miejsca katastrof, prawda? – Uśmiecha się do mnie szeroko.

Bardzo, cholera jasna, śmieszne.

– Ale... Becky była kiedyś dziennikarką finansową! – oświadcza Jess, wyraźnie zbita z tropu.

– Dziennikarką? – Luke wygląda na niezwykle rozbawionego. – Chcesz usłyszeć historię o tym, jak twoja siostra była dziennikarką finansową?

– Nie – odpowiadam szybko. – Nie chce.

– Karta do bankomatu – odzywa się z rozrzewnieniem Gary.

– Karta do bankomatu! – Luke z zachwytem uderza ręką w stół. – To miało miejsce za czasów przeświatnej kariery telewizyjnej Becky w roli eksperta od spraw finansowych – wyjaśnia. – Kręciła odcinek o ryzyku wiążącym się z korzystaniem z bankomatów. Włożyła do niego własną kartę, by zademonstrować... – Ponownie zaczyna się śmiać. – A ona na oczach kamery została połknięta.

– Jakiś czas temu pokazali to w programie z najśmieszniejszymi urywkami – informuje mnie Gary. – Ten fragment, w którym zaczynasz walić w bankomat butem, to już klasyka!

Posyłam mu spojrzenie przepelnione wściekłością.

– Ale dlaczego bankomat połknął ci kartę? – pyta z konsternacją Jess. – Czy... czy miałaś saldo debetowe?

– Czy Becky miała debet? – pyta radośnie Luke, wyjmując kieliszki. – A czy papież jest katolikiem?

Jess wygląda na skołowaną.

– Ale, Becky, mówiłaś, że co miesiąc odkładasz połowę swoich przychodów.

Jasny gwint.

– Przepraszam, że co? – Luke powoli się odwraca. – Co powiedziała Becky?

– Ja... ja niezupełnie tak powiedziałam – odpowiadam, wytrącona z równowagi. –

Stwierdziłam, że dobrym pomysłem jest odkładanie połowy przychodów. Dobrą zasadą. I to prawda! To rzeczywiście bardzo dobry pomysł!

– No, a co z niespłacaniem olbrzymich rachunków za karty kredytowe, które się trzyma w tajemnicy przed mężem? – pyta Luke, unosząc brwi. – Czy to także dobry pomysł?

– Rachunki za karty kredytowe? – pyta Jess, patrząc na mnie z przerażeniem. – Więc... jesteś zadłużona?

Boże, dlaczego ona musi ujmować to w taki sposób? Zadłużona. Jakby to była jakaś zaraza. Jakbym zaraz miała zostać wygnana do przytułku. Zejdźmy na ziemię. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Każdy jest mniej lub bardziej zadłużony.

– Znasz to powiedzenie, że najgorszymi pacjentami są lekarze? – pytam z wymuszonym śmiechem. – Cóż, dziennikarze finansowi są za to najgorszymi... eee...

Czekam, aż ona także się roześmieje albo przynajmniej uśmiechnie do mnie ze współczuciem. Ale Jess wygląda na totalnie zbulwersowaną.

Nagle zaczyna mnie w środku coś piec. Zgoda, może więc i tkwiłam kiedyś w długach po uszy. Ale ona nie musi na mnie patrzeć tak potępiająco.

– A tak przy okazji, Jess – odzywa się Gary. – Mamy małą zagwozdkę z tym programem.

– Poważnie? Jak chcecie, to mogę na to rzucić okiem.

– Jesteś pewna? – Gary zerka na mnie. – Nie chcemy wam przeszkadzać...

– W porządku – mówię, machając ręką. – Proszę bardzo!

Kiedy cała trójka znika w gabinecie, udaję się powoli do salonu. Opadam na sofę i wpatruję się żałośnie w ciemny ekran telewizora.

Jess i mnie nie połączyła nawet najdelikatniejsza więź.

Nie dogadujemy się. Oto cała prawda.

Nagle ogarnia mnie pełne rozczarowania znużenie. Tak bardzo się starałam. Robiłam wszystko, co w mojej mocy. Kupiłam plakat z jaskinią... i przygotowałam te wszystkie pyszne przekąski... i próbowałam zaplanować fantastyczny wieczór. A ona nawet nie starała się przyłączyć. Może i nie lubi żadnego z moich filmów, ale mogła przecież udawać, no nie? Ja na jej miejscu tak właśnie bym zrobiła.

Dlaczego ona musi być takim ponurakiem? Dlaczego nie może po prostu wyluzować?

Kiedy przetykam szampana, zaczynają się we mnie wbijać małe igielki urazy i niezadowolonia.

Jak ona może nienawidzić zakupów? No jak? Na litość boską, ma trzydzieści patyków! Zakupy powinny stanowić jej hobby!

No i jeszcze jedna sprawa. Skąd u niej ta obsesja na punkcie ziemniaków? Co jest takiego wspaniałego w tych cholernych pyrach?

Nie rozumiem jej i tyle. To moja siostra, ale naprawdę nie jestem w stanie jej pojąć. Luke miał przez cały czas rację. Wszystko zależy od wychowania. Natura nie ma z tym nic wspólnego.

Wzdycham głośno, po czym smętnie zaczynam przerzucać kasety. Może sama obejrzę sobie któryś film. I zjem trochę popcornu. I kilka pysznych czekoladek Thorntona.

Jess pewnie nawet nie je czekolady. Chyba że jest to czekolada, którą zrobiła sama, i to w

dodatku z ziemniaków.

Cóż, jak sobie chce. Ja w każdym razie zamierzam się teraz objadać pysznościami i obejrzeć film.

Sięgam po kasetę z *Pretty Woman*, kiedy dzwoni telefon.

– Halo? – pytam, podnosząc słuchawkę.

– Cześć, Bex – słyszę znajomy, wysoki głos. – To ja.

– Zuza! – Ogarnia mnie nagła radość. – O mój Boże! Cześć! Co u ciebie słychać?

– Wszystko w porządku! A u ciebie?

– Też w porządku!

Nagle z całego serca pragnę, by Zuza była tutaj obok mnie. Jak za dawnych czasów w Fulham. Tak bardzo mi jej brakuje. Tak bardzo.

Ale teraz wszystko jest inaczej.

– No i jak tam się udał pobyt w spa z Lulu? – pytam, starając się, by zabrzmiało to niedbale.

– Było... fajnie – odpowiada po chwili milczenia. – No, wiesz. Trochę... inaczej... ale fajnie!

– To dobrze!

Przez chwilę panuje krępująca cisza.

– Ja... tak się zastanawiałam, jak ci się układa z nową siostrą – odzywa się z wahaniem Zuza. – Czy... czy bardzo się zaprzyjaźniłyście?

Czuję w środku przeszywający ból.

Nie mogę powiedzieć jej prawdy. Nie mogę przyznać się do totalnej kłębki. Ona jedzie sobie do spa z nową przyjaciółką, a mnie się kaszani nawet jeden wieczór z własną siostrą.

– Jest super! – odpowiadam. – Nie mogłoby być lepiej! Fantastycznie się dogadujemy!

– Naprawdę?

– Jak najbardziej! Urządzamy sobie właśnie teraz babski wieczór! Oglądamy filmy... śmiejemy się... po prostu wspólnie spędzamy czas. No, wiesz!

– Co oglądacie? – pyta natychmiast.

– Eee... – Patrę na ciemny ekran telewizora. – *Pretty Woman*.

– Uwielbiam ten film – mówi tęsknie Zuza. – Ta scena w sklepie!

– Wiem! To scena wszech czasów!

– I na końcu, kiedy Richard Gere się do niej wspina! – Jej głos jest przepiękny entuzjazmem. – O Boże, tak bardzo chciałabym to teraz obejrzeć!

– Ja też! – odpowiadam bez zastanowienia. – To znaczy... chciałabym obejrzeć... eee... jego resztę.

– Och. – Głos Zuzy się zmienia. – Przeszkadzam wam. Przepraszam.

– Nie! – mówię pospiesznie. – To znaczy... nic nie szkodzi...

– Będę kończyć. Musisz wracać do siostry. Wygląda na to, że świetnie się razem bawicie.

– Jej głos jest smutny. – Na pewno macie sobie tyle do powiedzenia.

– To prawda. – Rozglądam się po pustym pokoju. – Tak... my... jak najbardziej!

– No to... w takim razie do zobaczenia. Cześć, Bex.

– Cześć. – Mój głos stał się nagle zachrypnięty. Zaczekaj, pragnę zawołać. Nie rozłączaj się!

Ale zamiast tego odkładam słuchawkę i wpatruję się przed siebie. Słyszę, jak w drugim końcu mieszkania Luke, Gary i Jess wspólnie się z czegoś śmieją. Oni umieli się z nią zaprzyjaźnić. Tylko ja nie.

Ni z tego, ni z owego ogarnia mnie depresja.

Miałam tyle nadziei. Byłam taka podekscytowana perspektywą posiadania siostry. Ale nie ma sensu dłużej się starać, prawda? Zrobiłam już wszystko, co przychodziło mi do głowy – i wszystko okazało się do dupy. Jess i ja nigdy nie zostaniemy przyjaciółkami. Nawet za milion lat.

Wstaję z sofy, ponuro wsuwam do odtwarzacza kasetę z filmem i wciskam pilota. Pozostaje mi jedynie przez resztę weekendu zachowywać się uprzejmie. Uprzejmie i grzecznie – jak wzorowa gospodyni. Powinnam sobie jakoś z tym poradzić.

BANK ZACHODNIEJ CUMBRII
Sterndale Street 45
Coggenthwaite Cumbria

16.05.2003

Sz. P.
Jessica Bertram
Hill Rise 12
Scully Cumbria

Szanowna Pani!

Dziękuję za Pani list.

Po bardzo dokładnym przeanalizowaniu Pani wyciągów bankowych mogę jedynie przyznać, iż rzeczywiście istnieje rozbieżność równa kwocie 73 pensów.

Jest mi niezmiernie przykro z powodu tej niefortunnej pomyłki. Brakująca kwota została dopisana do Pani rachunku, z datowaniem na trzy miesiące wstecz. Dodano także, zgodnie z Pani życzeniem, brakujące odsetki od tej kwoty.

Przy tej okazji pragnąłbym po raz kolejny pochwalić Panią za skrupulatne i wnikliwe podejście do kwestii wydatków.

Od siebie dodam jeszcze, iż z niecierpliwością oczekuję Pani obecności na zbliżającym się wieczorku Grupy Roztropnych i Oszczędnych, na którym nasz dyrektor działu rachunków osobistych wygłosi prelekcję zatytułowaną „Jeszcze efektywniejsze zaciskanie pasa”.

– Z poważaniem –
Howard Shawcross
kierownik Działu
Klientów Indywidualnych

Nazajutrz budzę się z koszmarnym wprost bólem głowy. Ma to pewnie związek z faktem, że wczoraj wieczorem wytrąbiłam w pojedynkę całego szampana, no i jeszcze zjadłam półtora pudełka czekoladek.

Tymczasem Jess, Luke i Gary spędzili kilka godzin przy komputerze. Nawet kiedy przyniosłam im zamówioną pizzę, ledwie na mnie spojrzeli. Tak więc obejrzałam sobie *Pretty Woman* i połowę *Czterech wesel*, po czym poszłam spać.

Kiedy szeroko ziewając, wkładam szlafrok, dostrzegam, że Luke zdążył już wziąć prysznic i ubrać się w ciuchy typu „swobodny weekend”, które nosi, kiedy i tak zamierza przez cały czas pracować w gabinecie.

– Długo siedzieliście w nocy? – pytam zachrypniętym głosem.

– Niezbyt. – Potrząsa głową. – Naprawdę chciałem dopracować ten program. Licho wie, co byśmy zrobili bez pomocy Jess.

– Jasne. – Czuję ukłucie niezadowolenia.

– Wiesz, cofam wszystko, co o niej mówiłem – dodaje, wiążąc sznurowadła. – Twoja siostra jest naprawdę w porządku. Niesamowicie nam wczoraj pomogła. Właściwie to okazała się naszym wybawcą. Widać, że wie, jak się obchodzić z komputerem!

– Naprawdę? – pytam niby od niechcienia.

– O tak. Jest świetna! – Wstaje i daje mi buziaka. – Miałaś rację. Bardzo się cieszę, że ją zaprosiłaś na weekend.

– Ja też! – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem. – Wszyscy tak dobrze się bawimy!

Wlokę się do kuchni, a tam już siedzi Jess. Jest ubrana w dżinsy i T-shirt, a w dłoni trzyma szklankę z wodą.

Mądrała.

Pewnie dzisiaj dokona rozszczepienia atomu. W trakcie robienia brzuszków.

– Dzień dobry – odzywa się.

– Dzień dobry! – Staram się, by mój głos był niezwykle grzeczny i uprzejmy.

Wczoraj wieczorem przeczytałam jeszcze raz *Wzorową gospodynię*. Jest tam napisane, że nawet jeśli twój gość cię irytuje, musisz się zachowywać godnie i czarująco.

Cóż, w porządku. Umiem być czarująca. I pełna godności.

– Dobrze spałaś? Zaraz ci przygotuję śniadanie! Otwieram lodówkę i wyjmuję z niej świeżo wyciśnięte soki z pomarańczy, grejpfrutów i żurawin. Sięgam do chlebaka po razowiec, croissanty i bułeczki. Następnie stawiam na blacie trzy rodzaje luksusowej marmolady, dżem truskawkowy z szampanem, miód z dziko rosnących kwiatów... i belgijską czekoladę do smarowania pieczywa. Na koniec wyjmuję kilka rodzajów kawy i herbaty. Proszę bardzo. Nikt nie powie, że nie oferuję moim gościom dobrego śniadania.

Wiem, że Jess obserwuje każdy ruch mój, a kiedy się odwracam, jej twarz ma dziwny wyraz.

– Co? – pytam. – Coś się stało?

– Nic – odpowiada z zakłopotaniem. Pociąga łyk wody, po czym ponownie podnosi głowę. – Luke mi wczoraj powiedział. O twoim... problemie.

– O moim czym?

– Twoich wydatkach.

Wpatruję się w nią w szoku. Jak on mógł zrobić coś takiego?

– Nie mam żadnego problemu – mówię i uśmiecham się do niej. – Luke przesadzał.

– Powiedział, że macie ustalony budżet. – Jess wygląda na szczerze zatroskaną. – Odnoszę wrażenie, że teraz jest u was trochę krucho z pieniędzmi.

– Zgadza się – mówię grzecznie.

Ale to nie twój zasmarkany interes – dodaję w myślach. Nie mogę uwierzyć, że Luke wszystko jej wypaplał.

– No więc... jak to możliwe, że możesz sobie pozwolić na luksusowe gatunki kawy i dżem z szampanem? – Pokazuje na powykładane na blat artykuły.

– Kwestia gospodarności – odpowiadam bez zająknięcia. – Szeregowania pod względem ważności. Jeśli oszczędzi się na pewnych produktach, można sobie pozwolić na inne. To naczelną zasadą zarządzania wydatkami. Tego mnie nauczono w szkole dziennikarstwa finansowego – dodaję uszczypliwym tonem.

Zgoda, to małe kłamstwo. Nie uczęszczałam do szkoły dziennikarstwa finansowego. No, ale co ona sobie myśli, tak mnie wypytując?

– Więc... na których produktach oszczędzasz? – pyta, marszcząc czoło. – Nie dostrzegam w tej kuchni niczego, co nie pochodziłoby z delikatesów Fortnuma albo od Harroda.

Już mam wygłosić jakąś ciętą replikę, kiedy dociera do mnie, że ona może i ma rację. Kiedy zaczęłam zarabiać pieniądze na eBay, wyrobiłam sobie nawyk robienia zakupów spożywczych w Harrodzie. Ale co z tego? Harrod ma naprawdę przyzwoicie zaopatrzony dział spożywczy.

– Mój mąż wysoko sobie ceni odpowiedni standard życia – odpowiadam i uśmiecham się zdawkowo. – Moim celem jest zapewnienie mu tego.

– Ale mogłabyś to robić, wydając znacznie mniej. – Jess nachyla się ku mnie z ożywieniem. – Mogłabyś oszczędzać dosłownie na wszystkim! Jak chcesz, to udzielę ci kilku wskazówek.

Wskazówki? Wskazówki od Jess?

Nagle z brzękiem uruchamia się timer przy piecyku, a ja zacieram z podekscytowaniem ręce. Już czas!

– Coś gotujesz? – pyta z konsternacją Jess.

– Niezupełnie. Częstuj się, dobrze? Zaraz wrócę... Pędzę do gabinetu i włączam komputer. Za pięć minut kończy się licytacja tego pomarańczowego płaszcza, i to właśnie ja zamierzam go wygrać. Ze zniecierpliwieniem stukam paznokciami o blat biurka, a gdy tylko ekran się rozjaśnia, otwieram stronę eBay.

Wiedziałam, „kittybeelll” znowu mnie przebiła. 200 funtów.

Myśli sobie, że jest taka sprytna. A co powiesz na to, „kittybeelll”?

Wyjmuję z szuflady stoper Luke’a i ustawiam go na trzy minuty. Kiedy kończy się ten

czas, trzymam dłonie uniesione nad klawiaturą niczym czekający w bloku startowym sportowiec.

Okej. Minuta do końca licytacji. Teraz.

Tak szybko, jak tylko potrafię, piszę *@00,50.

Cholera. Co ja napisałam? Skasować. Jeszcze raz. 200,50.

Klikam na „Licytuj” i pojawia się następna strona. Numer identyfikacyjny użytkownika... hasło... Piszę tak szybko, jak tylko umiem.

Twoja oferta jest w tej chwili najwyższa.

Zostało dziesięć sekund. Mocno wali mi serce. A jeśli ktoś licytuje właśnie w tej chwili?

Gorączkowo klikam na „Odśwież”.

– Co ty robisz, Becky? – Od strony drzwi rozlega się głos Jess.

Cholera!

– Nic! – odpowiadam. – Idź do kuchni i zrób sobie kanapkę, a ja w tym czasie tylko...

Ponownie wyświetla się strona. Wstrzymuję oddech. Czy ja... czyja... ?

Gratulacje! Wygrałeś licytowany przedmiot!

– Taaak! – wykrzykuję, nie mogąc się powstrzymać, i wyrzucam w górę pięść. – Tak! Udało się!

– Co się udało? – Jess zdążyła już przejść przez pokój i teraz zerka nad moim ramieniem na ekran. – Czy to ty? – pyta y ze zdumieniem. – Masz ograniczony budżet, a kupujesz płaszcz za dwieście funtów?

– To nie tak! – mówię ze złością. Wstaję, zamykam drzwi od gabinetu i odwracam się do niej. – Posłuchaj – odzywam się cicho. – Wszystko w porządku. Mam pieniądze, o których Luke nic nie wie. Sprzedaję rzeczy, które kupiliśmy w trakcie podróży poślubnej, i zdążyłam już zarobić mnóstwo kasy! Jednego dnia sprzedałam dziesięć budzików od Tiffany’ego i zarobiłam dwa tysiące! – Unoszę dumnie podbródek. – Zapewniam cię więc, że mnie na to stać.

Z twarzy Jess nie znika wyraz dezaprobaty.

– Mogłaś wpłacić te pieniądze na wysoko oprocentowany rachunek – oświadcza. – Albo wykorzystać je do spłacenia debetu.

Powstrzymuję nagłą chęć, by ją ugryźć.

– Jasne, ale tego nie zrobiłam, okej? – mówię zamiast tego. – Kupiłam płaszcz.

– A Luke o niczym nie ma pojęcia? – Wwierca we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

– On wcale nie musi o tym wiedzieć! Jess, mój mąż jest niezwykle zajęтым człowiekiem – wyjaśniam. – Moim zadaniem jest bezproblemowe prowadzenie gospodarstwa domowego, a nie marnowanie jego czasu na drobiazgi.

– Więc go okłamujesz. Irytuje mnie ton jej głosu.

– Każde małżeństwo potrzebuje odrobiny tajemniczości. Wszyscy to wiedzą!

Jess potrząsa głową.

– I w taki właśnie sposób możesz sobie pozwolić na dżem z Fortnuma? – Pokazuje na komputer. – Nie powinnaś być po prostu szczerą?

Na litość boską. Czy ona niczego nie rozumie?

– Jess... pozwól, że coś ci wyjaśnię – mówię grzecznie. – Nasze małżeństwo jest skomplikowanym, żyjącym organizmem, który tak naprawdę tylko my dwoje potrafimy zrozumieć. Wiem, o czym mówić Luke'owi, a czym nie zawracać mu głowy. Jeśli chcesz, nazwij to instynktem... nazwij prawem decydowania... nazwij inteligencją emocjonalną.

Przez chwilę przygląda mi się w milczeniu.

– Myślę, że potrzebna ci pomoc – odzywa się w końcu.

– Nie potrzebuję pomocy!

Wyłączam komputer, odsuwam krzesło i udaję się do kuchni, gdzie Luke przygotowuje właśnie dzbanek kawy.

– Smakuje ci śniadanie, kochanie? – pytam głośno. i – Bardzo! Gdzie udało ci się dostać te przepiórcze jaja?

– Och... no wiesz... – Obdarzam go czułym uśmiechem. – Wiem, że je lubisz, więc trochę za nimi pobiegałam.

Rzucam Jess spojrzenie pełne triumfu, a ona przewraca oczami.

– Skończył nam się bekon – mówi Luke. – I jeszcze kilka innych rzeczy. Zapisalem je na kartce.

– Jasne – odpowiadam, wpadając na pewien pomysł. – Wiesz... tak sobie myślę, że pójde po nie do sklepu. Jess, nie masz nic przeciwko temu, prawda? Oczywiście nie wymagam od ciebie, byś szła razem ze mną – dodaję słodko. – Wiem, jak nie znosisz zakupów.

O święci aniołowie! Ucieczka.

– W porządku – odpowiada, nalewając sobie do szklanki wodę z kranu. – Pójde z tobą.

Uśmiech zamiera mi na twarzy.

– Do Harr... do supermarketu? – pytam najcieplejszym i najbardziej czarującym tonem. – Ale to będzie naprawdę nudne. Nie chcę cię do niczego zmuszać.

– Ale ja chcę z tobą pójść. – Przygląda mi się uważnie. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Przeciwko? – Uśmiech nadal mam przyklejony do twarzy. – Oczywiście, że nie. Ubiore się i możemy iść.

Kiedy idę korytarzem, cała płonę z oburzenia. Za kogo się ona uważa, sugerując, że potrzebna mi pomoc?

Jeśli już, to ta pomoc przydałaby się jej. Aby ją nauczono, jak wygiąć te żalose usta w uśmiech.

I jaki to ma tupet, udzielając mi małżeńskich rad! A co ona może o tym wiedzieć? Związek mój i Luke'a jest cudowny! Prawie w ogóle się nie kłócimy!

Odzywa się domofon. Nadal zdenerwowana, podnoszę słuchawkę.

– Słucham?

– Dzień dobry – odzywa się męski głos. – Dostawa kwiatów na nazwisko Brandon.

Naciskam radośnie przycisk. Ktoś mi przysłał kwiaty?

O jejušku. Przykładam dłoń do ust. To pewnie Luke. On jest taki romantyczny! Mamy najpewniej jakąś słodką rocznicę, o której ja zupełnie zapomniałam: na przykład pierwszy raz, kiedy razem jedliśmy kolację albo ze sobą spaliśmy lub coś w tym rodzaju.

Tak właściwie... to gdyby się nad tym dłużej zastanowić, to byłaby ta sama rocznica.

Ale mniejsza o to. Ważne, iż coś takiego stanowi niezaprzeczalny dowód, że nasz związek jest naprawdę wspaniały i Jess absolutnie nie ma racji. W żadnej kwestii.

Otwieram szeroko drzwi od mieszkania i stoję wyczekująco obok windy. Będzie się miała z pyszna! Zniosę kwiaty prosto do kuchni, obdarzę Luke'a długim, namiętym pocałunkiem, a ona powie coś pełnego pokory, na przykład: „Nie miałam pojęcia, że wasz związek jest tak idealny”. A ja uśmiechnę się grzecznie i odpowiem: „No wiesz, Jess... „

Moje myśli przerywa dźwięk otwierających się drzwi windy. I, o... mój Boże. Luke musiał na to wydać dosłownie fortunę!

Dwóch dostawców w uniformach trzyma przeogromny bukiet róż – oraz wielki kosz z tak obecnie modnej rafii, wypełniony pomarańczami, papajami i ananasami.

– O kurczę! – mówię z zachwytem. – Są naprawdę fantastyczne! – Uśmiecham się promiennie do mężczyzny, który podaje mi podkładkę z klipsem, gdzie składam podpis.

– Proszę je przekazać panu Brandonowi – mówi mężczyzna, cofając się do windy.

– Oczywiście! – odpowiadam radośnie. Sekundę później dociera do mnie sens jego słów. Chwileczkę. One są dla Luke'a? Kto, u diabła, przysłała mu kwiaty?

Pomiędzy różami dostrzegam bilecik. Wyciągam go z przyjemnym dreszczykiem ciekawości. Gdy potem przebiegam spojrzeniem tekst, czuję już prawdziwy dreszcz, ale zupełnie innego typu.

Szanowny Panie!

Z niezmierną przykrością dowiedziałem się o pańskiej chorobie. Proszę mnie powiadomić, gdybym mógł się okazać w czymkolwiek pomocny. Zapewniam, iż możemy wstrzymać promocję hotelu tak długo, ile się to okaże konieczne dla pańskiego wyzdrowienia.

Z najlepszymi życzeniami

Nathan Tempie

Wpatruję się w bilecik, sparaliżowana z przerażenia. Coś takiego w ogóle nic miało prawa się zdarzyć.

Nathan Tempie w żadnym wypadku nie miał przysyłać kwiatów ani tym bardziej wstrzymywać kampanii promocyjnej hotelu. Miał się odczepić i już.

– Co to? – słyszę głos Luke'a.

Podskakuję i podnoszę głowę. Idzie właśnie w moim kierunku.

Jednym sprawnym ruchem składam bilecik Nathana Tempie i wsuwam go do kieszeni szlafroka.

– Hej! – mówię nieco wyższym niż zwykle głosem. – Śliczne, no nie?

– Dla mnie? – pyta z niedowierzaniem Luke, dostrzegając przywieszkę firmy dostawczej.

– A od kogo?

Szybko. Myśl.

– One są... ode mnie! – oznajmiam radośnie.

– Od ciebie? – Wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

– Tak! Miałam ochotę przysłać ci kwiaty. I... eee... owoce. Proszę bardzo, kochanie! Miłej soboty!

Jakoś udaje mi się ulokować ogromny bukiet i kosz w ramionach Luke'a, po czym całuję go lekko w policzek. Wygląda na oszołomionego.

– Becky, jestem bardzo wzruszony – mówi. – Naprawdę. Ale dlaczego mi to wszystko przysłałaś? Dlaczego akurat owoce?

Przez chwilę nie przychodzi mi do głowy żadna odpowiedź.

– Czy muszę mieć jakiś powód, aby przysłać mężowi kosz z owocami? – odpowiadam wreszcie i nawet udaje mi się zabarwić te słowa lekką urazą. – Pomyślałam sobie, że mogą stanowić symbol naszego małżeństwa. Zbliży się przecież nasza pierwsza rocznica!

– No tak – odzywa się Luke po chwili milczenia. – Cóż... dziękuję ci. To naprawdę uroczę. – Przygląda się nieco uważniej bukietowi. – A to co?

Kiedy podążam wzrokiem za jego spojrzeniem, mój żołądek robi pełnego przerażenia fikółka. Pomiędzy kwiatami powtykane są złote litery z plastiku, układające się w napis: „Szybkiego powrotu do zdrowia”.

O, w mordę jeża.

– „Szybkiego powrotu do zdrowia”? – Luke ze zdumieniem przenosi wzrok na mnie.

Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach.

– To... to... wcale nie oznacza „szybkiego powrotu do zdrowia” – mówię ze śmiechem. – To jest... szyfr!

– Szyfr?

– Tak! Każde małżeństwo potrzebuje szyfru! No wiesz, dla przekazywania pełnych uczucia, sekretnych wiadomości. Pomyślałam więc, że u nas też wprowadzę taki szyfr!

Przez długą chwilę Luke dziwnie mi się przygląda.

– Co więc oznacza „szybkiego powrotu do zdrowia”? – pyta w końcu. – W naszym sekretnym szyfrze, rzecz jasna.

– Tak właściwie... to bardzo proste. – Odchrząkam z zażenowaniem. – „Szybkiego” znaczy... „Ja”. „Powrotu” znaczy... „Bardzo”. „Do” znaczy „Cię”, a „Zdrowia” oznacza...

– „Kocham”? – podpowiada.

– Tak! Widzę, że łapiesz, o co chodzi! Sprytne, no nie? Cisza. Ręce mam zaciśnięte po bokach w pięści. Luke przygląda mi się z zagadkowym wyrazem twarzy.

– A czy przypadkiem... powiedzmy... nie zamówiłaś z kwiaciarni przez pomyłkę złego napisu? – sugeruje.

Och.

Muszę przyznać, że to znacznie lepsze wytłumaczenie. Dlaczego nie przyszło mi ono do głowy?

– Przejrzałaś mnie! – wykrzykuję. – A niech to! Jak ty to zgadłaś? Po prostu zbyt dobrze mnie znasz. A teraz, eee... chodźmy i wy sobie zjecie pyszne śniadanko, a ja się przygotuję do wyjścia na zakupy.

Kiedy się maluję, mój puls wyprawia szalone harce.

I co ja mam z tym teraz zrobić?

A jeśli Nathan Tempie zadzwoni, by się dowiedzieć, jak się czuje Luke, albo znowu przyśle kwiaty?

A jeśli zechce odwiedzić Luke'a na łożu boleści? Ogarnia mnie nagła panika i niechęć paćkam sobie powiekę tuszem. Ze złością odkładam szczoteczkę na toaletkę.

No dobrze, trzeba... zachować spokój i zastanowić się nad wszystkimi ewentualnymi rozwiązaniami.

Rozwiązanie 1: Powiedzieć o wszystkim Luke'owi.

Nie. Nie ma mowy. Już na samą myśl o tym żołądek podchodzi mi do gardła. Luke jest teraz taki zajęty tym kontraktem z Arcodas. Tylko go zdenerwuję. A poza tym, jako wspierająca żona, powinnam oszczędzać mu tego rodzaju problemów.

Rozwiązanie 2: Powiedzieć Luke'owi część prawdy.

Przedstawić mu coś w rodzaju przeglądu najważniejszych wydarzeń. I może podrasować to w taki sposób, by ukazać mnie w dobrym świetle, pomijając jakoś przy tym nazwisko Nathana Temple'a...

O Boże! Niemożliwe do wykonania.

Rozwiązanie 3: Poradzić sobie z tą sytuacją dyskretnie i w stylu Hillary.

Ale przecież już próbowałam. Z miernym efektem.

A poza tym założę się, że Hillary ktoś pomagał. Potrzebna mi jest ekipa. Tak jak w *Prezydenckim pokerze*. Wtedy wszystko byłoby takie proste! Udałabym się po prostu do Alison Janney i powiedziała cicho: „Mamy problem – ale nie mówcie o niczym prezydentowi”. A ona odszepnęłaby: „Proszę się nie martwić, ograniczymy szkody”. Następnie wymieniłybyśmy ciepłe, choć pełne napięcia uśmiechy i poszłybyśmy do Gabinetu Ovalnego, w którym Luke obiecywałby grupie dzieciaków z biednej dzielnicy, że ich boisko zostanie uratowane. I jego spojrzenie napotkałoby moje... i wrócilibyśmy myślami do poprzedniego wieczoru, kiedy we dwoje tańczyliśmy walca na korytarzach Białego Domu, obserwowani jedynie przez niewzruszonego ochroniarza...

Do rzeczywistości przywołuje mnie zgrzyt zatrzymującej się przed domem śmieciarki. Luke nie jest prezydentem. Nie gram w *Prezydenckim pokerze*. I nadal nie wiem, co zrobić.

Rozwiązanie 4: Nie robić nic.

Ten wariant ma wiele oczywistych zalet. A tak naprawdę... czyja rzeczywiście muszę cokolwiek robić?

Sięgam po konturówkę do ust i maluję się w zamyśleniu. No bo spójrzmy na to z pewnej perspektywy. Przywróćmy wszystkiemu właściwe proporcje. Tak naprawdę to jedynie ktoś przesłał Luke'owi kwiaty. To wszystko.

No i ten ktoś chce, by Luke dla niego pracował. I tkwi w przeświadczeniu, że jestem mu winna przysługę.

I jest gangsterem.

Nie. To nie tak. On nie jest gangsterem. Jest, biznesmenem, który w przeszłości był karany. A to ogromna różnica.

No i dość już o tym. Najpewniej starał się być jedynie uprzejmy, prawda? Myślmy realnie. Akurat wstrzyma całą promocję hotelu, by mógł się nią zająć Luke. To absurd!

Im dłużej o tym myślę, tym jestem spokojniejsza. Nathan Tempie nie może przecież oczekiwać, że Luke będzie dla niego pracował. Pewnie do tej pory znalazł już sobie inną firmę PR i zdążył zapomnieć o Brandon Communications. No właśnie. Niczego nie muszę więc robić!

Ale mimo wszystko mogłabym napisać krótki liścik z podziękowaniami. I wspomnieć w nim mimochodem, że stan Luke'a, niestety, uległ pogorszeniu.

Zanim więc wychodzimy na zakupy, skrobię uprzejmą kartką do Nathana Temple'a, którą wrzucam po drodze do skrzynki pocztowej. Kiedy się od niej oddalam, odczuwam satysfakcję. Mam całą sytuację pod kontrolą, a Luke o niczym nie wie. Jestem superzoną!

Mój nastrój jeszcze bardziej się poprawia, gdy wchodzimy do supermarketu. Jejku, supermarkety to wspaniałe miejsca. Jest w nich bardzo jasno, gra muzyka i często trafiają się darmowe degustacje na przykład sera. A poza tym można sobie kupić mnóstwo płyt i kosmetyków, a wszystko i tak idzie na rachunek karty kredytowej, wydawanej przez ten właśnie supermarket.

Zaraz po wejściu przyciąga mój wzrok ekspozycja herbat w różnych smakach. Przy zakupie trzech opakowań dostaje się gratis zaparzaczkę do herbaty w kształcie kwiatka.

– Okazja! – mówię z zachwytem, wybierając na chybił trafił trzy opakowania.

– To żadna okazja – oświadcza z dezaprobatą Jess, która stoi obok mnie. Natychmiast podnosi mi się ciśnienie.

Dlaczego ona musiała się tu za mną przywlec?

No, ale mniejsza o to. Będę po prostu uprzejma i grzeczna.

– To okazja – wyjaśniam. – Dostaje się gratisowy upominek.

– Czy ty w ogóle pijasz jaśminową herbatę? – odbija piłeczkę, patrząc na trzymane przeze mnie pudełko.

– Eee...

Jaśminowa herbata. To ta, która smakuje jak stary kompost, no nie?

I co z tego? Chcę mieć tę zaparzaczkę.

– Jaśminowa herbata zawsze się przyda – odpowiadam beztróska i ciskam pudełko do wózka. – No dobrze! Co dalej?

Popycham wózek w kierunku działu warzywnego, zatrzymując się po drodze, by wziąć ze stojaka egzemplarz „InStyle”.

Och. I nowe „Elle” także się już ukazało. Z darmowym Tshirtem!

– Co ty robisz? – do moich uszu dobiega grobowy głos Jess.

Czy przez ten cały cholerny czas ona będzie mnie przepytywać?

– Robię zakupy! – odpowiadam radośnie i wrzucam do wózka najnowszą powieść.

– Mogłabyś ją wypożyczyć w bibliotece za darmo! – oświadcza.

W bibliotece? Odpowiadam jej równie oburzonym spojrzeniem. Nie chcę jakiejś sfatygowanej książki w okropnej plastikowej okładce, którą będę musiała zwrócić.

– To przecież współczesna klasyka – mówię z wyższością. – Każdy powinien mieć własny egzemplarz.

– Dlaczego? – nie daje za wygraną Jess. – Dlaczego nie można jej sobie wypożyczyć z

biblioteki?

Jestem coraz bardziej poirytowana.

Ponieważ chcę mieć własny egzemplarz w błyszczącej okładce! A ty odchrzań się i zostaw mnie w spokoju!

– Ponieważ... mogę mieć ochotę na zapisywanie uwag na marginesie – oświadczam wyniośle. – Jeśli chcesz wiedzieć, interesuję się krytyką literacką.

Popycham dalej wózek, ale ona pędzi za mną.

– Becky, posłuchaj. Chcę ci pomóc. Musisz kontrolować wydatki. Musisz się nauczyć większej gospodarności. Luke i ja rozmawialiśmy o tym...

– Czyżby? – przerywam jej urażona. – Jakie to miłe z waszej strony!

– Mogę ci udzielić kilku rad... pokazać, jak być gospodarną...

– Nie potrzebuję twojej pomocy! – odparowuję z oburzeniem. – Jestem gospodarna! Jestem na tyle gospodarna, na ile to możliwe.

Jess patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Uważasz za gospodarne kupowanie drogich magazynów, które w bibliotece publicznej można przeczytać za darmo?

Przez chwilę nie przychodzi mi do głowy żadna odpowiedź. Wtedy moje spojrzenie pada na „Elle”. Tak!

– Gdybym ich nie kupiła, nie otrzymałabym tych darmowych prezentów, no nie? – oświadczam z triumfem i energicznie popycham wózek.

Ha. Proszę bardzo, panno Mądralińska.

Zatrzymuję się w dziale z owocami i zaczynam ładować je w opakowaniach do wózka.

Jak bardzo jest to gospodarne? Ładne, zdrowe jabłka. Podnoszą głową – a Jess się krzywi.

– Co? – pytam. – O co ci chodzi tym razem?

– Powinnaś je kupić luzem. – Pokazuje mi, jak jakaś kobieta skrzętnie przebiera w stercie jabłek i pakuje je do reklamówki. – Koszt całości jest znacznie niższy! Zaoszczędziłabyś... dwadzieścia pensów.

O la la! Całe dwadzieścia pensów!

– Czas to pieniądz – odpowiadam spokojnie. – Naprawdę, Jess, szkoda mego czasu na przebieranie jabłek.

– A dlaczego? – pyta. – Przecież jesteś bezrobotna.

To już prawdziwa bezczelność! Wciągam gwałtownie powietrze.

Bezrobotna? Bezrobotna?

Nie jestem bezrobotna! Jestem wykwalifikowaną osobistą asystentką klientek! Mam już obiecaną posadę!

Prawdę mówiąc... w ogóle nie zaszczycę tego oświadczenia odpowiedzią. Odwracam się na pięcie i podchodzę do lady z sałatkami. Napelniam dwa duże pojemniki marynowanymi oliwkami, wracam z nimi do wózka – i staję jak wryta.

Kto włożył do mego wózka duży worek ziemniaków?

Czy ja powiedziałam, że potrzebny mi worek ziemniaków? Czyja powiedziałam, że w ogóle chcę kupić ziemniaki?

A jeśli jestem na diecie Atkinsa?

Rozglądam się z wściekłością, ale nigdzie nie widać Jess. A ten cholerny worek jest zbyt ciężki, bym sama sobie z nim poradziła. Ona może sobie dźwigać, ta Miss Fitness. A tak w ogóle to gdzie się ona podziała?

Nagle ze zdumieniem dostrzegam, jak wchodzi jakimś bocznymi drzwiami, trzymając w objęciach duży karton i mówiąc coś do pracownika sklepu. Co ona teraz wyprawia?

– Rozmawiałam z kierownikiem działu – oznajmia, podchodząc do mnie. – Możemy dostać te wszystkie poobijane banany za darmo.

Co takiego?

Zaglądam do kartonu – a w nim leżą najbardziej odrażające banany, jakie zdarzyło mi się widzieć.

– Będą najzupełniej dobre, jeśli się odetnie te czarne kawałki – oświadcza Jess.

– Aleja nie chcę odcinać czarnych kawałków! – Mój głos jest ostrzejszy, niż zamierałam. – Chcę kupić ładne, żółte banany! I nie potrzebuję także tego głupiego worka z ziemniakami!

– Dzięki temu jednemu workowi możesz przygotowywać posiłki przez trzy tygodnie – odpowiada, wyglądając na urażoną. – To najbardziej ekonomiczne i odżywcze pożywienie, jakie można kupić. W jednym ziemniaku...

O Boże, litości. Wszystko, tylko nie jeszcze jeden wykład o ziemniakach.

– A gdzie mam je schować? – przerywam jej. – Nie mam wystarczająco dużej szafki w kuchni.

– W korytarzu jest szafka – odpowiada natychmiast Jess. – Mogłabyś z niej skorzystać. Gdybyś kupowała w hurtowni, mogłabyś tam także przechowywać mąkę i owies.

Wpatruję się w nią, kompletnie oszołomiona. Owies? A po kiego diabła mi owies? A poza tym najwyraźniej w ogóle nie zajrzała do tej szafki.

– To szafka na torebki – oświadczam. – I nie ma w niej miejsca na nic innego.

Wzrusza ramionami.

– Mogłabyś się niektórych z nich pozbyć.

Przez chwilę jestem zbyt osłupiała, by odpowiedzieć. Czy ona poważnie mi proponuje, bym się pozbyła niektórych torebek... żeby zrobić miejsce na ziemniaki?

– Chodźmy dalej – mówię wreszcie i pcham wózek, starając się zachować spokój.

Będę grzeczna. Będą uprzejma. Za dwadzieścia cztery godziny już jej tutaj nie będzie.

Ale kiedy objeżdżamy sklep, naprawdę zaczynam tracić panowanie nad sobą. Głos Jess bez ustanku brzęczy mi w uchu niczym uprzykrzony trzmiel, aż w końcu mam ochotę się odwrócić i ją pacnąć.

Sama mogłabyś zrobić pizzę za połowę tej sumy... Zastanawiałaś się nad kupnem z drugiej ręki naczynia do gotowania na wolnym ogniu?... Proszek firmowany przez ten sklep jest o czterdzieści pensów tańszy... Możesz używać octu zamiast środka do zmiękczenia tkanin...

– Nie chcę używać octu! – niemal warczę. – Chcę płynu zmiękczającego, jasne?

Wkładam butelkę do wózka i odchodzę w stronę działu z sokami, a Jess oczywiście podąża za mną.

– Jakież uwagi? – pytam, kiedy wstawiam do wózka dwa kartony. – Czy możesz coś zarzucić temu zdrowemu sokowi pomarańczowemu?

– Nie – odpowiada, wzruszając ramionami. – Pomijając fakt, że tyle samo korzyści zdrowotnych odniosłabyś ze szklanki wody z kranu i taniego opakowania witaminy C.

Okej. Teraz to już naprawdę mam ochotę ją pacnąć.

Wyzywająco wrzucam do wózka dwa dodatkowe kartony, obracam go i ruszam do działu z pieczywem. W powietrzu unosi się przepyszny zapach czegoś pieczonego, a kiedy podchodzę bliżej, dostrzegam za ladą kobietę, która coś prezentuje niewielkiej grupie ludzi.

Ooch, uwielbiam tego rodzaju promocje.

Do kontaktu w ścianie ma podłączone jakieś błyszczące chromowane urządzenie, a kiedy je otwiera, oczom klientów ukazują się gofry w kształcie serca. Są złotobrazowe i wyglądają na pyszniętkie.

– Ta gofrownica jest szybka i łatwa w obsłudze! – zachwala kobieta. – Każdego ranka po przebudzeniu można poczuć zapach świeżo upieczonych gofrów.

O kurczę, byłoby naprawdę super. W mojej głowie pojawia się sielski obraz: ja i Luke siedzimy w łóżku, jemy gofry w kształcie serc, oblane syropem klonowym, i pijemy duże cappuccino z pianką.

– Normalnie ta gofrownica kosztuje czterdzieści dziewięć funtów dziewięćdziesiąt dziewięć pensów – kontynuuje kobieta. – Ale dzisiaj sprzedajemy je po promocyjnej cenie... dwudziestu pięciu funtów. To pięćdziesiąt procent taniej.

Mam wrażenie, jakby poraził mnie prąd. Pięćdziesiąt procent taniej?

Muszę mieć tę gofrownicę.

– Tak, poproszę! – mówię i pcham wózek do przodu.

– Co ty robisz? – pyta z przerażeniem Jess.

– Kupuję gofrownicę, a co? – Przewracam oczami. – Czy mogłabyś zejść mi z drogi?

– Nie! – Staje stanowczo przed wózkiem. – Nie pozwolę ci marnować dwudziestu pięciu funtów na gadżet, który nie jest ci potrzebny.

Patrzę na nią z wściekłością. Skąd ona może wiedzieć, co jest mi potrzebne, a co nie?

– Naprawdę potrzebuję tej gofrownicy! – ripostuję. – Jest na liście potrzebnych rzeczy. Całkiem niedawno Luke powiedział: „W tym domu naprawdę przydałaby się gofrownica”. „

No dobrze, to akurat kłamstwo. Ale mógł tak przecież powiedzieć. Skąd ona może to wiedzieć?

– A poza tym oszczędzam pieniądze, jeśli tego nie zauważyłaś – dodaję, objeżdżając wózkiem wokół niej. – To okazja!

– To żadna okazja, jeśli tego nie potrzebujesz! – Chwyta za wózek i usiłuje go odciągnąć.

– Zabieraj ręce od mojego wózka! – wołam z oburzeniem. – Potrzebna mi gofrownica! Bez problemu mogę sobie na nią pozwolić! Bez żadnego problemu! Wezmę jedną – rzucam w stronę kobiety i biorę z lady pudełko.

– Nie, nie weźmiesz – oświadcza Jess, wyszarpując pudełko z moich rąk.

Że co???

– Robię to tylko dla twojego dobra, Becky! Jesteś uzależniona od wydawania pieniędzy! Musisz się nauczyć mówić „nie”.

– Potrafię mówić „nie”! – praktycznie wypluвам z siebie te słowa. – Umiem mówić „nie”, kiedy tylko chcę! Tyle że teraz nie chcę tego zrobić! Wezmę jedną – mówię do oszołomionej kobiety. – Właściwie to nawet dwie. Drugą dam mamie na Gwiazdkę.

Biorę dwa pudełka i wyzywającym gestem umieszczam je w wózku.

Proszę bardzo.

– Masz więc zamiar wydać pięćdziesiąt funtów, tak? – pyta pogardliwie Jess. – Wyrzucić w błoto pieniądze, których nie masz.

– Nie wyrzucam ich w błoto.

– A właśnie że tak!

– Nie, do jasnej cholery! – wołam ze złością. – I mam pieniądze. Mam mnóstwo pieniędzy.

– Żyjesz w świecie fantazji! – ripostuje Jess. – Masz pieniądze, dopóki nie skończą ci się rzeczy, które możesz sprzedać. Ale co będzie później? A co się stanie, jeśli Luke się dowie o tym, co robisz? Twoje kłopoty tylko się nawarstwiają!

– To nieprawda! – odpowiadam z gniewem.

– A właśnie że tak!

– A właśnie że...

– Czy wy dwie przestaniecie się wreszcie kłócić? – przerywa nam zirytowany kobiecy głos i obie podskakujemy jak na komendę.

Oglądam się, oszołomiona. Przecież nie ma tu z nami mamy, prawda?

Wtedy dostrzegam kobietę, która to powiedziała. Nawet na nas nie patrzy. Mówiła to do siedzących w wózku dwóch małych dziewczynek.

Och.

Odgarniam włosy z zarumienionej twarzy, czując lekkie zawstydenie. Zerkam na Jess – i widzę, że ona także wygląda na zażenowaną.

– Chodźmy do kasy – mówię z godnością i popycham przed siebie wózek.

Jedziemy do domu w zupełnej ciszy. Ale pod pozorami spokoju wszystko się we mnie gotuje.

Za kogo się ona uważa, robiąc mi wykłady? Kim ona jest, mówiąc mi, że mam problem?

Dojeżdżamy do domu i wypakowujemy zakupy, ograniczając rozmowę do absolutnego minimum. Praktycznie ani razu nie patrzymy sobie w oczy.

– Masz ochotę napić się herbaty? – pytam z przesadną uprzejmością, kiedy stawiam na podłodze ostatnią torbę.

– Nie, dziękuję – odpowiada równie grzecznie.

– Będę przez chwilę zajęta w kuchni, więc musisz się w tym czasie sama czymś zająć.

– W porządku.

Znika w swoim pokoju i chwilę później wychodzi, trzymając książkę zatytułowaną

Petrografia brytyjskich skał magmowych.

Niech mnie licha, ona rzeczywiście wie, co to znaczy dobra zabawa.

Kiedy siada na stołku barowym, włączam czajnik i wyjmuję z szafki dwa kubki. Kilka chwil później do kuchni wchodzi Luke. Jest czymś wyraźnie zafrasowany.

– Cześć, kochanie! – mówię, starając się, by w moim głosie było jeszcze więcej ciepła niż zazwyczaj. – Kupiłam śliczną gofrownicę! Co rano możemy teraz jeść gofry!

– To świetnie! – odpowiada z roztargnieniem, a ja posyłam Jess triumfujące spojrzenie.

– Napiłbyś się herbaty?

– Eee... tak. Dziękuję. – Pociera czoło i zagląda za kuchenne drzwi, a następnie zerka na lodówkę.

– Szukasz czegoś? – pytam.

– Zawieruszyło mi się coś. – Marszczy brwi. – To absurdalne. Rzeczy nie mogą ot tak ginać.

– A co to takiego? – pytam ze współczuciem. – Pomogę ci szukać.

– Nie martw się. – Luke potrząsa głową. – Potrzebuję tego do pracy. Na pewno się znajdzie. Nie mogło się po prostu rozplątać w powietrzu.

– Ale ja chcę ci pomóc! – Głaszczę go z uczuciem po ramieniu. – Już ci o tym mówiłam, kochanie. Powiedz mi, co ci zginęło, a poszukamy tego razem. Czy to teczka... albo książka... jakieś dokumenty... ?

– Kochana jesteś. – Całuje mnie. – Nic z tych rzeczy. To pudełko z budzikami. Od Tiffany'ego. Dziesięć sztuk.

Serce mi zamiera.

Kątem oka dostrzegam, jak Jess podnosi głowę znad książki.

– Czy powiedziałaś... budziki od Tiffany'ego? – udaje mi się wykrztusić.

– Aha. – Kiwa głową. – Wiesz, że jutro wieczorem wydajemy dla Arcodas Group ważną kolację, prawda? Można powiedzieć, że staramy się im podlizać. Kupiłem więc te budziki w ramach firmowych upominków, a teraz gdzieś mi wsiąkły. – Zmarszczki na jego czole stają się jeszcze głębsze. – Po prostu nie rozumiem, co się mogło z nimi stać. W jednej chwili tu były... a w następnej wyparowały!

Wzrok Jess wwierca się we mnie niczym wiązki laserowe.

– Dziwna sprawa, że zginęło aż tyle budzików – odzywa się bezbarwnym głosem.

Och, po prostu się odchrzął!

Przełykam z trudem ślinę. Jak mogłam sprzedać prezenty firmowe Luke'a? Jak mogłam być taka głupia? Przecież pomyślałam sobie, że nie pamiętam, bym je kupowała podczas naszej podróży...

– Może zaniósłem je do garażu. – Luke sięga po klucze. – Pójdę i sprawdzę.

O Boże! Muszą się przyznać.

– Luke... – odzywam się cicho. – Luke, proszę, nie gniewaj się na mnie...

– Co? – Odwraca się na pięcie, a kiedy dostrzega wyraz mojej twarzy, od razu staje się czujny. – Co się stało?

– Cóż. – Oblizuję suche wargi. – Możliwe, że ja...

– Co? – Jego oczy się zwężają. – Możliwe, że co zrobiłaś, Becky?

– Sprzedałam je – odpowiadam szeptem.

– Sprzedałaś je?

– Chciałaś, żebym posprzątała mieszkanie! – jęczę. – Nie miałam pojęcia, jak to zrobić! Mieliśmy za dużo rzeczy! Sprzedaję więc wszystko na eBay. I... budziki także sprzedałam. Przez pomyłkę.

Zagryzam wargę, mając mimo wszystko nadzieję, że Luke się uśmiechnie albo nawet zacznie głośno śmiać. Ale on sprawia wrażenie nieziemsko poirytowanego.

– Jezu Chryste, Becky. Jesteśmy zawałeni robotą. Naprawdę brakowało nam jeszcze i tego rodzaju problemu. – Sięga po komórkę, wystukuje numer i słucha przez kilka sekund. – Cześć, Marie. Mamy mały problem w związku z jutrzejszą kolacją z Arcodas Group. Oddzwoń do mnie. – Chowa telefon i zapada cisza.

– Nie wiedziałam! – mówię z desperacją. – Gdybyś mi powiedział, że to prezenty firmowe... gdybyś pozwolił sobie pomóc...

– Pomóc? – przerywa mi Luke. – Becky, ty chyba żartujesz. Kręci głową i wychodzi z kuchni.

Oglądam się na Jess. Widzę nad jej głową chmurkę ze słowami: „A nie mówiłam?” Chwilę później wstaje i udaje się za nim do gabinetu.

– Gdybym mogła coś zrobić – słyszę, jak mówi przyciszonym głosem – to daj mi znać.

– Wszystko w porządku – odpowiada. – Ale dzięki.

Jess mówi coś jeszcze, ale teraz jej głos jest przytłumiony. Pewnie zamknęła za sobą drzwi.

Nagle ogarnia mnie przemożne pragnienie usłyszenia tego, co mówi. Jak najciszej wychodzę z kuchni na korytarz. Podchodzę do drzwi gabinetu i przykładam do nich ucho.

– Nie wiem, jak ty możesz z nią żyć – mówi właśnie Jess. Zamieram w pełnym oburzenia szoku. Wstrzymuję oddech, czekając na odpowiedź Luke’a.

Przez chwilę panuje cisza. Nie jestem w stanie oddychać. Nie jestem w stanie się ruszyć. Cała zamieniłam się w słuch.

– To trudne – słyszę wreszcie jego głos. Coś zimnego zaciska się wokół mego serca. Luke’owi trudno się ze mną żyje.

Ktoś zbliża się do drzwi i odskakuję z przerażeniem. Wracam chyłkiem do kuchni i zamykam za sobą drzwi. Wali mi serce i zaczynają piec mnie oczy.

Jesteśmy małżeństwem od zaledwie jedenastu miesięcy. Jak on mógł powiedzieć, że życie ze mną jest trudne?

Woda w czajniku zaczyna się gotować, ale nie mam już ochoty na herbatę. Otwieram lodówkę, wydaję opróżnioną do połowy butelkę wina i napełniam kieliszek. Opróżniam go kilkoma haustami i nalewam drugi, kiedy do kuchni wchodzi Jess.

– Hej – mówi. – Wygląda na to, że Luke’owi udało się rozwiązać problem z prezentami.

– Super – odpowiadam cierpko i pociągam następny łyk wina.

Tak więc to ona i Luke uratowali sytuację, czyż nie? Odbywają rozmowy, do których nie jestem dopuszczana. Kiedy widzę, jak siada i ponownie otwiera książkę, zaczyna we mnie

wzbierać ogromna fala urazy i gniewu.

– Myślałam, że wezmiesz moją stronę – odzywam się, usiłując zachować spokój. – Jesteśmy bądź co bądź siostrami.

– O co ci chodzi? – Marszczy brwi.

– Mogłaś mnie bronić!

– Bronić? – Jess podnosi głowę. – Sądzisz, że będę cię bronić, gdy jesteś aż tak nieodpowiedzialna?

– Och, a więc jestem nieodpowiedzialna. A ty pewnie za to doskonała.

– Nie jestem doskonała! Ale ty jesteś nieodpowiedzialna, to fakt! – Zamyka z trzaskiem książkę. – Szczerze, Becky, uważam, że musisz wreszcie dorosnąć. Zachowujesz się tak, jakby obce ci było poczucie obowiązku... masz obsesję na punkcie wydawania pieniędzy... kłamiesz...

– A ty jesteś ponurakiem! – Z mojego gardła wydobywa się ryk. – Jesteś kutwą i żalną krową, która nie wie, jak się dobrze bawić!

– Że co? – Jess wygląda na kompletnie osłupiałą.

– Staralam się w ten weekend jak mogłam! – wołam. – Zrobiłam wszystko, byś czuła się mile widziana, a ty nie włączyłaś się do niczego! Zgoda, może i nie lubisz filmu *Kiedy Harry poznał Sally*. Ale mogłaś chociaż udawać!

– Wolałabyś więc, bym była nieuczciwa? – pyta, krzyżując ramiona. – Wolałabyś, żebym kłamała? To właśnie cała ty, Becky.

– Udawanie, że coś się lubi, to nie kłamstwo! – odpowiadam z przekąsem. – Chciałam jedynie, żebyśmy się dobrze bawiły! Dowiedziałam się o tobie mnóstwa rzeczy, przygotowałam ci pokój i w ogóle... a ty jesteś taka zimna! Tak, jakbyś nie miała w sobie żadnych uczuć!

Nagle zaczyna mi się zbierać na płacz. Nie mogę uwierzyć, że wrzeszczę na własną siostrę. Milknę i biorę kilka głębokich oddechów. Może da się to jeszcze uratować. Może mimo wszystko nam się uda.

– Chodzi o to, Jess... zrobiłam to wszystko, ponieważ chciałam, żebyśmy się zaprzyjaźniły – mówię łamiącym się głosem. – Chciałam jedynie, żebyśmy się polubiły.

Podnoszę głowę, spodziewając się, że jej twarz przybierze łagodniejszy wyraz. Mam jednak wrażenie, że maluje się na niej jeszcze więcej pogardy niż przed chwilą.

– A ty zawsze musisz dostać to, czego pragniesz – cedzi. – Prawda, Becky?

Moje policzki przybierają odcień fuksji.

– C. co masz na myśli? – udaje mi się wykrztusić.

– To, że jesteś zepsuta! – Powietrze przeszywa jej ostry głos. – Dostajesz wszystko, czego chcesz! Wszystko otrzymujesz podane na tacy. Jeśli się znajdziesz w tarapatkach, wyciągają cię z nich rodzice, a jeśli nie oni, to Luke! Na myśl o twoim życiu robi mi się niedobrze. Jest puste! Jesteś płytką materialistką... i nigdy nie spotkałam kogoś, kto by miał taką obsesję na punkcie własnego wyglądu i zakupów...

– Mówisz o obsesjach, tak? – wchodzę jej w słowo. – Mówisz o obsesjach? Ty za to masz obsesję na punkcie oszczędzania! Nigdy nie spotkałam tak cholernego skąpiradła! Masz w

banku trzydzieści patyków, a zachowujesz się, jakbyś była bez grosza przy duszy! Bierzesz darmowe koperty i wstrętne przejrzałe banany! Kogo obchodzi, czy proszek do prania kosztuje czterdzieści pensów mniej?

– Obchodziłoby cię, gdybyś od czternastego roku życia sama musiała go sobie kupować – odparowuje wściekle Jess. – Może gdybyś trochę bardziej zatroszczyła się o czterdzieści pensów tu, czterdzieści pensów tam, nie miałabyś kłopotów finansowych. Słyszałam, jak w Nowym Jorku doprowadziłaś Luke’a bez mała do ruiny. Ja cię po prostu nie rozumiem!

– A ja nie rozumiem ciebie! – wołam ze łzami w oczach. – Byłam taka podekscytowana, kiedy się dowiedziałam, że mam siostrę. Myślałam, że wytworzy się między nami więź i że zostaniemy przyjaciółkami. Myślałam, że będziemy mogły razem chodzić na zakupy i dobrze się bawić... i jeść w łózkach czekoladki z miętowym nadzieniem...

– Czekoladki z miętowym nadzieniem? – Patrzy na mnie jak na wariatkę. – Dlaczego miałybyśmy je jeść?

– Bo tak! – Macham z frustracją rękami. – Bo tak byłoby fajnie. Znasz słowo „fajnie”?

– Wiem, jak fajnie spędzać czas! – warczy Jess.

– Czytając książki o skałach? – Biorę do ręki *Petrografię brytyjskich skał magmowych*. – Jak skały mogą być interesujące? To tylko... skały! To najbardziej nudne hobby na świecie! Ale na pewno doskonale do ciebie pasuje!

Jess wciąga z oburzeniem powietrze.

– Skały nie są... nudne! – kontruje, zabierając mi książkę. – Są znacznie bardziej interesujące niż czekoladki z miętowym nadzieniem, bezsensowne zakupy i wpędzanie się w długi!

– Wszczepiono ci bajpasy na poczucie humoru czy co?

– A tobie wszczepiono bajpasy na poczucie odpowiedzialności czy po prostu już się urodziłaś zepsuta do szpiku kości?

Mierzymy się wzrokiem. Obie ciężko oddychamy. W kuchni panuje cisza, nie licząc cichego szumu zamrażarki.

Nie bardzo wiem, jak w takiej sytuacji powinna się zachować wzorowa gospodyni.

– Świetnie. – Jess unosi podbródek. – Nie sądzę, by moja obecność tutaj miała jakikolwiek sens. Jeśli od razu wyjdę, to zdążę jeszcze złapać autobus do Cumbrii.

– Świetnie.

– Pójdę po moje rzeczy.

– Proszę bardzo.

Odwraca się na pięcie i wychodzi z kuchni, a ja pociągam łyk wina. Moja głowa wciąż pulsuje od krzyków i mocno wali mi serce.

Ona nie może być moją siostrą. Nie może. To żałosna kutwa i świętoszkowata krowa. Już nigdy więcej nie chcę jej widzieć na oczy.

Nigdy.

CINDY BLAINE SHOW
Produkcje TV Cindy Blaine
Hammersmith Bridge Road 43
London W6 8TH

22.05.2003

Sz. P.
Rebeka Brandon
Maida Vale Mansions 37
Maida Vale
London NW6 OYF

Szanowna Pani!

Dziękujemy za Pani list.

Z przykrością dowiedzieliśmy się, że nie będzie się mogła Pani pojawić na nagraniu programu z cyklu Cindy Blaine Show zatytułowanego „Odnalazłam siostrę i pokrewną duszę”.

Proponujemy zamiast tego udział w nagrywanym niedługo programie „Moja siostra to suka!!!” Proszę o kontakt telefoniczny, gdyby spodobał się Pani ten pomysł.

Z najlepszymi życzeniami –

Kayleigh Stuart
asystentka producenta
(tel. kom. 07878 3456789)

FINERMAN WALLSTEIN
Kancelaria Prawna
Finerman House
Avenue of the Americas 1398
New York, NY 10105

27.05.2003

Sz. P.
Rebeka Brandon
Maida Vale Mansions 37
Maida Vale
London NW6 0YF

Szanowna Pani!

Dziękujemy za Pani wiadomość. Zgodnie z Pani poleceniem zmieniłam Pani testament. Paragraf 5, ustęp (f) brzmi obecnie następująco:

„I absolutnie niczego dla Jess, jako że jest strasznie podła. A poza tym i tak ma mnóstwo własnych pieniędzy”.

Z poważaniem –
Jane Cardozo

Mam to gdzieś. Komu potrzebna jest siostra? Na pewno nie mnie.

Po pierwsze, nigdy nie chciałam mieć siostry. Wcale się o nią nie prosiłam. Jest mi bardzo dobrze samej.

A poza tym nie jestem sama, tylko w trwałym i pełnym miłości związku. Nie potrzebują jakiejś beznadziejnej siostry!

– Głupia siostra – mówię głośno, odkręcając słoik z dżemem.

Od wyjazdu Jess minęły prawie dwa tygodnie. Luke ma umówione spotkanie w mieście, a rodzice zajeżdżają do nas w drodze na lotnisko, więc przygotowuję dla wszystkich śniadanie.

– Słucham? – pyta Luke, wchodząc do kuchni.

Jest błąd i wygląda na spiętego – zresztą już od kilku dni. Arcodas Group jest w trakcie podejmowania decyzji i jedyne, co można teraz zrobić, to czekać. A mój mąż niezbyt dobrze znosi takie sytuacje.

– Właśnie myślałam o Jess – mówię, odstawiając słoik z dżemem. – Miałaś co do niej absolutną rację. Nie udałoby się nam ze sobą zaprzyjaźnić nawet za milion lat! Jeszcze nigdy nie spotkałam takiego ponuraka!

– Mmm – mówi z roztargnieniem Luke, nalewając sobie sok pomarańczowy.

Mógłby z trochę większym entuzjazmem mnie poprzeć.

– Następnym razem posłucham cię – kontynuuję. – W ogóle nie powinnam jej tu zapraszać. Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy ze sobą spokrewnione!

– Uważam, że jest całkiem w porządku – oświadcza Luke. – Ale doskonale rozumiem, dlaczego nie potrafiliście się dogadać.

Nie jestem zadowolona, słysząc takie słowa z ust własnego męża.

Nie miał wcale powiedzieć: „Jest całkiem w porządku”.

Miał powiedzieć: „Co za suka, nie wiem, jak wytrzymałaś z nią tyle czasu!”

– Becky... co ty robisz? – Jego spojrzenie pada na okruszki i folię, leżące na granitowym blacie.

– Robię gofry! – odpowiadam pogodnie.

I to stanowi kolejny dowód na to, że Jess absolutnie nie miała racji. Używam tej gofrownicy praktycznie codziennie. Proszę bardzo! Prawie żałuję, że jej tu nie ma, by mogła to zobaczyć.

Problem jedynie w tym, że nie jestem zbyt dobra w samodzielnym przygotowywaniu ciasta. Kupuję więc gotowe gofry, wycinam z nich serca i wkładam do gofrownicy, by je podgrzać.

Ale co w tym złego? Korzystam z niej przecież, no nie? Jemy gofry, prawda?

– Gofry... znowu? – Luke lekko się krzywi. – Ja chyba dzisiaj podziękuję.

– No to może zrobisz ci tosta? Albo jajka? Albo... bułkę?

– Kawa mi wystarczy.

– Musisz coś zjeść! – Przyglądam mu się z nagłą czujnością. Wyraźnie schudł, zamartwiając się tym kontraktem. Muszę go podkarmić. – Zrobię ci naleśniki! – mówię z zapalem. – Albo omlet!

– Becky, daj spokój! – warczy. – Nic nie chcę. – Wychodzi z kuchni, wyjmując po drodze z kieszeni telefon. – Jakież wieści? – pyta, po czym zamyka za sobą drzwi gabinetu.

Spoglądam na trzymanego w dłoni połamanego gofra. Ogarnia mnie niepokój.

Wiem, że Luke naprawdę martwi się o ten kontrakt. Pewnie dlatego jest ostatnio taki rozdrażniony. To wcale nie oznacza, że istnieje jakiś większy problem albo coś w tym rodzaju.

Ale wciąż mam w pamięci słowa, które wtedy wypowiedział do Jess. Że życie ze mną jest trudne.

Czuję znajome ukłucie w sercu i siadam, a w mojej głowie pojawia się mnóstwo nieproszonych myśli. Zamartwiałam się tym przez cały tydzień.

Jak życie ze mną może być trudne? To znaczy... co robię nie tak?

Szybkim ruchem sięgam po długopis i kartkę papieru. No dobrze. Zajrzę teraz w głąb siebie i postaram się być naprawdę, ale to naprawdę szczerą. Co ja takiego robię, że trudno się ze mną żyje? Piszę nagłówek i podkreślam go zamazyście.

Becky Bloomwood: Dlaczego trudno z nią żyć?

1.

W głowie mam pustkę. Nic, ale to zupełnie nic nie przychodzi mi na myśl.

No dalej. Myśl. Bądź uczciwa i bezlitosna. Musi być coś na rzeczy. Co jest powodem naszych problemów? Co tak naprawdę może mu się we mnie nie podobać?

Już wiem. Zawsze zdejmuję nakrętkę z szamponu i Luke narzeka, że nadeptuje na nią, kiedy wchodzi pod prysznic.

Becky Bloomwood: Dlaczego trudno z nią żyć?

1. *Nie zakręca szamponu*

Tak. I jestem roztrzepana. Wciąż zapominam numer kodu od alarmu antywłamaniowego. Raz nawet musiałam zadzwonić na policję i zapytać o to, ale źle mnie zrozumieli i przysłali dwa radiowozy.

Becky Bloomwood: Dlaczego trudno z nią żyć?

1. *Nie zakręca szamponu*

2. *Zapomina numer kodu od alarmu*

Wpatruję się niepewnie w listę. Jakoś nie wygląda mi to na pełen rejestr mych przywar. Musi chodzić o coś jeszcze. Musi to być coś naprawdę poważnego i istotnego.

Nagle gwałtownie wciągam powietrze i zakrywam dłonią usta.

Płyty. Luke zawsze narzeka, że je wyjmuję i nie wkładam z powrotem do pudełek.

Wiem, że nie brzmi to zbyt poważnie – ale może to właśnie była ostatnia kropla, która przepełniła czarą. A poza tym wiadomo, że w związku najbardziej się liczą właśnie drobiazgi.

W porządku. Zaraz to wszystko naprawię.

Udaję się pospiesznie do salonu i siadam przy stercie płyt, porzrzucanych obok sprzętu grającego. Kiedy je porządkuję, robi mi się dziwnie lekko na duszy. Czuję się wolna. To będzie punkt zwrotny w naszym małżeństwie.

Układam je porządnie i czekam, aż Luke w drodze do łazienki będzie przechodził obok salonu.

– Spójrz! – wołam z nutką dumy w głosie. – Poukładałam płyty! Są teraz wszystkie w swoich pudełkach!

Zagląda do pokoju.

– Świetnie – mówi, po czym kiwa z roztargnieniem głową i idzie dalej.

Patrzę za nim z wyrzutem.

Czy to wszystko, co ma zamiar powiedzieć?

Oto ja naprawiam nasze zagrożone małżeństwo, a on nawet tego nie zauważył.

Nagle rozlega się dzwonek domofonu i zrywam się z podłogi. To na pewno mama i tata. Do kwestii naszego małżeństwa wrócę później.

No dobra. Wiedziałam, że rodzice naprawdę się zaangażowali w tę ich całą terapię i w ogóle. Ale mimo to nie spodziewałam się, że pojawią się w T-shirtach ze sloganami. Na T-shirtcie mamy widnieje napis: „Jestem kobietą, jestem boginią”, a na taty: „Nie pozwól pasywno-agresywnym draniom cię zdołować”.

– A niech mnie! – mówię, usiłując ukryć zaskoczenie. – Są odjazdowe!

– Dostaliśmy je w ośrodku – wyjaśnia mama, uśmiechając się promiennie. – Zabawne, prawda?

– Widzę, że naprawdę podoba wam się ta terapia.

– Jest wspaniała! – wykrzykuje mama. – Znacznie bardziej interesująca od brydża. I tylu ludzi można spotkać! Pewnego dnia mieliśmy sesję grupową i jak myślisz, kto się pojawił? Marjorie Davis, która kiedyś mieszkała z nami przez ulicę!

– Naprawdę? – pytam ze zdziwieniem. – A więc w końcu wyszła za mąż?

– Och, nie! – Mama ścisza taktownie głos. – Ma problemy z wyznaczaniem granic, biedactwo.

Jakoś nie mieści mi się to wszystko w głowie. Co to są, do diaska, te całe problemy z wyznaczaniem granic?

– Więc... eee... czy wy macie problemy? – pytam, gdy już jesteśmy w kuchni. – Rzeczywiście było wam ciężko?

– Och, staliśmy nad przepaścią i udało nam się cofnąć – wyjaśnia mama, kiwając głową. – Prawda, Grahamie?

– Dokładnie tak, nad samą przepaścią – odpowiada pogodnie tata.

– Ale wściekłość i poczucie winy zostawiliśmy już za sobą. Oboje mamy więcej siły do życia i miłości. – Uśmiecha się do mnie promiennie i szuka czegoś w torbie. – Przywiozłam

szwajcarską roladę. Nastawimy wodę?

– Mama odnalazła swoją wewnętrzną boginię – oświadcza z dumą tata. – Jeśli chcesz wiedzieć, to chodziła po rozżarzonych węglach!

Wpatruję się w nią ze zdumieniem.

– Chodziłaś po rozżarzonych węglach? O mój Boże! Mnie też się to udało na Sri Lance! Bolało?

– Ani trochę! To było zupełnie bezbolesne! – odpowiada mama. – Oczywiście miałam na nogach buty, które wkładam do robót w ogrodzie – dodaje, jakby po namyśle.

– O kurczę! To... fantastycznie.

– Jednak wciąż się jeszcze musimy dużo nauczyć – kontynuuje mama, dziarsko krojąc roladę. – Dlatego właśnie zdecydowaliśmy się na ten rejs.

– No tak – mówię po chwili milczenia. – Tak. Rejs terapeutyczny. – Kiedy mama pierwszy raz mi o tym wspomniała, sądziłam, że żartuje. – Polega to więc na tym, że żeglujecie sobie po Morzu Śródziemnym i w tym czasie odbywają się sesje terapeutyczne, tak?

– To nie tylko terapia! – odpowiada mama. – To także ekspedycje krajoznawcze.

– I rozrywka – wtrąca tata. – Podobno szykuje się kilka bardzo dobrych przedstawień. I przyjęcie, na którym obowiązują smokingi.

– Wszyscy nasi znajomi z ośrodka też tam będą – dodaje mama. – Zdążyliśmy się już skrzyknąć i zorganizować na pierwszy wieczór małe przyjęcie koktajlowe! A poza tym... – Waha się. – Jeden z gościnnych wykładowców specjalizuje się w spotkaniach z dawno niewidzianymi członkami rodziny. To akurat nas powinno szczególnie zainteresować.

Robi mi się nieswojo. Nie mam ochoty myśleć o dawno niewidzianych członkach rodziny.

Milczymy. Widzę, jak rodzice wymieniają znaczące spojrzenia.

– Więc... jakoś nie udało ci się zaprzyjaźnić z Jess – odzywa się wreszcie tata.

O Boże! Wyraźnie widzę, że jest tym rozczarowany.

– Nie bardzo – odpowiadam, odwracając wzrok. – My się po prostu... za bardzo od siebie różnimy.

– A czemu miałyby być inaczej? – pyta mama, kładąc uspokajająco rękę na moim ramieniu. – Dorastałyście zupełnie oddzielnie. Dlaczego miałybyś mieć więcej wspólnego z Jess niż z... powiedzmy... – Zastanawia się przez chwilę. – Kylie Minogue.

– Becky ma o wiele więcej wspólnego z Jess niż z Kylie Minogue! – wykrzykuje natychmiast tata. – Po pierwsze, ona jest Australijką.

– To jeszcze niczego nie dowodzi – ripostuje mama. – Należymy przecież do Wspólnoty Narodów, prawda? Becky z pewnością doskonale dogadywałaby się z Kylie Minogue. Prawda, kochanie?

– Eee...

– Nie miałyby o czym ze sobą rozmawiać – orzeka tata, potrząsając głową. – Zapewniam cię.

– Oczywiście, że miałyby! – odparowuje mama. – Miło by sobie gawędziły! Na pewno

bardzo by się ze sobą zaprzyjaźniły!

– Lepiej już z Cher – stwierdza tata. – To dopiero interesująca kobieta.

– Becky wcale się nie chce przyjaźnić z Cher! – odpowiada z oburzeniem mama. – Może z Madonną...

– Wiecie co, kiedy tylko poznam Kylie Minogue, Cher albo Madonnę, natychmiast dam wam znać, dobrze? – mówię nieco bardziej opryskliwie, niż zamierzałam.

Zapada cisza, a rodzice uważnie mi się przyglądają. Potem mama odwraca się do taty.

– Grahamie, zanieś Luke’owi kawę. – Podaje mu kubek i kiedy tylko tata opuszcza kuchnię, obrzuca mnie uważnym spojrzeniem. – Becky, skarbie! Czy wszystko w porządku? Wydajesz się nieco spięta.

O Boże! W pełnej współczucia twarzy mamy jest coś, co sprawia, że zaczynam tracić opanowanie. Nagle wszystkie zmartwienia, które z całych sił starałam się ukryć, próbują się wydostać na powierzchnię.

– Nie przejmuj się Jess – mówi życzliwie. – To bez znaczenia, że nie udało się wam dogadać. Nikt nie będzie miał o to do ciebie pretensji!

Kilkakrotnie przelękam ślinę, usiłując wziąć się w garść.

– To nie chodzi o Jess. A przynajmniej nie tylko o nią. Chodzi o... Luke’a.

– O Luke’a? – pyta ze zdumieniem mama.

– Ostatnio niezbyt dobrze się między nami układa. Prawdę mówiąc... – Głos zaczyna mi się łamać. – Prawdę mówiąc... sądzę, że nasze małżeństwo jest zagrożone.

O Boże! Kiedy wypowiedziałam te słowa na głos, zabrzmiały tak prawdziwie i przekonująco. *Nasze małżeństwo jest zagrożone.*

– Jesteś tego pewna, skarbie? – Mama jest wyraźnie zbita z tropu. – Według mnie wyglądacie na bardzo szczęśliwych!

– Ale nie jesteśmy! Niedawno ostro się pokłóciliśmy! Mama wpatruje się we mnie przez chwilę, po czym wybucha śmiechem. Wzbiera we mnie oburzenie.

– Nie śmiej się! To było straszne!

– Naturalnie, że tak, skarbie! Zbliża się pierwsza rocznica waszego ślubu, prawda?

– No tak.

– Więc właśnie. Czas na Pierwszą Wielką Kłótnię! Wiedziałaś o tym, prawda, Becky?

– O czym? – pytam z osłupieniem.

– O Pierwszej Wielkiej Kłótni! – Cmoka, widząc wyraz mojej twarzy. – O mamusiu! Czego w dzisiejszych czasach uczą was te wszystkie kobiece magazyny?!

– Eee... Jak nakładać akrylowe tipsy?

– A powinny was uczyć, co robić, aby być szczęśliwą w małżeństwie! Wszystkie pary po mniej więcej roku przeżywają Pierwszą Wielką Kłótnię. Naprawdę porządną, a potem atmosfera się oczyszcza i wszystko wraca do normy.

– Boże, nic o tym nie wiedziałam – mówię powoli. – Więc... nasze małżeństwo nie jest jednak zagrożone?

To wszystko ma sens. A nawet wiele sensu. Pierwsza Wielka Kłótnia – a potem znowu żyje się spokojnie i szczęśliwie. Coś takiego jak burza z piorunami. Czyste powietrze i

odnowienie. Albo jeden z tych pożarów lasów, które wydają się straszne, ale w gruncie rzeczy są bardzo przydatne, ponieważ dzięki nim mogą wyrosnąć wszystkie małe roślinki. No właśnie.

A wniosek z tego – to wcale nie była moja wina! I tak miało między nami dojść do tej kłótni, bez względu na moje postępowanie! Naprawdę czuję, że zaczyna mi się poprawiać nastrój. Wszystko znowu będzie cudownie. Uśmiecham się promiennie do mamy i nakładam sobie duży kawałek rolady.

– Więc... Luke i ja nie będziemy się więcej kłócić – mówię, by się upewnić.

– Oczywiście, że nie! – odpowiada uspokajająco mama. – Do czasu Drugiej Wielkiej Kłótni, która będzie miała miejsce...

Przerywa jej odgłos otwieranych na oścież drzwi. W kuchni pojawia się Luke. Trzyma w dłoni telefon, jego twarz jest cała rozpromieniona i widnieje na niej tak szeroki uśmiech, jakiego u niego nie widziałam chyba jeszcze nigdy.

– Udało się! Mamy ten kontrakt z Arcodas Group!

Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze! Wiedziałam. Jest naprawdę cudownie! W zasadzie czuję się tak, jakby przez cały dzień było Boże Narodzenie.

Luke odwołał to umówione spotkanie i pojechał prosto do firmy, aby świętować. Po odprowadzeniu rodziców do taksówki ja także do niego dołączyłam. Uwielbiam siedzibę Brandon Communications. Jest urządzona odjazdowo: jasne drewno i wszechobecne reflektory punktowe. Wygląda tak radośnie. Wszyscy przez cały dzień chodzą po biurze, uśmiechają się promiennie i piją szampana!

A przynajmniej tak się dzieje, kiedy firma zdobędzie duży kontrakt. Przez cały dzień wszędzie słychać śmiech i podekscytowane głosy, a ktoś zaprogramował komputery, by co dziesięć minut śpiewały *Moje gratulacje*.

Luke odbył z wyższymi rangą pracownikami krótkie spotkanie, mające na celu świętowanie i obmyślanie strategii. Ja także wzięłam w nim udział. Na początku wygłaszano uwagi w rodzaju: „Teraz zaczyna się prawdziwa praca” oraz „Musimy zwerbować nowych ludzi” i „Czeka nas olbrzymie wyzwanie”. Ale potem Luke wykrzyknął: „Chrzanić to! Świątujmy! O wyzwaniach będziemy myśleć jutro”.

Zadzwoił więc do swojej asystentki, by załatwiła catering, i o piątej pojawiło się kilku facetów w czarnych fartuchach z nową dostawą szampana i kanapkami poukładanymi na tacach z pleksiglasu. Wszyscy pracownicy zebrali się w największej sali konferencyjnej, przez głośniki puszczano muzykę, Luke wygłosił krótkie przemówienie, w którym oświadczył, że to wspinały dzień dla Brandon C, a wszyscy bili brawo.

A teraz kilkoro z nas udaje się na kolację, by dalej świętować! Jestem właśnie w gabinecie Luke’a i poprawiam makijaż, gdy tymczasem on przebiera się w czystą koszulę.

– Gratuluję – mówię po raz chyba tysięczny. – To naprawdę fantastycznie.

– Dzisiaj jest szczęśliwy dzień. – Luke uśmiecha się do mnie szeroko, poprawiając mankiety. – Już od kilku lat czekałem na tak poważnego klienta. To nam utoruje drogę do następnych.

– Jestem z ciebie taka dumna.

– Ja też. – Jego twarz nagle łagodnieje. Luke podchodzi i mnie przytula. – Wiem, że ostatnio byłem nieobecny duchem. Przepraszam cię za to.

– W porządku – odpowiadam i opuszczam głowę. – A ja... przepraszam, że sprzedałam te budziki.

– Nic się nie stało! – Gładzi mnie po włosach. – Wiem, że nie było ci łatwo. Powrót do domu... twoja siostra...

– Tak, no cóż – odpowiadam natychmiast. – Nie myślmy teraz o niej. Pomyślmy o nas. O przyszłości. – Przyciągam jego głowę i całuję go. – Naprawdę będzie wspaniale.

Przez chwilę oboje milczymy. Ale to taki dobry rodzaj ciszy. Jesteśmy tylko my, przytuleni do siebie, odprężeni i cieszący się własnym towarzystwem, tak jak w trakcie podróży poślubnej. Nagle ogarnia mnie uczucie wielkiej ulgi. Mama miała rację! Ta Pierwsza Wielka Kłótnia wspaniale oczyściła atmosferę! Jesteśmy sobie bliżsi niż kiedykolwiek wcześniej!

– Kocham cię – mruczę.

– Ja też cię kocham. – Luke całuje mnie w nos. – Powinniśmy już iść.

– Dobrze. – Uśmiecham się do niego promiennie. – Zejdę na dół i zobaczę, czy przyjechał już nasz samochód.

Idę korytarzem, cała w skowronkach. Wszystko ułożyło się doskonale. Wszystko! Kiedy przechodzę obok tac, biorę kieliszek szampana i pociągam kilka łyków. Może wieczorem pójdziemy gdzieś potańczyć. Po kolacji. Kiedy wszyscy rozejdą się już do domów, Luke i ja udamy się do klubu i będziemy wtedy naprawdę świętować, tylko we dwoje.

Zbiegam radośnie po schodach, wciąż trzymając w dłoni kieliszek, i otwieram drzwi do recepcji. Nagle staję jak wryta. Kilka metrów dalej z recepcjonistką Janet rozmawia szczupły mężczyzna w garniturze w prążki. Wydaje mi się dziwnie znajomy – ale nie mogę sobie dokładnie przypomnieć...

Nagle mój żołądek wykonuje potężne salto.

Już sobie przypominam.

To ten facet z Mediolanu. Ten, który wynosił ze sklepu torby Nathana Temple'a. Co on tutaj robi?

Ostrożnie przysuwam się do drzwi, by usłyszeć ich rozmowę.

– Więc pan Brandon nie jest chory? – pyta właśnie. Jasny gwint.

Cofam się i zamykam drzwi. Serce mi wali jak oszalałe. Co mam teraz zrobić?

Pociągam potężny łyk szampana, by uspokoić nerwy – a potem jeszcze jeden. Kilka osób z działu informatycznego mija mnie i posyła pełne zdziwienia spojrzenia, a ja w odpowiedzi uśmiecham się do nich pogodnie.

No dobra. Nie mogę na zawsze pozostać za tymi drzwiami. Zaglądam przez szklaną część do recepcji. Dzięki Bogu facet w garniturze zniknął. Wydając głośne westchnienie ulgi, otwieram drzwi i podchodzę nonszalancko do biurka.

– Cześć! – mówię pogodnie do Janet, która stuka coś szybko na klawiaturze. – Kto to był? Ten mężczyzna, który z tobą rozmawiał.

– Ach, on! Pracuje dla człowieka, który nazywa się... Nathan Tempie?

– Jasne. A... czego chciał?

– To dziwne! – odpowiada, krzywiąc się. – Wciąż mnie pytał, czy Luke czuje się już „lepiej”.

– A ty co mu powiedziałaś? – Staram się, by pytanie to zabrzmiało naturalnie.

– Oczywiście powiedziałam, że nic mu nie jest! Ze czuje się doskonale! – Sinieje się radośnie, a po chwili, kiedy widzi wyraz mojej twarzy, nagle przestaje stukać w klawiaturę. – O Jezu! Coś mu dolega, prawda?

– Słucham?

– To był lekarz, tak? – Nachyla się z wyraźnym niepokojem. – Mnie możesz o tym powiedzieć, Becky. Czy podczas waszego wyjazdu Luke zaraził się jakąś tropikalną chorobą?

– Nie! Oczywiście, że nie!

– W takim razie ma coś z sercem? A może z nerkami? – Jej oczy stają się wilgotne. – Wiesz... niedawno umarła mi ciocia. Naprawdę nie było mi łatwo...

– Przykro mi – mówię ze zdenerwowaniem. – Ale naprawdę się nie martw! Z Lukiem wszystko w porządku! Wszystko w jak najlepszym porządku...

Podnoszę wzrok – i słowa więzną mi w gardle.

Błagam, tylko nie to.

To się nie może dziać naprawdę.

Do budynku wchodzi właśnie Nathan Tempie we własnej osobie.

Jest potężniejszy, niż go zapamiętałam. Ma na sobie ten wykończony skórą płaszcz, który przymierzał w Mediolanie. Roztacza wokół siebie atmosferę władzy i pieniędzy oraz zapach cygar. A przenikliwe spojrzenie jego niebieskich oczu skierowane jest prosto na mnie.

– Witam – odzywa się tym swoim zachrypniętym głosem. – Pani Brandon. A więc spotykamy się ponownie.

– Wiwitam! – mówię. – Ojej! Cóż za... przemiła niespodzianka!

– Torebka dobrze służy? – Lekko się uśmiecha.

– Eee... tak! Jest świetna!

Muszę go stąd zabrać – ta myśl kołaczy się w mojej głowie. Muszę go stąd zabrać.

– Przyszedłem porozmawiać z pani mężem o moim hotelu – mówi uprzejmie. – Czy to będzie możliwe?

– No tak! – Przełykam ślinę. – Oczywiście. Doskonale!

Problem jedynie w tym, że Luke jest niestety bardzo zajęty. Czy miałby pan może ochotę czegoś się napić? Moglibyśmy pójść do baru... uciąć sobie miłą pogawędkę... mógłby mi pan o tym opowiedzieć...

Tak. To genialny pomysł. Wywabię go stąd... postawię mu kilka drinków... Luke nigdy się o tym nie dowie...

– Mogę zaczekać – mówi, sadowiąc swe potężne cielsko na skórzanym fotelu. – A pani w tym czasie przekaże mężowi, że tu jestem. – Jego spojrzenie krzyżuje się z moim. – Rozumiem, że już wyzdrowiał?

Mój puls wyczynia dzikie harce.

– Tak! – mówię radośnie. – Czuje... czuje się znacznie lepiej! Dzięki za kwiaty!

Zerkam kątem oka na Janet, która przysłuchuje się tej rozmowie z lekkim osłupieniem.

– Mam zadzwonić i powiadomić Luke’a? – pyta, sięgając po słuchawkę.

– Nie! To znaczy... nie zawracaj sobie tym głowy! Sama do niego podskoczę – odpowiadam nieco piskliwym głosem.

Ruszam w kierunku wind, a serce mi wali jak młotem.

Okej. Jakoś sobie z tym poradzę. Wyprowadzę Luke’a z budynku tylnym wyjściem, mówiąc mu, że ktoś rozlał wodę w foyer i jest tam teraz naprawdę ślisko. Tak. I wsiądziemy do samochodu... Potem udam, że czegoś zapomniałam, wrócę do Nathana Temple’a i powiem...

– Becky?

Podskakuję z przestraszeniem, dostrzegając, jak po schodach zbiega Luke, przeskakując po dwa stopnie naraz. Jest cały rozpromieniony i właśnie wkłada płaszcz.

– Jest już samochód? – Patrzy ze zdziwieniem na moją minę. – Kochanie... czy coś się stało?

Albo równie dobrze mogę mu wszystko powiedzieć. Przez kilka sekund wpatruję się w niego bez słowa, a mój żołądek fika w tym czasie nerwowe koziółki.

– Eee... Luke? – wykrztuszam wreszcie.

– Tak?

– Muszę... muszę ci coś powiedzieć. – Przełykam ślinę. – Już dawno powinnam to zrobić, ale... tego nie zrobiłam... i sama z tym sobie radziłam, ale...

Nagle dociera do mnie, że Luke mnie w ogóle nie słucha. Jego oczy rozszerzają się ze zdumienia, kiedy dostrzega za mną Nathana Temple’a.

– Czy to jest... – Potrząsa z niedowierzaniem głową. – Co on tutaj robi? Przecież Gary miał się go pozbyć.

– Luke...

– Zaczekaj, Becky. To naprawdę ważne. – Wyciąga telefon i wystukuje numer. – Gary – odzywa się niskim głosem. – Co Nathan Tempie robi w naszym foyer? Miałeś go przecież odprawić.

– Luke... – odzywam się ponownie.

– Kochanie, zaczekaj chwilkę. – Wraca do telefonu. – No, ale jest tutaj. We własnej osobie.

– Luke, proszę, posłuchaj. – Ze zniecierpliwieniem szarpnię go za rękaw.

– Becky, cokolwiek to jest, nie może chwilę poczekać? – pyta z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Mam tutaj problem, który muszę rozwiązać...

– Ale to ci właśnie usiłuję powiedzieć! – mówię z desperacją. – Chodzi mi o twój problem! Chodzi mi o Nathana Temple’a!

Wpatruje się we mnie, jakbym postradała zmysły.

– Jak może to mieć coś wspólnego z Nathanem Temple’em? Becky, ty nawet nie znasz tego człowieka!

– Cóż... tak właściwie... to znam. – Zagryzam wargę. – Tak jakby.

Cisza. Luke powoli zamyka kłapkę telefonu.

– „Tak jakby” znasz Nathana Temple’a?

– A oto i pan Brandon! – To głos Janet, która na nieszczęście nas zauważyła. – Luke, masz gościa!

– Już idę, Janet! – odkrzykuje z zawodowym uśmiechem. Odwraca się do mnie, nadal się uśmiechając. – Becky, co tu się, cholera, dzieje?

– To... to dość długa historia – odpowiadam z płonącymi policzkami.

– Czy w ogóle miałaś w planach podzielić się nią ze mną? – Uśmiech Luke’a pozostaje niezmienny, ale w jego głosie pobrzmiewa zdecydowanie groźny ton.

– Tak! Oczywiście! Tylko... czekałam na odpowiedni moment.

– Czy sądzisz, że teraz jest na to odpowiedni moment? Tym bardziej że ten facet znajduje się kilka pieprzonych metrów stąd?

– Eee... tak! Jak najbardziej. – Przełykam ze zdenerwowaniem ślinę. – Cóż. To wszystko się zaczęło... tak się akurat składa... w sklepie...

– Za późno – przerywa mi. – On tu idzie.

Podążam za spojrzeniem Luke’a i oblatuje mnie strach. Nathan Tempie wstał z fotela i właśnie idzie w naszym kierunku.

– A więc oto on. – Dobiega do nas jego chrypliwy głos. – Nieuchwytny Luke Brandon. Trzymałaś swego męża z dala ode mnie, prawda, młoda damo? – Na niby grozi mi palcem.

– Oczywiście, że nie! – Śmieję się piskliwie. – Eee... Luke, czy znasz pana Nathana Temple’a? Poznaliśmy się w Mediolanie... pamiętasz, kochanie? – Posyłam mu udawany radosny uśmiech jak gospodyni proszonej kolacji, gdzie coś takiego jest najzupełniej normalne.

– Dobry wieczór, panie Tempie – mówi spokojnie Luke. – Miło mi pana poznać osobiście.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Nathan Tempie klepie go po plecach. – Mam nadzieję, że czuje się pan już lepiej.

Spojrzenie Luke’a przeskakuje na mnie, a ja robię udręczoną minę.

– Czuję się całkiem dobrze – odpowiada. – Czy mogę zapytać... czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę?

– Cóż – mówi Nathan Tempie, wyjmując z kieszeni płaszcza ozdobione monogramem srebrne pudełko na cygara. – Podobno nie odbiera pan telefonów z mojego biura.

– Byłem w tym tygodniu wyjątkowo zajęty – odpowiada Luke bez mrugnięcia okiem. – Bardzo przepraszam za to, że moje sekretarki nie przekazały mi pańskich wiadomości. Czy jest coś konkretnego, o czym chciał pan ze mną porozmawiać?

– O moim projekcie związanym z hotelem. – Częstuje Luke’a cygarem. – O naszym projekcie, powinienem dodać.

Luke otwiera usta, by odpowiedzieć – ale Nathan Tempie unosi rękę, by go powstrzymać. Zapala cygaro i zaciąga się kilka razy.

– Proszę mi wybaczyć, że tak znienacka się tutaj pojawiłem – mówi wreszcie. – Ale kiedy czegoś naprawdę mocno pragnę, wtedy się nie ociągam. Idę i to otrzymuję. Podobnie jak pańska urocza małżonka. – W jego oczach pojawia się błysk. – Jestem pewny, że

opowiedziała panu tę historię.

– Coś mi się wydaje, że zataiła przede mną najlepszą jej część – odpowiada Luke z wymuszonym uśmiechem.

– Lubię pańską żonę – mówi przyjaźnie Nathan Tempie. Wydmuchuje obłok dymu i taksuje mnie spojrzeniem. – Jeśli będziesz chciała kiedyś dla mnie pracować, skarbie, tylko zadzwoń.

– O rety! – mówię z lekkim zdumieniem. – Eee... dzięki! Zerkam z obawą na Luke'a. Na jego czole pulsuje żyłka.

– Becky – odzywa się grzecznym, wyważonym tonem. – Czy możemy zamienić słówko? Proszę nam na chwilę wybaczyć – dodaje.

– Nie ma sprawy. – Nathan Tempie macha cygarem. – Wypalę je do końca. Potem możemy porozmawiać.

Luke prowadzi mnie do niewielkiej sali konferencyjnej i zamyka za nami drzwi. Następnie odwraca się do mnie, a na jego twarzy maluje się napięcie. Widziałam go raz w takim stanie, kiedy wrzeszczał na pracowników.

O Boże! Nagle ogarnia mnie autentyczne przerażenie.

– No dobra, Becky, zacznij od początku. Albo nie... Przejdź od razu do środka. Skąd znasz Nathana Temple'a?

– Poznałam go, kiedy byliśmy w Mediolanie – dukam. – Byłam wtedy w sklepie, a on... on wyświadczył mi przysługę.

– Wyświadczył ci przysługę? – pyta z osłupieniem Luke. – Jakiego rodzaju? Nagle zachorowałaś? Zgubiłaś się?

Przez dłuższą, pełną udręki chwilę panuje cisza.

– W tym sklepie była... torebka – mówię w końcu.

– Torebka? – powtarza oszołomiony. – Kupił ci torebkę?

– Nie! Sama ją sobie kupiłam. Ale on mi to umożliwił. Był naprawdę słodki! A ja byłam mu za to szalenie wdzięczna... – Wykręcam palce. – Kiedy więc już wróciliśmy do Anglii, on zadzwonił i powiedział, iż chciałby, żebyś się zajął jego hotelem...

– I co mu powiedziałaś? – pyta niebezpiecznie cichym głosem.

– No bo ja... – Przetykam ślinę. – Myślałam, że z chęcią zająłbyś się promocją hotelu.

Nagle drzwi się otwierają i do środka wpada Gary.

– Co tu się dzieje? – pyta. – Co tutaj robi Nathan Tempie?

– Zapytaj Becky. – Luke wskazuje na mnie. – Wygląda na to, że łączą ją z nim dość zażyłe stosunki.

– Nie wiedziałam, kim on jest! – mówię obronnym tonem. – Nie miałam pojęcia! Był tylko uroczym panem z cocknejowskim akcentem, który załatwił mi tę torebkę...

– Torebkę? – pyta Gary, a jego spojrzenie wędruje to ku mnie, to ku Luke'owi. – Jaką torebkę?

– Otóż moja żona zaoferowała nasze usługi Nathanowi Temple'owi w zamian za torebkę – wyjaśnia szorstko Luke.

– Torebkę? – Gary jest wyraźnie zdumiony.

– To nie była jakaś tam stara torebka! – wykrzykuję ze złością. – To była torebka Angel w limitowanej serii! Na całym świecie jest ich tylko kilka! Była na okładce „Vogue’a”! Wszystkie gwiazdy filmowe pragną ją mieć!

Wpatrują się we mnie w milczeniu. Na żadnym z nich moje słowa nie wywarły większego wrażenia.

– A poza tym – dodaję z płonącymi policzkami – sądziłam, że promocja hotelu to będzie coś ekstra! To pięciogwiazdkowy hotel i w ogóle! Poznalibyście wiele sławnych osób!

– Sławnych osób? – powtarza Luke, tracąc cierpliwość. – Becky, nie potrzebuję poznawać tego rodzaju sławnych osób! Nie potrzebuję promować jakiegoś tandetnego hotelu dla kryminalistów! Powinienem być tutaj, razem z moją ekipą, i skoncentrować się na potrzebach nowego klienta.

– Nie wiedziałam! – wołam z desperacją. – Sądziłam, że to będzie fantastyczna okazja do podbicia nowych rynków!

– Uspokój się, szefie – mówi Gary. – Niczego mu nie obiecaliśmy...

– Ona obiecała.

– Ja nie... ja właściwie niczego nie obiecałam. – Mój głos nieco drży. – Ja tylko powiedziałam... że będziesz zachwycony.

– Zdajesz sobie sprawę, w jakiej mnie to teraz stawia sytuacji? – Luke chowa głowę w dłoniach. – Becky, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym w Mediolanie?

Cisza.

– Ponieważ ta torebka Angel kosztowała dwa tysiące euro – odzywam się wreszcie cichutko. – Myślałam, że będziesz na mnie zły.

– Jezu Chryste! – Wygląda tak, jakby był u kresu wytrzymałości.

– A potem nie chciałam zwracać ci głowy! Byłeś taki zajęty tym kontraktem z Arcodas... Sądziłam, że sama z tym sobie poradzę. I jakoś sobie radziłam.

– Radziłam – powtarza z niedowierzaniem Luke. – Jak ty z tym sobie radziłaś?

– Powiedziałam Nathanowi Temple’owi, że jesteś chory – bąkam.

Bardzo powoli wyraz jego twarzy się zmienia.

– Ten bukiet kwiatów – mówi głosem bez wyrazu. – Czy on był od Nathana Tempie’a?

O Boże!

– Tak – szepczę.

– Przysłał ci kwiaty? – pyta z niedowierzaniem Gary.

– I kosz z owocami – odpowiada zwięźle Luke. Gary wydaje z siebie krótkie prychnięcie.

– To wcale nie jest śmieszne – mówi Luke głosem, który przypomina smagnięcie batem. – Właśnie zdobyliśmy największy kontrakt w historii firmy. Powinniśmy teraz świętować, a nie użerać się z cholernym Nathanem Temple’em, który siedzi sobie w naszym foyer. – Osuwa się na krzesło.

– Nie chcemy robić sobie z niego wroga – mówi Gary, krzywiąc się. – Pamiętajmy, że zamierza kupić „Daily World”.

W niewielkim pomieszczeniu zapada cisza. Nie śmiem odezwać się ani słowem. Luke

wstaje.

– Nie możemy siedzieć tutaj przez cały dzień. Pójdę się z nim spotkać. Jeśli muszę to zrobić, to niech tak się stanie. – Obrzuca mnie spojrzeniem. – Mam tylko nadzieję, że ta torebka była tego warta, Becky. Naprawdę.

Czuję nagły ból.

– Luke, przepraszam – mówię z desperacją. – Bardzo cię przepraszam. Ja nie chciałam... ja nie wiedziałam...

– Jasne, Becky – przerywa mi ze znużeniem. – Daj spokój.

Wychodzi z sali, a zaraz za nim Gary. Zostaję sama. Po policzku spływa mi łza. Wszystko układało się doskonale. A teraz pochrzaniło się tak, że bardziej już się nie da.

Nie jest dobrze.

Jeśli mam być szczerą, to najgorszy tydzień w naszym małżeństwie.

Luke ma tyle pracy, że prawie w ogóle go nie widuję. Codziennie spotyka się z przedstawicielami Arcodas Group, poza tym jeden z głównych menedżerów od spraw finansowych banku, będącego jego klientem, wylądował w szpitalu z zapaleniem opon mózgowych. To wszystko doprowadziło do totalnego zamętu.

A dzisiaj, zamiast trochę sobie odpocząć i wszystko na spokojnie przemyśleć, musi lecieć na Cypr, by obejrzeć hotel Nathana Temple'a i zacząć planować jego promocję – czym, *notabene*, wcale się nie chce zajmować.

I to wszystko przeze mnie.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – pytam nerwowo, przyglądając się, jak pakuje koszule do walizki.

– Nie – odpowiada krótko. – Dzięki.

Tak właśnie się zachowuje już od tygodnia. Jest spokojny, chłodny i prawie w ogóle się do mnie nie odzywa. Wygląda teraz na tak wykończonego, że mój żołądek wykonuje salto i robi mi się niedobrze.

Naprawdę staram się myśleć pozytywnie i doszukiwać jasnych stron tej sytuacji. To przecież najzupełniej normalne, że pary miewają gorsze chwile. Tak właśnie mówiła mama. To jest Druga Wielka Kłótnia w naszym małżeństwie. Atmosfera ponownie się oczyści i wszystko będzie dobrze...

Tyle że nie jestem pewna, czy Druga Wielka Kłótnia powinna nastąpić dwa dni po Pierwszej Wielkiej Kłótni.

I nie jestem też pewna, czy powinna trwać cały tydzień.

Wysłałam do mamy emaila na statek, prosząc ją o radę, ale otrzymałam informację zwrotną, że rejs Ciało i Dusza jest odskocznią od świata zewnętrznego i kontakt z pasażerami nie jest możliwy.

Luke zapina pokrowiec na garnitur i znika w łazience, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem, a ja czuję ukłucie bólu. Za kilka minut już go nie będzie. Nie możemy się tak rozstać. Nie możemy i już.

Ponownie się zjawia i dorzuca do walizki kosmetyczkę.

– Niedługo mamy pierwszą rocznicę ślubu – odzywam się. – Powinniśmy... coś zaplanować.

– Nie jestem pewny, czy zdążę do tego czasu wrócić. Powiedział te słowa takim tonem, jakby go to wcale nie obchodziło. Nasza pierwsza rocznica ślubu, a jego to nawet nie interesuje. Nagle robi mi się gorąco i czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Cały tydzień był okropny, a teraz Luke wyjeżdża i nawet się do mnie nie uśmiechnie.

– Nie musisz się zachowywać tak oschle – mówię pospiesznie. – Wiem, że wszystko schrzaniłam. Ale nie chciałam. Już tysiąc razy za to przepraszałam.

– Wiem – odpowiada takim samym znużonym głosem, jak przez cały ubiegły tydzień.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– A czego ty ode mnie oczekujesz, Becky? – odparowuje z nagłą złością. – Że powiem, iż nic się nie stało? Że nie mam nic przeciwko temu, iż zamiast całą energię wkładać w kontrakt z Arcodas Group, muszę lecieć na jakąś zapomnianą przez Boga wyspę? – Gwałtownym ruchem zamyka walizkę. – Chcesz, bym powiedział, że jestem szczęśliwy, kiedy moje nazwisko łączy się z jakimś okropnym, tandetnym hotelem?

– On nie jest tandetny! – wykrzykuję. – Na pewno nie! Nathan Tempie powiedział, że jest tam najwyższy standard! Powinieneś go zobaczyć wtedy w sklepie w Mediolanie. Wymagał rzeczy tylko najlepszej jakości! Najlepszej skóry... najlepszego kaszmiru...

– Jestem przekonany, że będzie miał także najlepszej jakości łóżka wodne – dodaje sarkastycznie Luke. – Becky, czy ty nie rozumiesz? Mam kilka zasad, których pragnę się trzymać.

– Ja też! Ja też mam zasady! Ale to nie czyni mnie od razu snobką!

– Nie jestem snobem – kontruje oschle. – Trzymam się po prostu pewnych standardów.

– Jesteś snobem! – Słowa te wydostają się z moich ust, zanim jestem w stanie je powstrzymać. – Patrzysz na niego z góry tylko dlatego, że kiedyś był właścicielem moteli! Sprawdziłam Nathana Temple'a w Internecie. Działa na rzecz organizacji dobroczynnych, pomaga ludziom...

– Jednemu złamał nawet szczękę – przerywa mi Luke. – O tym także czytałaś?

Przez chwilę milczę.

– To było... wiele lat temu – mówię wreszcie. – On się zmienił na lepsze...

– Mniejsza o to, Becky. – Wzdycha i podnosi walizkę. – Możemy już zostawić ten temat?

Wychodzi z pokoju, po chwili wahania robię to samo.

– Nie. Nie możemy go zostawić. Musimy porozmawiać. Przez cały tydzień ledwie raczyłeś na mnie spojrzeć.

– Byłem zajęty. – Sięga do teczki, wyjmując opakowanie ibuprofenu, a z niego dwie tabletki.

– Nieprawda. – Zagryzam wargę. – Chcesz mnie w ten sposób ukarać.

– Czy możesz mnie za to winić? – Przeczesuje dłonią włosy. – Ten tydzień był prawdziwym piekłem.

– W takim razie pozwól sobie pomóc! – mówię ochotczo. Udaję się za nim do kuchni, gdzie nalewa do szklanki wodę. – Z pewnością mogłabym coś zrobić. Mogłabym być twoją asystentką... albo zajmować się researchem...

– Litości! – wchodzi mi w słowo Luke i przełyka tabletki. – Nigdy więcej żadnej pomocy. Przez tę twoją „pomoc” marnuję jedynie mój cholerny czas. Jasne?

Wpatruję się w niego, a policzki mi płoną. Pewnie zerknął na moje pomysły w różowej teczce. Pewnie uznał, że nadają się tylko do kosza.

– Jasne – odzywam się wreszcie. – Cóż... nie będę ci już więcej przeszkadzać.

– Tak będzie najlepiej.

Udaje się do gabinetu i słyszę, jak otwiera szuflady w biurku.

Kiedy tak stoję, a w głowie pulsuje mi krew, słyszę jakiś dźwięk. Idę na korytarz, a tam na wycieracze leży przesyłka. To cienka koperta z warstwą folii bąbelkowej, zaadresowana do Luke'a. Stempel pocztowy jest zamazany. Podnoszę ją i przyglądam się adresowi, napisanemu czarnym markerem. Pismo wydaje mi się jakby znajome.

– Przyszła do ciebie poczta – rzucam w przestrzeń.

Luke wychodzi z gabinetu z kilkoma folderami, które wkłada do teczki. Bierze ode mnie kopertę, rozrywa ją i wyjmuję z niej płytę oraz list.

– O! – wykrzykuje z zadowoleniem, którego nie widziałam u niego przez cały ubiegły tydzień. – Doskonale.

– Od kogo to?

– Od twojej siostry.

Mam wrażenie, jakby uderzył mnie w splot słoneczny. Mojej siostry? Jess? Patrę z niedowierzaniem na kopertę. To jej pismo?

– Dlaczego... – Usiłuję zachować spokój. – Dlaczego ona do ciebie pisze?

– Zmontowała dla nas tę płytkę. – Przebiega wzrokiem list. – Jest naprawdę niesamowita. Lepsza od naszych informatyków. Muszę pamiętać, by wysłać jej kwiaty.

Jego głos jest przepiękny ciepłem i uznaniem, a oczy błyszczą. W gardle formuje mi się duża gula.

Uważa, że Jess jest super, prawda? Jess jest super... a ja beznadziejna.

– Więc Jess ci pomogła, tak? – pytam drżącym głosem.

– Tak. I to bardzo.

– Pewnie wolałbyś to ją mieć obok siebie zamiast mnie. Pewnie wolałbyś, żebyśmy zamieniły się miejscami.

– Nie bądź niemądra. – Składa list i wkłada go z powrotem do pęcherzykowej koperty.

– Skoro uważasz, że Jess jest taka wspaniała, dlaczego sobie z nią nie zamieszkaż? – W moim głosie słychać ból. – Dlaczego po prostu nie pojedziesz do niej i... i nie porozmawiacie sobie o komputerach?

– Becky, uspokój się – mówi ze zdumieniem Luke. Aleja nie jestem w stanie się uspokoić.

– W porządku! Ze mną możesz być szczery, Luke! Jeśli zamiast mnie wolisz tę żalną kutwę, zupełnie pozbawioną gustu i poczucia humoru... po prostu to powiedz! Może powinieneś się z nią ożenić, skoro jest taka cudowna! W jej towarzystwie można zrywać boki ze śmiechu! Jestem pewna, że świetnie byś się razem z nią bawił...

– Becky! – przerywa i posyła mi spojrzenie, od którego ciarki przechodzą mi po plecach. – Może lepiej nic więcej nie mów.

Milczy, składając kopertę. Nie śmiem się poruszyć ani o milimetr.

– Wiem, że nie ułożyło ci się z Jess – mówi wreszcie, podnosząc głowę. – Ale powinnaś wiedzieć, że twoja siostra jest dobrym człowiekiem. Jest uczciwa, pracowita i można na niej polegać. Na pewno wiele godzin zajęło jej przygotowanie dla nas tej płyty. Sama zaproponowała, że to zrobi, nie chcąc w zamian żadnych pieniędzy ani podziękowań. Powiedziałbym, że jest szczerze bezinteresowna. – Podchodzi do~ mnie z marsową miną. –

Mogłabyś się wiele nauczyć od swojej siostry.

Ze zdumienia robi mi się na przemian gorąco i zimno. Otwieram usta, by coś powiedzieć – ale nie wydostaje się z nich ani jedno słowo.

– Muszę lecieć. – Luke zerka na zegarek. – Pójdę po rzeczy. Wychodzi z kuchni. Stoję nadal niczym wrośnięta w ziemię.

– Wychodzę. – Pojawia się w drzwiach kuchni, trzymając walizkę. – Nie wiem jeszcze, kiedy wrócę.

– Luke... przepraszam. – Wreszcie odzyskuję głos, choć trochę drżący. – Przepraszam, że tak bardzo cię rozczarowałam. – Podnoszę głowę, starając się nie rozkleić. – Ale jeśli naprawdę chcesz wiedzieć... to ty mnie także rozczarowałeś. Zmieniłeś się. Podczas podróży poślubnej umiałeś się śmiać. Byłeś wesoły, wyluzowany i miły...

Nagle w mojej głowie pojawia się obraz Luke'a: siedzi na macie do jogi, ma rozjaśnione słońcem warkoczyki i kolczyk w uchu. Uśmiecha się do mnie w słońcu Sri Lanki. Przechyla się, by wziąć mnie za rękę.

Ogarnia mnie nieznośna tęsknota. Ten wyluzowany, szczęśliwy facet zupełnie nie przypomina spiętego mężczyzny, stojącego teraz przede mną.

Zmieniłeś się. – Czuję, jak po policzku spływa mi goraca łza. – Stałeś się taki, jak kiedyś. A obiecałeś mi, że już nigdy taki nie będziesz. – Ocieram szorstkim ruchem łzę. – Nie tak sobie wyobrażałam nasze małżeństwo. W kuchni zapada cisza.

– Ja też nie – odzywa się Luke. – Muszę już iść. Cześć, Becky.

Odwraca się, a po chwili słyszę trzask zamykanych drzwi.

Przetykam kilkakrotnie ślinę, starając się nie rozkleić. Ale łzy zaczęły mi już płynąć ciurkiem po policzkach. Drżą mi kolana. Osuwam się na podłogę i chowam twarz w dłoniach. Pojechał. I nawet mnie nie pocałował na pożegnanie.

Przez pewien czas w ogóle się nie ruszam. Siedzę na podłodze, obejmując ramionami kolana, i co jakiś czas ocieram rękawem oczy. Wreszcie łzy przestają płynąć. Biorę kilka głębokich oddechów i nieco się uspokajam. Nadal jednak czuję paskudne ściskanie w żołądku.

Nie minął nawet rok, a nasze małżeństwo wali się w gruzy.

Wreszcie podnoszę się z podłogi. Jestem cała zdrętwiała i półprzytomna. Powoli idę do cichego i pustego salonu, gdzie na środku dumnie stoi nasz rzeźbiony drewniany stół ze Sri Lanki.

Na jego widok znowu zaczyna mi się zbierać na płacz. Miałam tyle marzeń związanych z tym stołem. Miałam tyle marzeń dotyczących naszego życia małżeńskiego. Wszystkie te obrazy pchają się natrętnie do mojej głowy: blask świec, podaję pożywny gulasz, Luke uśmiecha się do mnie czule, wszyscy nasi przyjaciele siedzą wokół stołu...

Nagle ogarnia mnie obezwładniające, bez mała fizyczne pragnienie. Muszę porozmawiać z Zuzą. Muszę usłyszeć jej pełen współczucia głos. Ona będzie wiedziała, co zrobić. Zawsze wie.

Biegnę do telefonu i wystukuję numer.

– Halo? – pyta wysoki, damski głos... ale to nie Zuza.

– Cześć! – mówię, zaskoczona. – Z tej strony Becky! Czy to...

– Tu Lulu! Cześć, Becky! Co słychać?

– W porządku. Czy Zuza jest gdzieś w pobliżu?

– Właśnie wsadza bliźniaki do fotelików samochodowych! Jedziemy na piknik do Marsham House. Znasz to miejsce?

– Nie... – Pocieram czoło. – Nie znam.

– Naprawdę powinnaś tam pojechać! Cosmo, słonko! Nie na ogrodniczki! To fantastyczna rezydencja podlegająca Narodowemu Funduszowi na rzecz Renowacji Zabytków. No i wprost wymarzone miejsce dla dzieci. Jest tam farma motyli!

– Jasne – wykrztuszam z siebie. – Super.

– Przekażę, by do ciebie za chwilę oddzwoniła, dobrze?

– Dzięki – odpowiadam z ulgą. – Powiedz jej... Powiedz, że naprawdę muszę z nią porozmawiać.

Podchodzę powoli do okna, opieram czoło o szybę i gapię się na ulicę. Światła na rogu zmieniły się właśnie na czerwone i wszystkie samochody się zatrzymują. Światła ponownie zmieniają się na zielone i samochody odjeżdżają w pośpiechu. A potem znowu włącza się czerwone – i kolejne samochody hamują.

Zuza nie zadzwoniła. A minęło już więcej czasu niż chwila.

Ona nie zadzwoni. Żyje teraz w zupełnie innym świecie. W świecie ogrodniczek, pikników i farm motyli. Nie ma w nim miejsca dla mnie i moich głupich problemów.

Przyznaję, że jestem rozczarowana. Wiem, że Zuza i ja niezbyt dobrze się ostatnio dogadywałyśmy. Ale myślałam... naprawdę myślałam...

Przełykam ślinę.

Może zadzwonię do Danny'ego. Tyle że... Zostawiłam mu już jakieś sześć wiadomości, a on ani razu nie oddzwonił.

Nieważne. Mniejsza o to. Będę się po prostu musiała wziąć w garść i tyle.

Maszeruję z determinacją do kuchni. Zrobię teraz... najlepiej będzie, jak zrobię sobie herbatę. Tak. I na razie pozostanmy przy tym. Włączam czajnik, wrzucam torebkę herbaty do kubka i otwieram lodówkę.

Nie ma mleka.

Przez ułamek sekundy mam ochotę ponownie usiąść na podłodze i zacząć szlochać.

Ale zamiast tego biorę głęboki wdech i unoszę brodę. Świetnie. W takim razie pójdę do sklepu po mleko. Zrobię przy okazji drobne zakupy spożywcze. Dobrze mi zrobi świeże powietrze, a poza tym może chociaż na chwilę o wszystkim zapomnę.

Biorąc torebką, nakładam na usta błyszczczyk i wychodzę z mieszkania. Idę szybko ulicą, mijam dziwny sklep ze złotymi meblami i wchodzę na rogu do delikatesów.

Gdy już jestem w środku, trochę się uspokajam. Jest tutaj tak ciepło i miło – i przepysznie pachnie kawą i serem. Wszyscy sprzedawcy mają na sobie długie fartuchy w paski i wyglądają jak francuscy producenci serów.

Biorę do ręki wiklinowy kosz, udaję się do regału z nabiałem i wkładam dwa kartony mleka półtłustego. Wtedy mój wzrok pada na słoiczek greckiego jogurtu. Może kupię sobie

dla poprawy nastroju parę smakołyków. Wkładam jogurt do koszyka i dodaję jeszcze kilka opakowań musu czekoladowego. Następnie sięgam po prześliczny szklany słoik z wyśmienitymi wisienkami koktajlowymi.

To marnotrawienie pieniędzy, odzywa się w mojej głowie głos. Ty nawet nie lubisz tych wisienek.

Jest trochę podobny do głosu Jess. To dziwne. A poza tym naprawdę lubię te wisienki. Tak jakby.

Potrząsam z irytacją głową i wkładam słoik do koszyka, po czym przesuwam się do następnego regału i sięgam po minipizę z oliwkami i anchois.

Przeplacane śmieci, rozlega się głos. Mogłabyś ją sama zrobić w domu za dwadzieścia pensów.

Zamknij się! – wołam w duchu. Nie mogłabym. Odchrząń się.

Wkładam pizzę do koszyka i przesuwam się wzdłuż pozostałych regałów, dodając po drodze po łubiance białych brzoskwiń i miniaturowych gruszek, kilka rodzajów sera, trufle w ciemnej czekoladzie, francuski torcik truskawkowy...

Ale głos Jess wciąż rozbrzmiewa w mojej głowie i ani myśli zamilknąć.

Wyrzucasz pieniądze w błoto. A co z budżetem? Myślisz, że takie dogadzanie sobie sprawi, że Luke wróci?

– Przestań! – mówię głośno, doprowadzona do ostateczności.

Boże, zaczynam wariować. Wyzywającym gestem dorzucam do i tak już pełnego kosza trzy puszki rosyjskiego kawioru i chwiejnym krokiem udaję się do kasy. Stawiam kosz na ladzie i sięgam do torebki po kartę kredytową.

Dziewczyna za kasą zaczyna wypakowywać wszystkie zakupy i uśmiecha się do mnie.

– Ten torcik jest pyszny – mówi, ostrożnie pakując go do pudełka. – Białe brzoskwinie także. I kawior! – Wyraźnie jest pod wrażeniem. – Wydaje pani przyjęcie?

– Nie! – odpowiadam ze zdziwieniem. – Nie wydaję. Ja tylko... ja...

Ale nie jestem w stanie dokończyć.

Nieoczekiwanie czuję się jak idiotka. Patrzę na stertę głupiego, przeplaconego, luksusowego jedzenia, które piszczy podczas skanowania kodów kreskowych, i czuję, jak płonie mi twarz. Co ja robię? Po co ja to wszystko kupuję? Wcale tego nie potrzebuję. Jess ma rację.

Jess ma rację.

Na tę myśl krzywię się. Nie mam ochoty myśleć o Jess.

Ale nic nie mogę na to poradzić. Nie potrafię uciec przed myślami, przelatującymi przez moją głowę niczym stado olbrzymich czarnych kruków. Ni stąd, ni zowąd słyszę surowy głos Luke'a: *To dobry człowiek... Jest uczciwa, pracowita i można na niej polegać... Mogłabyś się wiele nauczyć od swojej siostry...*

Mogłabyś się wiele nauczyć od swojej siostry.

I nagle razi mnie to niczym piorun. Stoję wrośnięta w ziemię, kręci mi się w głowie, serce wali jak młotem.

O mój Boże! I o to właśnie chodzi.

To jest rozwiązanie.

– Razem sto trzydzieści funtów i siedemdziesiąt trzy penty – mówi z uśmiechem dziewczyna za ladą.

Patrzę się na nią, totalnie oszołomiona.

– Ja... ja muszę iść – jąkam się.

– Teraz.

– Ale pani zakupy!

– Nie są mi potrzebne.

Odwracam się i potykając się, wychodzę ze sklepu, wciąż ściskając w dłoni kartę kredytową. Wychodzę na chodnik i kilka razy głęboko oddycham.

Wszystko się wpasowało na swoje miejsce. Muszę jechać i uczyć się od Jess.

Jak Yoda.

Będę jej uczniem, a ona mnie nauczy sposobów oszczędzania i gospodarności. Pokaże mi, jak stać się dobrym człowiekiem. Człowiekiem, którego pragnie Luke. Dowiem się, jak uratować moje małżeństwo.

Zaczynam iść coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie ruszam biegiem. Ludzie gapią się na mnie, ale mam to gdzieś. Muszę jechać do Cumbrii. Natychmiast.

Biegnę przez całą drogę do domu i pokonuję schodami trzy piętra, aż wreszcie czuję, iż płuca zaraz mi eksplodują i że nie dam rady wejść wyżej. Siadam i przez kilka minut oddycham ciężko jak lokomotywa, a potem wsiadam do windy. Wpadam do mieszkania i biegnę do sypialni, gdzie wyciągam spod łóżka czerwoną walizkę na kółkach i zaczynam wrzucać do niej rzeczy na chybił trafił, tak jak to robią w telewizji. Tshirt... jakaś bielizna... para turkusowych szpilek z paseczkami wysadzonymi diamentami... Przecież nie ma znaczenia, co ze sobą zabieram, prawda? Muszę tam dotrzeć i zbudować pomost pomiędzy mną a Jess.

W końcu zatrzasnę walizkę i ściągam ją z łóżka. Narzucam na siebie marynarkę, ciągnę walizkę przez korytarz aż do podestu, po czym odwracam się i zamykam drzwi na dwa zamki. Obrzucam je ostatnim spojrzeniem – a następnie wchodzę do windy, podniesiona na duchu nowym, silnym postanowieniem. Od tej chwili wszystko się zmieni. Zaczynam nowe życie. Jadę, by się nauczyć, co w życiu jest naprawdę...

Kurczę. Zapomniałam serum do prostowania włosów.

Natychmiast wciskam przycisk „STOP”. Winda, która już-już miała ruszyć, jakoś tak delikatnie podskakuje, ale pozostaje na miejscu.

Nie mogę przecież jechać bez serum. I lakieru do włosów.

I balsamu do ust Kiehl. Dosłownie nie mogę bez niego żyć.

No dobrze, może jednak będę musiała na nowo przemyśleć tę całą strategię nie-ma-znaczenia-co-się-bierze.

Wychodzę pospiesznie z windy, otwieram drzwi i udaję się ~ do sypialni. Spod łóżka wyciągam jeszcze jedną walizkę, tę jaskrawozieloną, i ją też zaczynam pakować.

Myślę, że powinnam też zabrać dodatkowy krem nawilżający. I może któryś z nowych kapeluszy, na wypadek, gdybym została tam zaproszona na ślub. Wrzucam do walizki

mnóstwo innych ciuchów i podróznego tryktraka, na wypadek, gdybym się nudziła w pociągu (i znalazł się ktoś, kto mnie nauczy, jak się w to gra).

Wreszcie biorę do ręki torebkę Angel. Kiedy przyglądam się swemu odbiciu w lustrze, w mojej głowie bez ostrzeżenia rozlega się głos Luke'a:

Mam tylko nadzieję, że ta torebka była tego warta, Becky.

Nieruchomieję. Przez chwilę mam wrażenie, jakbym zaraz miała zwymiotować.

Przez chwilę mam ochotę zostawić ją w domu.

To byłoby doprawdy absurdalne. Jak mogę zostawić moją najcenniejszą rzecz?

Przerzucam ją przez ramię i przyglądam się jej, starając się przywołać pożądanie oraz podekscytowanie, które czułam, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. To przecież torebka Angel – powtarzam sobie. Mam na własność przedmiot największego kobiecego pożądania. Ludzie biją się o te torebki. Na całym świecie istnieją listy oczekujących.

Przestępuję z konsternacją z nogi na nogę. Dzisiaj wydaje się jakaś cięższa niż zwykle. To bardzo dziwne. Torebka nie może się przecież ot tak zrobić cięższa, prawda?

No tak. Włożyłam do niej ładowarkę do telefonu komórkowego. Oto powód.

No dobra. Wystarczy już tego. Zbieram się. I biorę ze sobą tę torebkę.

Zjeżdżam na parter i wychodzę z walizkami przed dom. Akurat przejeżdża wolna taksówka, więc podnoszę rękę. Pakuję do środka walizki, nagle nieco zdenerwowana tym, co zamierzam zrobić.

– Proszę na stację Euston – mówię do kierowcy lekko drżącym głosem. – Zamierzam pogodzić się z moją nieznaną, potem odnalezioną, a na końcu obrażoną siostrą.

Kierowca mierzy mnie spojrzeniem bez wyrazu.

– Mam podjechać do tylnego wejścia, skarbie?

No, wiecie co. Można by sądzić, że kierowcy taksówek są nieco bardziej wrażliwi. Że uczą się tego w szkole dla taksówkarzy.

Nie ma zbyt wielkiego ruchu, więc w dziesięć minut dojeżdżamy na miejsce. Kiedy kuśtykam w stronę kasy biletowej, ciągnąc za sobą walizki, czuję się, jakbym grała w starym, czarnobiałym filmie. Wszędzie powinny być kłęby pary i rozlegać się głośnie gwizdy pociągów, a ja powinnam być ubrana w doskonale skrojoną garsonkę z tweedu i w futrzaną etolę, a włosy mieć ułożone w hollywoodzkie fale.

– Poproszę bilet do Cumbrii – mówię głosem nabrzmiałym od emocji i kładę w okienku banknot pięćdziesięciofuntowy.

W tym właśnie momencie powinien mnie dostrzec mężczyzna z zapadniętymi policzkami i zaprosić na drinka albo wydostać pyłek z mego oka. Zamiast tego kobieta w pomarańczowym uniformie patrzy na mnie jak na kretynekę.

– Do Cumbrii? – pyta. – Ale dokąd konkretnie?

Och. No właśnie. Czy przez wieś Jess w ogóle biegnie linia kolejowa?

Nagle przypomina mi się, że kiedy pierwszy raz spotkałam Jess, mówiła, iż przyjechała z...

– North Coggenthwaite. Poproszę bilet w obie strony. Ale nie wiem jeszcze, kiedy wrócę.

– Posyłam kasjerce drżący uśmiech. – Zamierzam pogodzić się z moją zaginioną, potem

odnalezioną...

– Sto siedemdziesiąt siedem funtów – przerywa mi obojętnie.

Że co? Ile? Za takie pieniądze mogłabym polecieć do Paryża.

– Proszę bardzo – mówię, podając jej część pieniędzy za budziki od Tiffany’ego.

– Peron dziewiąty. Pociąg odjeżdża za pięć minut.

– Jasne. Dzięki.

Odwracam się i ruszam szybkim krokiem przez halę na peron dziewiąty. Ale kiedy dostrzegam potężny pociąg Intercity, mój pewny siebie krok staje się nieco wolniejszy. Wokół mnie tłoczą się ludzie, ściskają się z przyjaciółmi, dźwigają bagaże i trzaskają drzwiami w wagonach.

Zatrzymuję się. Mocno wali mi serce, a zaciśnięte wokół uchwytów walizek dłonie wilgotnieją. Do tej pory to wszystko mogło przypominać grę, ale to nie jest gra. To rzeczywistość. I jakoś trudno mi uwierzyć, że naprawdę zamierzam to zrobić.

Czy naprawdę chcę pojechać setki kilometrów w jakieś nieznane mi miejsce, by spotkać się z siostrą, która mnie szczerze nienawidzi?

O mój Boże! Jestem na miejscu.

Po pięciu godzinach podróży znalazłam się wreszcie w Cumbrii, we wsi Jess. Jestem na północy!

Idę sobie właśnie główną ulicą Scully – jest tutaj tak malowniczo! Dokładnie tak, jak opisywał Gary. Po obu stronach drogi stoją stare domy z kamienia z pokrytymi łupkiem dachami. Za domami rozciągają się strome skaliste wzgórza z wystającymi skałami. Pasą się na nich owce. A nad wszystkim góruje potężne wzgórze, które właściwie można nazwać górą.

Kiedy mijam uroczy mały domek z kamienia, dostrzegam, jak porusza się firanka i ktoś mi się przygląda. Rzeczywiście rzucam się nieco w oczy z tymi kolorowymi walizkami. Kółka toczą się z hałasem po drodze, a z każdym moim krokiem pudełko z kapeluszem podskakuje w górę i w dół. Kiedy przechodzę obok ławki, dwie starsze panie we wzorzystych sukniach i rozpinanych swetrach mierzą mnie podejrzliwie wzrokiem. Widzę, jak jedna z nich pokazuje na moje różowe buty z zamszu. Posyłam im przyjacielski uśmiech i już-już mam powiedzieć: „Kupiłam je w Barneys!”, kiedy obie wstają i odchodzą, powłócząc nogami i co chwila oglądając się na mnie. Idę kilka kroków dalej, po czym się zatrzymuję, lekko dysząc.

Całkiem tu górzycie, no nie? Nie, żebym miała coś przeciwko wzgórzom. Dla mnie to żaden problem.

Tak czy inaczej mogę poświęcić kilka chwil na podziwianie widoków, a tymczasem wyrówna mi się oddech. Taksówkarz chciał mnie zawieźć prosto pod drzwi, ale wolałam ostatnią część drogi przebyć pieszo, by nieco uspokoić skołatane nerwy. Ukradkiem pociągam niewielki łyk wódki z miniaturowej butelki, którą kupiłam w pociągu. Zaczynam czuć treść na myśl o ponownym spotkaniu z Jess. To absurdalne, ponieważ miałam w pociągu kilka godzin na odpowiednie przygotowanie się.

Udało mi się nawet uzyskać pomoc prawdziwych ekspertów! Zajrzałam do wagonu restauracyjnego i zamówiłam krwawą mary – tak tylko dla kurażu – a tam siedziała, pijąc wino i paląc, grupa aktorów jadących na gościnne występy w sztuce Szekspira *Hemyk V*. Wywiązała się między nami rozmowa. Opowiedziałam im całą historię i wyznałam, że jadę, by spróbować pogodzić się z Jess. A ich dosłownie ogarnęło szaleństwo! Powiedzieli, że to historia jakby żywcem wzięta z *Króla Leara*, i zamówili kilka następnych kolejek krwawej mary. Upierali się też, by przygotować razem ze mną odpowiednią przemowę.

Nie jestem pewna, czy zrobię wszystko, co mi zasugerowali. Na przykład raczej nie będę rwać włosów z głowy czy wbijać sobie w brzuch atrapy sztyletu. Ale wiele ich rad było naprawdę pomocnych! Na przykład to, by nigdy nie stawać za drugim aktorem, aby nie musiał się on odwrócić tyłem do publiczności. Zgodnie przyznali, że to najgorsze, co mogłabym uczynić mojej siostrze. Jeśli tak zrobię, szansa na pogodzenie spadnie do zera i, szczerze mówiąc, nie będzie można za to winić Jess. Oznajmiłam im, że tam wcale nie będzie publiczności, na co odparli, że bzdura i na pewno zgromadzi się spory tłum.

Wiatr rozwiewa mi włosy na wszystkie strony i czuję, jak w tym ostrym północnym

powietrzu pierzchną mi usta, więc smaruję je balsamem. Następnie, z bolesnym ukłuciem w sercu, po raz tysięczny sięgam po komórkę, by sprawdzić, czy dzwonił Luke. Ale w ogóle nie ma sygnału. Widocznie jesteśmy poza zasięgiem. Przez chwilę wpatruję się z głupią nadzieją w mały, pusty wyświetlacz. Skoro tu nie ma zasięgu, to może próbował się dodzwonić! Może dzwoni do mnie właśnie w tej chwili, tylko nie może się połączyć...

Ale w głębi duszy wiem, że to nieprawda. Od jego wyjścia minęło sześć godzin. Gdyby rzeczywiście chciał zadzwonić, nie czekałby aż do tej pory.

Robi mi się niedobrze, gdy przywołuję w pamięci tę scenę. Ostry głos Luke'a. To, jak na mnie patrzył tuż przed wyjściem – z rozczarowaniem i pewnego rodzaju znużeniem. Te wszystkie słowa, które wypowiedział. Nasza kłótnia przez cały dzień odbija się echem w moich myślach i teraz dosłownie pęka mi głowa.

Ku memu przerażeniu w oczach nagle pojawiają mi się łzy. Mrugam kilkakrotnie, by je powstrzymać, i głośno pociągam nosem. Żadnych łez. Wszystko będzie dobrze. Zamierzam się zmienić i stać się zupełnie innym człowiekiem. Luke w ogóle mnie nie pozna.

Z determinacją ponownie zaczynam ciągnąć walizki w górę wzgórze, aż wreszcie docieram do rogu ulicy Hill Rise. Zatrzymuję się i przyglądam szeregowym domkom z szarego kamienia. Muszę przyznać, że trochę się boję. Oto ulica Jess. Mieszka w jednym z tych domów!

Sięgam do kieszeni, by sprawdzić numer, kiedy dostrzegam jakiś ruch w oknie na piętrze, kilka domów dalej. Podnoszę głowę – a to i Jess! Stoi w oknie i patrzy na mnie z wyrazem osłupienia na twarzy.

Pomimo wszystkiego, co między nami zaszło, na widok jej znajomej twarzy zalewa mnie fala ciepłych uczuć. To przecież moja siostra. Zaczynam biec w kierunku jej domu, walizki dudnią za mną, a pudło z kapeluszem rytmicznie podskakuje. Bez tchu już już mam zapukać kołatką, kiedy drzwi się otwierają. Przedemną stoi Jess, ubrana w jasnobrązowe sztruksy i bluzę. Oczy ma szeroko otwarte ze zdumienia.

– Becky... co ty, u diabła, tutaj robisz?

– Pragnę się od ciebie uczyć – mówię drżącym głosem i unoszę błagalnie ręce, jak kazali mi ci aktorzy. – Przyjechałam, by zostać twoją uczennicą.

– Że co? – Z przerażeniem robi krok w tył. – Becky, czy ty coś piłaś?

– Nie! To znaczy tak. Kilka krwawych mary... ale nie jestem pijana, naprawdę! Jess, chcę być dobrym człowiekiem. – Słowa wydostają się z moich ust niepohamowanym strumieniem.

– Pragnę się od ciebie uczyć. I poznać cię lepiej. Wiem, że popełniłam w życiu wiele błędów... ale chcę się na nich uczyć. Chcę być taka jak ty.

Zapada złowieszczą cisza. Jess bacznie mi się przygląda.

– Chcesz być taka jak ja? – pyta. – Sądziłam, że jestem „żałosną krową i kutwą”, Becky.

Cholera. Miałam nadzieję, że może zdążyła już o tym zapomnieć.

– Eee... naprawdę przepraszam, że tak powiedziałam – bąkam zmieszana. – Nie miałam wcale tego na myśli.

Jess nie wygląda na zbyt przekonaną. Szybko wracam myślami do instrukcji usłyszanych w pociągu.

– Czas zaleczył rany pomiędzy nami... – zaczynam, sięgając po jej dłoń.
– Wcale nie! – Odsuwa się. – I muszę przyznać, że masz tupet, przyjeżdżając tutaj.
– Aleja cię proszę, byś mi pomogła jako moja siostra! – wołam z desperacją w głosie. – Chcę się od ciebie uczyć! Ty jesteś Yoda, a ja...

– Yoda? – Jej oczy rozszerzają się z niedowierzaniem.

– Nie wyglądasz jak Yoda – dodaję pospiesznie. – W żadnym razie! Chciałam tylko...

– Aleja nie jestem zainteresowana, Becky – przerywa mi Jess. – Ani tobą, ani twoim najnowszym idiotycznym pomysłem. Daj mi spokój.

Zatraskuje drzwi, a ja wpatrują się w nie z osłupieniem. Jess zamknęła mi drzwi przed nosem? Mnie, swej siostrze?

– Aleja przyjechałam tutaj aż z Londynu! – wołam przez drzwi.

Odpowiada mi cisza.

Nie mogę się poddać. Nie tak od razu.

– Jess! – Zaczynam walić w drzwi. – Musisz mnie wpuścić! Błagam! Wiem, że były między nami nieporozumienia...

– Daj mi święty spokój! – Drzwi otwierają się gwałtownie i ponownie stają w nich Jess. Ale tym razem nie wygląda jedynie wrogo. Sprawia wrażenie wręcz wściekłej. – Becky, to nie tylko kwestia nieporozumień między nami! My się po prostu od siebie różnimy jak dzień od nocy. Nie mam dla ciebie czasu. Szczerze mówiąc, żałuję, że cię w ogóle poznałam. I naprawdę nie mam pojęcia, co ty tutaj robisz.

– Ty nic nie rozumiesz – mówię szybko, zanim znowu zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. – Wszystko się pochrzało. Luke i ja się pokłóciliśmy. Zrobiłam... zrobiłam coś głupiego.

– A to mi niespodzianka. – Jess krzyżuje ramiona.

– Wiem, że sama do tego doprowadziłam. – Zaczyna mi się łamać głos. – Wiem, że to tylko i wyłącznie moja wina. Ale myślę, że nasze małżeństwo znalazło się w prawdziwych tarapatach. Naprawdę.

Kiedy wypowiadam te słowa, czuję, jak do oczu ponownie napływają mi łzy. Mrugam, starając się powstrzymać.

– Jess... proszę, pomóż mi. Jesteś jedyną osobą, która mi przychodzi do głowy. Gdybym się od ciebie nauczyła gospodarności, wtedy Luke zmieniłby o mnie zdanie. On cię lubi. – Ścisną mnie w gardle, ale zmuszam się, by na nią spojrzeć. – Lubi ciebie bardziej niż mnie.

Potrzęsa głową, ale nie wiem, czy dlatego, iż mi nie wierzy, czy że nic ją to nie obchodzi.

– Kto to, Jess? – rozlega się głos z głębi domu i w drzwiach pojawia się druga dziewczyna. Ma proste włosy mysiego koloru, na nosie okulary, a w ręku trzyma arkusz papieru kancelaryjnego. – Czy to znowu świadek Jehowy?

– Nie jestem świadkiem Jehowy! – mówię. – Jestem siostrą Jess!

– Siostrą Jess? – Dziewczyna patrzy na mnie ze zdumieniem, a jej spojrzenie prześlizguje się po moim stroju, butach i dwóch walizkach. – Już wiem, o co ci chodzi – mówi do Jess i nieco ścisza głos. – Rzeczywiście wygląda na lekko szurniętą.

Szurniętą?

– Nie jestem szurniętą! – odparowuję. – A poza tym to nie ma nic wspólnego z tobą.

Jess...

– Becky, jedź do domu – przerywa mi Jess.

– Ale...

– Nie rozumiesz po angielsku? Jedź do domu! – Macha ręką, jakby przeganiała psa.

– Ale... ale ja jestem twoją rodziną! – Głos ponownie zaczyna mi drżeć. – A rodzina sobie pomaga! Rodzina troszczy się o siebie nawzajem. Jess, jestem twoją siostrą!

– To akurat nie moja wina – odpowiada szorstko. – Nigdy się nie prosiłam o to, by być twoją siostrą. Do widzenia, Becky.

Ponownie zatraskuje drzwi, tym razem tak mocno, że aż podskakuję. Unoszę rękę, by znowu zapukać – po czym ją opuszczam. Chyba nie ma to sensu, no nie?

Przez chwilę stoję na progu, gapiąc się na pomalowane brązową farbą drzwi. Potem powoli się odwracam i odchodzę, ciągnąc za sobą z hałasem walizki.

I co ja mam teraz zrobić?

Myśl o tym, by wracać do domu, jest nie do zniesienia. Jechać tyle godzin – i po co? By znaleźć się w pustym mieszkaniu?

W pustym mieszkaniu, w którym nie ma męża.

Na myśl o Luke’u po policzkach zaczynają mi płynąć Izy i wydaję z siebie głośne chlipnięcie, a za chwilę następne. Kiedy dochodzę do rogu, dwie kobiety z wózkami przyglądają mi się z ciekawością, ale nie zwracam na nie uwagi. Makijaż na pewno koszmarnie mi się porozmazywał... a nie mam nawet wolnej ręki, by wyjąć chusteczkę, więc muszę pociągać nosem... muszę się zatrzymać. Muszę się doprowadzić do jakiego takiego porządku.

Po mojej lewej stronie rozciągają się błonia. Na ich środku stoi drewniana ławka. Ruszam w jej kierunku. Puszczam walizki i osuwam się na nią. Chowam głowę w dłoniach i pozwalam płynąć nowemu strumieniowi łez.

Oto jestem setki kilometrów od domu, zupełnie sama i nikt nie chce mnie znać. I to wszystko tylko i wyłącznie moja wina. Wszystko schrzaniłam.

A Luke już nigdy nie będzie mnie kochał.

Drżą mi ramiona. Właśnie próbuję zaczerpnąć tchu, kiedy nad moją głowę rozlega się męski głos.

– No już, już. Co się stało?

Podnoszę zapuchniętą od płaczu twarz i widzę przyglądającego mi się mężczyznę w średnim wieku, ubranego w sztruksy i zieloną bluzę. Patrzy na mnie z dezaprobatą i jednocześnie troską.

– Czy to już koniec świata? – pyta szorstko. – Starsi ludzie próbują się właśnie zdrzemnąć. – Wskazuje gestem na domki wokół błoni. – Robi pani tyle hałasu, że aż owce wpadły w panikę.

Pokazuje na wzgórze, skąd – żeby nie było wątpliwości – kilka owiec przygląda mi się z ciekawością.

– Bardzo przepraszam, że zakłócam spokój – udaje mi się wykrztusić. – Ale wszystko mi się w życiu pochrzało.

– Sprzeczką z chłopakiem – oświadcza, jakby to było z góry przesądzone.

– Nie, jestem mężatką. Ale moje małżeństwo jest w tarapatkach. Prawdę mówiąc, sędzę, że to może być już koniec. Przyjechałam aż tutaj, by się spotkać z siostrą, ale ona nawet nie chce ze mną porozmawiać... – Czuję, jak po moich policzkach spływa nowy strumień łez. – Moi rodzice popłynęli sobie w rejs terapeutyczny, mąż poleciał na Cypr z Nathanem Temple'em, a moja najlepsza przyjaciółka lubi kogoś innego bardziej ode mnie, i nie mam z kim porozmawiać. I już sama nie wiem, dokąd mam teraz pójść! Naprawdę nie mam pojęcia, dokąd pójść, kiedy już wstanę z tej ławki...

Wydaję z siebie głośne czknięcie, sięgam po chusteczkę i ocieram wilgotne oczy. Następnie podnoszę głowę. Mężczyzna przygląda mi się, lekko oszołomiony.

– Wiesz co, słonko – odzywa się nieco uprzejmiej. – Co byś powiedziała na filiżankę herbaty?

– Z największą przyjemnością – odpowiadam drżącym głosem. – Bardzo panu dziękuję.

Mężczyzna idzie przez błonia, niosąc obie walizki, jakby ważyły tyle co nic, a ja kuśtykam za nim razem z pudełkiem z kapeluszem.

– A tak przy okazji, jestem Jim – mówi przez ramię.

– A ja Becky. – Wydmuchuję nos. – To naprawdę miłe z twojej strony. Chciałam sobie zrobić herbatę w Londynie, ale skończyło mi się mleko. Tak właściwie... częściowo dlatego się tutaj znalazłam.

– Przejechałaś kawał drogi, żeby się napić herbaty – zauważa sucho.

To było zaledwie dzisiaj rano, uświadamiam sobie nagle. A wydaje się, jakby się to działo z milion lat temu.

– W każdym razie na pewno nie zabraknie nam mleka – dodaje, kierując się ku domowi, nad którego drzwiami widnieją czarne litery, tworzące napis: Sklepik Scully. Kiedy wchodzimy, rozlega się dzwonek, a gdzieś z głębi dobiega szczekanie psa.

– Och. – Rozglądam się z zainteresowaniem. – To sklep!

– To nie jakiś tam sklep – oświadcza Jim. Odstawia moje walizki i delikatnie odciąga mnie z wycieraczki, dzięki czemu cichnie dzwonek. – Jest w naszej rodzinie od pięćdziesięciu pięciu lat.

– O rety. – Rozglądam się po przytulnym wnętrzu. Znajdują się w nim regały ze świeżym chlebem, półki z poustawianymi równo słoikami i pudełeczkami, staromodne puszki ze słodyczami oraz wydzielony regał z pocztówkami i upominkami. – Tu jest ślicznie! Więc... ty się nazywasz Scully?

Jim obrzuca mnie nieco dziwnym spojrzeniem.

– Scully to nazwa tej wsi, słonko.

– No tak. – Rumienię się. – Zapomniałam.

– Nazywam się Smith. Sędzę, że ta herbata dobrze ci zrobi. Kelly?! – woła głośno.

Chwilę później w drzwiach prowadzących na zaplecze pojawia się dziewczyna. Ma około trzynastu lat, jest chuda, a cienkie włosy związała w koński ogon. Ma starannie wymalowane oczy i trzyma w dłoni magazyn „Heat”.

– Pilnowałam sklepu, naprawdę, tato – oświadcza natychmiast. – Poszłam tylko na górę

po gazetę.

– W porządku, słonko. Chciałbym, żebyś zrobiła dla tej pani herbatę. Jest trochę... rozstrojona.

– Jasne.

Kelly przygląda mi się z nieskrywaną ciekawością, po czym ponownie znika na zapleczu, a ja nagle uświadamiam sobie, że muszę wyglądać jak prawdziwe straszdyło.

– Chcesz sobie usiąść? – pyta Jim i przysuwa mi krzesło.

– Dzięki – odpowiadam z wdzięcznością.

Kładę na ziemi pudło z kapeluszem i sięgam do torebki po kosmetyczką. Otwieram lusterko i przeglądam się w nim – o Boże, jeszcze nigdy w życiu nie wyglądałam tak koszmarnie. Nos mam czerwony, oczy nabiegłe krwią, eyeliner rozmazał się tak, że wyglądam jak panda, turkusowy cień „dwudziestoczwierogodzinny blask twoich oczu” w jakiś sposób przemieścił się aż na policzek.

Szybko wyjmuję chusteczkę do demakijażu i wycieram wszystko, aż wreszcie w lusterku odbija się smutno moja różowitka twarz. Mam ochotę, by tak to zostawić. Po co mam się teraz malować? Jaki to ma sens, skoro moje małżeństwo jest skończone?

– Proszę bardzo. – Na ladzie przede mną pojawia się parujący kubek z herbatą.

Podnoszę wzrok i widzę, że Kelly przygląda mi się z ciekawością.

– Dziękuję ci bardzo – mówię, a głos nadal mi lekko drży. – Jesteś naprawdę kochana.

– Żaden kłopot – odpowiada.

Przelykam pierwszy przepyszny łyk. Boże, herbata rzeczywiście jest lekarstwem na wszystko.

– Czy to... – Podnoszę głowę i widzę, że Kelly wpatruje się w moją torebkę oczami wielkimi jak spodki. – Czy to... prawdziwa torebka Angel?

W środku cała się wzdrygam, co udaje mi się zatuszować bladym uśmiechem.

– Tak. To prawdziwa torebka Angel.

– Tato, ona ma torebkę Angel! – woła do Jima, który wypakowuje właśnie z kartonu torebki z cukrem. – Pokazywałam ci je w „Glamour”! – Jej oczy błyszczą z podekscytowania. – Mają je wszystkie gwiazdy filmowe! W Harrodzie już dawno wszystkie wyprzedano. Gdzie ją kupiłaś?

– W... Mediolanie – odpowiadam po chwili przerwy.

– W Mediolanie! – zachłystuje się Kelly. – Ale super! – Teraz jej spojrzenie pada na zawartość mojej kosmetyczki. – Czy to błyszczący Stila?

– Eee... tak.

– Emily Masters ma taki – mówi tęsknym głosem. – Zadziera nosa, że nie wiem.

Patrzę na jej błyszczące oczy, zaróżowione policzki i nagle pragnę mieć znowu trzynaście lat. Chodzić w sobotę do sklepów i wydawać kieszonkowe. I nie musieć się martwić o nic z wyjątkiem pracy domowej z biologii i tego, czy podobam się Jamesowi Fullertonowi.

– Wiesz co... weź to sobie – mówię, szukając w kosmetyczce zupełnie nowego błyszczyku Stila o smaku grejpfrutowym. – I tak go nie będę używać.

– Naprawdę? Jesteś pewna?

– Chcesz też może ten róż w kremie? – Podaję jej pudełeczko. – To wcale nie znaczy, byś potrzebowała różu...

– Ekstra!

– Hej, chwileczkę – rozlega się głos Jima. – Kelly, nie możesz zabierać tej pani kosmetyków. – Potrząsa głową. – Oddaj je, słonko.

– Ale to ona mi je zaproponowała, tato! – mówi Kelly, a jej mlecznobiała skóra zaczyna się robić różowa. – Ja nie prosiłam o nie...

– To prawda, Jim. Kelly może je sobie wziąć. Nigdy nie będę tego używać. – Śmieję się trochę niepewnie. – Kupiłam je tylko dlatego, że dostawało się gratisowe perfumy, jeśli wydało się więcej niż osiemdziesiąt funtów...

Nagle w moich oczach ponownie pojawiają się łzy. Boże, Jess ma rację. Rzeczywiście jestem dziwadłem.

– Dobrze się czujesz? – pyta czujnie Kelly. – Weź je z powrotem...

– Nie, wszystko w porządku. – Zmuszam się do uśmiechu. – Po prostu muszę... pomyśleć o czymś innym.

Wycieram chusteczką oczy, wstaję z krzesła i wlokę się do regału z upominkami. Skoro już tu jestem, równie dobrze mogę kupić kilka pamiątek. Wybieram stojak na fajki dla taty i malowaną drewnianą tacę, która na pewno spodoba się mamie. Właśnie przyglądam się szklanemu modelowi jeziora Windermere i zastanawiam się, czy wziąć go dla Janice, kiedy przez okno dostrzegam stojące przed sklepem dwie kobiety. Po chwili dołącza do nich trzecia.

– Na co one czekają? – pytam z konsternacją.

– Na to – odpowiada Jim.

Zerka na zegarek, po czym wywiesza kartkę: „Dzisiejszy chleb za pół ceny”.

Kobiety natychmiast wchodzą do sklepu.

– Poproszę dwa duże bochenki, Jim – mówi ta, która ma siwe włosy i beżowy płaszcz przeciwdeszczowy. – Masz też przecenione croissanty?

– Nie dzisiaj. Wszystkie są w normalnej cenie.

– Och. – Zastanawia się przez chwilę. – Nie, dziękuję.

– A ja poproszę trzy duże razowce – wtrąca się druga kobieta w zielonej chustce na głowie. – Kto to jest? – Pokazuje na mnie palcem. – Widziałyśmy cię, jak płakałaś na błoniach. Jesteś turystką?

– Oni tu się zawsze gubią – oświadcza pierwsza kobieta. – W którym hotelu mieszkasz, skarbie? Czy ona mówi po angielsku? *Speke Inglese?*

– Wygląda na Dunkę – odzywa się ze znanstwem trzecia kobieta. – Kto z was zna duński?

– Jestem Angielką – odzywam się. – I nie zgubiłam się. Byłam zdenerwowana, bo... – Przełykam z trudem ślinę. – Bo moje małżeństwo jest w tarapatkach. Przyjechałam aż tutaj, by prosić moją siostrę o pomoc, ale mi odmówiła.

– Twoja siostra? – pyta podejrzliwie kobieta w chustce na głowie. – To znaczy kto?

– Mieszka w tej wsi. – Przełykam herbatę. – Nazywa się Jessica Bertram.

Zapada grobowa cisza. Kobiety wyglądają tak, jakby dostały po głowie młotkiem. Widzę,

że Jimowi dosłownie opadła szczęka.

– Jesteś siostrą Jess? – pyta.

– Cóż... owszem. Przyrodnią siostrą.

Rozglądam się po milczącym sklepie – ale nikt się nie ruszył. Wszyscy nadal gapią się na mnie, jakbym była kosmitką.

– Wiem, że nie jesteśmy do siebie zbyt podobne... – zaczynam.

– Ona powiedziała, że jesteś wariatką – oświadcza otwarcie Kelly.

– Kelly! – gromi ją Jim.

– Słucham? Co ona powiedziała?

– Nic! – odpowiada Jim, posyłając córce ostrzegawcze spojrzenie.

– Wszyscy wiedzieliśmy, że jedzie się spotkać z nieznaną siostrą – wyjaśnia Kelly, ignorując go. – A kiedy wróciła, powiedziała, że jesteś szalona. Przepraszam, tato, ale taka jest prawda!

Czuję, jak na moich policzkach wykwita jaskrawoczerwony rumieniec.

– Nie jestem szalona! – mówię. – Jestem normalna! Ja tylko... trochę się różnię od Jess. Lubimy inne rzeczy. Ona lubi skały. A ja... sklepy.

Wszyscy przyglądają mi się z ciekawością.

– A więc ciebie nie interesują skały? – pyta kobieta w chustce na głowie.

– Nieszczególnie – przyznaję. – Prawdę mówiąc... to nas nieco poróżniło.

– Co się stało? – pyta ze zniecierpliwieniem Kelly.

– Cóż... – Przesuwam z zakłopotaniem stopą po podłodze. – Powiedziałam Jess, że nigdy w życiu nie słyszałam o nudniejszym hobby niż skały i że pasuje ono do niej.

Słychać zbiorowe westchnienie przerażenia.

– Nie powinnaś tak mówić o skałach do Jess – odzywa się kobieta w beżowym płaszczu, potrząsając głową. – Ona tak je kocha.

– Jess to dobra dziewczyna – wtrąca siwowłosa kobieta, obrzucając mnie surowym spojrzeniem. – Silna. Można na niej polegać. Byłaby bardzo dobrą siostrą.

– Najlepszą z możliwych. – Kiwa głową kobieta w zielonej chustce.

Widząc ich pełne wyrzutu spojrzenia, przyjmują pozycję obronną.

– To nie moja wina! Ja chcę się z nią pogodzić! Ale ona wcale nie ma ochoty być moją siostrą! Sama nie wiem, jak wszystko mogło się tak pochrzanić. Tak bardzo chciałam, żebyśmy się zaprzyjaźniły. Wymyśliłam na wspólny weekend tyle rzeczy, ale jej nic się nie podobało. Wszystko krytykowała. Skończyło się to ogromną awanturą... a ja jej powiedziałam...

– Co powiedziałaś? – pyta gorączkowo Kelly.

– Cóż... – Pocieram nos. – Powiedziałam, że jest żałosna. I naprawdę nudna...

Rozlega się kolejne zbiorowe westchnienie. Kelly wygląda na oniemiałą z przerażenia i unosi dłoń, jakby chciała mnie powstrzymać. Aleja nie chcą przestać. To jest dla mnie swego rodzaju *katharsis*. Kiedy już zaczęłam, pragnę się przyznać do wszystkiego.

– ... i że nigdy w życiu nie spotkałam takiego skąpiradła jak ona – kontynuuję, sprowokowana ich przerażonymi twarzami. – Że zupełnie nie ma gustu i że musiano jej w

przeszłości wszczepić bajpasy na radość...

Urywam, ale tym razem nie słysząc westchnienia. Wszyscy sprawiają wrażenie dosłownie skamieniałych.

Nagle uświadamiam sobie, że dociera do mnie dźwięk dzwonka. Prawdą mówiąc, słysząc go już od dobrych kilku sekund. Bardzo powoli się odwracam.

I czuję, jak wzdłuż kręgosłupa przejeżdża mi lodowata dłoń.

W drzwiach stoi Jess, a jej twarz jest bardzo blada.

– Jess! – zaczynam bełkotać. – Boże, Jess! Ja nie... ja wcale nie chciałam tego... ja tylko wyjaśniałam...

– Dowiedziałam się, że tutaj jesteś – mówi, a słowa wydostają się z jej ust z wyraźnym trudem. – Przyszłam zobaczyć, czy wszystko w porządku. Sprawdzić, czy nie potrzebujesz noclegu. Ale... chyba zmieniłam zdanie. – Patrzy mi prosto w oczy. – Wiedziałam, że jesteś płytka i zepsuta, Becky. Nie zdawałam sobie tylko sprawy z tego, że jesteś także dwulicową suką.

Odwraca się i wychodzi, trzaskając za sobą drzwiami.

Policzki Kelly są jaskrawoczerwone, a Jim się krzywi. Panujące w sklepie zakłopotanie jest dosłownie namacalne.

Kobieta w zielonej chustce krzyżuje ramiona.

– Cóż – mówi. – Doigrałaś się, no nie, słonko?

Jestem w totalnym szoku.

Przyjechałam tutaj, by pogodzić się z Jess – a jeszcze bardziej wszystko spieprzyłam.

– Proszę bardzo, słonko – mówi Jim, stawiając przede mną kubek ze świeżo zaparzoną herbatą. – Trzy łyżeczki cukru.

Trzy kobiety także piją herbatę, a Jim przyniósł nawet jakieś ciasto. Mam wrażenie, że czekają, aż zrobię jeszcze coś, co mogłoby stanowić dla nich rozrywkę.

– Nie jestem dwulicową suką – odzywam się z rozpaczą i przetykam herbatę. – Słowo! Jestem miła! Przyjechałam tutaj, by zbudować mosty! To znaczy wiem, że ja i Jess niezbyt dobrze się dogadujemy, ale chciałam się od niej uczyć. Pomyślałam, że mogłaby mi pomóc uratować moje małżeństwo...

I znowu rozlega się zbiorowe westchnienie.

– Czy jej małżeństwo jest także w opałach? – pyta Jima kobieta w zielonej chustce i cmoka. – O rety, rety!

– Nieszczęścia chodzą parami – grzmi smętnie jej siwowłosa towarzyszka. – Uciekł z kochanicą, co?

Jim rzuca mi spojrzenie, po czym pochyla się w stronę kobiet i zniża głos.

– Podobno poleciał na Cypr z mężczyzną o imieniu Nathan.

– Och. – Oczy siwowłosej kobiety stają się okrągłe niczym spodki. – Och, rozumiem.

– I co zamierzasz teraz zrobić, Becky? – pyta Kelly, zagryzając wargę.

Jechać do domu – przebiega mi przez myśl. Poddać się.

Ale przed oczami mam wciąż bladą twarz Jess, a w sercu czuję bolesne klucie. Wiem, jak to jest, kiedy ktoś ci obrabia tyłek. W swoim czasie sporo tego doświadczyłam. Przypomina

mi się Długonoga Suka Alicja, najbardziej złośliwa i przebrzydła dziewczyna, jaką znam.

Nie mogę znieść tego, iż moja własna siostra uważa mnie za taką samą jak ona.

– Muszę przeprosić Jess – oświadczam, podnosząc wzrok. – Wiem, że nigdy nie będziemy przyjaciółkami. Ale nie mogę jechać do domu i pozwolić, by uważała mnie za sukę.

– Pociągam łyk gorącej herbaty. – Czy jest w okolicy jakieś miejsce, gdzie mogłabym przenocować?

– Edie ma pensjonat – mówi Jim, wskazując na kobietę w chustce. – Są u ciebie wolne pokoje, Edie?

Kobieta sięga do dużej brązowej torby i wyjmuję z niej notes.

– Masz szczęście – mówi po chwili. – Jest akurat jeden wolny pokój.

– Edie dobrze się tobą zaopiekuje – mówi Jim.

Jest taki miły, że znowu zaczyna mi się zbierać na płacz.

– Mogłabym go wynająć na dzisiejszą noc? – pytam, ocierając oczy. – Dziękuję bardzo. – Pociągam kolejny łyk herbaty i wtedy dostrzegam mój kubek. Jest niebieski z ręcznie namalowanym białym napisem „Scully”. – Ładny – przetykam ślinę. – Masz je na sprzedaż?

– Na regale z tyłu – odpowiada Jim, patrząc na mnie z rozbawieniem.

– Poproszę w takim razie dwa. To znaczy cztery. – Sięgam po chusteczkę i wydmuchuję nos. – I chciałam wam... podziękować. Jesteście wszyscy tacy mili.

Pensjonat to duży biały dom dokładnie po drugiej stronie błoni. Jim niesie mi walizki, ja pudło z kapeluszem i reklamówkę z pamiątkami, a Edie idzie z tyłu, zapoznając mnie z listą zasad, których muszę przestrzegać.

– Żadnych gości po dwudziestej trzeciej... żadnych przyjęć w pokoju z udziałem więcej niż trzech osób... nie należy nadużywać rozpuszczalnika ani produktów w aerozolu... płatne z góry, akceptuję gotówkę lub czek, najmocniej dziękuję – kończy, kiedy docieramy do oświetlonego wejścia.

– Dasz sobie teraz radę, Becky? – pyta Jim, stawiając na progu walizki.

– Pewnie. I bardzo ci dziękuję – odpowiadam.

Jestem mu tak wdzięczna, że niemal mam go ochotę ucałować. Nie śmiem jednak – więc tylko patrzę, jak się oddala.

– Najmocniej dziękuję – powtarza znacząco Edie.

– Och! – Dociera do mnie, że tym samym oczekuje, iż jej teraz zapłacę. – Oczywiście!

Szukam w torebce portmonetki – i moje palce zaciskają się wokół telefonu. Z przyzwyczajenia wyjmuję go i zerkam na wyświetlacz. Ale nadal nie ma sygnału.

– Jeśli chcesz do kogoś zadzwonić, możesz skorzystać z automatu na korytarzu – mówi Edie. – Jest przy nim zaciągana kotara.

Czy jest ktoś, do kogo chciałabym zadzwonić?

Ze smutkiem myślę o Luke’u, który przebywa na Cyprze i jest na mnie wściekły. O mamie i tacie, pochłoniętych warsztatami terapeutycznymi. O Zuzie, urządzającej sobie piknik na malowniczej, zalanej słońcem trawie razem z Lulu i ich dziećmi w ogrodniczkach.

– Nie. Wszystko w porządku – mówię, próbując się uśmiechnąć. – Nie muszę do nikogo dzwonić. Szczerze mówiąc... nikt nawet nie zauważy, że mnie nie ma.

5 czer 0316.54

do Becky
od Zuzy

Bex. Sorki, że nie zadzwoniłam. Czemu nie odbierasz tel? Piknik koszmarny. Wszystkich pogryzły pszczoły. Tęsknię za tobą. Przyjeżdżam do Londynu. Zadzwoń.

Zuza xxxx

6 czer 03 11.02

do Becky
od Zuzy

Bex. Gdzie jesteś????????????????????

Zuza xxxx

Nie śpię dobrze.

Właściwie to chyba w ogóle nie udaje mi się zasnąć. Mam wrażenie, jakbym całą noc spędziła na wpatrywaniu się w sufit. Myśli goniły jedna drugą.

Chyba jednak musiałam choć na chwilę zasnąć, ponieważ kiedy budzę się rano, w pamięci mam straszny sen, w którym przekształciłam się w Długonogą Sukę Alicję. Ubrana byłam w różową garsonkę i śmiałam się szyderczo, a Jess była blada i roztrzęsiona. Tak na dobrą sprawę była trochę do mnie podobna.

Już na samą myśl o tym czuję, jak wokół mojego żołądka zaciska się obręcz. Muszę coś z tym wszystkim zrobić.

Nie jestem głodna, ale Edie naszykowała dla mnie porządne angielskie śniadanie i pozostała niewzruszona, kiedy ją poinformowałam, że normalnie wystarcza mi tost. Dłubię więc w bekonie i jajkach, udaję, że jem kaszanekę – po czym dopijam kawę i wychodzę, by poszukać Jess.

Kiedy zmierzam w górę wzgórza w stronę jej domu, w oczy świeci mi poranne słońce, a chłodny wiatr rozwiewa włosy. Dzień wydaje się idealny na to, by się pogodzić, zacząć wszystko od nowa i puścić w niepamięć dawne urazy.

Podchodzę do drzwi, naciskam dzwonek i czekam. Mocno wali mi serce.

Odpowiada mi cisza.

Męczy mnie już to, że ludzi nie ma w domu, kiedy ja chcę się pogodzić. Zerkam na okna, zastanawiając się, czy Jess się przypadkiem nie chowa. Może powinnam rzucić kamyczkami w parapet.

A jeśli stłukę szybę? Wtedy dopiero by mnie znieawdziła.

Jeszcze kilka razy naciskam przycisk dzwonka, po czym odchodzę od drzwi. Równie dobrze mogę poczekać. Nie mam przecież nic innego do roboty. Siadam sobie wygodnie na murku. W porządku. Zaczekam tutaj, a kiedy wróci do domu, wygłoszę mowę, jak bardzo mi przykro.

Ten murek wcale nie jest taki wygodny, jak mi się na początku zdawało. Zmieniam kilkakrotnie pozycję, ale to niewiele daje. Spoglądam na zegarek, upewniam się, czy chodzi, następnie przyglądam się starszej pani, która po drugiej stronie ulicy prowadzi na smyczy małego pieska.

Ponownie zerkam na zegarek. Minęło pięć minut.

Boże, to naprawdę nudne.

Jak, do diaska, robią to prześladowcy? Czy takie czekanie nie zanudza ich na śmierć?

Wstaję, by rozprostować kości, i podchodzę do drzwi. Dzwonię, by mieć całkowitą pewność, po czym powoli wracam na murek. W międzyczasie dostrzegam zbliżającego się w moim kierunku policjanta. Co tutaj na ulicy robi policjant? Sądziłam, że wszyscy są uziemieni przy biurkach przez papierkową robotę albo przemykają w radiowozach po szemranych dzielnicach miast.

Czuję mrowienie w krzyżu, kiedy zdaję sobie sprawę, że patrzy prosto na mnie. Ale nie robię przecież nic złego, prawda? Wyczekiwanie na kogoś nie jest niezgodne z prawem.

Ale prześladowanie jest. Tyle że ja robię to dopiero od pięciu minut. Z całą pewnością coś takiego się nie liczy. A poza tym skąd on może wiedzieć, że kogoś prześladowuję? Równie dobrze mogę siedzieć sobie tutaj dla przyjemności.

– Wszystko w porządku? – pyta, zbliżywszy się do mnie.

– Tak, oczywiście!

Na chwilę zapada cisza. Mężczyzna patrzy na mnie wyczekująco.

– Czy coś się stało? – pytam grzecznie.

– Mogłaby się pani stąd usunąć? To nie jest publiczna ławka.

Ogarnia mnie niezadowolenie.

– A to dlaczego? – pytam śmiało. – To właśnie problem tego kraju! Napiętnuje się każdego, kto nie dostosowuje się do ogółu! Dlaczego nie mogę posiedzieć sobie w spokoju na tym murku.

– To mój murek – odpowiada i wskazuje na drzwi. – I mój dom.

– Och, jasne. – Spiekam raka i zrywam się na równe nogi. – Ja tylko... eee... już uciekam. Dzięki! Naprawdę ładny murek!

No dobrze. Zmiana planów. Będę musiała wrócić tu później.

Schodzę ze wzgórza na błonia, po czym skręcam do sklepu. Kiedy wchodzę, Kelly siedzi właśnie za ladą z egzemplarzem „Elle”, a Jim układa jabłka.

– Poszłam zobaczyć się z Jess – oświadczam im posepnie. – Ale nie było jej w domu. Będę musiała poczekać, aż wróci.

– Przeczytać ci twój horoskop? – pyta Kelly. – Sprawdzimy, czy jest w nim coś o siostrach.

– Hej, młoda damo – odzywa się z dezaprobatą Jim. – Masz się przecież uczyć do egzaminów. Skoro nie pracujesz, możesz się zająć nauką.

– Ale tato! – odpowiada pospiesznie dziewczyna. – Ja się uczę!

Robi do mnie minę, po czym odkłada „Elle” i sięga po podręcznik *Podstawy algebry*.

Boże, algebra. Zdążyłam już zapomnieć, że coś takiego istnieje. Może powinnam się jednak cieszyć, że nie mam już trzynastu lat.

Mam ochotę na coś słodkiego. Decyduję się na paczkę czekoladowych herbatników i krakersy. Następnie przechodzę do regału z artykułami papierniczymi. Uwielbiam je, a poza tym czegoś takiego nigdy za dużo. Wybieram pudełko pinezek w kształcie owieczek, które zawsze się przydadzą. Dokładam jeszcze zszywacz oraz kilka teczek z tej samej serii.

– Pomóc ci? – pyta Jim.

– Nie, dzięki!

Zanoszę wszystkie zakupy na ladę, a Kelly wbija je na kasę.

– Napijesz się herbaty? – pyta.

– Nic, dziękuję – odpowiadam grzecznie. – Nie chcę wam przeszkadzać.

– W czym? Nikt się tutaj nie zjawi aż do czwartej, kiedy tata preceni chleb. A poza tym możesz mnie przepytać z francuskich słówek.

– No dobrze. – Rozpromieniam się. – Skoro mogę się na coś przydać...

Trzy godziny później nadal tam jestem. Wypiłam w tym czasie trzy kubki herbaty, zjadłam pół paczki herbatników i jabłko oraz kupiłam jeszcze kilka prezentów, w tym zestaw dzbanków Toby i kilka użytecznych podkładek pod nakrycia.

A poza tym pomagam Kelly w nauce. Tyle że jakiś czas temu przerzuciłyśmy się z algebry i powtarzania słówek na obmyślanie stroju na szkolną dyskotekę. Przejrzałyśmy wszystkie dostępne czasopisma, a ja pomalowałam jej każde oko inaczej, by miała porównanie. Jedno wygląda naprawdę powalająco, przydymiony cień oraz sztuczne rzęsy, które znalazłam w kosmetyczce; drugie pomalowałam srebrnym cieniem w stylu lat sześćdziesiątych, a rzęsy pociągnęłam białym, robiącym kosmiczne wrażenie tuszem.

– Nie pozwól, by matka tak cię zobaczyła – powtarza Jim za każdym razem, kiedy przechodzi obok nas.

– Gdybym tylko miała ze sobą moje treski – mówię, krytycznie lustrując twarz Kelly. – Mogłabyś mieć wtedy naprawdę fantastyczny koński ogon.

– Wyglądam niesamowicie! – Wpatruje się z podziwem w swoje odbicie w lusterku.

– Masz cudowne kości policzkowe – oświadczam i przyprószam je połyskliwym pudrem.

– To naprawdę świetna zabawa! – Spogląda na mnie błyszczącymi oczami. – Boże, tak bym chciała, żebyś tutaj mieszkała, Becky! Mogłybyśmy tak się bawić codziennie!

Wygląda na tak podekscytowaną, że czuję się absurdalnie wzruszona. ;

– Cóż... no wiesz – mówię. – Może tu jeszcze przyjadę. Jeśli naprawię stosunki z Jess.

Ale na samą myśl o niej mój żołądek wykonuje nerwowe salto. Im więcej mija czasu, tym bardziej się denerwuję naszym ponownym spotkaniem.

– Chciałam się pobawić w metamorfozy z Jess – dodaję nieco tęsknie. – Ale ona nie była tym zainteresowana.

– W takim razie jest głupia.

– Nieprawda. Ona... ona lubi inne rzeczy.

– Jest dość drażliwa – wtrąca Jim, niosąc kilka butelek oranżady. – Trudno uwierzyć, że jesteście siostrami. – Odstawia butelki i wyciera czoło. – Może wszystko zależy od wychowania. Jess nie miała łatwego dzieciństwa.

– Znasz więc jej rodzinę? – pytam z ciekawością.

– Owszem. – Kiwa głową. – Niezbyt dobrze, ale znam. Robię interesy z ojcem Jess. Jest właścicielem Bertram Foods. Mieszka w Nailbury. Niecałe dziesięć kilometrów stąd.

Cała płonę z ciekawości. Jess ani słowem nie wspomniała mi o swojej rodzinie. Mama i tata też niezbyt wiele wiedzieli na ten temat.

– Więc... jacy oni są? – pytam z udawaną obojętnością. – Jej rodzina.

– Jak już mówiłem, nie miała łatwego dzieciństwa. Jej mama umarła, kiedy Jess miała piętnaście lat. To dla dziewczyny niełatwy wiek.

– Nic o tym nie wiedziałam! – Oczy Kelly się rozszerzają.

– A jej tata... – Jim opiera się w zamyśleniu o ladę. – To dobry człowiek. Uczciwy. Odnosił sukces. Dzięki ciężkiej harówce stworzył Bertram Foods praktycznie od zera. Ale nie można go nazwać... ciepłym. Dla Jess był zawsze równie surowy, jak dla jej braci. Oczekiwał

od nich, że będą radzić sobie sami. Pamiętam, jak Jess zaczęła chodzić do gimnazjum. Dostała się do bardzo dobrej szkoły w Carlisle.

– Też próbowałam się tam dostać – mówi do mnie Kelly, krzywiąc się. – Ale mi się nie udało.

– Ta Jess to zdolna dziewczyna. – Jim kiwa z uznaniem głową. – Ale musiała każdego ranka trzykrotnie się przesiadać, by tam dotrzeć. Kiedyś często tamtędy przejeżdżałem i będę pamiętać ten widok aż do śmierci. Poranna mgła, na przystanku nikogo oprócz Jess, dźwigającej duży szkolny plecak. Nie była wtedy dużą i silną dziewczyną jak teraz. To był chudy szkrab.

Milknie, a ja nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Przypominam sobie, że mama i tata zawsze wozili mnie do szkoły samochodem, mimo że wcale nie była tak daleko położona od naszego domu.

– Muszą być bogaci – mówi Kelly, grzebiąc w mojej kosmetyczce. – Przecież są właścicielami Bertram Foods. Bierzemy od nich wszystkie nasze mrożonki – dodaje w moją stronę. – I lody. Mają naprawdę szeroką ofertę!

– Całkiem dobrze im się powodzi – przyznaje Jim. – Ale zawsze byli oszczędni. – Otwiera karton z zupami w proszku i zaczyna je wykladać na półkę. – Bill Bertram zawsze się przechwalał, że wszystkie jego dzieci pracowały na kieszonkowe. – Milknie, trzymając w dłoni kilka torebek z rosółem i grzybową. – A jeśli nie stać ich było na opłacenie wycieczki szkolnej czy czegoś innego... nie jechali. Krótka piłka.

– Wycieczki szkolnej? – Wpatruję się w niego z niedowierzaniem. – Ale przecież to rodzice za nie płacą!

– Nie Bertramowie. Chciał ich nauczyć wartości pieniędzy. Kiedyś krążyła pogłoska, że chłopak od Bertramów jako jedyny dzieciak w szkole nie pojechał na muzyczne przedstawienie gwiazdkowe. Nie miał pieniędzy, a tata mu tego nie sfinansował. – Jim powraca do układania zup. – Nie wiem, jak było naprawdę, ale wcale by mnie coś takiego nie zdziwiło. – Posyła Kelly surowe spojrzenie. – Nie wiesz, jak dobrze ci się powodzi, młoda damo. Masz takie łatwe życie!

– Przecież wykonuję obowiązki domowe! – ripostuje natychmiast Kelly. – Pomagam tutaj, no nie? – Sięga do stojaka ze słodyczami po gumę do żucia, odwija ją z papierka, po czym odwraca się do mnie. – Teraz ja pomaluję ciebie, Becky! – Zagląda do kosmetyczki. – Masz puder brązujący?

– Tak – odpowiadam z roztargnieniem. – Gdzieś tam jest. Wciąż myślę o Jess, stojącej na przystanku autobusowym – bladej i chudziutkiej.

Jim składa pusty karton po zupach. Odwraca się i posyła mi przyjazne spojrzenie.

– Nie przejmuj się, słonko. Pogodzisz się z Jess.

– Może. – Próbuję się uśmiechnąć.

– Jesteście siostrami, rodziną. Rodzina zawsze sobie pomaga wykaraskać się z różnych kłopotów. – Wygląda przez okno. – Szybko się dzisiaj zbierają.

Podążam za jego spojrzeniem i widzę, że przed sklepem stoją dwie starsze panie. Jedna z nich, mrużąc oczy, patrzy na wystawę, na której leży chleb, po czym odwraca się do drugiej i

kręci głową.

– Czy tutaj nikt nie kupuje chleba po normalnej cenie? – pytam.

– Nie w tej wsi – odpowiada Jim. – Z wyjątkiem turystów. Ale niezbyt wielu do nas zagląda. Większość to ci, którzy chcą się wspinać na Scully Pikę, a im chleb akurat nie jest szczególnie potrzebny. Już bardziej ekipy ratownicze.

– Nie rozumiem.

– Kiedy te głupie gnojki utkną gdzieś na górze. – Jim wzrusza ramionami i sięga po wywieszkę o obniżce ceny. – Nieważne. Nauczyłem się już traktować chleb jako towar sprzedawany po promocyjnej cenie.

– Ale przecież świeży jest taki pyszny! – mówię, przyglądając się rzędom okrągłutkich bochenków. Nagle robi mi się ich naprawdę żal, jakby nikt ich nie poprosił do tańca. – Kupię kilka. W normalnej cenie – dodaję stanowczo.

– Zaraz i tak ją obniżę.

– Nie szkodzi. Poproszę dwa duże pszenne i jeden żytni. Podchodzę do regałów z pieczywem i zdejmuję bochenki z półki.

– Co zrobisz z taką ilością chleba? – pyta Kelly.

– Czy ja wiem? Może tosty. – Podaję jej kilka monet, a ona, chichocząc, wkłada trzy bochenki do reklamówki.

– Jess ma rację, jesteś szalona – oświadcza. – Mogę ci teraz pomalować oczy? Na jaki wizerunek masz ochotę?

– Zaraz wejdą klienci – ostrzega Jim. – Wywieszam już kartkę.

– Pomaluję szybko jedno oko – mówi Kelly, sięgając po paletę z cieniami. – A kiedy sobie pójdą, wezmę się do drugiego. Zamknij oczy, Becky.

Zaczyna nakładać mi cień na powiekę, a ja zamykam oczy. Uwielbiam, jak ktoś mnie maluje.

– Okej – mówi. – Teraz kolej na eyeliner. Nie ruszaj się...

– Wieszam kartkę – rozlega się głos Jima.

Przez chwilę nic się nie dzieje – a potem słyszę znajomy odgłos dzwonka, a następnie wchodzących do sklepu ludzi.

– Nie otwieraj jeszcze oczu, Becky – mówi nieco nerwowo Kelly. – Nie jestem pewna, czy dobrze mi wyszło...

– Daj mi zobaczyć!

Otwieram oczy i sięgam po lusterko. Jedno oko mam pomalowane jaskraworóżowym cieniem, a górną powiekę zdobi krzywa kreska wykonana czerwonym eyelinerem. Wyglądam, jakbym cierpiała na jakąś paskudną chorobę oczu.

– Kelly!

– Tak prezentowali w „Elle”! – broni się dziewczyna, pokazując zdjęcie idącej po wybiegu modelki. – Różowy i czerwony są teraz na topie!

– Wyglądam jak potwór!

Chichoczę na widok mojej asymetrycznej twarzy. Jeszcze nigdy nie wyglądałam tak koszmarnie. Zerkam, by sprawdzić, czy dostrzegli to jacyś klienci, i śmiech zamiera mi na

ustach.

Do sklepu wchodzi właśnie Jess.

Gdy jej wzrok napotyka mój, czuję, jak żołądek kurczy mi się ze strachu. Ona wygląda tak zimno i wrogo. W niczym nie przypomina chudej dziesięciolatki. Przez kilka chwil spoglądamy na siebie w milczeniu. Spojrzenie Jess przesuwają się z lekceważeniem po czasopiśmie, otwartej kosmetyczce i rozrzuconych na ladzie kosmetykach. Następnie dziewczyna bez słowa odwraca się i zaczyna grzebać w koszu z przecenionymi konserwami.

W sklepie panuje cisza. Odnoszę wrażenie, że wszyscy dokładnie wiedzą, co się dzieje.

Muszę coś powiedzieć, choć z przerażenia serce wali mi jak młotem.

Zerkam na Jima, który kiwa do mnie pokrzepiająco głową.

– Eee... Jess – zaczynam. – Rano poszłam do twojego domu. Chciałam ci wyjaśnić...

– Nie ma czego wyjaśniać. – Przerzuca puszkę, nawet na mnie nie patrząc. – Nie mam pojęcia, co ty tu jeszcze robisz.

– Robi ze mną metamorfozy – wtrąca lojalnie Kelly. – Prawda, Becky?

Posyłam jej pełen wdzięczności uśmiech, ale moja uwaga nadal skoncentrowana jest na Jess.

– Zostałam tutaj, ponieważ chciałam z tobą porozmawiać. I... przeprosić. Czy mogłabym zaprosić cię dzisiaj na kolację?

– Nie sądzę, bym była wystarczająco dobrze ubrana, aby zjeść z tobą kolację, Becky – odpowiada bezbarwnym głosem.

Nie daje tego po sobie poznać, ale wiem, że w środku czuje się zraniona.

– Jess...

– A poza tym jestem zajęta. – Stawia na ladzie trzy poobijane puszkę oraz jedną, na której nie ma żadnej nalepki poza ceną, wynoszącą dziesięć pensów. – Wiesz, co to jest, Jim?

– Chyba mieszanka owocowa. – Marszczy brwi. – Ale równie dobrze może to być marchewka...

– W porządku. Wezmę ją. – Kładzie przy kasie kilka monet i wyjmuję z kieszeni pogniecioną reklamówkę. – Nie potrzebuję torby. Dzięki.

– W takim razie może innym razem! – mówię z desperacją. – Albo lunch...

– Becky, daj mi spokój.

Wychodzi ze sklepu, a mnie twarz piecze tak, jakbym otrzymała policzek. Stopniowo cisza zamienia się w szepty, które z kolei przekształcają się w głośne rozmowy. Wiem, że ludzie przyglądają mi się z ciekawością, gdy podchodzą do lady, by zapłacić, ale nie zwracam na to uwagi.

– Becky, wszystko w porządku? – pyta Kelly, dotykając z wahaniem mego ramienia.

– Wszystko spieszyłam. – Unoszę ramiona w geście bezradności. – Widziałas ją.

– Zawsze była uparta. – Jim kiwa głową. – Nawet jako dziecko. Ta Jess jest swoim własnym wrogiem. Wymagająca wobec siebie i reszty świata. – Milknie, wycierając nóż. – Przydałaby jej się taka siostra jak ty, Becky.

– No cóż, trudno – oświadcza zdecydowanie Kelly. – Ty jej nie potrzebujesz! Zapomnij po prostu, że to twoja siostra. Udawaj, że ona nie istnieje!

– To nie takie proste, no nie? – pyta Jim, krzywiąc się. – Nie w przypadku rodziny. Nie da się tak po prostu odejść.

– Nie wiem. – Z przygnębieniem wzruszam ramionami. – Może i się da. Przecież przez dwadzieścia siedem lat nie wiedziałyśmy o swym istnieniu...

– I chcesz, by trwało to następne dwadzieścia siedem lat? – Jim patrzy na mnie surowo. – Jesteście dwie. Żadna z was nie ma innej siostry. Mogłybyście zostać przyjaciółkami.

– To nie moja wina... – zaczynam się bronić, po czym milknę, kiedy przypominam sobie moją wczorajszą przemowę. – Cóż, nie tylko moja...

– Wcale nie mówiłem, że twoja – odpowiada Jim. Obsługuje dwóch następnych klientów, po czym odwraca się do mnie. – Mam pomysł. Wiem, co dziś wieczorem robi Jess. Tak się składa, że też tam będę.

– Naprawdę?

– Owszem. Odbędzie się dziś spotkanie naszej grupy ekologicznej w sprawie protestu. Wszyscy tam będą. – W jego oczach nagle pojawiają się błyski. – Pójdziesz z nami?

Wiadomość nadana faksem

do: Luke Brandon
Hotel Afrodyta Tempie
Cypr

od: Susan CleathStuart

6 czerwca 2003

PILNE – SYTUACJA AWARYJNA

Luke

Becky nie ma w mieszkaniu. Nikt jej nigdzie nie widział.

Nie mogę się do niej dodzwonić. Naprawdę zaczynam się martwić.

Zuza

No dobrze. To moja szansa, by zrobić wrażenie na Jess. Mam okazję jej pokazać, że nie jestem płytka ani zepsuta. Tym razem nie mogę wszystkiego spieprzyć.

Jedną z najważniejszych kwestii jest mój strój. Marszcząc brwi, przeglądam wszystkie ciuchy, które porozkładałam na łóżku. Jak się najlepiej ubrać na zebranie ekologicznej grupy protestacyjnej? Na pewno nie w skórzane spodnie... nie w błyszczący top... Moje spojrzenie pada na bojówki i wyciągam je spod sterty innych ciuchów.

Doskonale. Są różowe, ale na to już nic nie poradzę. I... tak. Włożę do nich Tshirt z jakimś sloganem. Genialne!

Wyławiam T-shirt, na którym widnieje napis GORAĆO. Naprawdę pasuje do bojówek. Nie jest jednak zbyt „protestacyjny”, prawda? Zastanawiam się przez chwilę, po czym wyjmuję z torebki czerwony długopis i starannie dopisuję słowo ZAKAZAĆ.

ZAKAZAĆ GORAĆO – to hasło jest trochę bez sensu... ale liczy się przecież pomysł, no nie? A poza tym będę bez makijażu, nie licząc odrobiny eyelinera i tuszu do rzęs, no i może bezbarwnego błyszczyku do ust.

Przebieram się i związuję włosy w warkoczyki, a następnie podziwiam swe odbicie w lustrze. W gruncie rzeczy wyglądam całkiem bojowo! Tytułem eksperymentu unoszę rękę w bojowym pozdrowieniu i potrząsam pięścią do lustra.

– Chronić robotników – mówię głębokim głosem. – Bracia, łączcie się!

O kurczę. Myślę, że naprawdę byłabym dobra w czymś takim. No dobra. Lecę.

Zebranie protestacyjne odbywa się w domu ludowym. Kiedy się tam zjawiam, widzę wszędzie plakaty z hasłami w stylu: „Nie niszczyć naszej okolicy”. Na sali jest już mnóstwo ludzi. Udaję się do stolika, na którym znajdują się kubki i herbatniki.

– Kawy, skarbie? – pyta starszy mężczyzna w kurtce.

– Dzięki – mówią. – To znaczy dzięki, bracie. Jasne. – Unoszę rękę w geście pozdrowienia. – Do strajku!

Mężczyzna wygląda na nieco skołowanego, a ja wtedy przypominam sobie, że ci ludzie wcale nie strajkują. Wciąż mi się wszystko myli z filmem *Billy Elliott*.

No, ale przecież w zasadzie niczym się to nie różni, prawda? Chodzi o solidarność i wspólną walkę w zbożnym celu. Wychodzę na środek sali, trzymając w dłoni kubek z kawą, i napotykam spojrzenie młodego chłopaka ze sterczącymi rudymi włosami i w dżinsowej kurtce z ponaszywanymi plakietkami.

– Witamy! – mówi, odchodząc od grupy ludzi i wyciągając rękę. – Jestem Robin. Nie widziałem cię tu jeszcze.

– Mam na imię Becky. Jestem tu tylko gościem. Ale Jim powiedział, że śmiało mogę przyjść...

– Oczywiście! – mówi Robin, ściskając mi z entuzjazmem dłoń. – Każdy jest mile widziany. Nie ma znaczenia, czy mieszka tu na stałe, czy jest tylko przejazdem... Problemy są takie same. Świadomość jest wszędzie równie ważna.

– Jak najbardziej! – Przetykam kawę i dostrzegam, że trzyma w dłoni plik ulotek. – Jeśli chcesz, mogłabym zabrać trochę do Londynu i je rozdać. Nagłośnić problem.

– Byłoby super! – Na jego twarzy pojawia się uśmiech. – Takiej właśnie czynnej postawy nam trzeba! Jakie problemy środowiska naturalnego nurtują cię w szczególności?

Cholera. Myśl. Problemy środowiska naturalnego.

– Hm... – Pociągam łyk kawy, grając na zwłokę. – Właściwie to różne! Drzewa... i eee... jeże...

– Jeże? – Robin wygląda na skonsternowanego.

Do diaska. Powiedziałam tak tylko dlatego, że jego włosy wyglądają dokładnie jak kolce jeża.

– Kiedy przejeżdżają je samochody – improwizuję. – W dzisiejszych czasach to rzeczywiste zagrożenie.

– Z całą pewnością masz rację. – Marszczy z namysłem brwi. – Należysz więc do aktywnej grupy, zajmującej się konkretnie trudną sytuacją jeży?

Przymknij się w końcu, Becky. Zmień temat.

– Tak – słyszę własny głos. – Nazywa się... Kolec.

– Kolec! – Uśmiecha się. – Świetna nazwa!

– Tak – odpowiadam pewnie. – To skrót od Kontynuujmy... Ochronę... eee...

No dobra. Może powinnam wybrać słowo, które ma w sobie literę „J”.

– Leśnych... – brnę dalej – ... eee...

Urywam z uczuciem ulgi, kiedy widzę, że zbliża się do nas Jim w towarzystwie chudej, żylastej kobiety, ubranej w dżinsy i koszulę w szkocką kratę. To z pewnością jego żona!

– Witam. – Robin uśmiecha się przyjaźnie. – Cieszę się, że udało wam się przyjść.

– Cześć, Jim! – mówię i zwracam się do stojącej obok niego kobiety: – No, a ty to pewnie Elizabeth.

– A ty sławna Becky! – Klepie moją dłoń. – Nasza Kelly bez przerwy o tobie opowiada.

– Kelly jest naprawdę słodka! – Uśmiecham się promiennie. – Świetnie się wczoraj bawiłyśmy, robiąc metamorfozy... – Nagle dostrzegam, jak Jim marszczy brwi. – I eee... powtarzając do egzaminów – dodaję pospiesznie. – Mnóstwo algebry i słówek francuskich.

– Jest tu Jess? – pyta Jim, rozglądając się po sali.

– Nie wiem – odpowiadam i oblatuje mnie lekki strach. – Jeszcze jej nie widziałam.

– Taka szkoda – cmoka Elizabeth. – Jim o wszystkim mi opowiedział. Dwie siostry, które ze sobą nie rozmawiają. A jesteście takie młode! Macie przed sobą całe życie, by się przyjaźnić. Siostra to prawdziwy dar losu!

– Pogodzą się – mówi lekko Jim. – Ach. Oto i ona! Obracam się na pięcie i widzę zmierzającą ku nam Jess, którą na mój widok wyraźnie zatkało.

– Co ona tu robi? – pyta Jima.

– To nowa członkini naszej grupy – wyjaśnia Robin, podchodząc do nas. – Poznaj Becky.

– Cześć, Jess! – witam ją z nerwowym uśmiechem.

– Becky interesuje się jeżami – dodaje Robin.

– Że co? – Jess przez kilka sekund wpatruje się w niego, po czym zaczyna potrząsać

głową. – Nie. Nie. Ona nie jest członkinią tej grupy. I nie weźmie udziału w zebraniu. Musi stąd sobie iść. Natychmiast!

– Wy się znacie? – pyta zdumiony Robin, a ona odwraca wzrok.

– Jesteśmy siostrami – wyjaśniam.

– Nie potrafią dojść do porozumienia – wtrąca scenicznym szeptem Jim.

– Jess – mówi poważnie Robin. – Znasz przecież zasady obowiązujące w naszej grupie. Wszelkie osobiste urazy zostawiamy przed drzwiami. Każdy jest tu mile widziany. Każdy jest przyjacielem! – Uśmiecha się do mnie. – Becky zaoferowała nam już wszechstronną pomoc!

– Nie! – Jess uderza się ręką w głowę. – Ty jej nie znasz...

– Chodź, Becky – mówi Robin, ignorując ją. – Znajdę ci jakieś krzesło.

Stopniowo rozmowy cichną i wszyscy siadają na krzesłach, które ustawiono w półokręgu. Kiedy się rozglądam, dostrzegam Edie i kobietę z siwymi włosami, która ma na imię Loma, i wiele innych osób, widywanych w sklepie Jima.

– Witam wszystkich – mówi Robin, zajmując miejsce w środku półokręgu. – Zanim zaczniemy, mam kilka ogłoszeń. Jutro, jak wiecie, odbywa się sponsorowana piesza wspinaczka wytrzymałościowa na Scully Pike. Kto z was jest nią zainteresowany?

Mniej więcej połowa osób unosi ręce, łącznie z Jess. Kusi mnie, by także to zrobić, ale słowo „wytrzymałościowa” brzmi zniechęcająco. I „piesza wspinaczka” także – jeśli mam być szczerą.

– Świetnie! – Robin rozgląda się z zadowoleniem. – Przypominam, by zabrać ze sobą sprzęt. Obawiam się, że prognoza pogody nie jest zbyt dobra. Mgła i możliwy deszcz.

Na sali rozlega się zgodny jęk zmieszany ze śmiechem.

– Ale możecie być pewni, że na końcu będzie czekała grupa powitalna z gorącymi napojami – dodaje. – Wszystkim uczestnikom życzę powodzenia. – Uśmiecha się. – A teraz chciałbym przedstawić nową członkinię naszej grupy. Becky ma rozległą wiedzę na temat jeży i... – patrzy na mnie – także innych małych zagrożonych stworzeń czy tylko jeży?

– Eee... – odchrząkam, świadoma tego, że Jess rzuca mi mordercze spojrzenia. – Eee... głównie jednak jeży.

– Witamy więc wszyscy Becky. No dobrze. Przejdźmy do spraw poważnych. – Sięga do skórzanej torby i wyjmuję z niej plik papierów. – Planowane centrum handlowe na wzgórzu Piper. – Robi pauzę dla lepszego efektu, a przez salę przetacza się pomruk ożywienia. – Władze ciągle udają, że o niczym nie wiedzą. Jednakże... w taki czy inny sposób udało mi się zdobyć kopię planów. – Robin wręcza plik kartek mężczyźnie siedzącemu z brzegu, który zaczyna je podawać dalej. – Oczywiście, że mamy co do tego ogromne obiekcje. Bardzo proszę, byście teraz przejrzyli te materiały.

Na sali zapada cisza. Posłusznie czytam plany i przyglądam się rysunkom. Rozglądam się i widzę, że ludzie kręcą głowami z gniewem i rozczarowaniem, co, szczerze mówiąc, wcale mnie nie dziwi.

– No dobrze. – Robin patrzy po zebranych i jego spojrzenie pada na mnie. – Becky, może ciębie wysłuchamy jako pierwszej. Jaka jest twoja reakcja jako osoby z zewnątrz?

Wszyscy się odwracają, by na mnie spojrzeć, a ja czuję, jak purpurowieją mi policzki.

– No cóż... od razu rzucają mi się w oczy kwestie problematyczne – mówię z wahaniem.

– Właśnie – stwierdza z satysfakcją Robin. – To świadczy, że mamy rację. Te kwestie są widoczne na pierwszy rzut oka, nawet dla kogoś, kto nie zna okolicy. Mów dalej, Becky.

Przez chwilę przyglądam się planom, po czym podnoszę głowę.

– Po pierwsze, godziny otwarcia są dość ograniczone. Lepiej, gdyby codziennie było otwarte do dziesiątej. Przecież w ciągu dnia ludzie muszą pracować! Nie chcą pędzić na złamanie karku, by zdążyć przed zamknięciem sklepów!

Rozglądam się po twarzach, na których maluje się lekkie zdumienie. Pewnie się nie spodziewali, że tak od razu trafię w sedno. Ośmielona, pukam palcem w listę sklepów.

– No i te sklepy są beznadziejne. Powinniście mieć Space NK... Josepha... I zdecydowanie LK Bennetta!

Na sali panuje cisza jak makiem zasiał. Jess skrywa głowę w dłoniach.

Robin sprawia wrażenie osłupiałego, ale podejmuje bohaterską próbę uśmiechnięcia się.

– Becky... drobne nieporozumienie. My nie protestujemy przeciwko jakimkolwiek cechom tego centrum handlowego. Protestujemy przeciwko jego powstaniu.

– Słucham? – Patrzę na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Nie chcemy, żeby je zbudowano – odzywa się Jess głosem pełnym sarkazmu. – Zamierzają zniszczyć naturalne piękno. Tego właśnie dotyczy ten protest.

– Och. – Policzki mi płoną. – No tak, rozumiem. Oczywiście. Naturalne piękno. Ja... prawdę mówiąc... zaraz miałam o tym wspomnieć. – Wytracona z równowagi, zaczynam ponownie przerzucać kartki z planami, usiłując naprędce wymyślić, jak by tu się zrehabilitować. – Prawdopodobnie takie centrum będzie niebezpieczne także dla jeży – mówię wreszcie. – Dostrzegłam wiele zagrożeń dla jeży, czy też ZDJ, jak myje nazywamy.

Widzę, jak Jess przewraca oczami. Może lepiej się w końcu przymknę.

– Celna uwaga – mówi Robin z nieco wymuszonym uśmiechem. – No więc... Becky podzieliła się z nami cennymi uwagami na temat bezpieczeństwa jeży. Jakież inne spostrzeżenia?

Kiedy siwowłosa mężczyzna zaczyna mówić o zeszpeceniu krajobrazu, ja z dudniącym sercem osuwam się na krzesło. Okej. Ani słowa więcej.

Cieszę się, że nie zdążyłam wspomnieć o jeszcze jednym zastrzeżeniu dotyczącym tego centrum, a mianowicie, że jest ono za małe.

– Ja się martwię o miejscowy handel – oświadcza właśnie elegancko ubrana kobieta. – Znajdujące się na obrzeżach centra handlowe niszczą wiejskie życie. Jeśli zostanie ono zbudowane, nasz lokalny sklep upadnie.

– To przestępstwo – grzmi Lorna. – Wiejskie sklepy stanowią centrum społeczności. Trzeba je wspierać.

Przylacza się do niej coraz więcej głosów. Widzę, jak wszyscy klienci sklepu Jima kiwają do siebie głowami.

– Jak Jim może konkurować z Asdą?

– Musimy utrzymać te małe sklepy przy życiu!

– Należy winić rząd...

Wiem, że nie zamierzałam się już więcej odzywać. Ale po prostu nie mogę siedzieć teraz cicho.

– Przepraszam? – Unoszę dłoń. – Skoro wszyscy chcecie, by sklep we wsi nie upadł, dlaczego nie kupujecie chleba po normalnej cenie?

Rozglądam się i napotykam pełne dezaprobaty spojrzenie Jess.

– To takie dla ciebie typowe – mówi drwiąco. – Wszystko sprowadzać do wydawania pieniędzy, co?

– Ale to przecież jest sklep! – odpowiadam ze zdumieniem. – O to w tym właśnie chodzi! Wydaje się tam pieniądze! Jeśli wszyscy będą tam wydawać odrobinę więcej pieniędzy, sklep zacznie dobrze prosperować!

– Nie wszyscy na świecie są uzależnieni od zakupów, wiesz, Becky? – warczy Jess.

– A szkoda – wtrąca Jim z cierpkim uśmiechem. – Odkąd przyjechała tutaj Becky, mój utarg się potroił.

Jess przygląda mu się z mocno zaciśniętymi ustami. O Boże! Wygląda na nieźle wkurzoną. Działam na nią jak płachta na byka.

– To był tylko... taki luźny pomysł – mówię szybko. – Nic ważnego. – Siadam, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Ponownie zaczyna się dyskusja, ale ja mam opuszczoną głowę i po raz kolejny przeglądam plany centrum handlowego. I muszę przyznać, że miałam rację. Te sklepy są rzeczywiście beznadziejne. Nie ma żadnego przyzwoitego butików z torebkami... ani jednego miejsca, gdzie można zrobić manicure... To znaczy rzeczywiście rozumiem punkt widzenia tych ludzi. Jaki jest sens niszczyć piękną łąkę, budując na niej główniane centrum handlowe ze sklepami, do których nikt nie chce chodzić?

– ... tak więc my, komitet, postanowiliśmy rozpocząć natychmiastową akcję protestacyjną – mówi Robin. – Za tydzień organizujemy wiec. Potrzebne nam maksymalne wsparcie. I oczywiście jak największy rozgłos.

– To trudne – odzywa się z westchnieniem jakaś kobieta. – Nikogo to nie interesuje.

– Edgar pisze artykuł dla gazety parafialnej – mówi Robin, sprawdzając coś w swoich notatkach. – Wiem też, że niektórzy z was zdążyli już napisać petycje do władz gminy...

Aż mnie świerzbi, by coś powiedzieć. Otwieram usta – przeszywa mnie ostre spojrzenie Jess – i z powrotem je zamykam.

A niech to. Nie mogę siedzieć cicho. Po prostu nie mogę.

– Przygotowujemy ulotkę ze wszystkimi informacjami...

– Powinniście zrobić coś na większą skalę! – Mój głos przerywa Robinowi, a wszystkie głowy odwracają się w moją stronę.

– Becky, zamknij się! – syczy z wściekłością Jess. – Usiłujemy prowadzić rozsądną dyskusję!

– Ja też! – Robię się czerwona pod tymi wszystkimi spojrzeniami, ale dzielnie kontynuuję. – Sądzę, że powinniście przeprowadzić wielką kampanię marketingową.

– Czy to nie byłoby kosztowne? – pyta siwowłosa mężczyzna, marszcząc przy tym brwi.

– W biznesie jest tak, że jeśli się chce zarobić pieniądze, najpierw trzeba je wydać. Tak

samo jest i w tym przypadku. Jeśli chcecie coś osiągnąć, musicie najpierw zainwestować!

– I znowu pieniądze! – wykrzykuje ze złością Jess. – Znowu wydawanie! Ty masz na tym punkcie obsesję!

– Moglibyście pozyskać sponsorów! – odparowuję. – Na pewno jacyś miejscowi przedsiębiorcy także nie chcą w okolicy centrum handlowego. Moglibyście zaangażować w to lokalną stację radiową... przygotować materiały informacyjne dla prasy...

– Przepraszam, skarbie – przerywa mi sarkastycznie facet siedzący obok Jess. – Jesteś bardzo dobra w gadce. Ale co tak naprawdę o tym wiesz?

– Nic – przyznaję. – Tyle że kiedyś pracowałam jako dziennikarka. Wiem więc sporo na temat komunikatów prasowych i kampanii reklamowych. – Omiotam spojrzeniem milczącą salę. – A przez dwa lata pracowałam w Barneys, domu towarowym w Nowym Jorku. Często organizowaliśmy różne imprezy, na przykład przyjęcia, wyprzedaże weekendowe i wieczory promocyjne... Właściwie to świetny pomysł! – Odwracam się do Jima. – Jeśli chcesz zwiększyć obroty sklepu, powinieneś w jakiś sposób przyciągnąć do siebie klientów! Zrobić coś sympatycznego! Powinieneś urządzić święto sklepu. Albo przyjęcie! Byłoby naprawdę fajnie! Mógłbyś mieć specjalne promocje i darmowe upominki... podłączyć to pod protest...

– Zamknij się! – Na sali rozlega się wściekły głos, a ja milknę i widzę, jak Jess stoi poblada z gniewu. – Zamknij się wreszcie, Becky! Dlaczego wszystko musi być dla ciebie zabawą? Dlaczego musisz wszystko trywializować? Sklepikarzy pokroju Jima nie interesują przyjęcia! Ich interesuje porządna, dobrze przemyślana akcja.

– Przyjęcie też może mnie interesować – mówi łagodnie Jim, ale Jess nie zwraca na niego uwagi.

– Nie wiesz nic na temat ochrony środowiska! Nie wiesz nic o tych cholernych jeżach! Przez cały czas zmyślasz! Odczep się wreszcie i zostaw nas w spokoju!

– To dość agresywne zachowanie, Jess – odzywa się Robin. – Becky próbuje nam tylko pomóc.

– Nie potrzebujemy jej pomocy!

– Jess – mówi uspokajająco Jim. – To twoja siostra. Daj spokój, słonko. Bądź dla niej trochę miłsza.

– One są siostrami? – pyta ze zdumieniem siwowłosa mężczyzna.

Przez salę przetacza się pełen zainteresowania pomruk.

– Ona nie jest moją siostrą.

Jess krzyżuje ramiona i nie zaszczycza mnie ani jednym spojrzeniem. Nagle czuję, że przepełnia mnie głęboka uraza.

– Wiem, że nie chcesz, abym była twoją siostrą – mówię, stając przodem do niej. – Ale jestem! I nic nie możesz na to poradzić! Płynię w nas ta sama krew! Mamy te same geny! Mamy te same...

– Ja w to nie wierzę, jasne? Na sali zapada grobowa cisza.

– Co takiego? – Patrzę niepewnie na Jess.

– Nie wierzę, że płynię w nas ta sama krew – odpowiada już nieco spokojniej.

– Ale... ale przecież wiemy, że tak jest! O czym ty mówisz?

Jess wzdycha i pociera czoło. Kiedy podnosi głowę, w jej oczach nie ma już prawie śladu po wrogości.

– Popatrz na nas, Becky – mówi niemal z sympatią. Wskazuje na mnie, po czym na siebie. – Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Absolutnie nic. Nie możemy być ze sobą Spokrewnione.

– Ale... ale mój tata jest twoim ojcem!

– O Boże – mówi Jess, jakby do siebie. – Posłuchaj, Becky, dopiero później chciałam ci o tym powiedzieć.

– Powiedzieć co? – Wpatruję się w nią, a serce bije mi nieco szybciej. – Powiedzieć co?

– No dobrze. Proszę bardzo. – Bierze głęboki oddech i ponownie pociera czoło. – Najpierw dowiedziałam się, że moim ojcem jest twój tata. Ale... to po prostu nie ma sensu. Tak więc wczoraj wieczorem bardzo długo rozmawiałam o tym z cicią Florence. Przyznała, że moja mama była nieco... dzika. Mogli być również inni mężczyźni. – Jess się waha. – Sądzi, że najprawdopodobniej byji inni mężczyźni, choć nie dysponuje żadnym konkretnym nazwiskiem.

– Ale... mieliście robiony test! – mówię oszołomiona. – Test DNA! To więc stanowi dowód... – Urywam, kiedy ona potrząsa głową.

– Nie. Nigdy nie zrobiliśmy tego testu. Zamierzaliśmy. Ale miałam nazwisko twego taty, daty układały się w logiczną całość i... i założyliśmy, że tak właśnie jest. – Spuszcza wzrok na podłogę. – Ale popełniliśmy błąd.

Kręci mi się w głowie. Nigdy nie zrobili testu DNA? Po prostu założyli, że tak jest?

Na sali panuje kompletna cisza. Nie sądzę, by ktokolwiek oddychał. Kątem oka dostrzegam zatroskaną, pełną sympatii twarz Jima i szybko uciekam wzrokiem.

– Więc... to wszystko było wielkim błędem – odzywam się wreszcie. W moim gardle nagle formuje się olbrzymia dusząca gęsia skórka.

– Też tak myślę – przyznaje Jess. Podnosi głowę i dostrzega moją nieszczęśliwą minę. – Daj spokój, Becky. Gdybyś spojrzała na nas z boku... czy powiedziałaabyś, że jesteśmy siostrami?

– Chyba... chyba nie – udaje mi się wykrztusić.

Nogi się pode mną uginają z szoku i rozczarowania, ale jednocześnie cichy głosik w głowie mówi mi, że to ma sens. Czuję się tak, jakbym przez kilka ostatnich tygodni usiłowała zmieścić stopę w butcie o niewłaściwym rozmiarze. Wciskałam ją, ocierając sobie skórę... i wreszcie gotowa jestem przyznać, że nie pasuje na moją stopę.

Ona nie jest moją siostrą. Nie płynie w nas ta sama krew. To po prostu... jakaś dziewczyna.

Stoję tak i patrzę na dziewczynę, którą ledwie znam i która mnie nawet nie lubi.

I nagle naprawdę nie mam już ochoty dłużej tutaj być.

– No tak – mówię, usiłując wziąć się w garść. – Cóż... chyba stąd sobie pójdę. – Omiatam spojrzeniem milczących ludzi. – Do widzenia wszystkim. Mam nadzieję, że uda wam się ten protest.

Nikt się nie odzywa ani słowem. Wszyscy wyglądają na zbyt zaszokowanych.

Trzęsącymi się rękami podnoszą torebką i odsuwam krzesło. Kiedy idę do wyjścia, napotykam po drodze kilka współczujących spojrzeń. Zatrzymują się, gdy mijam Jima.

– Dzięki za wszystko – mówię, próbując się uśmiechnąć.

– Do widzenia, słonko. – Klepie mnie ciepło po dłoni. – Naprawdę miło było cię poznać.

– Ciebie też. Pożegnaj ode mnie Kelly. Dochodzą do drzwi i odwracam się do Jess.

– W takim razie cześć. – Przełykam z trudem ślinę. – Miłego życia i w ogóle.

– Cześć, Becky – odpowiada i po raz pierwszy w jej oczach pojawia się coś na kształt współczucia. – Mam nadzieję, że między tobą i Lukiem wszystko się ułoży.

– Dzięki. – Kiwam głową, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Odwracam się i wychodzą.

Jestem jak otępiała. Nie mam siostry. Jednak nie mam.

Od jakiejś godziny siedzą na łóżku w pokoju w pensjonacie i patrzą przez okno na odległe wzgórza. Wszystko skończone. Moje głupie marzenie, że będą miała pokrewną siostrzaną duszę, z którą można pogadać i chichotać, i chodzić na zakupy, i jeść czekoladki z miętowym nadzieniem... prysło na dobre.

Jeśli chodzi o ścisłość, nie znaczy to wcale, by Jess kiedykolwiek poszła ze mną na zakupy albo jadła wspólnie czekoladki, albo chichotała.

Ale mogłybyśmy pogadać. Lepiej się poznać. Mogłybyśmy powierzać sobie tajemnice i prosić nawzajem o radę.

Wzdycham ciężko i przyciągam kolana do piersi. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło w książce *Zaginione siostry – miłość, o której nie wiedziały*.

A nic, raz coś takiego miało miejsce. W przypadku tych dwóch sióstr, u których planowano przeprowadzić przeszczep nerki. Zrobiły sobie wtedy test DNA i się dowiedziały, że wcale nie są siostrami. Okazało się jednak, że przeszczep i tak jest możliwy, więc się na niego zgodziły. A po wszystkim oświadczyły, że w głębi duszy zawsze będą się czuły siostrami. (I pewnie też w głębi nerek).

Ważne, że się lubiły.

Po policzku spływa mi samotna łza. Ocieram ją szorstkim ruchem. Nie ma sensu się rozklejać. Przez całe życie byłam jedynaczką... i teraz znowu nią jestem. Miałam siostrę jedynie przez kilka tygodni. To nie tak, że się przyzwyczaiłam do tej myśli albo że się do siebie przywiązałyśmy.

Właściwie... właściwie się cieszę, że tak się to wszystko skończyło. Kto by chciał mieć taką siostrę jak Jess? Na pewno nie ja. Przecież ona ma rację. Nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego. I nie potrafimy się nawzajem zrozumieć. Od samego początku powinniśmy wiedzieć, że to pomyłka.

Zrywam się na równe nogi, otwieram walizkę i zaczynam wrzucać do niej ciuchy. Prześpię się tutaj, a z samego rana wyruszę w drogę powrotną do Londynu. Nie mogę marnować więcej czasu. Mam życie, do którego muszę wracać. Mam męża.

A przynajmniej... tak mi się wydaje.

Kiedy wracam myślami do ostatniego spotkania z Lukiem, mój żołądek kurczy się z przerażenia. Pewnie nadal jest na mnie wściekły. Pewnie przeklina każdą chwilę, którą musi przeze mnie spędzać na Cyprze. Przerrywam na chwilę składanie swetra. Na samą myśl o powrocie i spotkaniu się z nim twarzą w twarz robi mi się niedobrze.

Ale po chwili otrząsam się i wrzucam sweter do walizki. No i co z tego, że, z Lukiem nie bardzo mi się teraz układa? Nie potrzebuję beznadziejnej siostry, by mi pomogła uratować małżeństwo. Sama to zrobię. Może kupię poradnik *Jak ocalić roczne małżeństwo*. Na pewno ktoś taki wydał.

Upycham wszystkie upominki, które kupiłam w sklepie Jima, siadam na zielonej walizce

i jakoś udaje mi się ją zamknąć. Proszę bardzo. Koniec.

Ktoś puka do drzwi.

– Tak?

Do pokoju wtyka głowę Edie.

– Masz gościa – oznajmia. – Na dole. Nagle przepelnia mnie nadzieja.

– Naprawdę? – Gramolę się z łóżka. – Już lecę!

– Chciałabym przy tej okazji przypomnieć o zasadach. – Kiedy zbiegam po schodach, goni mnie grzmiący głos Edie. – Żadnych gości po dwudziestej trzeciej. W przypadku głośnych hulanków będę zmuszona wezwać władze.

Zbiegam z kilku ostatnich schodów i pędzę do niewielkiego pokoju dla gości.

– Cześć!

Zatrzymuję się jak wryta. To wcale nie Jess. To Robin. I Jim. I jeszcze kilka innych osób z zebrania. Wszyscy odwracają się w moją stronę i widzę, jak spoglądają po sobie.

– Cześć, Becky – mówi Robin, robiąc krok w moim kierunku. – Wszystko w porządku?

– Eee... tak. Dzięki.

O Boże! Przyszli tu, bo mi współczują. Może się boją, że zamierzam podciąć sobie żyły. Kiedy Robin bierze oddech, by ponownie coś powiedzieć, wchodzę w słowo.

– Naprawdę nie musicie się o mnie martwić. To bardzo miłe z waszej strony, ale dam sobie radę. Zaraz pójdę spać, a z samego rana złapię pociąg do Londynu i... jakoś to będzie.

Cisza.

– Właściwie to nie dlatego tu przyszliśmy – mówi Robin i z zakłopotaniem przeczesuje włosy. – Chcieliśmy cię o coś prosić.

– Och. – A to niespodzianka. – Jasne.

– Tak się zastanawialiśmy... my wszyscy... czy mogłabyś nam pomóc w tym proteście. – Rozgląda się, czekając na wsparcie, a pozostali kiwają głowami.

– Pomóc wam? – Patrzę na nich oszołomiona. – Ale... ja niczego na ten temat nie wiem. Jess miała rację. – Czuję ukłucie na to wspomnienie. – Wszystko zmyśliłam. Nic nawet nie wiem o jeżach.

– Nie szkodzi – odpowiada Robin. – Masz mnóstwo pomysłów, a właśnie kogoś takiego nam potrzeba. Masz rację. Powinniśmy zrobić coś na szeroką skalę. A Jimowi spodobał się pomysł przyjęcia. Prawda, Jim?

– Jeśli dzięki temu ludzie zajrzą do sklepu przed czwartą, to coś takiego nie może być złym pomysłem – odpowiada z błyskiem w oku.

– Masz doświadczenie w tego rodzaju akcjach – wtrąca mężczyzna z siwymi włosami. – Wiesz, jak je organizować. My nie.

– Kiedy wyszłaś, przeprowadziliśmy szybkie głosowanie – mówi Robin. – Byliśmy niemal jednomyślni. Chcielibyśmy zaprosić cię do komitetu naszej akcji. Wszyscy czekają w domu ludowym na twoją decyzję. *

Ich twarze są tak pełne ciepła i sympatii, że zaczyna mnie piec pod powiekami.

– Nie mogę. – Odwracam głowę. – Przepraszam, ale nie mogę. Nie mam już po co zostawać w Scully. Muszę wracać do Londynu.

– A dlaczegoż to? – chce wiedzieć Jim.

– Mam... sprawy do załatwienia – odpowiadam. – Zobowiązania. No, wiecie.

– Jakie zobowiązania? – pyta łagodnie Jim. – Nie masz pracy. Twój mąż przebywa za granicą. Wasze mieszkanie stoi puste.

Dlatego właśnie nie powinno się ze wszystkiego zwierzać ludziom, których dopiero co się poznało. Przez chwilę milczę. Wpatruję się w wykładzinę w różowe i fioletowe zawijasy, próbując dojść do ładu z własnymi myślami.

– Co o tym wszystkim sądzi Jess? – pytam.

Odpowiada mi cisza. Robin ucieka spojrzeniem w bok. Siwowłosa mężczyzna patrzy w sufit. Na twarzy Jima widnieje taki sam smutek, jak wtedy w domu ludowym.

– Zakładam, że jest jedyną osobą, która głosowała przeciwko mnie, tak? – Próbuję się uśmiechnąć, ale głos mi się łamie.

– Jess ma... pewne opinie – zaczyna ostrożnie Robin. – Ale ona nie musi się w to angażować...

– Ależ musi! Oczywiście, że tak! To przecież z jej powodu tutaj się znalazłam! – Urywam, usiłując zachować spokój. – Słuchajcie, przykro mi, ale nie mogę wejść do waszego komitetu. Mam nadzieję, że protest pójdzie po waszej myśli... ale nie mogę zostać.

Widzę, że Robin bierze oddech, by coś powiedzieć.

– Nie mogę. – Patrzę Jimowi prosto w oczy. – Musicie to zrozumieć. Nie mogę.

Widzę, że rzeczywiście mnie rozumie.

– Jasne – odpowiada po chwili milczenia. – Ale warto było spróbować. – Kiwa głową do pozostałych, jakby mówił: „To koniec”.

Żegnają się z zakłopotaniem, życząc mi powodzenia, i wychodzą z niewielkiego pokoju. Zamykają się za nimi drzwi, a ja zostaję sama, jeszcze bardziej przybita niż przed ich wizytą.

Kiedy nazajutrz się budzę, niebo zasnuwają szare chmury. Edie serwuje mi angielskie śniadanie łącznie z kaszanką, ale mnie się udaje wmusić w siebie jedynie kubek herbaty. Płacę jej resztą gotówki, jaką mam, następnie udaję się na górę po rzeczy. Z okna widzę odległe wzgórze, których wierzchołki toną we mgle.

Najpewniej już więcej nie zobaczę tych wzgórz. Pewnie już tu nigdy nie wrócę.

I bardzo dobrze – myślę wyzywająco. Nie znoszę wsi.

I, pomijając wszystko inne, wcale nie miałam ochoty tu przyjeżdżać.

Upycham resztę rzeczy do czerwonej walizki, po czym decyduję się włożyć turkusowe pantofle na obcasie z paseczkami z diamentkami. Kiedy wsuwam w nie stopy, pod palcami coś wyczuwam. Pochylam się, zaintrygowana. Wyjmuję z buta małą paczuszkę i już wiem, co to takiego.

To łańcuszek. Srebrny łańcuszek od Tiffany’ego, który zamierzałam podarować Jess, nadal zapakowany w małą niebieską torebkę.

Boże, mam wrażenie, jakby od jego kupna minęły całe wieki.

Przez dłuższą chwilę przyglądam się torebce, po czym wsuwam ją do kieszeni, podnoszę walizki i pudełko z kapeluszem i schodzę na dół, mijając na korytarzu automat telefoniczny.

Może powinnam zadzwonić do Luke'a.

Ale po co? A poza tym i tak nie znam do niego numeru.

Nigdzie w pobliżu nie widać Edie, zamykam więc za sobą drzwi pensjonatu i idę powoli przez błonia w kierunku sklepu. Przed wyjazdem chcę się pożegnać z Jimem.

Kiedy otwieram drzwi i rozlega się znajomy dźwięk dzwonka, Jim podnosi wzrok znad puszek z fasolką, które właśnie metkuje. Patrzy na walizki i unosi brwi. * • .

– A więc wyjeżdżasz.

– Tak, wyjeżdżam.

– Nie jedź! – mówi żałośnie Kelly zza lady, gdzie *Juliusz Cezar* spoczywa pod magazynem „100 najmodniejszych fryzur”.

– Muszę. – Uśmiecham się blado i stawiam walizki na podłodze. – Ale jako prezent pożegnalny mam dla ciebie jeszcze trochę kosmetyków.

Kiedy daję jej kilka błyszczaków i cieni do powiek, jej twarz promienieje.

– Ja też mam coś dla ciebie, Becky. – Zdejmuje z ręki bransoletkę przyjaźni i podaje mi ją. – Żebyś o mnie nie zapomniała.

Kiedy tak patrzę na zwyczajną, plecioną bransoletkę, nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu. Właśnie takie bransoletki ja i Luke otrzymaliśmy podczas ceremonii u Masajów. Luke swoją zdjął, kiedy wrócił do służbowego życia.

Ja moją nadal noszę.

– Jest... śliczna. – Jakoś udaje mi się uśmiechnąć. – Zawsze będę ją nosić. – Wkładam ją tuż obok mojej i mocno przytulam Kelly.

– Szkoda, że wyjeżdżasz. – Przygryza dolną wargę. – Wrócisz jeszcze kiedyś do Scully?

– Nie wiem – odpowiadam po chwili milczenia. – Nie sądzę. Ale wiesz co, jeśli tylko przyjedziesz kiedyś do Londynu, koniecznie do mnie zadzwoń. Dobrze?

– Dobrze. – Kelly się rozchmurza. – Pójdziemy razem do Topshopu?

– No pewnie!

– Powiniennem już zacząć oszczędzać? – pyta żałośnie Jim, a my zaczynamy chichotać.

Przerywa nam dzwonek przy drzwiach. Do środka wchodzi Edie w zielonej chustce na głowie, a za nią Lorna i elegancko ubrana pani z wczorajszego zebrania. Wszystkie wyglądają na bardzo skrupowane.

– Edie! – Jim zerka ze zdziwieniem na zegarek. – W czym mogę ci pomóc?

– Dzień dobry, Jim. – Kobieta unika jego wzroku. – Chciałabym kupić chleb. Jeden razowy i jeden zwykły.

– Chleb? – pyta oszołomiony. – Ale Edie... jest dziesiąta rano.

– Znam się na zegarku, dziękuję bardzo – odpowiada z godnością.

– Ale... jest w normalnej cenie.

– Poproszę dwa chleby – cedzi. – Czy żądam zbyt wiele?

– Oczywiście... oczywiście, już podaję! – odpowiada Jim, nadal wyglądając na skołowanego. Bierze z półki bochenki i zawija je w papier. – Razem funt i dziewięćdziesiąt sześć pensów.

Słyszę, jak Edie bierze głęboki oddech. Następnie wyjmuję z torby portmonetkę i

otwierają.

– Dwa funty – mówi, podając Jimowi monety. – Najmocniej dziękuję.

Nie mogę w to uwierzyć. Kelly i ja siedzimy bez ruchu, wybałuszając oczy, gdy tymczasem dwie pozostałe kobiety kupują trzy bochenki chleba i pełną reklamówkę bułek. Lorna decyduje się nawet na dwie drożdżówki z rodzynkami.

Gdy zamykają się za nimi drzwi, Jim siada na taborecie.

– I kto by pomyślał? – Kręci z niedowierzaniem głową. – To dzięki tobie, Becky.

– Wcale nie – odpowiadam, lekko się czerwieniąc. – Pewnie potrzebny był im chleb i tyle.

– To dzięki tobie! – oświadcza Kelly. – I temu, co powiedziałaś! Wiem o wszystkim od mamy – dodaje. – Powiedziała, że wydajesz się miła, chociaż jesteś trochę...

– Kelly – przerywa jej pospiesznie Jim. – Idź i zrób Becky herbatę, dobrze?

– Nie, dziękuję. Będę uciekać. – Waham się chwilę, po czym sięgam do kieszeni i wydaję torebkę od Tiffany'ego. – Jim, chciałam cię prosić o przysługę. Czy mógłbyś przekazać to Jess? To coś, co jakiś czas temu kupiłam z myślą o niej. Wiem, że wszystko się zmieniło... ale jednak chciałabym jej to dać.

– Idę teraz do jej domu zanieść zakupy – odpowiada. – Może sama to podrzucisz?

– Och. – Kurczę się w sobie. – Nie. Ja... nie chcę się z nią spotkać.

– Jej tam nie będzie. Wszyscy poszli na tę wspinaczkę wytrzymałościową. Mam klucz od jej domu.

– No tak. – Waham się.

– Przydałoby mi się towarzystwo – dodaje, wzruszając ramionami.

– Cóż... – Przez chwilę przyglądam się torebeczce od Tiffany'ego, po czym wsadzam ją z powrotem do kieszeni. – No dobrze. Pójdą z tobą.

Idziemy pustymi ulicami w kierunku domu Jess. Milczymy. Jim niesie na ramieniu worek z ziemniakami. Warstwa chmur na niebie robi się coraz grubsza i czuję na twarzy kilka kropel deszczu. Jim posyła mi zatroskane spojrzenie.

– Dasz sobie radę, kiedy już wrócisz do Londynu? – pyta wreszcie.

– Chyba tak.

– Rozmawiałaś z mężem?

– Nie. – Zagryzam wargę. – Nie rozmawiałam. Zatrzymuje się i przenosi worek z ziemniakami na drugie ramię.

– No więc – pyta jakby od niechcienia – jak to się stało, że małżeństwo takiej miłej dziewczyny znalazło się w tarapatkach?

– To moja wina. Zrobiłam... kilka głupstw. A mój mąż bardzo się zdenerwował. Powiedział... – Przetykam z trudem ślinę. – Powiedział, że chciałby, abym była bardziej podobna do Jess.

– Naprawdę? – Jim patrzy na mnie z zaskoczeniem. – No tak, Jess to porządna dziewczyna – poprawia się pospiesznie. – Ale ja nie... Mniejsza o to. To nie ma nic do rzeczy. – Chrząka z zakłopotaniem i pociera nos.

– Dlatego właśnie tu przyjechałam. Żeby się od niej uczyć. – Wzdycham ciężko. – Ale to

był głupi pomysł.

Doszliśmy właśnie do końca ulicy i Jim się zatrzymuje, by chwilę odsapnąć przed dalszą wspinaczką. Domy z szarego kamienia lśnią od mżawki i wyglądają niezwykle surowo na tle odległych, kryjących się we mgle wzgórz. Dostrzegam w oddali stado pasących się owiec, które wyglądają jak białe wełniane kropki na trawie.

– Przykro mi, jeśli chodzi o ciebie i Jess – odzywa się Jim i wiem, że mówi to szczerze. – Naprawdę wielka szkoda.

– Powinłam to wiedzieć od razu. – Staram się, by w moim głosie nie było słychać rozczarowania. – Tak bardzo się różnimy.

– Różnicie się, to prawda. – Na jego twarzy pojawia się rozbawienie.

– Ona wydaje się taka... zimna. – Garbię się, czując znajomą urazę. – Wiesz, ja się naprawdę bardzo starałam. Ale ona nigdy nie pokazała, że jest zadowolona... właściwie to nie okazała żadnych uczuć. Sprawia wrażenie, jakby wszystko miała w nosie! Jakby nie miała żadnych pasji!

Jim unosi brwi.

– Ależ Jess ma pasję – mówi. – Kiedy będziemy u niej, coś ci pokażę.

Podnosi z ziemi worek z ziemniakami i ruszamy dalej. Kiedy zbliżamy się do domu Jess, zaczynam odczuwać ciekawość. Mimo wszystko jestem bardzo ciekawa, jak ona mieszka.

Kiedy stajemy przed drzwiami, Jim wyjmuje z kieszeni pęk kluczy, wybiera jeden z nich i wkłada do zamka. Po chwili wchodzi do środka i rozglądam się z zainteresowaniem. Ale to miejsce niewiele mówi. Trochę tak, jak sama Jess. Dwie sofy w salonie. Czysta biała kuchnia. Kilka doniczek z kwiatami.

Udaję się na górę i ostrożnie otwieram drzwi do jej sypialni. Jest w niej nienagannie czysto. Zwykła bawełniana narzuta na łóżko, niezbyt ładne zasłony, kilka nijakich obrazów.

– No dobrze. – Jim staje za mną. – Chcesz zobaczyć prawdziwą pasję Jess? No to proszę bardzo.

Podchodzi do drzwi tuż obok podestu, przekręca klucz i przywołuje mnie skinieniem.

– Oto te słynne kamienie – oświadcza, otwierając na oścież drzwi. – Trzy lata temu dała zrobić tę szafkę, specjalnie na nie. Sama zaprojektowała nawet najmniejszy szczegół, oświetlenie i w ogóle. Robi wrażenie, co? – Urywa ze zdziwieniem, kiedy dostrzega wyraz mojej twarzy. – Becky? Wszystko w porządku, słonko?

Nie jestem w stanie wykrztusić słowa. Nie jestem w stanie się ruszyć.

To moja szafka na buty!

To dokładnie moja szafka na buty. Takie same drzwiczki. Takie same półki. Takie samo oświetlenie. Tyle że zamiast butów na tych półkach są kamienie. Całe rzędy cennych, starannie opisanych kamieni.

I... one są piękne. Niektóre szare, inne przezroczyste, niektóre oszlifowane, inne opalizujące i błyszczące. Są tam skamieliny... ametysty... kawałki gagatu, lśniące w padającym z góry świetle.

– Nie miałam pojęcia... – Przetykam ślinę. – To niesamowite.

– Chciałaś poznać jej pasję? – śmieje się Jim. – Oto jej prawdziwa pasja. Można nawet

powiedzieć, że obsesja. – Bierze z półki pokryty plamkami szary kamień i obraca go w palcach. – Wiesz, skąd się wzięła ta blizna na jej nodze? Wspinała się gdzieś w górach po jakiś cholerny kamień. Była tak zdeterminowana, by go zdobyć, że ryzykowała własne bezpieczeństwo. – Uśmiecha się szeroko, widząc moją minę. – A kiedyś została aresztowana podczas odprawy celnej za przemykanie pod swetrem jakiegoś cennego kryształu.

Wpatruję się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Jess? Aresztowana?

– Wypuścili ją. – Macha ręką. – Ale wiem, że zrobiłaby to jeszcze raz. Jeśli jest jakiś szczególny kamień, który ta dziewczyna pragnie mieć, zrobi wszystko, by go zdobyć. – Potrząsa z rozbawieniem głową. – To taki wewnętrzny przymus. Rodzaj manii! Nic nie jest w stanie jej powstrzymać!

Kręci mi się w głowie. Przyglądam się rzędowi kamieni: wszystkie są w różnych odcieniach czerwieni. Dokładnie tak, jak moje buty.

– Nie trąbi o tym na prawo i lewo. – Jim odkłada nakrapiany kamień. – Pewnie sądzi, że ludzie by tego nie zrozumieli...

– Ja rozumiem – przerywam mu drżącym głosem. – Doskonale ją rozumiem.

Cała się trzęsę. To moja siostra.

Jess jest moją siostrą. Nigdy w życiu nie byłam niczego aż tak pewna.

Muszę ją znaleźć. Muszę jej to powiedzieć. Natychmiast.

– Jim... – Biorę głęboki oddech. – Muszę znaleźć Jess. W tej chwili.

– Bierze udział w tej sponsorowanej wspinaczce wytrzymałościowej – przypomina mi. – Zaczyna się za pół godziny.

– W takim razie pędzę. Muszę się z nią zobaczyć. Jak się tam dostać? Można dojść pieszo?

– To kawałek drogi stąd – odpowiada Jim i przechyla głowę w sposób zdradzający lekkie zdziwienie. – Podwieźć cię?

Wiedziałałam, że jesteśmy siostrami. Wiedziałałam. Wiedziałałam i już.

I nie jesteśmy takimi sobie zwykłymi siostrami – jesteśmy autentycznymi bratnimi duszami! Po tych wszystkich falstartach. Po tych wszystkich nieporozumieniach. Po tym, jak sądziłam, że już nigdy nie chcę mieć z nią do czynienia.

Ona jest taka sama jak ja. Rozumiem ją.

Rozumiem Jess!

Zgadza się wszystko, co powiedział Jim. Wszystko! Ile to razy przemyciłam z Ameryki buty? Ile razy ryzykowałam podczas wyprzedaży własne bezpieczeństwo? Tak jak ona zraniłam się nawet w nogę! To było wtedy, kiedy ujrzałam, że ktoś zbliża się do ostatniej przecenionej portmonetki Orli Kiely w Selfridges, i zeskoczyłam ze schodów ruchomych, pokonując osiem stopni naraz.

Boże, gdybym tylko wcześniej zobaczyła tę szafkę ze skałami. Gdybym wiedziała. Wszystko potoczyłoby się inaczej! Dlaczego mi o tym nie powiedziała? Dlaczego tego nie wyjaśniła?

Nagle przypominam sobie, że Jess wspominała o skałach na pierwszym spotkaniu... i potem znowu u nas w mieszkaniu. Ogarnia mnie wstyd. Ona próbowała. Tyle że ja nie słuchałam, prawda? Nie wierzyłam jej, kiedy mówiła, że są interesujące. Powiedziałam, że skały są... głupie.

I nudne. Tak jak ona.

Ściska mnie w żołądku.

– Nie możemy jechać szybciej? – pytam Jima.

Posuwamy się naprzód z dziwnym klekotem silnika wiekowego landrovera coraz wyżej i wyżej po porośniętym zboczu.

– Jadę tak szybko, jak tylko się da – odpowiada. – Zdążymy, nie martw się.

Przed samochodem uskakują na bok owce. W przednią szybę uderzają małe kamyczki. Rzucam spojrzenie przez okno – i szybko zamykam oczy. Wcale nie mam lęku wysokości, o nie, ale jedziemy chyba tylko jakieś pięć centymetrów od stromego urwiska...

– No dobrze – mówi Jim, zatrzymując się z chrzęstem żwiru na niewielkim, prowizorycznym parkingu. – Tutaj zaczynają. A tam się wspinają. – Wskazuje stromą górę, która z bliska sprawia dość groźne wrażenie. – Słynna Scully Pike. – Dzwoni mu komórka. – Przepraszam cię na chwilę.

– Nie przejmuj się! Dzięki! – mówię i otwieram drzwi. Wsiadam, rozglądam się... i na chwilę tracę mowę.

Wszędzie wokół widać urwiste skały, tereny porośnięte trawą oraz szczeliny lodowe. Nad wszystkim góruje Scully Pike – surowy, poszarpany kontur na tle szarego nieba. Kiedy rzucam okiem na dolinę, doznaję naglego zawrotu głowy. Naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, że jesteśmy aż tak wysoko. W oddali widać niewielkie skupisko domów. To pewnie

Scully. Ale poza tym to kompletne odludzie.

Szybkim krokiem podchodzę do stołu, do którego doczepiono plakat: „Wspinaczka wytrzymałościowa grupy ekologicznej mieszkańców Scully, zapisy”. Dwie żółte chorągiewki wyznaczają początek trasy. Przy stole siedzi nieznany mi mężczyzna w skafandrze i czapce z daszkiem. Ale poza nim nie ma żywej duszy.

Gdzie się wszyscy podziali? Nic dziwnego, że nie mają pieniędzy, skoro nikt się nie pojawia na sponsorowanych wspinaczkach.

– Dzień dobry – mówię do mężczyzny w skafandrze. – Nie wie pan, gdzie jest Jess Bertram? To jedna z uczestniczek. Muszę z nią pilnie porozmawiać.

Przez to wyczekiwanie jestem kompletnie wytrącona z równowagi. Już się nie mogę doczekać, kiedy jej powiem, kiedy ujrzę jej minę!

– Obawiam się, że już za późno – odpowiada mężczyzna i pokazuje na górę. – Już poszła. Wszyscy poszli.

– Już? – dziwię się. – Ale... wspinaczka zaczyna się o jedenastej, a jest dopiero za pięć!

– Zaczęła się o wpół do jedenastej – wyjaśnia mężczyzna. – Przyspieszyliśmy ją ze względu na fatalną pogodę. Będzie pani musiała zaczekać. To potrwa tylko kilka godzin.

– Och. – Rozczarowana opuszczam ramiona i odwracam się. – Rozumiem. Dzięki.

Nic mi nie będzie. Mogę zaczekać. Potrafię być cierpliwa.

Poza tym kilka godzin to przecież nie tak długo.

A właśnie że tak. Kilka godzin to całe wieki. Chcę powiedzieć jej o tym teraz. Spoglądam sfrustrowana na górę. Nagle kilkaset metrów wyżej dostrzegam dwoje ludzi w czerwonych kurtkach. Mają ze sobą chorągiewki Grupy Ekologicznej Scully. Biorą więc udział we wspinaczce. Jeszcze trochę nad nimi widać postać w niebieskiej kurtce.

Intensywnie się zastanawiam. Nie uszli wcale daleko, a to oznacza, że Jess także zbyttno się nie oddaliła. A to z kolei oznacza... że mogłabym ją dogonić. No pewnie!

Tego rodzaju wieści nie mogą czekać kilku godzin. Jesteśmy przecież siostrami. Prawdziwymi siostrami! Muszę natychmiast jej o tym powiedzieć.

Poprawiam na ramieniu torebkę, podchodzę szybkim krokiem do stromej górskiej ścieżki i przyglądam się jej krytycznie. Dałabym sobie radę. To proste. Po bokach są skały, których można się przytrzymać, i w ogóle.

Robię kilka próbnych kroków – i wszystko w porządku! To wcale nie jest trudne.

– Przepraszam? – Mężczyzna wstaje zza stołu i patrzy na mnie z osłupieniem. – Co pani robi?

– Przyłączam się do wspinaczki. Proszę się nie martwić, sama będę swoim sponsorem.

– Pani nie może tego zrobić! Proszę spojrzeć na swoje buty! – Wskazuje z przerażeniem na turkusowe pantofle na obcasie. – Ma pani nieprzemakalny skafander z kapturem?

– Skafander? – Krzywię się. – Czy wyglądam na kogoś, kto ma skafander?

– A laskę?

– Nie potrzebuję laski – wyjaśniam cierpliwie. – Nie jestem aż taka stara.

No, wiecie co! To tylko wejście na szczyt wzgórza. O co to całe halo?

Aby mu udowodnić, że nie ma racji, zaczynam się wspinać ścieżką w górę. Ziemia jest

trochę grząska od mżawki, ale z całych sił wbijam w nią obcasy, łapię się za skały sterczące po obu stronach ścieżki – i po dwóch minutach pokonuję już pierwszy zakręt.

Mam przyspieszony oddech i trochę bolą mnie łydki, ale poza tym świetnie sobie radzę! Okazuje się, że taka wspinaczka wcale nie jest czymś trudnym. Dochodzę do następnego zakrętu i oglądam się z satysfakcją za siebie. Można powiedzieć, że jestem już w połowie góry!

To takie łatwe. Zawsze wiedziałam, że ludzie, którzy łażą po górach, popisują się zupełnie bez powodu.

Z dołu dobiega do mnie ledwie słyszalny głos Jima:

– Becky! Wracaj!

Ale ignoruję go i zdecydowanie, krok po kroku, wspinam się dalej. Powinam przyspieszyć, jeśli chcę dogonić Jess. Tyle że musi być z niej naprawdę niezły piechur, ponieważ wspinam się miarowo już mniej więcej od godziny, a jeszcze jej nie dogoniłam.

Właściwie to nie dogoniłam żadnego z uczestników. Przez jakiś czas widziałam przed sobą czerwoną parę, ale w międzyczasie gdzieś zniknęli. Koleś w niebieskiej kurtce także przepadł. I nigdzie, nawet w oddali, nie mignęła mi postać Jess.

To pewnie z tego powodu, że ona przez całą drogę biegnie – myślę ze smutkiem. Na pewno robi teraz na szczycie dwadzieścia pompek na jednej ręce, jako że wspinanie się na górę nie jest dla niej wystarczająco wyczerpujące. Boże, to niesprawiedliwe. Mnie też powinno przyspaść w udziale choć kilka genów odpowiedzialnych za doskonałą sprawność fizyczną.

Wspinam się jeszcze kawałek, po czym przystaję, by chwilę odsapnąć. Krzywię się, widząc zabłocone nogi. Płoną mi policzki i ciężko dyszę, więc wyjmuję z torebki wodę Evian w spreju i spryskuję się nią. Im wyżej, tym coraz bardziej stromo.

To wcale nie znaczy, by mi było jakoś specjalnie ciężko, o nie. Prawdę mówiąc, idzie mi całkiem dobrze, jeśli nie liczyć pęcherza na prawej stopie, który zaczyna mnie trochę boleć. Może ten facet miał jednak rację – to nie są najlepsze na świecie buty do wspinaczki. Na ich korzyść przemawia jednak fakt, że obcasy bardzo się przydają na śliskich odcinkach.

Rozglądam się po pustym urwistym zboczu. Jakiś metr ode mnie znajduje się występ skalny, a pod nim niemal pionowy stok aż do doliny.

Wcale nie mam zamiaru na to patrzeć. Co to, to nie.

Przestań, Becky. Nie zamierzam przecież rzucić się naprzód i skoczyć w dół, bez względu na podszepty własnego mózgu.

Chowam wodę i rozglądam się niepewnie. Nie mam pojęcia, jak daleko trzeba jeszcze iść. Liczyłam na to, że dogonię innych uczestników wspinaczki i od nich się tego dowiem. Mrużę oczy, starając się dojrzeć gdzieś kolorowy skafander, ale powietrze zaczyna się robić gęste od mgły.

O Boże! Lada chwila może zacząć padać. A ja nie mam nawet swetra.

Nagle czuję się jak ostatnia idiotka. Może nie powinnam tak się tutaj spieszyć. Może lepiej będzie, jak jednak zejść na dół. Ostrożnie robię krok w dół... ale ziemia jest bardziej śliska, niż się spodziewałam, i nagle zjeżdżam w stronę występu skalnego.

– Choleeeera!

Chwytam się wystającej skały, żeby wyhamować, i jakoś udaje mi się wdrapać z powrotem na górę, nadwerężając przy tym ramię.

No dobrze, zapomnijmy o tym. Nie schodzę na dół. Będę dalej szła tą ścieżką. Dam sobie radę. Jeśli tylko trochę przyspieszę, na pewno dogonię Jess.

Naprawdę warto znieść to wszystko, żeby tylko ujrzeć jej minę.

Najpierw nie uwierzy własnym oczom. Potem jej powiem – a ona nie uwierzy własnym uszom! Kompletnie ją zatka! Przez chwilę upajam się tą myślą, po czym ze świeżym zastrzykiem energii kontynuuję wspinaczkę.

Jestem wykończona. Już nie dam rady iść dalej.

Bolą mnie kolana, dłonie mam poobcierane, a stopy całe w pęcherzach. Wspinam się już od kilku godzin – tak mi się przynajmniej wydaje – a ta piekielna góra zdaje się nie mieć końca. Za każdym razem, kiedy myślę, że dotarłam wreszcie na miejsce, przede mną wyłania się kolejny szczyt.

Gdzie jest Jess? Gdzie są pozostali? To przecież niemożliwe, by wszyscy byli ode mnie szybsi.

Zatrzymuję się na chwilę, ciężko oddychając, i dla zachowania równowagi przytrzymuję się olbrzymiego głazu. Widok na dolinę jest urzekający, po niebie przesuwają się fioletowe i szare chmury, a nade mną szybuje jakiś ptak. Może to orzeł.

Mam to, szczerze mówiąc, gdzieś. Marzy mi się wygodny fotel i kubek gorącej herbaty. To jedyne, czego pragnę w tej chwili.

Ale nie mogę. Muszę iść dalej. To właśnie mieli na myśli, kiedy nazwali tę wspinaczkę wytrzymałościową.

Z wielką niechęcią puszczam się głazu i ruszam dalej. Lewa, prawa. Lewa, prawa. Może zacznę śpiewać jak Von Trappowie. Tak. To mi doda otuchy.

– *Wysoko na wzgórzu...*

Nie. Zapomnijmy o śpiewaniu.

O Boże! Już nie mogę! Po prostu nie mogę!

Idę już chyba kilka godzin, mam mdłości i kręci mi się w głowie. Strasznie bołą mnie ręce, o wystającą skałę rozciąłam sobie kolano i podarłam spódnice. Nie wiem, gdzie mam dalej iść.

Potykam się o stosik kamieni i chwytam jakiegoś krzaka, by nie upaść. Krzywię się, gdy kłuje mi rękę. No dobra. Muszę się zatrzymać i chwilę odpocząć. Siadam na płaskim kamieniu, wyciągam z torebki mgiełkę do twarzy Evian i psikam ją sobie do ust.

Umieram z pragnienia. Mam spoconą twarz i uczucie, jakby pękały mi płuca. Nogi oblepia mi błoto, a z lewego kolana spływa cienki strumyczek krwi. Buty nadają się do wyrzucenia.

Psikam do ust ostatnie krople wody. Ocieram twarz chusteczką i rozglądam się po pustej okolicy. W zasięgu wzroku nie ma nikogo. Absolutnie nikogo.

I co mam teraz zrobić?

Czuję ukłucie strachu, które staram się ignorować. Wszystko będzie dobrze.

Najważniejsze jest pozytywne myślenie. Będę się po prostu dalej wspinać. Dam sobie radę!

Nie dam rady – rozlega się cichy głosik w mojej głowie.

Przestań. Myśl pozytywnie. Uda mi się wszystko, co tylko sobie postanowię.

Nie wejście na górę. To był głupi pomysł.

No, przestań! Oczywiście, że dam radę. Uda mi się wejść na każdą górę.

A poza tym nie mogę bez końca siedzieć na tym kamieniu. Muszę iść dalej, w przeciwnym wypadku zasnę jak wędrowcy w śniegu i umrę.

Drżą mi nogi, ale jakoś wstaję. Krzywię się z bólu – te pęcherze są nie do zniesienia. Ale trzeba iść dalej. Dotrę do szczytu – może właśnie tam czeka ekipa powitalna. I te gorące napoje, o których mówił Robin. Tak. Wszystko będzie dobrze...

Nagle powietrze przecina odległy dźwięk grzmotu.

O Boże! Błagam, tylko nie to.

Podnoszę głowę – niebo zdążyło przybrać odcień złowrogiej szarości. Nie widać ani jednego ptaka.

Do oka wpada mi kropla deszczu. A po chwili następna.

Przełykam ślinę, usiłując zachować spokój. Ale mimo to ogarnia mnie panika. Co mam teraz zrobić? Kontynuować wspinaczkę? Zejść na dół?

– Hej! – wołam. – Jest tam kto? – Mój głos odbija się echem od skał, ale pozostaje bez odpowiedzi.

Kolejne trzy krople deszczu spadają mi na głowę.

Nie mam na sobie płaszcza przeciwdeszczowego. Rozglądam się z przerażeniem po dziewiczej okolicy. A co będzie, jeśli nie uda mi się zejść na dół? Jeśli utknę tutaj podczas burzy?

Byłam taka zdesperowana, by powiedzieć Jess, że jesteśmy siostrami. Teraz czuję się jak skończona idiotka. Powinnam poczekać. Luke ma rację. Dlaczego zawsze jestem w gorącej wodzie kąpana? Mogę mieć teraz pretensje tylko i wyłącznie do siebie.

Przez niebo przetacza się kolejny grzmot, a ja podskakuję z przerażenia. A jeśli trafi mnie piorun? Nie znam nawet zasad, których powinno się przestrzegać na dworze podczas burzy. Pamiętam coś o staniu pod drzewem. A może wprost przeciwnie. No i co teraz? A jeśli się pomylę?

Nagle do moich uszu dobiega jakiś dźwięk. Jakby świergotanie. Czy to... jakieś zwierzę?

O mój Boże!

O mój Boże! To mój telefon! Tutaj jest zasięg! Tutaj jest cholerny zasięg!

Drżącymi palcami odpinam torebkę i chwytam kurczowo aparat. Z niedowierzaniem widzę, że na wyświetlaczu miga imię Luke'a. Osłabła z ulgi, wciskam gorączkowo zielony przycisk.

– Luke! – wołam. – Tu Becky!

– Becky! Czy ktoś mnie słyszy? – Słychać trzaski na linii, a głos Luke'a jest niewyraźny i odległy.

– Tak! – krzyczę, gdy tymczasem na głowę zaczyna mi spadać coraz więcej kropli. – Luke, to ja! Zgubiłam się! Potrzebuję pomocy!

– Halo? – Ponownie słyszę jego zaniepokojony głos. – Czy ktoś mnie słyszy?
– Tak! Słyszczę cię! Jestem tutaj! – Bez ostrzeżenia po policzkach zaczynają mi płynąć łzy.
– Utknęłam na tej okropnej górze i nie wiem, co zrobić. Luke, tak bardzo cię przepraszam...
– Linia jest uszkodzona. – Słyszczę, jak mówi do kogoś. – Niczego nie słyszę.
– Luke! – wrzeszczę. – Luke, słyszczę cię! Tu jestem! Nie rozłączaj się!
Gorączkowo uderzam dłonią w telefon. Na ekraniku pokazuje się napis: „Słaba bateria”.
– Halo? – Słyszczę znowu głos Luke’a. – Becky?
– Luke, proszę, usłysz mnie! – wołam z rozpaczą. – Proszę, usłysz mnie! Proszę...
Ale światelko na wyświetlaczu zaczyna już błednać. Po chwili telefon cichnie zupełnie.
Nie ma go.

Omiatam wzrokiem opustoszałą, milczącą okolicę. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak bardzo osamotniona.

Po chwili podmuch wiatru chluscze mi w twarz dużymi kroplami deszczu, a ja się wzdrygam. Nie mogę tak tu stać. Muszę poszukać jakiegoś schronienia.

Niecałe dwa metry nade mną znajduje się coś w rodzaju występu skalnego, na którym usypany jest stos wielkich kamieni. Jeden z nich jest nieco wysunięty i może będę mogła sobie pod nim przykucnąć. Ślizgam się w błocie, ale wbijam się w nie obcasami i chwytam wszystkiego, co napotykam po drodze. Jakoś udaje mi się tam dotrzeć, obcierając po drodze drugie kolano.

Boże, tu jest naprawdę wysoko. Lekko kręci mi się w głowie. Ale mniejsza o to. Jeśli nie będę patrzyła w dół, dam sobie radę. Zdecydowanie chwytam się wystającej skały i próbuję się pod nią wsunąć, nie tracąc przy tym równowagi... kiedy nagle kątem oka dostrzegam plamę żółci.

Jaskrawej żółci.

Takiego koloru są płaszcze przeciwdeszczowe.

O mój Boże! Jest tu więc ktoś jeszcze! Jest ktoś jeszcze! Jestem uratowana!

– Hej! – wołam. – Halo! Tutaj! – Ale mój głos wiatr i deszcz znoszą w niewłaściwą stronę.

Nie widzę dokładnie tej osoby, ponieważ widok zasłania mi zwisająca skała. Bardzo powoli i ostrożnie przesuwam się po krawędzi, aż wreszcie dostrzegam, kto to.

I wtedy zamiera mi serce. To Jess!

Ubrana jest w żółty skafander przeciwdeszczowy z kapturem, a na plecach ma nieodłączny plecak. Ze skałą łączy ją lina. Kopie ostrożnie nożem dookoła jakiegoś kamienia.

– Jess! – wołam, ale na tym wietrze mój głos jest niewiele głośniejszy od ptasiego pisku.

– Jess! JESS!

Wreszcie odwraca głowę – i na jej twarzy pojawia się wyraz szoku.

– Jezu Chryste! Becky! Co ty, u diabła, tu robisz?

– Przyszłam, żeby ci powiedzieć, iż jesteśmy siostrami! – odkrzykuję, ale nie mam pewności, czy nie zagłusza mnie ulewny deszcz. – Siostrami! – wrzeszczę, robiąc krok naprzód i otaczając dłońmi usta. – Jesteśmy SIOSTRAMI!

– Nie ruszaj się! – woła przerażona Jess. – Ten nawis jest niebezpieczny!

- Nic mi nie jest!
- Cofnij się!
- Wszystko w porządku, naprawdę! – krzyczę.

Ale ona wygląda na tak bardzo przestraszoną, że posłusznie robię krok w tył.

I wtedy właśnie poślizguję się w błocie.

Nie mogę odzyskać równowagi.

Wyciągam gorączkowo ręce do wystających skał, usiłując się czegoś złapać. Ale wszystko jest zbyt śliskie. Zaciskam palce wokół gałęzi jakiegoś krzaka, ale ona jest mokra od deszczu. Nie dam rady się utrzymać.

– Becky! – słyszę krzyk Jess, gdy tymczasem gałąź wyślizguje mi się z palców. – BECKY!

Spadam w dół, słysząc krzyk. Nie jestem pewna, czyj. Kątem oka dostrzegam niebo, a potem coś mocno uderza mnie w głowę.

A potem wszystko ogarnia ciemność.

„Maida Vale Chronicle”
sobota, 7 czerwca 2003

TAJEMNICZE ZAGINIĘCIE

Wczoraj wieczorem zaistniały uzasadnione obawy o bezpieczeństwo dwudziestosiedmioletniej mieszkanki Maida Vale Rebeki Brandon. Pani Brandon (z domu Bloomwood) zniknęła w czwartek z luksusowego apartamentu, który zajmuje wraz z mężem Lukiem Brandonem, i od tamtej pory nikt nie miał od niej żadnych wiadomości. Alarm podniosła przyjaciółka pani Brandon, pani Zuzanna CleathStuart, która przybyła do Londynu z niespodziewaną wizytą.

ZAKUPY

Kamery przemysłowe zarejestrowały wyraźnie wzburzoną panią Brandon, na krótko przed jej zniknięciem, w pobliskim sklepie Delikatesy Anna. „Zostawiła wszystkie swoje zakupy i wyszła – oświadczyła sprzedawczyni Marie Fuller. – Niczego nie kupiła”.

Zrozpaczona pani CleathStuart tak to skomentowała: „To stanowi dowód, że stało się coś złego! Bex nigdy nic zestawiałaby w sklepie zakupów! Nigdy!”

CHAOS

Prawdziwie dantejskie sceny rozegrały się na pokładzie statku wycieczkowego, odbywającego terapeutyczny rejs Ciało i Dusza po Morzu Śródziemnym. Rodzice pani Brandon, Graham i Jane Bloomwoodowie, zażądali, by natychmiast zawrócono statek. „Możecie sobie wsadzić gdzieś ten wasz cholerny spokój! – wołała podobno rozhisteryzowana pani Bloomwood. – Zaginęła moja córka!”

BURZE

Tymczasem gwałtowne burze uniemożliwiły mężowi pani Brandon, Luke’owi, wylot z Cypru, gdzie obecnie pracuje. Świadkowie utrzymują, iż był wczoraj „ogromnie zaniepokojony” i że jest w stałym kontakcie z policją. Jego współpracownik, Nathan Tempie, wyznaczył nagrodą za informacje mogące pomóc w odnalezieniu pani Brandon. Oświadczył wczoraj: „Jeśli tej młodej damie spadnie z głowy choć jeden włos, osobiście połamię sprawcy wszystkie kości. Dwukrotnie”. W 1984 roku pan Tempie został uznany za winnego ciężkiego uszkodzenia ciała.

Oj! Ałaaaa!

Boże, ból dosłownie rozsadza mi czaszkę. Ałaa! Czuję bolesne pulsowanie w kostce. Wydaje mi się, że zaraz zwymiotuję, a coś ostrego uwiera mnie w ramieniu...

A tak w ogóle to gdzie ja jestem? Dlaczego tak dziwnie się czuję?

Z ogromnym trudem udaje mi się otworzyć oczy. Dostrzegam coś niebieskiego. Chwilę później znowu je zamykam.

Hmm. Niebieski. Bez sensu. Może spróbują się zdrzemnąć.

– Becky? Beckyyy! – Z daleka dociera do mnie głos. – Obudź się!

Ponownie zmuszam powieki do uniesienia się. Nade mną wisi jakaś zamazana twarz na niebieskim tle. Jess!

O rety, to Jess! Jest biała jak ściana i bardzo zdenerwowana. Może coś zgubiła. Kamień. Pewnie tak się właśnie stało.

– Widzisz mnie? – pyta gorączkowo. – Powiedz, ile widzisz palców?

Unosi mi przed twarz dłoń, a ja przyglądam jej się w zamroczeniu. O kurczę, tej dziewczynie naprawdę przydałby się manicure.

– Ile palców? – powtarza. – Widzisz? Słyszysz mnie? Pewnie, że słyszę.

– Eee... trzy?

Jess wpatruje się we mnie przez chwilę, po czym opada na kolana i chowa głowę w dłoniach.

– Dzięki Bogu. Dzięki Bogu.

Cała drży. Dlaczego, u licha, ona drży?

I wtedy wraca mi pamięć.

Jezu Chryste! Wspinaczka. Burza. Upadek. O Boże, upadek z nawisu skalnego.

Szybko próbuję wziąć się w garść, ale ku memu zdumieniu z kącików oczu zaczynają mi się sączyć łzy, które skapują do uszu.

Okej. Już dobrze. Teraz jestem bezpieczna. Jestem na ziemi... tak mi się przynajmniej wydaje. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, gdzie jestem. Przyglądam się jaskrawoniebieskiemu tłu, ale coś mi tu nie gra. Powiedziałabym, że jestem w niebie – ale Jess chyba nie spadła razem ze mną, prawda?

– Gdzie jestem? – udaje mi się wykrztusić. Jess unosi głowę. Wciąż jest blada i roztrzęsiona.

– W moim namiocie – odpowiada. – Zawsze noszę ze sobą w plecaku namiot. Bałam się cię ruszyć, więc rozstawiłam go nad tobą.

Namiot! Muszę przyznać, że to bardzo sprytne. Dlaczego ja nie biorę wszędzie ze sobą namiotu? Zacznę od jutra. Tak. Malutki namiocik, który zmieści mi się do torebki.

Jedyny problem, że leżenie na ziemi nie należy do najwygodniejszych. Może wstanę i rozprostuję nogi.

Próbuję się podnieść i przed oczami natychmiast pojawiają mi się mroczki.

– O Boże – mówię słabo i ponownie opadam na ziemię.

– Nie próbuj wstawać! – woła z przestachem Jess. – Spadłaś z naprawdę wysoka. Myślałam, że... – Urywa i bierze głęboki oddech. – Mniejsza o to. Nie wstawaj.

Stopniowo staję się świadoma reszty mego ciała. Dłonie mam obtarte i podrapane. Z ogromnym wysiłkiem unoszę głowę i omiatam spojrzeniem nogi, całe podrapane i zakrwawione. Czuję, że mam sińca na policzku. Dotykam go palcem.

– Ała! Leci mi z twarzy krew?

– Wyglądasz jak nieboskie stworzenie – odpowiada otwarcie Jess. – Czy coś cię naprawdę mocno boli?

– Kostka. Lewa. Boli jak cholera.

Zaczyna ją obmacywać, a ja zagryzam wargę, żeby nie krzyczeć z bólu.

– Chyba jest skrzyżowana – orzeka. – Zabandażuję ci ją, . – Włącza latarkę i przywiązuje ją do stalowego masztu, a następnie otwiera niewielką puszkę. Wyjmuje z niej bandaż i ze znanostwem zaczyna owijać nim moją kostkę. – Becky, a tak w ogóle to co ty, u diabła, robiłaś tam na górze?

– Ja... szłam, żeby cię znaleźć. – Kawałki rozsypanej układanki zaczynają się w mojej głowie do siebie dopasowywać. – Brałam udział w tej sponsorowanej wspinaczce wytrzymałościowej.

Jess patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Ale to nie była trasa wspinaczki! Specjalnie zboczyłam ze szlaku. Trasa biegła znacznie niżej. Nie szłaś za znakami?

– Za jakimi znakami? – Patrzę na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Boże, ty nie masz za grosz pojęcia o chodzeniu po górach, no nie? Nie powinnaś iść aż tak wysoko! To niebezpieczne!

– Więc dlaczego ty tutaj jesteś? – odparowuję, krzywiąc się, gdy coraz ciaśniej owija mi kostkę bandażem. – To, co robiłaś, też wyglądało niebezpiecznie.

Jess ucieka spojrzeniem.

– Kiedy ostatnio tutaj się wspinałam, widziałam kilka okazów amonitów – odpowiada po chwili milczenia. – Chciałam je mieć w zbiorze. Może i było to trochę ryzykanckie, ale nie spodziewam się, byś mnie zrozumiała...

– Nie! Ja cię rozumiem! – przerywam jej i opieram się z wysiłkiem na łokciach. O mój Boże! Teraz już wszystko sobie przypominam. Muszę jej powiedzieć. – Jess, ja rozumiem. Widziałam twoje kamienie. Są fantastyczne. Przepiękne.

– Leż – mówi z troską. – Spokojnie.

– Nie chcę być spokojna! Jess, posłuchaj. Jesteśmy siostrami. Jesteśmy najprawdziwszymi siostrami. Dlatego właśnie się tutaj wspięłam. Musiałam ci o tym powiedzieć.

Jess przygląda mi się uważnie.

– Becky, uderzyłaś się w głowę... doznałaś najprawdopodobniej wstrząśnienia mózgu...

– Wcale nie! – Im głośniej mówię, tym bardziej boli mnie głowa, ale mam to gdzieś. – Wiem, że płynie w nas ta sama krew. Wiem! Byłam u ciebie w domu.

– Co takiego? – pyta oszołomiona. – Kto cię wpuścił?

– Widziałam twoją szafkę na kamieniu. Jest taka sama jak moja szafka na buty w Londynie. Identyczna. Oświetlenie... półki... wszystko!

Widzę, jak Jess trochę traci opanowanie.

– I co z tego? – pyta szorstko.

– To! Jesteśmy takie same! – Siadam z przejęciem, ignorując mroczki przed oczami. – Jess, pomyśl sobie, jak się czujesz, kiedy widzisz naprawdę niesamowity kamień, dobrze? Tak właśnie czuję się ja, gdy widzę parę świetnych butów albo sukienkę! Muszę je mieć. Nie liczy się nic poza tym. Wiem, że w przypadku twoich kamieni czujesz dokładnie to samo.

– Wcale nie – odpowiada, odwracając wzrok.

– Właśnie że tak! Wiem, że tak! – Ściskam jej ramię. – Masz taką samą obsesję jak ja! Tylko lepiej umiesz się z nią kryć! O Boże, moja głowa! Ała!

Opadam na plecy.

– Dam ci tabletkę przeciwbólową – mówi nieprzytomnie Jess, ale się nie rusza. Siedzi tylko, a bandaż zwisa z jej dłoni.

Widzę, że wreszcie udało mi się do niej dotrzeć.

Panuje cisza, jeśli nie liczyć bębnienia deszczu o namiot. Nie śmiem się odezwać. Nie śmiem się poruszyć.

Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy w ogóle jestem w stanie się ruszyć.

– Wspięłaś się na tę górę tylko po to, by mi o tym powiedzieć? – pyta wreszcie Jess.

– Tak! No pewnie! * Odwraca się, by na mnie spojrzeć. Twarz ma bledszą niż kiedykolwiek wcześniej. Maluje się na niej oszołomienie i jednocześnie niedowierzanie.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo... bo to jest ważne! Ważne dla mnie!

– Jeszcze nikt nigdy nie zrobił dla mnie czegoś takiego – mówi. Natychmiast odwraca głowę i ponownie grzebie w puszcze. – Te rany trzeba zdezynfekować.

Zaczyna mi przecierać nogi wacikiem, a ja usiłuję się nie wzdrygać, gdy środek antyseptyczny dostaje się do otwartych ran.

– Więc... więc mi wierzysz? – pytam. – Wierzysz, że jesteśmy siostrami?

Przez jakiś czas Jess patrzy na swoje stopy w grubych skarpetkach i brązowych traperach. Podnosi głowę i przygląda się uważnie moim turkusowym pantoflom, zniszczonym i ubłoconym. Mojej spódnicy od Marca Jacobsa. Zniszczonemu błyszczącemu T-shirtowi. Następnie przenosi spojrzenie na moją posiniaczoną i podrapaną twarz. Nasze spojrzenia się krzyżują.

– Tak – oświadcza wreszcie. – Wierzę.

Po trzech silnych proszkach przeciwbólowych czuję się znacznie lepiej. Dosłownie nie zamyka mi się buzia.

– Wiedziałam, że jesteśmy siostrami – mówię, gdy tymczasem Jess nakleja mi plaster na rozcięte kolano. – Wiedziałam! Tak sobie myślę, że chyba mam zdolności jasnowidzenia. Czuję twoją obecność na tej górze.

Jess przewraca oczami.

– Chcę jeszcze powiedzieć, że robię się do ciebie podobna. Zastanawiałam się na

przykład nad obcięciem włosów na krótko. Myślę, że pasowałaby mi taka fryzura. I zaczęłam na poważnie interesować się kamieniami...

– Becky – przerywa mi. – My nie musimy być takie sanie.

– Słucham? – Patrzę na nią ze zdziwieniem. – Co masz na myśli?

– Może i jesteśmy siostrami. – Siada na piętach. – Ale to nie oznacza, że obie musimy mieć krótkie włosy albo lubić kamienie. – Sięga po kolejny plaster i rozrywa opakowanie.

– Albo ziemniaki – dodaję, zanim mam czas zastanowić się nad tym, co mówię.

– Albo ziemniaki – przytakuje Jess. – Albo... przepłacane markowe szminki, które po trzech tygodniach nie są już modne.

Dostrzegam błysk w jej oczach i patrzę na nią ze zdumieniem. Jess się ze mną przekomarza?

– Pewnie masz rację – mówię, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko. – Tylko dlatego, że biologicznie jesteśmy ze sobą spokrewnione, wcale nie musimy obie lubić nudnych ćwiczeń z butelkami zamiast z porządnymi ciężarkami.

– Oczywiście. Albo... bezmyślnych magazynów pełnych absurdalnych reklam.

– Albo pić kawy z okropnego starego termosu. Kąciki ust Jess drżą.

– Albo głupiego cappuccino za kosmiczną cenę. Rozlega się grzmot i zgodnie podskakujemy z przerażenia.

Deszcz nieustannie bębni w dach namiotu. Jess przykleja mi na nogę ostatni plaster i zamyka puszkę.

– Pewnie nie wzięłaś ze sobą nic do jedzenia, co? – pyta.

– Eee... nie.

– Ja trochę mam, ale niedużo. – Marszczy czoło. – Nie wystarczy, jeśli utkniemy tutaj na wiele godzin. Nie będziemy mogły się ruszyć, nawet kiedy już przejdzie burza.

– Nie mogłabyś poszukać na zboczku korzonków i jagód? – pytam z nadzieją.

Obrzuca mnie wymownym spojrzeniem.

– Becky, nie jestem Tarzanem. – Przygarbia się i obejmuje ramionami kolana. – Będziemy tu musiały po prostu zaczekać.

– Więc... nie bierzesz komórki, kiedy idziesz w góry?

– Nie mam. Zazwyczaj nie jest mi potrzebna.

– Pewnie zazwyczaj nie ma z tobą głupiej rannej siostry.

– Nie, najczęściej nie. – Przesuwa się na wodoodpornej macie wewnątrz namiotu i sięga po coś, co leży za nią. – Zebrałam twoje rzeczy. Rozsypały się, kiedy spadłaś. >

– Dziękuję.

Biorę je od niej. Minilakier do włosów. Zestaw do manicure. Puder w kamieniu.

– Niestety, nie znalazłam torebki – dodaje. – Bóg jeden wie, gdzie ją zaniósł.

Zamiera mi serce.

Moja torebka Angel!

Moja warta dwa tysiące euro torebka gwiazdy filmowej. Torebka, której pragną wszystkie kobiety na świecie.

Po tym wszystkim – nie ma jej. Zgubiłam ją w górach na pełnym odludziu.

– To... to nieważne. – Jakoś udaje mi się uśmiechnąć. – Zdarza się.

Obolałymi, sztywnymi palcami otwieram puder – niesamowite, ale lustro się nie potłukło. Ostrożnie zerkam na swoje odbicie i wzdrygam się z przerażeniem. Wyglądam jak poobijany strach na wróble. Włosy sterczą mi na wszystkie strony, obydwie policzki mam podrapane, a czoło zdobi potężny guz.

– Co zrobimy? – Zamykam puder i podnoszę głowę.

– Będziemy musiały przeczekać tę burzę.

– Tak, ale chodzi o to... co konkretnie będziemy robić? Podczas czekania w namiocie.

Jess przez chwilę przygląda mi się z kamiennym wyrazem twarzy.

– Wiesz, tak sobie pomyślałam, że mogłybyśmy obejrzeć *Kiedy Harry poznał Sally* i jeść popcorn – oświadcza.

Wydaję z siebie zduszony chichot. A jednak Jess ma poczucie humoru.

– Może ci zrobię manicure, co? – proponuję. – Mam tutaj mój zestaw.

– Zrobisz mi manicure? – powtarza. – Dziewczyno, zrozum wreszcie, że jesteśmy teraz na zboczu góry.

– Tak! – mówię z przejęciem. – I o to chodzi! Mam wyjątkowo trwałe lakier, który przetrwa wszystko. Spójrz tylko! – Pokazuję jej buteleczkę. – Modelka w jego reklamie wspina się na górę, wiesz?

– Niewiarygodne – stwierdza Jess, po czym bierze ode mnie buteleczkę i uważnie jej się przygląda. – I ludzie dają się na to nabrać?

– No, przestań! A czym innym możemy się zająć? – Robię minę niewiniątka. – Przecież nie mamy przy sobie nic interesującego, na przykład naszych rachunków...

W oczach Jess ponownie pojawia się błysk.

– W porządku. Wygrałaś. Rób mi ten manicure.

Wokół nas szaleje burza, a my malujemy sobie nawzajem na jaskraworóżowy kolor paznokcie.

– Super! – mówię z podziwem, gdy Jess kończy moją lewą dłoń. – Mogłabyś zostać zawodową manikiurzystką.

– Dzięki – odpowiada sucho. – Jestem przeogromnie szczęśliwa z tego powodu.

Macham palcami w świetle latarki, potem wyjmuję puderniczkę, by podziwiać swoje odbicie.

– Musisz się nauczyć z namysłem wkładać jeden palec do ust – tłumaczę, jednocześnie jej to demonstrując. – Tak samo się robi, kiedy się ma nowy pierścionek albo bransoletkę. Chodzi o to, żeby inni to zobaczyli. – Podaję jej lustro, ale ona odwraca głowę, krzywiąc się przy tym.

– Nie, dzięki.

Odkładam puderniczkę, intensywnie się przy tym zastanawiając. Chcę ją zapytać, dlaczego nie znosi luster, ale muszę to zrobić bardzo taktownie.

– Jess...

– Tak?

– Dlaczego nie znosisz luster?

Przez chwilę panuje cisza, jeśli nie liczyć wycia wiatru. Wreszcie Jess się odzywa:

– Bo ja wiem? Pewnie dlatego, że za każdym razem, kiedy w dzieciństwie patrzyłam w lustro, tata mi powtarzał, bym nie była próżna.

– Próżna? – Otwieram szeroko oczy. – I co, tak za każdym razem?

– Najczęściej. – Wzrusza ramionami i wtedy dostrzega moją minę. – A co mówili twoi?

– Moi rodzice zawsze mówili... – Czuję się trochę skrępowana. – Zawsze mówili, że jestem najpiękniejszym małym aniołkiem, który spadł im z nieba.

– Cóż. – Jess opuszcza ramiona, jakby mówiła: „No widzisz?”

Przez chwilę przyglądam się paznokciom.

– Wiesz, Jess, masz rację – odzywam się nagle. – Jestem zepsuta. Rodzice zawsze mi wszystko podawali gotowe na tacy. Nigdy nie musiałam radzić sobie sama. Nigdy. Zawsze byli inni, gotowi, by mi pomóc w każdej sytuacji. Mama i tata... potem Zuza... wreszcie Luke.

– Ja musiałam od samego początku radzić sobie sama. Twarz ma ukrytą w cieniu, dlatego nie widzę jej miny.

– Ten twój tata wydaje się dość... surowy – stwierdzam z wahaniem.

Jess przez dłuższą chwilę nie odpowiada.

– Tata tak naprawdę nigdy nie okazywał uczuć – oświadcza wreszcie. – Nigdy nie mówił, że jest ze mnie dumny. On to po prostu czuł – dodaje żarliwie. – W naszej rodzinie nie trajkocze się po prostu o wszystkim, tak jak w twojej.

Nagły podmuch wiatru podnosi połę namiotu, wpuszczając do środka strugi deszczu. Jess chwyta za brezent i sięga po metalowego śledzia.

– Ja też taka jestem. – Wbija go kamieniem z powrotem w ziemię. – Ale jeśli nie mówię o uczuciach, to wcale nie znaczy, że jestem ich pozbawiona. – Ogląda się i napotyka moje spojrzenie. – Becky, kiedy przyjechałam do twojego mieszkania, nie chciałam być nieprzyjemna ani... zimna.

– Nie powinnam tak o tobie mówić – mówię w przypiływie skruchy. – Naprawdę cię przepraszam...

– Nie – przerywa mi. – To ja przepraszam. Powinnam się bardziej postarać i okazać choć trochę entuzjazmu. – Odkłada kamień na ziemię i przygląda mu się przez kilka sekund. – Prawdę mówiąc, trochę... działałaś mi na nerwy.

– Luke powiedział, że mogłam ci się wydać przytłaczająca – mówię z żalem.

– Uznałam, że jesteś szalona. – Uśmiecha się półgębkiem. – Nie, poważnie. Sądziłam, że jesteś wariatką. I że rodzice zabrali cię z jakiegoś ośrodka o zaostrowym rygorze.

– Och.

Jestem lekko zbita z tropu. Pocieram głowę, która znowu zaczyna mi pękać.

– Powinnaś się przespać – oświadcza Jess, przyglądając mi się uważnie. – Sen to najlepszy lekarz. I najlepszy środek przeciwbólowy. Masz tu koc. – Podaje mi coś, co wygląda jak folia aluminiowa.

– No... dobrze – mówię z powątpiewaniem. – Spróbuję. Kładę głowę w miejscu, gdzie jest stosunkowo najmniej niewygodnie, i zamykam oczy.

Ale nie mogę zasnąć. W myślach przez cały czas analizuję naszą rozmowę, a za ścieżkę

dźwiękową służy deszcz smagający namiot.

Jestem zepsuta.

Jestem zepsutym bachorem.

Nic dziwnego, że Luke się wkurzył. Nic dziwnego, że nasze małżeństwo to katastrofa. To wszystko moja wina.

O Boże! Nagle w oczach wzbierają mi łzy, przez co jeszcze bardziej boli mnie głowa. W szyję złapał mnie paskudny skurcz... a w plecy uwiera kamyk...

– Becky, wszystko w porządku?

– Nie bardzo – przyznaję drżącym głosem. – Nie mogę zasnąć.

Panuje cisza i myślę, że Jess albo mnie nie usłyszała, albo też nie ma mi nic do powiedzenia. Chwilę później czuję jednak coś obok siebie. Odwracam się – a ona podaje mi mały biały baton.

– To nie czekoladki z miętowym nadzieniem – mówi oschle.

– A co to?

– Baton Kendal. Tradycyjna przekąska górskich piechurów.

– Dziękuję – szepczę i odgryzam kawałek.

Ma dziwny słodkawy smak. Trochę się krzywię, ale odgryzam drugi kawałek, by pokazać dobrą wolę. Wtedy, ku memu przerażeniu, czuję, że w oczach ponownie pojawiają mi się łzy.

Jess wzdycha i odgryza kawałek batona.

– Co znowu?

– Luke już nigdy nie będzie mnie kochał. – Wydaję z siebie ciche chlipnięcie.

– Nie sądzę.

– To prawda! – Zaczyna mi cieknąć z nosa i ocieram go dłonią. – Odkąd wróciliśmy z podróży poślubnej, jest naprawdę okropnie. I wszystko przeze mnie, to ja wszystko zniszczyłam...

– To nie tylko twoja wina – przerywa mi Jess.

– Słucham? – Patrzę na nią ze zdumieniem.

– Nie powiedziałabym, że to tylko i wyłącznie twoja wina – odpowiada spokojnie. – Do czegoś takiego trzeba dwojga. – Składa papierek po batonie, otwiera plecak i wrzuca go do środka. – Luke też ma obsesję – na punkcie pracy!

– Wiem. Ale myślałam, że się zmienił. Podczas podróży poślubnej był totalnie wyluzowany. Wszystko układało się idealnie. Byłam taka szczęśliwa.

Z bólem serca przypominam sobie nas, opalonych i beztroskich. Trzymamy się za ręce. Ćwiczymy wspólnie jogę. Siedzimy na tarasie na Sri Lance i planujemy nasz niespodziewany powrót.

Miałam tak wielkie nadzieje. A wszystko ułożyło się dokładnie na odwrót.

– Podróż poślubna nigdy nie trwa wiecznie – stwierdza Jess. – Można było przewidzieć, że zderzenie z rzeczywistością okaże się trudne.

– Ale ja tak się nie mogłam doczekać wyjścia za mąż. – Przetykam ślinę. – Wyobrażałam sobie, że wszyscy będziemy siedzieć wokół wielkiego drewnianego stołu, na którym palą się świece. Ja, Luke, Zuza... Tarquin... szczęśliwi... że będziemy się śmiać...

– I co się stało? – Jess obrzuca mnie przenikliwym spojrzeniem. – Co się stało z Zużą? Twoja mama mi powiedziała, że to twoja najlepsza przyjaciółka.

– Była. Ale kiedy wyjechałam, ona... znalazła sobie kogoś innego. – Przyglądam się niebieskiemu, poruszanemu wiatrem płótnu i czuję, jak w gardle formuje mi się gula. – Wszyscy mają nowych przyjaciół i nowe zajęcia. Ja już ich nie interesuję. Ja... nie mam żadnych przyjaciół.

Jess zapina plecak i mocno zaciska sznureczek. Następnie podnosi głowę.

– Masz mnie.

– Tyle że ty mnie nawet nie lubisz – mówię żałośnie.

– Cóż, jestem twoją siostrą. Muszę cię jakoś znosić, no nie?

Podnoszę głowę i widzę w jej oczach błysk humoru. I ciepła, którego do tej pory u niej nie widziałam.

– Wiesz, Luke chce, żebym była taka jak ty – odzywam się po chwili milczenia.

– Taa, akurat.

– To prawda! Chce, żebym była oszczędna i gospodarna. – Kładę resztę batona Kendal za kamieniem, mając nadzieję, że Jess tego nie zauważy. – Nauczysz mnie?

– Nauczyć cię, jak być gospodarną?

– Tak! Proszę. Przewraca oczami.

– Jeśli zamierzasz być gospodarna, nie wyrzucaj całkiem dobrego kawałka batona Kendal.

– Och. Jasne. – Lekko zawstydzona, podnoszę go zza kamienia i odgryzam kawałek. – Eee... pyszny!

Wiatr wyje jeszcze głośniejsze i coraz mocniej porusza namiotem. Ciaśniej owijam się foliowym kocem Jess, żałując po raz tysięczny, że nie zabrałam ze sobą swetra albo nieprzemakalnego skafandra z kapturem. Nagle o czymś sobie przypominam. Sięgam do kieszeni spodnicy – i nie wierzę. Torebeczka nadal w niej jest.

– Jess... to dla ciebie – mówię, wyjmując ją. – Poszłam z Jimem do twojego domu, by ci to zostawić.

Podaję jej turkusową torebkę. Powoli ją otwiera i na jej dłoń wypada srebrny łańcuszek od Tiffany'ego.

– To łańcuszek – wyjaśniam. – Ja mam taki sam, spójrz.

– Becky. – Wygląda na oszołomioną. – To... to naprawdę... Przez jedną okropną chwilę sądzę, że zamierza powiedzieć „niestosowne” albo „nieodpowiednie”.

– Cudne – mówi wreszcie. – Jest śliczny. Bardzo mi się podoba. Dziękuję ci.

Zapina sobie łańcuszek na szyi, a ja przyglądam jej się z zachwytem. Naprawdę jej pasuje! Nawet jej twarz jakoś tak od razu zmieniła kształt. Prawie, jak gdyby...

– O mój Boże! – wykrzykuję ze zdumieniem. – Ty się uśmiechasz!

– Wcale nie – odpowiada natychmiast Jess.

Widzę, że próbuje się opanować, ale nie jest w stanie. Jej uśmiech staje się jeszcze szerszy. Unosi dłoń, by dotknąć łańcuszka.

– Ależ tak! – śmieję się. – Jak najbardziej! Odkryłam twój słaby punkt. W głębi duszy

jesteś dziewczyną Tiffany'ego.

– Właśnie że nie!

– Właśnie że tak! Wiedziałam! Wiesz co, Jess...

Ale to, co zamierzałam powiedzieć, ginie w wyciu wiatru, który bez ostrzeżenia podnosi jedną połę namiotu.

– O mój Boże! – piszczę, kiedy deszcz chluszcze mi w twarz. – O mój Boże! Namiot! Łap go!

– Cholera!

Jess chwytą połę i desperacko próbuje na nowo przymocować, ale kolejny silny powiew wiatru wyrywa ją z jej rąk. Wiatr wydyma namiot niczym żagiel, po czym porywa go gdzieś w dal.

Patrzę na Jess.

– I co my teraz zrobimy?! – Muszę krzyczeć, by było mnie słychać w tym deszczu.

– Jezu Chryste. – Ociera twarz. – No dobra. Musimy znaleźć jakieś schronienie. Dasz radę wstać?

Pomaga mi się podnieść, a z moich ust wydobywa się krzyk. Kostka boli mnie nie do opisanania.

– Będziemy musiały dojść do tamtych skał – mówi Jess, pokazując coś w strugach deszczu. – Oprzyj się o mnie.

Zaczynamy trochę kuśtykać, trochę ślizgać się po błotnistym zboczku, powoli wpadając w dziwny rytm. Zaciskam z bólu zęby, nie chcąc sprawiać jeszcze większego kłopotu.

– Czy ktoś przyjdzie nam na ratunek? – wykrztuszam z siebie pomiędzy kolejnymi krokami.

– Wątpię. Minęło za mało czasu. – Zatrzymuje się. – No dobra. Musisz się wspiąć na ten stromy kawałek. Trzymaj się mnie.

Świadoma silnego uścisku Jess, jakoś wdrapuję się na skalistą pochyłość. Boże, ależ ona ma świetną kondycję. Nagle sobie uświadamiam, że bez problemu mogłaby zejść na dół w tym deszczu. Mogłaby teraz siedzieć sobie w ciepłym i bezpiecznym domu.

– Dzięki, że mi pomagasz – mówię, kiedy ponownie zaczynamy wędrówkę. – Dzięki, że ze mną zostałeś.

– Nie ma sprawy.

Deszcz zacina w twarz. Zaczyna mi się znowu kręcić w głowie, a ból w kostce staje się nie do zniesienia. Ale muszę iść dalej. Nie mogę zawieść Jess.

Nagle poprzez deszcz słyszę jakiś dźwięk. Ale to pewnie tylko moja wyobraźnia albo wiatr. To się nie może dziać naprawdę.

– Zaczekaj. – Jess nieruchomieje. – Co to?

Obie nasłuchujemy. No, i proszę bardzo. To jednak nie tylko moja wyobraźnia.

To dźwięk wydawany przez helikopter.

Podnoszę głowę – a w zacinającym deszczu zbliżają się w naszym kierunku blade światła.

– Na pomoc! – wołam i macham gorączkowo rękami. – Tutaj!

– Tutaj! – wrzeszczy Jess i kieruje światło latarki w górę, przesuwając ją w półmroku. –

Jesteśmy tutaj! Na pomoc!

Helikopter wisi nad nami przez dłuższą chwilę, a potem, ku memu zdumieniu, odlatuje.

– Nie widzieli nas?

– Nie wiem. – Jess jest spięta i zdenerwowana. – Trudno powiedzieć. I tak nie wylądowaliby tutaj, tylko na grani na samej górze i zeszliby do nas pieszo.

Obie przez chwilę stoimy bez ruchu – ale helikopter nie wraca.

– No dobrze – oświadczają wreszcie Jess. – Chodźmy dalej. Te skały osłonią nas przynajmniej przed wiatrem.

Ponownie zaczynamy się przesuwac tak, jak poprzednio. Ale tym razem mam wrażenie, że zniknął gdzieś mój dotychczasowy zapach. Jestem u kresu sił, przemoczona do suchej nitki, przemarznięta i nie pozostało we mnie ani krzty energii. Bardzo powoli, głowa przy głowie, idziemy pod górę, obejmując się ramionami. Obie ciężko dyszymy i chrapliwie wciągamy powietrze, a deszcz siecze nas po twarzy.

– Czekaj. – Nieruchomieję. – Coś słyszę. – Trzymam się kurczowo Jess i jednocześnie odwracam głowę.

– Co?

– Coś słyszałam...

Urywam, gdy strugi deszczu przecina wiązką bladego światła. To musi być latarka. Słyszę, jak ktoś przemieszcza się w dół zbocza.

O mój Boże! To ludzie! Nareszcie!

– To ekipa ratownicza! – wołam. – Przyszli! Tutaj! Potrzebujemy pomocy!

– Tutaj! – krzyczy Jess i macha w powietrzu latarką. – Jesteśmy tutaj!

Światło latarki na krótko znika, ale po chwili znowu się pojawia.

– Na pomoc! – woła Jess. – Tutaj!

Odpowiada nam cisza. Gdzie oni sobie poszli? Nie zauważyli nas?

– Na pomoooc! – wołam z desperacją w głosie. – Pomocy, błagamy! Tutaj! Słyszycie nas?

– Bex?

Poprzez szum deszczu dobiega do mnie znajomy wysoki głos. Zamieram. Co takiego?

Czy ja... mam halucynacje? To mi przypominało głos...

– Bex? – Ponownie słyszę ten sam głos. – Bex, gdzie jesteś?

– Zuza?

Spoglądam w górę. Na krawędzi występu skalnego pojawia się jakaś postać, ubrana w podniszczoną kurtkę. Włosy ma przyklejone do głowy. Omiata teren latarką i rozgląda się, a czoło ma zmarszczone z niepokoju.

– Bex?! – woła. – Bex? Gdzie jesteś?

Jak nic cierpię na halucynacje. To pewnie coś w rodzaju fatamorgany. Patrzę na poruszone wiatrem drzewo i myślę, że to Zuza.

– Bex? – Wreszcie nas dostrzega. – O mój Boże! Bex! Znalazłam ją! – woła przez ramię.

– Tutaj! Bex! – Zaczyna do nas schodzić, a spod jej stóp usuwają się kamienie.

– Znasz ją? – pyta oszołomiona Jess.

– To Zuza. – Przetykam ślinę. – Moja najlepsza przyjaciółka.

Czuję, jak coś twardego formuje mi się w gardle. Zuza przyjechała, by mnie odnaleźć. Przyjechała z tak daleka, by mnie odnaleźć.

– Bex! Dzięki Bogu! – Pojawia się razem z kaskadą kamieni oraz błota i wpatruje się we mnie z niepokojem. Twarz ma zachłapaną błotem, a niebieskie oczy szeroko otwarte ze zdumienia. – O mój Boże! Jesteś ranna. Wiedziałam. Wiedziałam...

– Nic mi nie jest – wykrztuszam. – Tylko coś mi się stało w kostkę.

– Znalazłam ją, ale jest ranna! – mówi do swojej komórki i przez chwilę słucha. – Tarkie schodzi na dół z noszami.

– Tarquin?

Za bardzo kręci mi się w głowie, by to wszystko pojąć. Tarquin jest tutaj?

– Razem z przyjacielem z RAF-u. To głupie górskie pogotowie ratunkowe oświadczyło, że upłynęło zbyt mało czasu.

Ale ja czułam, że masz kłopoty. Wiedziałam, że musimy przyjechać. Tak się martwiłam.

– Zuza się krzywi. – O Boże! Tak bardzo się martwiłam. Nikt nie wiedział, gdzie jesteś... po prostu zniknęłaś. Wszyscy myśleliśmy... nie wiedzieliśmy, co myśleć... próbowaliśmy się dodzwonić na twoją komórkę, ale nie było sygnału... a potem nagle się pojawił... A teraz oto ty, cała... cała poobijana. – Sprawia wrażenie, że zaraz wybuchnie płaczem. – Bex, przepraszam, że wtedy nie oddzwoniłam. Tak bardzo cię przepraszam.

Zamyka mnie w ciasnym uścisku. Przez długą chwilę stoimy tak, tuląc się do siebie, a z góry padają na nas strugi deszczu.

– Nic mi nie jest – wykrztuszam wreszcie. – Naprawdę. Spadłam ze skały. Ale była ze mną moja siostra. Ona się mną zaopiekowała.

– Twoja siostra.

Zuza rozluźnia uścisk i powoli odwraca się do Jess, która stoi i przygląda się nam z zakłopotaniem. Ręce ma wepchnięte do kieszeni.

– To jest Jess – mówię. – Jess... to Zuza.

Spoglądają na siebie w zacinającym deszczu. Trudno powiedzieć, co myśli sobie każda z nich.

– Cześć, siostrzeczko Becky – odzywa się wreszcie Zuza i wyciąga dłoń.

– Cześć, najlepsza przyjaciółko Becky – odpowiada Jess i ujmuję ją.

Słychać jakiś hałas i wszystkie trzy podnosimy głowy, by ujrzeć schodzącego w naszym kierunku Tarquina, ubranego w niesamowicie odlotowe ciuchy wojskowe. Na głowie ma czapkę z przymocowaną do niej latarką czołówką.

– Tarquin – mówię. – Cześć.

– Jeremy schodzi tutaj ze składanymi noszami – oświadcza pogodnie. – Aleś nas wszystkich nastraszyła, Becky. Luke? – rzuca do telefonu komórkowego. – Znaleźliśmy ją.

Moje serce zamiera. Luke?

– Jak to możliwe... – Wargi drżą mi tak bardzo, że ledwie jestem w stanie wyartykułować słowa. – Jak to możliwe, że Luke...

– Utknął na Cyprze z powodu fatalnej pogody – wyjaśnia Zuza. – Ale przez cały czas był

z nami w stałym kontakcie. Boże, ależ on się martwi!

– Proszę bardzo, Becky – mówi Tarquin, podając mi swój telefon.

Jestem tak zdenerwowana, że ledwo mogę utrzymać słuchawkę w dłoni.

– Czy on nadal... jest na mnie zły? – wykrztuszam.

Zuza przez chwilę przygląda mi się bez słowa, a po jej włosach i twarzy spływają strugi deszczu.

– Bex, uwierz mi na słowo. On nie jest na ciebie zły. Podnoszę słuchawkę do ucha, krzywiąc się lekko, gdy dotyka posiniaczonego policzka.

– Luke?

– O mój Boże! Becky. Dzięki Bogu.

Jego głos jest odległy i trzeszczący. Ledwie jestem w stanie go zrozumieć. Ale gdy tylko go słyszę, czuję się tak, jakby nastąpiła kulminacja wszystkich wydarzeń ostatnich kilku dni. Coś we mnie wzbiera. Pieką mnie oczy i mam trudności z oddychaniem.

Chcę do niego. Chcę do niego i chcę do domu.

– Dzięki Bogu, że jesteś bezpieczna. – Jeszcze nigdy nie słyszałam w jego głosie takiego zdenerwowania i jednocześnie ulgi. – Odchodziłem od zmysłów...

– Wiem – wyduszam z siebie. – Przepraszam. – Łzy płyną mi po policzkach. Ledwie jestem w stanie mówić. – Luke, naprawdę za wszystko przepraszam...

– Nie przepraszaj. To ja przepraszam. Jezu. Myślałem... – Urywa i słyszą, jak bierze głęboki oddech. – Po prostu nigdy więcej już mi nie giń, dobrze?

– Dobrze. – Ocieram dłonią oczy. – Boże, tak bym chciała, żebyś tu był.

– Przylecę. Przylecę, gdy tyko przejdą te burze. Nathan zaoferował mi swój prywatny samolot i zachowuje się naprawdę wspaniale.

Jego głos zaczyna przechodzić w syczące trzaski.

– Luke?

– ... hotel...

Coraz słabiej go słyszeć. Nie rozumiem już, co mówi.

– Kocham cię! – wołam bezradnie, a tymczasem telefon milknie.

Podnoszę głowę i widzę, że wszyscy przyglądają mi się w pełnym współczucia milczeniu. Tarquin klepie mnie delikatnie po ramieniu.

– Chodź, Becky. Musimy cię zapakować do helikoptera.

Przyjazdowi do szpitala towarzyszy sporo zamieszania. Jest bardzo jasno i hałaśliwie. Zadają mi mnóstwo pytań i wożą na wózku – ostatecznie okazuje się, że złamałam nogę w dwóch miejscach w kostce i muszą mi ją nastawić. Poza tym zakładają mi szwy na policzku i sprawdzają, czy nie mam tęcza albo choroby wściekłych krów czy też jeszcze czegoś innego.

W międzyczasie dostaję zastrzyk, który sprawia, że staję się nieco otumaniona. Kiedy jest już po wszystkim, opadam na poduszki, nagle wyczerpana. Boże, jak miło być w miejscu, gdzie jest czysto, ciepło i biało.

Słyszę, jak gdzieś dalej ktoś uspokaja Jess, że nie zrobiła mi żadnej krzywdy, ruszając mnie z miejsca wypadku, a potem ten sam ktoś kilkakrotnie powtarza Zuzie, że w tym przypadku nie jest potrzebna tomografia całego ciała i wcale nie traktują mojego zdrowia w sposób niefrasobliwy. I że jestem pod naprawdę doskonałą opieką lekarską.

– Becky? – Podnoszę oszołomiona głowę i widzę, że do mojego łóżka zbliża się Tarquin, trzymając w dłoni telefon komórkowy. – To jeszcze raz Luke.

– Luke? – mówię do słuchawki. – Cześć! Wiesz co? Mam złamaną nogę!

Patrzę z zachwytem na nogę w gipsie, którą mam podwieszoną na wyciągu. Zawsze chciałam mieć gips.

– Słyszałem. Moje małe biedactwo. Dobrze się tobą opiekują? Masz wszystko, czego ci trzeba?

– Chyba tak. Wiesz co... – Bez ostrzeżenia wydaję z siebie potężne ziewnięcie. – Właściwie to jestem zmęczona. Chyba pójdę teraz spać.

– Żałuję, że nie ma mnie przy tobie. – Głos Luke'a jest niski i łagodny. – Becky, powiedz mi jedną rzecz. Dlaczego uciekłaś na północ, nikomu o tym nie mówiąc?

Co? Czy on niczego nie rozumie?

– Ponieważ potrzebowałam pomocy, rzecz jasna – odpowiadam i czuję znajome ukłucie bólu. – Nasze małżeństwo jest w tarapatach. Jess była jedyną osobą, do której mogłam się zwrócić o pomoc.

Przez chwilę po drugiej stronie linii panuje cisza.

– Nasze małżeństwo jest w czym? – pyta wreszcie Luke.

– W tarapatach! – Głos mi drży. – Dobrze o *tym* wiesz! Było strasznie! Nawet mnie nie pocałowałaś na pożegnanie.

– Kochanie, byłem wkurzony na maksa. Pokłóciliśmy się! To jednak wcale nie oznacza, że nasze małżeństwo jest w tarapatach.

– Och! – Przęłykam ślinę. – Aleja myślałam, że tak. Myślałam, że to już koniec. I że będziesz miał gdzieś to, gdzie jestem.

– Och Becky. – Głos Luke'a jest nieco dziwny, jakby powstrzymywał się od śmiechu albo od płaczu. – Czy masz pojęcie, co ja przeszedłem?

– Nie. – Zagryzam wargę, czerwona ze wstydu. – Luke, naprawdę cię przepraszam. Ja... ja nie sądziłam... nie zdawałam sobie sprawy...

– Mniejsza o to – przerywa mi. – Jesteś bezpieczna. Tylko to się teraz liczy. Jesteś bezpieczna.

Mam wyrzuty sumienia. Luke jest dla mnie taki miły i wyrozumiały, a ja mu zgotowałam piekło. A teraz musi tkwić na Cyprze... Przyciskam telefon mocniej do ucha.

– Luke, wracaj do domu. Wiem, że nienawidzisz każdej spędzonej tam chwili. Wiem, że jest ci tam źle. I to wszystko moja wina. Po prostu zostaw tego głupiego Nathana Temple'a i jego okropny hotel. Wymyśl coś. Możesz zwalić wszystko na mnie.

Cisza.

– Luke? – pytam z konsternacją.

– Taak – mówi niechętnie. – Muszę ci w związku z tym coś powiedzieć. Sądzę, że całkiem możliwe... – Ponownie urywa.

– Co?

– Miałś rację. A ja... się myliłem.

Przyglądam się słuchawce, oszołomiona. Czy dobrze usłyszałam?

– Byłem uprzedzony – kontynuuje Luke. – Teraz, kiedy znam już Nathana, muszę przyznać, że to bardzo błyskotliwy facet. Ma świetny zmysł marketingowy. Doskonale się dogadujemy.

– Doskonale się dogadujecie? Ale... no, ale on jest przecież kryminalistą.

– Ach. – Luke wydaje się zmieszany. – Nathan mi to wyjaśnił. Doszło do tego, kiedy bronił jednego z pracowników swego motelu przed pijanym gościem. „Posunął się trochę za daleko” – jak to ujął. Mówi, że to był błąd. A ja mu wierzę.

Czuję pulsowanie w skroniach. Trudno mi to wszystko pojąć.

– Pewnego wieczoru opowiedział mi, dlaczego założył sieć moteli. To było po tym, jak mu odmówiono wstępu do eleganckiego hotelu, ponieważ przyszedł bez krawata. Udał się prosto do pubu i opracował biznesplan moteli Value. W rok otworzył ich dwadzieścia. Nie można nie podziwiać takiej zaciętości i determinacji.

– Nie wierzę – mówię oszołomiona, pocierając czoło. – Ty go lubisz.

– Owszem, lubię go. – Luke milknie na chwilę. – A teraz zachował się naprawdę wspaniale. Przez całą noc siedział ze mną i czekał na wiadomości.

Krzywię się z poczuciem winy, gdy wyobrażam sobie, jak siedzą w napięciu w szlafrokach, czekając na telefon. Boże, już nigdy, ale to nigdy nie zniknę.

To znaczy – ja przecież wcale tego nie zaplanowałam. No, ale wiecie, o co mi chodzi.

– A jaki jest ten hotel? – pytam. – Tandetny?

– Hotel jest jak najbardziej tandetny – odpowiada wesoło Luke. – Ale miałaś rację. To tandeta najwyższej klasy.

Wydaję z siebie mimowolny chichot, który przekształca się w potężne ziewnięcie. Boże, czuję, jak te wszystkie zastrzyki zaczynają działać.

– Więc... przez cały czas miałam rację – mówię trochę niewyraźnie. – To był doskonały krok w kierunku nawiązywania nowych kontaktów.

– Doskonały – przyznaje Luke. – Beck^ przepraszam. – Nagle poważnieje. – Za to i za... wiele innych rzeczy. – Waha się. – Rozumiem, że ostatnie tygodnie nie były dla ciebie łatwe.

Mnie zbyt pochłonął kontrakt z Arcodas. Nie zapewniałem ci wsparcia. Nie miałem też pojęcia, jakim szokiem jest dla ciebie powrót do kraju.

Kiedy jego słowa docierają do mojej świadomości, wydają mi się dziwnie znajome. Czy on rozmawiał z Jess? Czy moja siostra... wstawiła się za mną? Dociera do mnie, że Luke nadal coś mówi.

– Jeszcze jedna sprawa. W samolocie miałem wreszcie czas, by przeczytać zawartość tej różowej teczki. Spodobał mi się twój pomysł. Powinniśmy nawiązać kontakt z Davidem Neville'em i się przekonać, czy chce sprzedać swoją firmę.

– Spodobał ci się mój pomysł? – pytam z pełnym zdumienia zachwytem. – Naprawdę?

– Jest świetny. Choć przyznaję, że nie mam pojęcia, skąd masz tę całą wiedzę na temat ekspansji biznesowych...

– Z Barneys! Mówiłam ci! – Opadam z zadowoleniem na poduszki. – David się zgodzi, uwierz mi. Naprawdę żałuje, że założył własną firmę. I chcieliby mieć jeszcze jedno dziecko... – Ze zmęczenia płacze mi się nieco język. – A Judy mówi, że pragnie po prostu, by miał normalną wyła... wypłatę...

– Kotku, porozmawiamy o tym innym razem. Powinnaś odpocząć.

– Dobrze. – Powieki robią mi się coraz cięższe i naprawdę muszę się natrudzić, by nie dopuścić do ich opadnięcia.

– Kiedy wrócę, zacznijmy od początku – mówi miękko Luke. – Żadnych więcej tarapatów. Zgoda?

– A to co? – przerywa mi oburzony głos. Do mojego łóżka zbliża się pielęgniarka. – Na oddziale nie wolno korzystać z telefonów komórkowych. A poza tym pani potrzebny jest sen, młoda damo!

– Zgoda – mówię szybko do słuchawki. – Zgoda. Pielęgniarka zabiera z moich palców telefon, a mnie natychmiast zamykają się oczy.

Kiedy ponownie je otwieram, wszystko wygląda zupełnie inaczej. Sala jest pogrążona w półmroku. Nie słychać żadnych rozmów. Pewnie jest już noc.

W gardle mam pustynię, a moje usta są boleśnie spierzchnięte. Przypominam sobie, że na stoliku obok łóżka stał dzbanek z wodą, próbuję więc się podnieść i go dosięgnąć. Z hałasem zrzucam coś na podłogę.

– Bex? Wszystko w porządku? – Odwracam się i widzę, że na krześle obok łóżka siedzi Zuza. Przeciera zaspane oczy i wstaje. – Chcesz coś?

– Wody – chrypię. – Jeśli jest.

– Proszę bardzo. – Nalewa mi do szklanki, a ja wypijam ją łączywie. – Jak się czujesz?

– Chyba... chyba dobrze. – Odstawiam szklankę, czując się znacznie lepiej, po czym rozglądam się po zacienionym, otoczonym kotarami pomieszczeniu. – Gdzie są wszyscy? Gdzie Jess?

– Nic jej nie jest. Przeszła badania, a potem Tarkie zawiózł ją do domu. Ale ciebie chcieli pozostawić na obserwacji.

– No tak.

Pocieram wysuszoną skórę na twarzy, żałując, że nie mam przy sobie kremu

nawilżającego. Rzucam okiem na zegarek Zuzy.

– Już druga! – mówię z przerażeniem. – Zuza, co ty tu robisz o tej porze? Powinnaś być teraz w łóżku!

– Nie chciałam odejść. – Zagryza wargę. – Nie chciałam cię zostawiać.

– Cśśś! – syczy głos zza zasłony. – Bądźcie cicho! Patrzymy na siebie ze zdziwieniem – i nagle czuję, że chce mi się śmiać. Zuza pokazuje zasłonie język, a ja cicho parskam śmiechem.

– Napij się jeszcze wody – mówi, tym razem nieco ciszej. – Nawilży ci skórę od wewnątrz.

Nalewa mi drugą szklankę i przysiadła na skraj łóżka. Przez chwilę żadna z nas się nie odzywa. Pociągam kilka łyków wody, która jest letnia i smakuje jak plastik.

– Przypomina mi to dzień urodzin Erniego – odzywa się Zuza, przyglądając mi się w półmroku. – Pamiętasz? Zostałaś wtedy ze mną przez całą noc.

– Pewnie. – W mojej głowie pojawia się wspomnienie maleńkiego, bezbronno Erniego w ramionach Zuzy, różowego i owiniętego w kocyk. – To dopiero była noc. – Napotykam jej spojrzenie i uśmiecham się.

– Wiesz, kiedy urodziły się bliźnięta... bez ciebie wydawało się to jakoś takie niepełne. – Śmieje się niepewnie. – Wiem, że to brzmi naprawdę głupio.

– Nie. Wcale nie. – Opuszczam spojrzenie na białą szpitalną pościel i zaciskam na niej palce. – Naprawdę mi ciebie brakowało, wiesz?

– Mnie ciebie też. – Jej głos jest lekko zachrypnięty. – I... muszę ci coś powiedzieć. Przepraszam, że tak się zachowywałam, kiedy wróciłaś.

– Nie – odpowiadam natychmiast. – Nie bądź niemądra. Przesadziłam wtedy. Musiałaś się przecież z kimś przyjaźnić podczas tak długiej mojej nieobecności. To oczywiste. Byłam... głupia.

– Nie byłaś głupia. – Przetyka głośno ślinę. – To moja wina. Byłam zazdrosna.

– Zazdrosna?

Podnoszę ze zdumieniem głowę. Zuza ucieka spojrzeniem.

– Pojawiłaś się, opalona i promieniejąca, z przewieszoną przez ramię torebką Angel. – Głos jej lekko drży. – No, a ja tkwiłam na wsi z trójką dzieci. Miałaś do opowiedzenia tyle historii z niesamowitej podróży poślubnej dookoła świata, a ja czułam się naprawdę... bezbarwna.

Wpatruję się w nią, oszołomiona.

– Zuza, ty nigdy nie będziesz bezbarwna! Nawet za milion lat!

– Pomyślałam więc sobie... – Patrzy na mnie z wypisaną na twarzy determinacją. – Kiedy wydobrzejesz, pojedziemy na weekend do Mediolanu. Tylko ty i ja. Co ty na to?

– A co z dziećmi?

– Nic im nie będzie. Tarkie się nimi zajmie. Potraktuję to jako spóźniony prezent urodzinowy.

– No, a spa? – pytam ostrożnie. – Czy to nie był twój prezent?

Przez chwilę Zuza milczy.

– W spa było w porządku – odpowiada wreszcie. – Ale to nie to samo, co z tobą. Nikt nie jest taki jak ty, Bex.

– Więc teraz nie cierpisz Lulu? – pytam z nadzieją, nie mogąc się powstrzymać.

– Bex! – chichocze. – Oczywiście, że nie. Ale... – Patrzy mi w oczy. – Wolę ciebie.

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć, więc ponownie sięgam po szklankę z wodą – i na stoliku dostrzegam coś niewielkiego.

– Jess zostawiła to dla ciebie – mówi Zuza z lekką konsternacją. – Powiedziała, że może będziemy miały na to ochotę.

Uśmiecham się. To baton Kendal.

– To taki... prywatny żart – wyjaśniam. – Nie sądzę, by oczekiwała, że to zjem.

Przez chwilę panuje cisza, którą przerywa jedynie odległy dźwięk pchanego wózka oraz otwierających się i zamykających podwójnych drzwi.

– Więc... naprawdę masz siostrę – odzywa się wreszcie Zuza.

Słyszę w jej głosie nutkę tęsknoty. Przez kilka chwil przyglądam się w półmroku jej znajomej, zaniepokojonej, kochanej twarzy.

– Zuza... ty zawsze będziesz moją siostrą – oświadczam. A potem mocno się do niej przytulam.

To po prostu niesamowite. A nawet niewiarygodne. Sądziłam, że tylu rzeczy nie lubię... a teraz się okazuje, że je uwielbiam! ...

Na przykład: •

1. Jess.
2. Kaszanka. (Jeśli się doda do niej dużo keczupu, jest nawet smaczna!)
3. Oszczędzanie.

Naprawdę. Nie żartuję. Oszczędzanie jest fantastyczne. I daje tyle satysfakcji! Jak to możliwe, że wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy?

Na przykład wczoraj wysłałam Janice i Martinowi kartkę z podziękowaniami za śliczne kwiaty... i zamiast ją kupić, wycięłam z pudełka po płatkach! Z przodu miała napis „Kelloggs”! Prawdziwy odjazd, no nie?

To Jess poradziła mi coś takiego. Bardzo dużo się od niej uczę. Mieszkam z nią od wyjścia ze szpitala – i jest naprawdę wspaniała. Oddała mi swoją sypialnię, gdyż nie trzeba do niej wchodzić po tylu schodach, co do pokoju gościnnego. Pomaga mi wchodzić oraz wychodzić z wanny z tym moim gipsem i codziennie gotuje na obiad zupę warzywną. Nauczy mnie nawet ją przyrządzać. Jeśli się doda do niej soczewicę i... i coś jeszcze, czego nie pamiętam, otrzymuje się w pełni zbilansowany posiłek, którego jedna porcja kosztuje tylko trzydzieści pensów.

A potem za zaoszczędzone w ten sposób pieniądze można kupić coś naprawdę fajnego, na przykład domowy placek z owocami firmy Elizabeth! (Tej rady z kolei ja udzieliłam Jess. Widzicie, nawzajem sobie pomagamy!).

Kuśtykam do zlewu, ostrożnie wyrzucam z dzbanka do kosza połowę fusów, dosypuję kilka łyżeczek świeżej kawy i włączam czajnik. W tym domu panuje zasada, by kawę wykorzystywać dwukrotnie i, jak mówi Jess, to naprawdę ma sens. Kawa smakuje tylko trochę lurowato – a tyle się zaoszczędza!

Naprawdę bardzo się zmieniłam. Wreszcie jestem oszczędna i rozsądna. Luke w to nie uwierzy, kiedy się znowu spotkamy.

Jess kroci cebulę, a ja, chcąc pomóc, biorę ze stołu siatkę po tym warzywie, by ją wyrzucić do kosza.

– Nie rób tego! – Jess podnosi głowę. – Jeszcze ją można wykorzystać!

– Siatkę od cebuli? – O rety! Bez przerwy uczę się nowych rzeczy! – A... do czego?

– Można z niej zrobić druciak.

– Jasne. – Kiwam mądrze głową, choć nie bardzo wiem, co to jest ten cały druciak.

– No wiesz. – Jess obrzuca mnie zagadkowym spojrzeniem. – Szorowanie. Tak jak peeling, tyle że w kuchni.

– No tak! – Uśmiecham się do niej promiennie. – Fajnie! Wyjmuję notes ze Wskazówkami Oszczędnej Gospodyni i zapisuję to sobie. Tyle się można dowiedzieć nowego. Czy wiedzieliście na przykład, że z kartonu po mleku można zrobić zraszacz

ogrodowy?

Co prawda taki zraszacz nie jest mi potrzebny... ale jednak! Kuśtykam do salonu, jedną ręką opierając się na kuli, a w drugiej trzymając dzbanek.

– Hej. – Zuza podnosi głowę. – I co o tym sądzisz? Podnosi w górę transparent, który właśnie namalowała. Jest na nim napisane na czerwono i niebiesko: ZOSTAWCIE W SPOKOJU NASZĄ OKOLICĘ, a tło tworzą liście i trawa.

– O kurczę! – Przyglądam mu się z podziwem. – Jest fantastyczny! Masz prawdziwy talent. – Patrzę na leżącą na sofie stertę transparentów, nad którymi od kilku dni niezmordowanie pracuje. – Ta kampania ma szczęście, mając ciebie.

Naprawdę super, że mam pod bokiem Zuzę. Jest jak za starych dobrych czasów. Mieszka w pensjonacie Edie, a dziećmi zajmuje się w domu Tarquin. Na początku miała z tego powodu koszarne wyrzuty sumienia – dopóki Caroline nie kazała jej się wziąć w garść. Oświadczyła przy tym, że raz zostawiła Zuzę na cały miesiąc, gdy tymczasem sama przemierzała pogórze Nepalu, i że nie stała jej się przez to żadna krzywda.

Jest naprawdę świetnie. Spędzamy razem mnóstwo czasu, odpoczywając, jedząc i rozmawiając dosłownie o wszystkim. Czasami tylko ja i Zuza – a czasami także i Jess. Na przykład wczoraj wieczorem we trzy piłyśmy margaritę i oglądałyśmy *Footloose*. Odnoszę wrażenie, że Jess także dobrze się bawiła. Nawet jeśli nie znała każdej piosenki na pamięć, tak jak my.

Kiedy Zuza pojechała w odwiedziny do krewnego, który mieszka trzydzieści kilometrów stąd, Jess i ja spędziłyśmy wieczór tylko we dwie. Pokazała mi swoje kamienie i opowiedziała o nich – a ja z kolei opowiedziałam o moich butach i nawet je narysowałam. Wydaje mi się, że tego wieczoru obie się dużo nauczyłyśmy.

– Ta kampania ma szczęście, mając ciebie – odwzajemnia się Zuza, unosząc brwi. – Spójrzmy prawdzie w oczy, Bex. Gdyby nie ty, w tym proteście wzięłyby udział trzy osoby i pies z kulawą nogą.

– Cóż. No wiesz.

Wzruszam ramionami i spuszczam skromnie oczy. W głębi duszy jestem jednak bardzo zadowolona z takiego obrotu sprawy. Odkąd wyszłam ze szpitala, odpowiadam za promocję protestu, i udało się w tym względzie naprawdę sporo osiągnąć. Wiec odbywa się dziś po południu i rano w wiadomościach mówiły o tym przynajmniej cztery lokalne stacje radiowe. Miejscowe gazety zamieściły artykuły na ten temat i podobno ma nawet przyjechać ekipa telewizyjna!

A wszystko to dzięki niezwykle szczęśliwym zbiegom okoliczności. Po pierwsze, okazuje się, że działem wiadomości w Radiu Cumbria kieruje Guy Wroxley, którego poznałam w Londynie, kiedy jeszcze pracowałam jako dziennikarka. Dał mi numery telefonów do wszystkich w okolicy, którzy mogliby się tym zainteresować, a wczoraj w „Migawkach z Cumbrii” zaprezentował na ten temat dość obszerny reportaż.

Ale najlepsza jest nasza absolutnie fantastyczna historia z życia wzięta! Pierwsze, co zrobiłam, gdy przejęłam kontrolę nad promocją protestu, to zwołałam spotkanie grupy ekologicznej. Każdy musiał mi powiedzieć wszystko, co wie o tej okolicy, nawet jeśli mogło

się to wydawać nieważne. I okazuje się, że dwadzieścia lat temu Jim oświadczył się Elizabeth właśnie na tej łące, która ma być zniszczona przez centrum handlowe!

Urządziliśmy więc na tej łące sesję zdjęciową, podczas której Jim klęczał tak jak wtedy (choć podobno przed dwudziestu laty wcale nie klęczał – ale kazałam mu, by trzymał na ten temat buzię na kłódkę) z prawdziwie zbolaną miną. Wczoraj „Herold Scully i Coggenthwaite” zamieścił to zdjęcie na okładce, nad nim tytuł: ZAGŁADA NASZYCH CUDOWNYCH WSPOMNIENÍ, a gorąca linia protestu (komórka Robina) dzwoni od tamtej pory bez przerwy z propozycjami wsparcia!

– Ile mamy czasu? – pyta Zuza, siadając z powrotem na podłodze.

– Trzy godziny. Proszę bardzo. – Podaję jej kubek z kawą.

– Och. – Krzywi się lekko. – To twoja oszczędna kawa?

– Tak! – Patrzę na nią wyzywająco. – Co ci się w niej nie podoba? Jest pyszna!

Ktoś dzwoni do drzwi. Słyszę, że Jess idzie, by je otworzyć.

– Może to kolejny bukiet – chichocze Zuza. – Od twojego wielbiela.

Od czasu wypadku jestem zasypywana kwiatami, z których mniej więcej połowę przysyła Nathan Tempie, a towarzyszą im bileciki z napisami w rodzaju: „W dowód ogromnej wdzięczności” i „Z podziękowaniem za wsparcie”.

Rzeczywiście, ma za co być mi wdzięczny. Luke chciał już przylecieć do domu – i to ja powiedziałam, że powinien zostać na Cyprze i dokończyć swoją pracę, a ja dam sobie radę, zostając na kilka dni u Jess. No, i tak uczynił – a dzisiaj wraca do domu. W każdej chwili może wylądować jego samolot.

Wiem, że między mną a Lukiem wszystko się ułoży. Mieliśmy wloty i upadki... przeżyliśmy burze... ale od teraz będziemy wspólnie płynąć po spokojnej, ciepłych wodach. Po pierwsze, jestem teraz zupełnie inną osobą. Stałam się dorosła i rozważna. Zamierzam dbać o to, by nasz związek był dojrzały. Zamierzam o wszystkim z nim rozmawiać i niczego nie ukrywać. Koniec z absurdalnymi sytuacjami i bezsensownym darcie kotów. Gramy w jednej drużynie!

– Wiesz, naprawdę uważam, że Luke mnie nie pozna – mówię, pociągając w zamyśleniu łyk kawy.

– A ja myślę, że pozna – odpowiada Zuza, lustrując mnie wzrokiem. – Nie wyglądasz aż tak źle. To znaczy szwy są, dość paskudne, ale ten wielki siniak wygląda już znacznie lepiej...

– Nie chodziło mi o wygląd, tylko o osobowość! Zupełnie się zmieniłam.

– Poważnie? – pyta Zuza z konsternacją. Boże, czy ci ludzie niczego nie dostrzegają?

– Tak! Spójrz tylko na mnie! Robię oszczędną kawę, organizuję marsz protestacyjny, jem zupę i... w ogóle! i Ani słowem nie wspomniałam Luke’owi o proteście. Zatkaną go, gdy zobaczy, że jego żona stała się aktywistką.

– Becky? – przerywa nam Jess. Stoi w drzwiach z dziwnym wyrazem twarzy. – Mam coś dla ciebie. Kilku turystów wróciło właśnie ze Scully Pikę. I... znaleźli to.

Patrzę z niedowierzaniem, jak zza pleców wyciąga ręcznie malowaną torebkę z cielejącej skóry, ozdobioną diamentkami. Moja torebka Angel! Sądziłam, że już nigdy jej nie zobaczę.

– O mój Boże! – Zuza wciąga gwałtownie powietrze. Bez słowa wpatruję się w torebkę.

Jest trochę ubłocona, a obok rączki widać niewielkie zadrapanie – ale poza tym wygląda dokładnie tak, jak poprzednio. Anioł jest taki sam. Błyszczący napis „Dante” także.

– Wydaje się w porządku – mówi Jess, obracając ją w dłoniach. – Oczywiście zamokła w tym deszczu, ale poza tym jest chyba nieuszkodzona. Proszę bardzo. – Podaje mija.

Aleja się nie ruszam. Nie mogę jej od niej wziąć.

– Becky? – pyta z konsternacją Jess. – Proszę! Próbuje wcisnąć mija w ręce, ale się wzdrygam.

– Nie chcę jej. – Uciekam spojrzeniem. – Ta torebka niemal zniszczyła moje małżeństwo. Odkąd ją kupiłam, wszystko zaczęło się chszanić. Myślę, że jest przeklęta.

– Przeklęta? – pyta Jess, wymieniając spojrzenia z Zużą.

– Bex, ona nie jest przeklęta – mówi cierpliwie Zuza. – To absolutnie odlotowa torebka Angel! Wszyscy pragną ją mieć!

– Ja nie. Już nie. Miałam przez nią same kłopoty. – Czuję się jak człowiek, któremu dane było zgłębić tajniki prawdziwej mądrości. – Wiecie, przez te ostatnie dni naprawdę dużo się nauczyłam. Na wiele rzeczy spojrzałam z szerszej perspektywy. A jeśli mam dokonać wyboru między małżeństwem a absolutnie odjazdową torebką... – Rozkładam ramiona. – Wybieram małżeństwo.

– O kurczę – mówi Zuza. – Ty się rzeczywiście zmieniłaś. Sorki – dodaje z zakłopotaniem, kiedy dostrzega moją minę.

No wiecie, co ona sobie myśli? Zawsze wybrałabym małżeństwo.

Jestem... jestem tego pewna.

– Co w takim razie z nią zrobisz? – pyta Jess. – Sprzedasz ją?

– Mogłabyś ją przekazać do muzeum! – oznajmia podekscytowana Zuza. – Widniałby przy niej napis: „Ze zbioru Rebeki Brandon”.

– Mam lepszy pomysł. To będzie główna nagroda w naszej popołudniowej loterii. – Uśmiecham się szeroko. – I musimy tak ustawić wyniki, by wygrała ją Kelly.

Kiedy wybija pierwsza, w domu jest pełno ludzi. Wszyscy zgromadzili się tutaj, by wysłuchać ostatniej przemowy, a atmosfera jest niesamowita. Jess i ja rozdajemy miseczki z zupą warzywną, a Zuza pokazuje Robinowi namalowane przez siebie transparenty. Wszędzie słychać rozmowy i śmiech.

Kurczę, dlaczego nigdy wcześniej nie zaangażowałam się w jakiś protest? To naprawdę fantastyczna sprawa!

– Super, no nie? – oświadcza Kelly, podchodząc do mnie z miską zupy w ręku.

Ma na sobie bojówki i Tshirt z napisanym markerem hasłem: „Ręce precz od naszej ziemi!”

– Jasne! – Uśmiecham się do niej promiennie. – Kupiłaś już los na loterię?

– No pewnie! Nawet dziesięć!

– Weź także ten – mówię jakby od niechcienia, podając jej karteczkę z numerem 501. – Coś mi mówi, że to może być szczęśliwy los.

– Dzięki, Becky! – Wkłada go do jednej z kieszeni bojówek.

Uśmiecham się niewinnie.

– Jak wygląda sklep?

– Fantastycznie! – Błyszczą jej oczy. – Wszędzie porozwieszaliśmy baloniki i wstążki, będzie też darmowy szampan oraz mnóstwo upominków i...

– Zapowiada się naprawdę świetna impreza. Nie sądzisz, Jess? – dodaje, kiedy nas mija z garnkiem z zupą. – Przyjęcie w sklepie Jima.

– Pewnie tak. – Niechętnie, bez mała z dezaprobatą wzrusza ramionami i dolewa zupy do miski Kelly.

Akurat dam się nabrać na te jej sztuczki. No, dajcie spokój, jestem przecież jej siostrą.

– To niesamowite, że otrzymaliśmy przekaz na sfinansowanie tego przyjęcia – mówię do Kelly. – Nie sądzisz?

– Jasne! Tysiąc funtów nie wiadomo skąd! Nie mogliśmy w to uwierzyć!

– Zadziwiające – mówi Jess, marszcząc lekko brwi.

– To zabawne, że darczyńca pragnie zachować anonimowość – dodaje, nabierając łyżkę zupy. – Robin powiedział, że ten ktoś bardzo się przy tym upierał.

– Tak. – Szyja Jess lekko różowieje. – Słyszałam.

– Wydawałoby się, że tacy ludzie pragną choć trochę uznania – wtrąca Kelly. – No wiecie, za to, że są tacy hojni!

– Zgadzam się z tobą. Tak by się mogło wydawać. – Po chwili dodaje swobodnie: – A ty jak myślisz, Jess?

– Pewnie tak – odpowiada, stawiając z hałasem miski na tacy. – Sama nie wiem.

– No tak. – Skrywam uśmiech. – Pyszna zupa.

– Słuchajcie wszyscy! – Jim uderza w stół, a szum rozmów natychmiast cichnie. – Chciałbym wam tylko przypomnieć, że impreza u mnie w sklepie rozpoczyna się o piątej, zaraz po wiecu. Zapraszam wszystkich do przyjścia i wydania tylu pieniędzy, ile się da. Nawet ciebie, Edie.

Pokazuje na nią palcem, a wszyscy wybuchają radosnym śmiechem.

– Każdy, kto zrobi zakupy za więcej niż dwadzieścia funtów, otrzyma upominek – dodaje Jim. – A dla wszystkich są przewidziane darmowe drinki.

– W końcu zacznasz mówić do rzeczy! – woła siwowłosa mężczyzna, a pozostali znowu wybuchają głośnym śmiechem.

– Bex? – W moim uchu rozlega się głos Zuzy. – Telefon do ciebie. To Luke.

Udaję się pospiesznie do kuchni. Na twarzy mam uśmiech od ucha do ucha. Biorę do ręki słuchawkę.

– Luke! Cześć! Gdzie jesteś? Na lotnisku?

– Nie, już w samochodzie.

– To świetnie! – wykrzykuje. – Kiedy możesz się tu zjawić? Naprawdę wiele się dzieje! Zaraz ci powiem, gdzie będziemy...

– Becky... obawiam się, że mamy problem – przerywa mi. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć... ale dopiero później uda mi się do ciebie przyjechać.

– Co takiego? – Wpatruję się w słuchawkę z niedowierzaniem. – Ale... dlaczego? Nie było cię przez cały tydzień! Tak długo cię nie widziałam!

– Wiem. Jestem wściekły. Ale wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Mamy problemy z Arcodas Group. W normalnych okolicznościach zostawiłbym to Gary’emu i reszcie ekipy, ale to nowy klient. To pierwszy problem i będę się musiał zająć nim osobiście.

– No tak. – Cała oklapłam z rozczarowania. – Rozumiem.

– Ale wpadł mi do głowy pewien pomysł. – Waha się. – Becky, przyjedź do mnie.

– Słucham?

– Przyjedź teraz. Wyślę po ciebie samochód. Tak bardzo się za tobą stęskniłem.

– Ja za tobą też. Bardzo.

– Ale chodzi mi nie tylko o to. Becky, rozmawiałem z Garym... i doszliśmy do tego samego wniosku. Bardzo byśmy chcieli cię do tego włączyć. Przydałyby nam się twoje świetne pomysły. Co o tym myślisz?

– Chcecie, żebym wam pomogła? – Przełykam ślinę. – Poważnie?

– Bardzo bym tego chciał. – Głos Luke’a jest pełen ciepła. – Jeśli się zgodzisz.

Ogarnięta tęsknotą, wpatruję się w telefon. Właśnie tego pragnęłam. Mąż i żona, pomagający sobie nawzajem. Wspólne burze mózgow. Prawdziwe, porządne partnerstwo.

O Boże! Chcę tam jechać!

Ale... nie mogę zawieść Jess. Nie teraz.

– Luke, nie mogę przyjechać. – Zagryzam wargę. – Naprawdę chcę z wami pracować. Bardzo chcę wejść w skład ekipy, ale mam już plany na dzisiaj. Obiecałam Jess. I... innym. Nie mogę ich tak porzucić. Przykro mi.

– Rozumiem. – W głosie Luke’a słychać żal. – Mogę mieć pretensje tylko do siebie, że cię nie zatrudniłem, kiedy miałem taką szansę. No cóż, w takim razie zobaczymy się wieczorem. – Wzdycha. – Nie mam pojęcia, ile czasu zajmie mi ta sprawa, ale zadzwonię, gdy tylko coś będę wiedział.

– Biedactwo – mówię ze współczuciem. – Mam nadzieję, że wszystko się ułoży. Myślami będę przy tobie. Dokąd konkretnie jedziesz?

– To jedyny pozytywny aspekt tego wszystkiego. Jadę na północ. Właściwie to całkiem niedaleko od ciebie.

– O! – mówię z zainteresowaniem. – Co to więc za problem? Jakaś gruba ryba sfalszowała dane?

– Znacznie gorzej – odpowiada ponuro. – Mamy protest jakiejś cholernej grupy ekologicznej, która wyskoczyła jak filip z konopi.

– Grupy ekologicznej? – pytam ze zdumieniem. – Chyba żartujesz! To naprawdę niesamowity zbieg okoliczności, gdyż...

Urywam nagle. Zaczynają mnie piec policzki. To niemożliwe...

Nie. Nie bądź niemądra. Każdego dnia w tym kraju organizuje się pewnie miliony protestów...

– Osoba, która to wszystko organizuje, ma głowę na karku, jeśli chodzi o media – oświadcza Luke. – Dziś po południu odbywa się wiec, pisała już o tym prasa, interesuje się nim ekipa telewizyjnych wiadomości... – Śmieje się. – Wyobraź sobie, że protestują przeciwko powstaniu centrum handlowego.

Kuchnia zaczyna wirować wokół mnie. Przetykam kilkakrotnie ślinę, usiłując nie wpaść w panikę.

To nie może chodzić o to samo. Nie może.

My nie protestujemy przeciwko Arcodas Group. Wiem, że tak nie jest. Protestujemy przeciwko Centrom Handlowym Maybell.

– Kochanie, muszę kończyć – w moje myśli wdziera się głos Luke’a. – Na drugiej linii mam Gary’ego. Do zobaczenia później. Och, i baw się dobrze, cokolwiek będziesz robić razem z Jess.

– Postaram się – udaje mi się wykrztusić.

Kiedy wracam do salonu, mocno wali mi serce. Wszyscy siedzą w półkołu, słuchając uważnie Robina, który trzyma w górze duży diagram. Przedstawia on dwie postacie, a na górze widnieje napis: „Stawianie oporu policji”.

– ... okolice krocza są szczególnie wrażliwe – mówi, kiedy wchodzę. – Wszystko w porządku, Becky?

– Tak, oczywiście!, – Mój głos jest nieco wyższy niż zazwyczaj. – Mam tylko jedno krótkie pytanie. Protestujemy przeciwko Centrom Handlowym Maybell, prawda?

– Zgadza się.

– Nie ma to więc nic wspólnego z Arcodas Group? Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Właścicielem Maybell jest Arcodas Group. Nie wiedziałas o tym?

Otwieram usta – ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Ogarnia mnie dziwna słabość.

Właśnie zorganizowałam potężną kampanię medialną przeciwko najnowszemu i najważniejszemu klientowi Luke’a. Ja. Jego własna żona.

– Dranie. – Robin rozgląda się po pokoju. – Zgadnij, czego się dzisiaj dowiedziałem. Przysyłają tutaj ich firmę PR, żeby się nami „zajęła”. Z Londynu. Słyszałem, że specjalnie ściągnęli z wakacji szefa tej firmy.

O Boże! Nie wytrzymam!

I co ja teraz zrobię? No co?

Muszę się wycofać. Tak. Muszę im powiedzieć, że się wycofuję i odcinam od tego wszystkiego.

– Myślą, że jesteśmy płótkami. – Oczy Robina błyszczą. – Myślą, że nie mamy żadnych środków. Ale mamy entuzjazm. Nasze przekonania. I, co najważniejsze... – Odwraca się do mnie. – Mamy Becky!

– Słucham? – Podskakuję w panice, gdy wszyscy zaczynają klaskać. – Nic! Proszę. Naprawdę. Ja... nie mam z tym nic wspólnego.

– Nie bądź skromna! – wykrzykuje Robin. – Dokonałaś transformacji tego protestu! Gdyby nie ty, nic by się nie wydarzyło!

– Nie mów tak! – Z przerażeniem przetykam ślinę. – To znaczy... chciałabym się trzymać z boku. Właściwie... właściwie to muszę wam coś powiedzieć...

Jazda. Powiedz im i już.

Napotykam ciepłe spojrzenie Jima i odwracam głowę. Boże, to wcale nie jest łatwe.

– Zaczekaj – słyszę za plecami drżący głos. Odwracam się ze zdziwieniem i widzę, że zbliża się ku mnie Jess. – Zanim to zrobisz, najpierw ja chciałabym coś powiedzieć.

Kiedy podchodzi i staje obok mnie, w pokoju zapada pełna napięcia cisza. Jess unosi brodę i staje przodem do zgromadzonych.

– Wielu z was słyszało mnie tamtego wieczoru, jak mówiłam Becky, że nie jesteśmy siostrami. Wielu z was słyszało... jak się jej wypieram. Okazuje się, że jednak jesteśmy siostrami. – Robi pauzę, a jej policzki stają się lekko różowe. – Ale nawet gdybyśmy nie były... Nawet gdybyśmy nie były... – Omiata pokój nieco dzikim spojrzeniem. – Zaszczycem byłoby dla mnie to, że znam Becky i mogę ją uważać za przyjaciółkę.

– Brawo! – woła zachrypniętym głosem Jim.

– Wzięcie dzisiaj udziału w tym marszu... z wami wszystkimi... i z moją siostrą... Jess obejmuje mnie ramieniem – będzie jednym z najwspanialszych wydarzeń w moim życiu. W pokoju panuje cisza jak makiem zasiał.

– Przepraszam, Becky. – Jess odwraca się do mnie. – Co chciałaś powiedzieć?

– Ja... eee... – mówię słabym głosem. – Ja chciałam tylko powiedzieć... Skopmy im tyłki.

BANK ZACHODNIEJ CUMBRII
Sterndale Street 45
Coggenthwaite
Cumbria

12.06.2003

Sz. P.
Jessica Bertram
Hill Rise 12
Scully Cumbria

Szanowna Pani!

Ze zdumieniem stwierdziłem dziś, że z Pani rachunku została wypłacona kwota jednego tysiąca funtów.

W przypadku Pani rachunku jest to wydarzenie doprawdy niezwykle, dlatego pozwalam sobie skontaktować się z Panią, by się upewnić, czy nie nastąpiła jakaś pomyłka.

Z poważaniem
Howard Shawcross
kierownik Działu
Klientów Indywidualnych

– Zostawcie naszą ziemią! – wrzeszczy Robin przez mikrofon.

– Precz! Precz! Precz! – krzyczymy wszyscy w odpowiedzi.

Uśmiecham się promiennie do Jess. Jeśli nawet wcześniej miałam wątpliwości, czy mamy słusność, teraz już się ich pozbyłam.

Wystarczy się rozejrzeć. Trzeba po prostu zobaczyć, co zostałyby zniszczone. Stoimy na wzgórzu Piper – to najbardziej urzekające miejsce, w jakim byłam. Na jego szczycie rosną drzewa, w trawie kryją się polne kwiaty i zdążyłam już dostrzec sześć motyli. Mam to gdzieś, czy Arcodas Group to klient Luke’a, czy nie. Jak można wpaść na pomysł zbudowania centrum handlowego w takim miejscu? Zwłaszcza tak beznadziejnego centrum, w którym nie ma nawet butik Space NK!

– Zostawcie naszą ziemią!

– Precz! Precz! Precz! – wołam na cały głos. Protestowanie to najbardziej odjazdowa sprawa, w jaką się zaangażowałam! Stoję na szczycie wzgórza razem z Robinem, Jimem i Jess, a roztaczający się przed naszymi oczami widok dosłownie zapiera dech w piersiach. Na wiecu pojawiło się około trzystu osób! Maszerują ścieżką w stronę miejsca, gdzie ma zostać zbudowane centrum, wymachując transparentami, dmuchając w gwizdki i waląc w hebny, a towarzyszą im dwie ekipy z lokalnych stacji telewizyjnych i całkiem spora gromadka dziennikarzy.

Wciąż się rozglądam – ale nie ma śladu nikogo z Arcodas Group. Ani Luke’a. Czuję z tego powodu lekką ulgę.

To znaczy wcale się nie wstydzę tego, że tu jestem. Wprost przeciwnie. Jestem osobą, która będzie walczyć o własne przekonania i stanie w obronie słabszych, bez względu na to, co sądzą o niej inni.

Ale powiedzmy, że pojawi się tutaj Luke... Tak sobie myślę, że mogę wtedy włożyć kominiarkę i szybciotko się za kimś schować. Nie rozpozna mnie w tym tłumie. Będę bezpieczna.

– Zostawcie naszą ziemią!

– Precz! Precz! Precz!

Tłum się zagęszcza, a Robin kładzie na ziemi swój transparent i wchodzi na ustawioną wcześniej składaną drabinę. Przed nią stoi mikrofon, a widok błękitnego nieba i nieskażonego ludzką ręką krajobrazu jest dosłownie niesamowity. Zatrudniony przeze mnie fotograf klęka i zaczyna robić zdjęcia, a wkrótce w ślad za nim idą ekipy telewizyjne i reporterzy z miejscowych gazet.

Tłum powoli cichnie i wszyscy z wyczekiwaniem wpatrują się w Robina.

– Przyjaciele, zwolennicy, miłośnicy przyrody – zaczyna, a jego głos odbija się echem w panującej ciszy. – Proszę was wszystkich, abyście przez chwilę przyjrzeni się, co tutaj mamy. Mamy piękno. Mamy przyrodę. Mamy wszystko, czego nam trzeba.

Robi pauzę dla lepszego efektu, tak jak go szkoliliam, i rozgląda się. Wiatr rozwiewa mu

włosy, a twarz ma zaróżowioną z przejęcia.

– Czy potrzebne nam centrum handlowe?

– Nie! Nie! Nie! – krzyczymy na całe gardło.

– Potrzebne nam zanieczyszczenia?

– Nie! Nie! Nie!

– Czy potrzebne są nam kolejne bezsensowne konsumenckie śmieci? Czy komuś potrzeba więcej... – rozgląda się z drwiącym uśmiechem – poduszek?

– Nie... – zaczynam razem ze wszystkimi, po czym milknę. Właściwie to przydałoby mi się kilka ładnych poduszek na nasze łóżko. Nie dalej jak wczoraj widziałam w gazecie takie śliczne z kaszmiru.

Ale... to nie szkodzi. Wszyscy wiedzą, że aktywiści czasami nie zgadzają się w mniej ważnych kwestiach technicznych. A ja zgadzam się ze wszystkim, co mówi Robin – oprócz stwierdzenia o poduszkach.

– Czy chcemy na naszej ziemi to szkaradztwo?! – woła Robin, rozkładając ramiona.

– Nie! Nie! Nie! – wrzeszczą radośnie i uśmiecham się promiennie do Jess, która dmucha w gwizdek.

Patrzę na nią z lekką zazdrością. Kiedy następnym razem będę brała udział w proteście, na pewno zaopatrzę się w gwizdek.

– A teraz posłuchajmy, co ma do powiedzenia nasza kolejna aktywistka! – krzyczy Robin. – Becky! Chodź tutaj!

Co takiego? Tego nie było w planie.

– Dziewczyna, która zorganizowała tę kampanię! Dziewczyna, której pomysły i oddanie sprawiły, że dzisiaj bierzemy udział w tym wiecu! Posłuchajmy Becky!

Wszyscy patrzą na mnie, a na ich twarzach maluje się podziw i ożywienie. Robin zaczyna klaskać, a po chwili dołączają do niego pozostali.

– Idź, Becky! – przekrzykuje hałas Jess. – Wszyscy naprawdę tego chcą!

Rozglądam się szybko. Nigdzie śladu Luke'a.

Och, nie jestem w stanie dłużej się opierać.

Kuśtykam przez tłum do drabiny i z pomocą Robina ostrożnie na nią wchodzę. Przede mną faluje morze podekscytowanych twarzy.

– Witam w górze Piper! – wołam do mikrofonu, a tłum reaguje głośnymi okrzykami, tupaniem i gwizdami oraz oszalałym biciem w bębny.

Boże, to fantastyczne! Czuję się, jakbym była gwiazdą pop!

– To nasz kraj! – wołam, zataczając ręką krąg. – To nasza ziemia! Nie oddamy jej!

Kolejne pełne zachwyty owacje.

– A każdemu, kto CHCE, byśmy ją oddali... – wrzeszczę, wymachując rękami – ... każdemu, kto sądzi, że może sobie przyjść i ZABRAĆ JĄ NAM... mówię to! Mówię WRACAJCIE DO DOMU!

Znowu rozlegają się brawa i pełne uznania okrzyki. Uśmiecham się promiennie. Kurczę, ależ mam charyzmę. Może powinnam zostać politykiem!

– Mówię NATYCHMIAST SIĘ PODDAJCIE! – wołam. – Ponieważ zamierzamy

WALCZYĆ! A na...

W tłumie widać małe poruszenie i milknę, próbując dojrzeć, co się dzieje.

– Idą! – woła kilka osób.

– Łuu!

Wszyscy syczą, gwizdzą i odwracają się, by patrzeć na coś, czego ja zbyt dobrze nie widzę.

– To oni! – woła z dołu Robin. – Dranie! Dokopmy im! Nagle zamieram. Pięciu mężczyzn w ciemnych garniturach szybkim krokiem zmierza w naszym kierunku.

Jednym z nich jest Luke.

No dobra, chyba muszę zmykać z tej drabiny. I to już. Tyle że to nie takie proste, kiedy jedną nogę ma się w gipsie. Ledwie jestem w stanie się ruszyć.

– Hej, Robin, chciałabym zejść na dół! – wołam.

– Zostań tam! – odkrzykuje. – Kontynuuj przemówienie! Jest świetne!

Gorączkowo ujmuję kulę i próbuję jakoś zejść, a wtedy Luke podnosi głowę i wreszcie mnie dostrzega.

Jeszcze nigdy nie widziałam go tak zaszokowanego. Staje jak wryty i wpatruje się we mnie. Moje policzki płoną i nagle zaczynają mi się trząść nogi.

– Nie daj im się zastraszyć, Becky! – woła z dołu Robin. – Ignoruj ich! Mów dalej! Mów!

Jestem ugotowana. Nic już nie mogę zrobić. Odchrząkuję, umyślnie unikając spojrzenia Luke'a.

– Eee... Zamierzamy walczyć! – wołam, a głos nieco mi drży. – Mówię... WRACAJCIE DO DOMU!

Pięciu mężczyzn stoi w jednym rzędzie, mają skrzyżowane ramiona i przyglądają mi się. Trzech z nich nie znam, a dwaj pozostali to Gary i Luke.

Cały cymes polega teraz na tym, by na nich nie patrzeć.

– Pozwólcie nam zatrzymać naszą ziemię! – wołam, tym razem nieco pewniej. – Nie chcemy waszej BETONOWEJ DŻUNGLI!

Rozbrzmiewają głośne owacje, a ja nie mogę się powstrzymać przed posłaniem Luke'owi spojrzenia pełnego triumfu. Cholera, nie potrafię rozgryźć wyrazu jego twarzy. Ma zmarszczone brwi i wygląda na wściekłego, ale jednocześnie kąciki ust mu drżą. Prawie tak, jakby chciało mu się śmiać.

Nasze spojrzenia się krzyżują, a mnie ogarnia okropne uczucie, że zaraz wybuchnę histerycznym śmiechem.

– Zrezygnujcie! – wołam. – Na pewno NIE WYGRACIE!

– Pójdę porozmawiać z prowodyrem – mówi grobowym tonem Luke do jednego z mężczyzn, którego nie znam. – Zobaczę, co się da zrobić.

Spokojnie przechodzi przez trawę i podchodzi do drabiny. Wchodzi po trzech stopniach i zrównuje się ze mną. Przez chwilę bez słowa wpatrujemy się w siebie. Serce w piersi wali mi jak oszalałe.

– Witam – odzywa się wreszcie Luke.

– Och! Eee... cześć! – odpowiadam z całą nonszalancją, na jaką mnie stać. – Jak się

masz?

- Macie tu niezłą zadymę. – Omiata spojrzeniem tłum. – To wszystko twoja robota?
- Eee... pomagano mi trochę. – Odchrząkuję. – Wiesz, jak to jest...

Wciągam powietrze, gdy moje spojrzenie pada na mankiet nienagannej koszuli Luke'a. Minimalnie wystaje spod niego sfatygowana pleciona bransoletka.

Szybko odwracam wzrok, starając się zachować spokój. Reprezentujemy tutaj przeciwne strony.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że protestujesz przeciwko centrum handlowemu?
- Z beznadziejnymi sklepami – ripostuję bez namysłu.
- Nie negocjuj, Becky! – woła do mnie Robin.
- Napluj mu w twarz! – dorzuca Edie, wygrażając pięścią.

– Zdajesz sobie sprawę, że Arcodas Group to mój największy klient? Czy coś takiego choć raz przemknęło ci przez myśl?

– Chciałeś, żebym była bardziej podobna do Jess – bronię się. – Tak właśnie powiedziałeś, prawda? „Bądź taka jak twoja siostra”. Cóż, w takim razie proszę bardzo. – Nachyliłam się do mikrofonu i wołam: – Wracajcie do Londynu z waszymi niedorzecznymi pomysłami! Zostawcie nas w spokoju!

W tłumie rozlegają się głośnie brawa.

– Mam wrócić do Londynu z moimi niedorzecznymi pomysłami? – powtarza z niedowierzaniem Luke. – A co z twoimi niedorzecznymi pomysłami?

– Nie mam niedorzecznych pomysłów – odpowiadam wyniośle. – Zmieniłam się, jeśli chcesz wiedzieć. Stałam się naprawdę oszczędna. Troszczę się o przyrodę. I nie pozwolę, by bezwzględni deweloperzy rujnowali taką piękną okolicę.

Luke pochyla się i szepcze mi do ucha:

- Tak naprawdę... to wcale nie tutaj chcą zbudować to centrum handlowe.
- Słucham? – Marszczę brwi. – Ależ tutaj.

– Wcale nie. Zmienili plany już wiele tygodni temu. Będą je budować zupełnie gdzie indziej.

Przyglądam mu się podejrzliwie. Chyba nie kłamie.

– Ale... plany – mówię. – Mamy plany!

– Dawno nieaktualne. – Unosi brwi. – Ktoś tu chyba nawalił. – Zerka na Robina. – Przypadkiem nie on?

O Boże! Teraz zaczynam mu wierzyć.

Kręci mi się w głowie. A jednak nie planują budowy centrum handlowego na tej łące.

Jesteśmy tutaj, krzyczymy i gwizdźmy... zupełnie bez powodu.

Luke krzyżuje ramiona.

– Tak więc pomimo twojej niesłuchanie skutecznej kampanii protestacyjnej Arcodas Group to wcale nie dranie. Mój klient nie zrobił nic złego.

– No tak. – Zerkam ponad jego głowę na trzech mężczyzn z Arcodas Group, rzucających mi mało przyjazne spojrzenia. – Więc... pewnie nie są tym zachwyceni, prawda? , – Nieszczęśliwie.

– Sorki za to wszystko. – Omiotam spojrzeniem niespokojny tłum. – W takim razie chcesz pewnie, żebym im o tym powiedziała, tak?

W oczach Luke'a pojawia się błysk – jak zawsze, kiedy ma w głowie jakiś plan.

– Tak się składa, że mam lepszy pomysł. Skoro już zgromadziłaś do kupy ludzi i prasę...

Bierze do ręki mikrofon i odwraca się przodem do tłumu. Odpowiadają mu gwizdy i buczenie. Nawet Zuza potrząsa swoim transparentem.

– Panie i panowie – zaczyna Luke głębokim, pewnym siebie głosem. – Przedstawiciele prasy. W imieniu Arcodas Group chciałbym wygłosić komunikat.

Cierpliwie czeka, aż ucichną wszystkie gwizdy, po czym patrzy z powagą na zgromadzony na wzgórzu tłum.

– My wszyscy w Arcodas Group jesteśmy wrażliwi na ludzkie problemy. Zawsze jesteśmy chętni, by je poznać. Jesteśmy firmą, która bacznie wszystko obserwuje. Rozmawiałem z waszą przedstawicielką... – Wskazuje na mnie. – I poznałem wasze argumenty.

Rozlegają się pełne wyczekiwania syki. Wszyscy wpatrują się w Luke'a szeroko otwartymi oczami.

– W rezultacie... niech wolno mi będzie zakomunikować, że Arcodas Group jeszcze raz rozważyło pomysł wykorzystania tego właśnie terenu. – Uśmiecha się. – Nie będzie tutaj centrum handlowego.

Przez chwilę panuje pełna zdumienia cisza – po czym górę bierze radosne pandemonium. Wszyscy biją brawo i ściskają się, rozlegają się gwizdy i niestrudzone walenie w bębny.

– Udało nam się! – Ponad hałas przebija się głos Jess.

– Pokazaliśmy im! – piszczy Kelly.

– Chcielibyśmy także zwrócić państwa uwagę na ogromną liczbę inicjatyw z zakresu ochrony środowiska, sponsorowanych przez Arcodas Group – kontynuuje Luke. – Rozdajemy właśnie stosowne ulotki i materiały informacyjne. Dziękuję.

Chwileczkę. On to zmienia w pozytywną kampanię PR. To on przejął nad wszystkim kontrolę!

– Ty zmij! – mówię z wściekłością, zasłaniając dłonią mikrofon. – Kompletnie im pomieszaleś w głowach!

– Wzgórze jest uratowane. – Wzrusza ramionami. – Reszta to przecież nieistotne szczegóły.

– Nie! To wcale nie...

– Gdyby wasza ekipa przeprowadziła porządny wywiad, w ogóle by was tutaj nie było, a ja nie musiałbym przyjeżdżać, by ratować sytuację. – Wychyla się i woła do Gary'ego, który rozdaje w tłumie ulotki: – Gary, odprowadź ludzi z Arcodas do samochodu, dobrze? Powiedz im, że zostaję, by jeszcze trochę ponegocjować.

Gary kiwa głową i macha do mnie przyjaźnie ręką, ale go ignoruję. Wciąż jestem wściekła na nich obu.

– Więc... gdzie ostatecznie zostanie wybudowane to centrum? – pytam, obserwując rozradowany tłum.

Kelly i Jess się ściskają, Jim klepie Robina po plecach, a Edie i Lorna wymachują różowymi perukami.

– A dlaczego pytasz?

– Może zorganizuję tam protest. Może powinnam śledzić poczynania Arcodas Group i robić zadymę! Deptać wam po piętach.

– Może i tak – odpowiada Luke z cierpkim uśmiechem. – Becky, posłuchaj, przepraszam cię, ale muszę wykonywać swoją pracę.

– Wiem. Ale... myślałam, że robię coś ważnego. Naprawdę sądziłam, że udało mi się coś osiągnąć. – Wzdycham smętnie. – A wszystko na nic.

– Na nic? – pyta z niedowierzaniem. – Becky, tylko spójrz, czego dokonałaś. – Pokazuje na zgromadzonych na wzgórzu ludzi. – Popatrz na ten cały tłum. Słyszałem, że udało ci się całkowicie zreorganizować tę kampanię. Nie mówię już o wsi... No i to organizowane przez was przyjęcie... Powinnaś być z siebie dumna. Nazywają cię tutaj Huraganowa Becky.

– Pewnie dlatego, że zostawiam po sobie tylko zniszczenia, co?

Luke spogląda na mnie z nagłą powagą. Jego spojrzenie jest pełne ciepła.

– Porywasz za sobą wszystkich, których napotkasz na swojej drodze. – Ujmuje moją dłoń i przygląda jej się przez chwilę. – Nie bądź taka jak Jess. Bądź sobą.

– Ale powiedziałaś... – zaczynam, po czym urywam.

– Co?

O Boże! Zamierzałam zachować się jak osoba dorosła i godnie o tym nie wspominać. Nie mogę się jednak powstrzymać.

– Podśluchałam, jak rozmawiałeś z Jess – mrużę. – Kiedy była wtedy u nas. Słyszałam, jak mówiłaś... że trudno się ze mną żyje.

– No, bo taka jest prawda – odpowiada rzeczowo Luke. Patrzą na niego i coś mnie ściska w gardle.

– Życie z tobą jest także interesujące. Ekscytujące. Zabawne. O niczym innym nie marzę. Gdyby było łatwe, to byłoby i nudne. – Dotyka mego policzka. – Życie z tobą to prawdziwa przygoda.

– Becky! – woła z dołu Zuza. – Zaczyna się przyjęcie! Cześć, Luke!

– No dobrze. – Całuje mnie. – Pozwól, że zdejmę cię z tej drabiny. Aha, coś mi się przypomniało – mówi, pomagając mi zejść po stopniach na dół. – Co miałaś na myśli, mówiąc, że jesteś oszczędna? Czy to miał być żart?

– Nie! Jestem oszczędna! Jess mnie nauczyła. Jak Yoda.

– Czego konkretnie cię nauczyła? – pyta nieufnie.

– Jak zrobić z kartonu po mleku zraszacz ogrodowy – oświadczam z dumą. – I opakowanie do prezentów ze starych reklamówek. A także tego, że kartki urodzinowe powinno się zawsze pisać ołówkiem, tak by ta druga osoba mogła wymazać gumką twoje życzenia i wykorzystać kartkę jeszcze raz. Oszczędza się w ten sposób dziewięćdziesiąt pensów! Luke przez dłuższą chwilę przygląda mi się bez słowa.

– Chyba muszę cię zabrać z powrotem do Londynu – mówi wreszcie. Pomaga mi zejść z ostatnich stopni, mocno trzymając pod ramię. – Dzwonił Danny, wiesz?

– Danny? – pytam z radosnym zdumieniem i poślizguję się na ostatnim stopniu.
Kiedy ląduję na trawie, wszystko wokół mnie zdaje się lekko wirować.
– Ooch! – chwytam się mocniej ramienia Luke’a. – Kręci mi się w głowie.
– Dobrze się czujesz? – pyta z niepokojem. – Czy to wstrząśnienie mózgu? Nie powinnaś wchodzić na tę drabinę...
– Wszystko w porządku – odpowiadam, oddychając z lekkim trudem. – Usiądę na chwilę.
– Mnie co chwila przytrafiało się coś takiego! – oznajmia Zuza, podchodząc do nas. – Kiedy byłam w ciąży.
W głowie mam nagłą pustkę.
Rzucam Luke’owi zaskoczone spojrzenie. Wygląda na równie wstrząśniętego.
Nie. To znaczy... ja nie mogę...
Nie mogę być...
Nagle zaczynam w myślach gorączkowo obliczać. W ogóle nawet o tym nie myślałam...
Ale ostatni raz miałam... to było już... przynajmniej...
O mój Boże! ‘
O... mój Boże.
– Becky? – pyta Luke dziwnym głosem.
– Eee... Luke...
Z trudem przetykam ślinę, starając się zachować spokój. No dobra. Tylko bez paniki. Bez paniki...

BANK ZACHODNIEJ CUMBRII
Sterndale Street 45
Coggenthwaite
Cumbria

22.06.2003

Sz. P.
Jessica Bertram
Hill Rise 12
Scully
Cumbria

Szanowna Pani!

Wielką przykrość sprawił mi ton Pani ostatniego listu.

Chcę oświadczyć, że „mam własne życie”, jak to Pani określiła.

Z poważaniem –
Howard Shawcross
kierownik Działu
Klientów Indywidualnych

Rebeka Brandon
Maida Vale Mansions 37
Maida Vale
London NW6 OYF

25.06.2003

Sz. P.
Dyrektor
Domu Towarowego
Harveya Nicholasa
Knightsbridge 109-125
London SW1X7RJ

Szanowny Panie!

Zwracam się do Pana z hipotetycznym pytaniem. Czy to prawda, że jeśli urodzi się dziecko w Domu Towarowym Harveya Nicholasa (przez przypadek, rzecz jasna!), ma się wtedy prawo do gratisowych ubrań do końca życia?

Będę bardzo wdzięczna za odpowiedź.

Oczywiście, jak już wspomniałam wyżej, jest to pytanie czysto hipotetyczne.

Z poważaniem –
Rebeka Brandon
(z domu Bloomwood)

Rebeka Brandon
Maida Vale Mansions 37
Maida Vale
London NW6 OYF

25.06.2003

Sz. P.
Kierownik
Działu Spożywczego
Harroda
Brompton Road
London SW1X 7XL

Szanowny Panie!

Zwracam się do Pana z hipotetycznym pytaniem. Czy to prawda, że jeśli urodzi się dziecko w Dziale Spożywczym w Harrodzie (przez przypadek, rzecz jasna!), ma się wtedy prawo do gratisowych artykułów spożywczych do końca życia?

Chciałabym także wiedzieć, czy ma się wtedy również prawo do innych artykułów, na przykład ubrań.

Będę bardzo wdzięczna za odpowiedź.

Z poważaniem –
Rebeka Brandon
(z domu Bloomwood)

Rebeka Brandon
Maida Vale Mansions 37
Maida Vale
London NW6 OYF

25.06.2003

Signors
Dolce e Gabbana
Via Spiga
Milano

Chere Signores!

Ciao!

Mi est Britishe femma adoro votre fashion.

Est wondoro małe pytanio hipotetico: si je avais bambino in votre shop (par erroro, naturalmente!!) ma prawo les ubraniolo gratuite por la viva? E por la bambino aussi?

Grazie mille beaucoup por le odpowiedź.

Con les best wishes –

Rebeka Brandon
(z domu Bloomwood)